



Graham Caroline  
Bezpieczne miejsce

---

Tytuł oryginału; *The Place of Safety*

Dla mojej przyjaciółki Patricii Houlihan

TLR

## Rozdział pierwszy

---

Każdego wieczoru, dokładnie o tej samej porze, niezależnie od pogody, Charlie Leathers zabierał psa na spacer. Kiedy pani Leathers słyszała trzask bramki prowadzącej do ich zbudowanego z pustaków parterowego domu komunalnego, zerkała przez firankę, by upewnić się, że mąż wyszedł, po czym znów włączała telewizor.

Zazwyczaj pan Leathers wychodził na około pół godziny, lecz jego żona na wszelki wypadek nastawiała kuchenny timer na dwadzieścia minut, a kiedy dzwonił, natychmiast wyłączała telewizor. Wolała się zabezpieczyć, bo kiedyś mąż wrócił do domu wcześniej, popatrzył podejrzliwie na dopiero co wyłączony odbiornik i położył dłoń na jego wciąż ciepłej obudowie. Hetty musiała wówczas wysłuchać nudnego wykładu o tym, że po dziesiątej nie ma nic, co warto oglądać, a poza tym powszechnie wiadomo, że lampy elektronowe zużywają się szybciej wtedy, gdy jest ciemno. Raz miała czelność zapytać, kto opłaca abonament ze swoich poborów, a wtedy mąż nie odzywał się do niej przez trzy dni.

Niemniej jednak tego wieczoru — czy też feralnego wieczoru, jak miała określać go policja, kiedy doceniono jego znaczenie — Charlie nie wracał dłużej niż zwykle. Hetty mogłaby w tym czasie obejrzeć do końca odcinek *Absolutnie fantastycznego*. Była to tylko powtórka, ale pani Leathers przepadała za tym seria-

lem, tak dalekim od monotonii codziennego życia, jak tylko można sobie to wyobrazić.

Jasny blask księżyca spływał na wiejski skwer, oświetlając napis „Najlepiej utrzymana wieś” oraz namalowany przez amatora herb Ferne Basset. Było to ludowe malowidło, ukazujące stojącego borsuka, kilka snopów pszenicy, skrzyżowane kije do krykieta i chryzantemę w nienaturalnym, jaskrawo cytrynowym kolorze.

Charle Leathers przeszedł po świeżo ściętej trawie i wszedł na chodnik po drugiej stronie. Ze złością spojrzął na ciemną masę nieukończonych nowych domów i sprzęt budowlany naprzeciw pubu, po czym, nie zatrzymując się, kopnął stertę cegieł. Minał kilka domów w stylu wiktoriańskim oraz wyróżniający się nowoczesny budynek, wzniesiony niemal wyłącznie ze szkła, po którym blask księżyca spływał niczym srebrny deszcz. Kilka metrów dalej wszedł na teren kościoła, za którym zaczynał się Las Cartera. Szedł szybko, gnany złością i rozpieirającą go energią, widoczną w każdym jego ruchu. Charlie nie potrafił się odprężyć i nawet gdy spał, bywał niespokojny. Zdarzało się, że zaciśniętymi pięściami wściekle młócił powietrze.

Terierka z trudem dotrzymywała mu kroku, raz po raz niespokojnie spoglądając w górę. Nie da się przecież zrzucić wszystkich potknięć na karb zmęczenia czy twardych kamieni na drodze. Ostre szarpnięcie za obrozę lub jeszcze bardziej brutalne smagnięcie smyczą przez jej delikatny nos przywracały ją do porządku. Wolno jej było zatrzymać się tylko raz i zrobić to, po co została zabrana na spacer. Często musiała siusiać, skacząc na trzech nogach, a przeróżne, cudownie bogate zapachy wypełniające wieczorne powietrze na zawsze pozostawały dla niej niezbadane.

Candy, którą Charlie prawie przeciągnął przez gęste krzewy, z ulgą powitała pagórek miękkich liści. Po chwili jednak szarpnięcie smyczy na bok zmusiło ją do ominięcia go łukiem, gdy zakręcali z powrotem w kierunku domu.

Zbliżali się teraz do ulicy Tali Trees, przy której mieszkał Charlie, ale od przeciwnej strony niż ta, którą wyszli. Mijali parterowe bliźniaki, sklep i kościół pod wezwaniem świętego Tymoteusza Cierpiącego. A potem, zanim znów pokazywały się bogate domy, pojawiała się rzeka.

Rzeka Misbourne była głęboka, o bystrym nurcie. Z płytkiego jazu oddalonego o kilka metrów dochodził cichy szmer wody mieszający się z szelestem liści w spokojnym, nocnym powietrzu. Brzegi łączył kamienny most z rzeźbioną, wysoką na niecały metr, balustradą.

Charlie właśnie przeszedł na drugą stronę, kiedy usłyszał krzyki. Zatrzymał się i nasłuchiwał. W nocy trudno było orzec, skąd dobiegają hałasy i początkowo myślał, że przeraźliwe, pełne złości głosy dochodziły z domów komunalnych, których mieszkańcy z całą pewnością nie przejmowali się tym, kto słyszał ich kłótnie. Ale wtedy głosy nasiliły się — być może dlatego, że ktoś otworzył drzwi — i Charlie uświadomił sobie, że ich źródłem był budynek przy kościele, Stare Probostwo.

Mężczyzna pospiesznie wszedł na przykościelny cmentarz, stanął na palcach i z ciekawością zerkał przez cisowy żywopłot. Tak długo owijał sobie smycz wokół dłoni, że biedna Candy o mało się nie udusiła. To było ostrzeżenie, że ma być cicho.

Światło z korytarza plebanii wylewało się na schodki wejściowe. Z budynku wybiegła dziewczyna, wołając coś przez ramię, lecz jej tłumiony szloch zniekształcał słowa. Z wnętrza plebanii dobiegł go pełen bólu krzyk.

— Carlotto, Carlotto! Poczekaj!

Kiedy dziewczyna biegła przez podjazd, Charlie szybko cofnął się za narożnik żywopłotu, choć i tak nie zauważyłaby go przez łązy, które zalewały jej twarz.

— Wracaj!

Następne kroki. Usłyszał regularne uderzenia o żwirową nawierzchnię i druga kobieta, o kilka lat starsza, lecz nie mniej zdenerwowana, pojawiła się w jego polu widzenia.

— Zostaw mnie.

Dobiegając do mostu, dziewczyna odwróciła się. Choć droga za nią była dobrze widoczna, Charlie miał nieodparte wrażenie, że coś się za nią czai.

—Nie chciałam zrobić nic złego!

—Wiem, Carlotto. — Kobieta zbliżała się ostrożnie. — Wszystko w porządku. Nie powinnaś...

—To była moja ostatnia szansa, ten przyjazd tutaj.

—To wszystko naprawdę jest niepotrzebne — głos kobiety brzmiał kojąco. — Spróbuj się uspokoić.

Dziewczyna wdrapała się na balustradę.

— Na miłość boską!

—Wsadzą mnie do więzienia!

—Nie musisz...

—Myślałam, że będę tu bezpieczna.

—Byłaś... Jesteś. Przecież...

—Dokąd mogę pójść? — Zwiesiła głowę, wyczerpana płaczem, zachwiaa się do tyłu, potem wyprostowała się gwałtownie z okrzykiem strachu. — Och! Co się ze mną stanie?

—Nie bądź niemądra. — Kobieta podeszła bliżej, w świetle księżyca wyglądała jak duch. — Nic się nie stanie.

—Mogę równie dobrze umrzeć. — Coraz bardziej poruszona, zakryła twarz dłońmi i znów zaczęła płakać, kołysząc się w tył i w przód.

Korzystając z tego, że dziewczyna przez chwilę na nią nie patrzy, kobieta szybko do niej podeszła. Cicho. Zrównała się z nią i objęła rękami jej szczupłe nogi.

—Zejdź, Carlotto. Zobacz, wezmę cię za rękę.

—Nie dotykaj mnie!

Charlie Leathers powoli wychylał się coraz bardziej do przodu, obserwując, co się dzieje. Był tak pochłonięty rozgrywającym się na jego oczach dramatem, tak podekscytowany, że przestał dbać o to, że ktoś może go zobaczyć.

Księżyc schował się za chmurą. Mężczyzna nie widział teraz szczegółów, ale światło było nadal na tyle jasne, by można było dostrzec ciemny ruchliwy kształt, groteskowo wysoki, tak jakby jedna kobieta balansowała na ramionach drugiej. Przez chwilę mocowały się ze sobą, postępując i chwiejąc się do tyłu i do przodu.

Nagle dziewczyna krzyknęła:

— Nie... nie popychaj mnie...

Chwilę później rozległ się okropny krzyk i plusk, jakby coś ciężkiego wpadło do wody. Potem nastąpiła cisza.

Charlie cofnął się w cień żywopłotu. Drżał, nerwy miał napięte do granic wytrzymałości. Minęło trochę czasu, nim mógł ruszyć z powrotem do domu. A kiedy szedł, widziała go niejedna osoba, bo angielska wieś, wbrew pozorom, nigdy całkiem nie zasypia.

Na przykład w pięknym szklanym domu Valentine Fainlight i jego siostra Louise z zapalem grali w szachy. Valentine angażował się w to z wielką energią i determinacją. Pochylał się nad szachownicą, chwycił pionka lub figurę i triumfalnie nimi wymachiwał. Louise zachowywała większy dystans, siedziała spokojnie, lecz była równie zdecydowana. Uśmiechała się chłodno po każdym swoim dobrym ruchu, ale nie okazywała ani rozczarowania, ani niezadowolenia w obliczu porażki.

— Szach mat! — Szachownica się poruszyła, a figury z ciemnoniebieskiej żywicy, o kształtach mitologicznych bestii i wojowników, przewracały się. Louise od razu wstała i odeszła od stolika.

— Dałem ci popalić, co?

— Jak zwykle.

— Napiłbym się czegoś.

Jak dotąd cieszył się z jej obecności. Kiedy zapytała go, czy może przyjechać i zostać u niego, Valentine nie wiedział, co odpowiedzieć. Oczywiście jej współczuł — rozpad małżeństwa sprawił, że po raz pierwszy w życiu leczyła rany głębsze niż te, które sama zadawała.

By zmniejszyć jego niepokój i podkreślić tymczasowość swego pobytu, Louise przyjechała tylko z dwiema małymi walizkami. Miesiąc później przywiozła resztę ubrań. Potem książki i skrzynię do transportu herbaty pełną przedmiotów, o których się mówi, że mają tylko sentymentalną wartość. Rozpakowywanie tych rzeczy okazało się tak bolesne, że skrzynia pozostała w garażu, nietknięta.

— Dobrze by nam zrobiła kropelka Casa Porta.

Louise zaczęła zaciągać zasłonę. Była niezwykle długa, a mimo to bardzo lekka, wykonana z cienkiej jak pajęczyna tkaniny, usianej bladymi gwiazdami. Pomiedzy piętnem, wiszącym na przytwierdzonych do ogromnego strychu stalowych linach, a ścianą zewnętrzną była otwarta przestrzeń i zasłona spadała z samej góry, od szczytu domu, na podłogę parteru przez ponad trzydzieści metrów. Kiedy Louise szła, ciągnąc ją za sobą, czuła się jak w teatrze na początku przedstawienia. W połowie drogi przystanęła.

— Idzie Charlie Leathers z tym biednym małym pieskiem.

— Ojjoj...

— Czy ty zawsze musisz się z wszystkiego naśmiewać?

— Nie ze wszystkiego.

Jasne, pomyślała Louise. Prawie ze wszystkiego.

— Zmieniasz się w wiejską plotkare, kobieto. Tak podglądać przez okno. W przyszłym tygodniu wstąpisz do Klubu Kobiet.

Louise stała tak przez chwilę, patrząc na ciemne, chwiejące się sylwetki drzew. I na domy — solidne czarne bryły. Wyobrażała sobie śpiących ludzi, pogrążonych w sennych marzeniach. Albo niemogących zasnąć, opanowanych przez nocne lęki przed chorobami lub własną nieuchronną śmiercią. Kiedy znów się poruszyła, czując na ręce miękki muślin, brat zawołał:

— Poczekaj.

Louise się zatrzymała. Wiedziała, co teraz nastąpi, bo nieraz już to odgrywali. Ponieważ sama przechodziła przez to samo piekło, w pewnym sensie potrafiła mu współczuć.



—Czy niebieskie drzwi są otwarte?

—Nie widać, jest za ciemno.

—A światło w mieszkaniu?

Stare Probostwo otoczone było drzewami, lecz garaż, nad którym zbudowano dodatkowe mieszkanie, stał w pewnej odległości od niego i był dobrze widoczny.

—Nie.

—Niech i ja popatrzę.

—Val, nie ma na co.

—Pozwól mi, kochanie.

Stali tak razem, wpatrując się w noc. Louise odwróciła wzrok od zmysłowego pragnienia i ogromnej czułości, które przepełniały jej brata. Po kilku sekundach podniosła jego dłoń i przycisnęła ją ze smutkiem do swego policzka. W tej samej chwili jasne światła samochodu przesunęły się po wiejskiej drodze i skrzyły w podjazd Starego Probostwa.

Ann Lawrence nie spała. Kiedy jednak usłyszała trzaśnięcie frontowych drzwi i kroki swego męża na schodach, wskoczyła do łóżka, zamknęła oczy i zamarła, dziękując Bogu za to, że śpią w oddzielnych pokojach. Lionel otworzył jej sypialnię, nie ścisząc głosu wypowiedział jej imię, odczekał chwilę, westchnął poirytowany i z werwą zamknął za sobą drzwi.

Ann znowu wstała i zaczęła nerwowo chodzić w kółko, stąpając cicho po wypłowiałym żółtym dywanie z Aubusson. Nie umiała nawet przez chwilę wytrzymać bez ruchu. Nie mogła się uspokoić od tego straszliwego momentu na moście, kiedy Carlotta wyslizgnęła się z jej objęć i utonęła. Bo na pewno do tej pory już utonęła.

Ann pobiegła wtedy brzegiem rzeki, wołając ją po imieniu, wpatrując się w ciemną, kłębiącą się wodę. Biegła aż do utraty sił. W końcu dotarła do jazu, wąskiego pasma piany, wirującej i syczącej w świetle księżyca. Nic. Najmniejszego śladu życia, ani ludzkiego, ani zwierzęcego.

Powlokła się z powrotem do wsi, chora ze strachu i emocji. Co robić? Zegar wskazywał, że minęło już prawie pół godziny od wypadku. Jakież sens miałyby powiedzieć komuś o nim? Z drugiej strony, jak mogłaby tego nie zrobić? Może jakimś cudem Carlotta nie utonęła, lecz zatrzymała się na czymś tuż za jazem. Albo zdołała dosięgnąć do jakiejś gałęzi i kurczowo się jej trzymając, zmarznięta i przemoczona, czekała na pomoc.

Ann zrozumiała teraz, że zrobiła straszny błąd, biegając wzdłuż rzeki, szukając i nawołując. Zrobiła to instynktownie, w naturalnym ludzkim odruchu. Powinna była raczej pobiec do najbliższego telefonu i zadzwonić po ekipę ratunkową. Na pewno przyjechaliby w mniej niż pół godziny. Do tego byłiby odpowiednio wyposażeni w latarki i liny. I mieliby nurków.

Budka telefoniczna znajdowała się w pobliżu pubu Red Lion, teraz cichego, chroniącego się przed nocą zamkniętymi okiennicami, opuszczonego już przez ostatnich gości. Ann wybrała numer ratunkowy, z trudem utrzymując słuchawkę, która wyslizgiwała się jej ze spoconej dłoni. Na pytanie, z kim chce się połączyć, zawahała się i odpowiedziała, że z policją. Oni przecież na pewno zawiadomią pogotowie, jeśli to będzie konieczne.

Nieco bezładnie opisała zdarzenie, starając się wyjaśnić, że dziewczyna wpadła do rzeki i została przez nią porwana. Poszukiwania, które natychmiast podjęła, okazały się bezowocne. Podała dokładne miejsce wypadku, ale nie potrafiła określić jego czasu. Może pół godziny temu, może mniej. I wtedy osoba z drugiej strony linii zapytała ją o nazwisko.

Ann upuściła słuchawkę, która zakołysała się na kablu i stuknęła o szklaną ściankę budki. Poczowała ucisk w gardle, jakby ktoś chwycił ją mocno za szyję. Zesztywniała, zdjeta przerażeniem. Jej *nazwisko*. Ma podać nazwisko? Wybiegła myślą naprzód i wyobraziła je sobie, wydrukowane wielkimi literami na pierwszej stronie lokalnej (a może nawet jakiejś krajowej) gazety. Pomyślała o konsekwencjach. O zdenerwowaniu męża i możliwym wpływie tego wszystkiego na jego reputację. O jego rozczarowaniu, nie tylko tym, że nie udało jej się zapewnić bezpieczeństwa, którego Carlotta tak bardzo potrzebowała, ale również tym, że tak naprawdę to ona wyciągnęła dziewczynę z domu. Przynajmniej tak to wyglądało.

Ann pograżyła się w smutnych rozmyślaniach. Kiedy po chwili się z nich otrząsnęła, nieszczęśliwa i na granicy płaczu, uświadomiła sobie, że już odłożyła słuchawkę na widelki.

Na szczęście nikt nie widział, jak wracała do domu. Przeraziła się na swój widok w lustrze w holu. Brudna twarz, przemoczone buty i pończochy. Zimny pot, pamiątka jej szaleńczego biegu wzdłuż rzeki, wysychał na skórze i przyprawił ją o dreszcze.

Zanim jeszcze zdjęła płaszcz, zaczęła nalewać wodę do wanny. Odsunęła należący do męża płyn, który obiecywał „ukoić wszystkie bóle, złagodzić napięcie i zmęczenie”, i sięgnęła po zmysłowy płyn do kąpieli firmy Molton Brown. Dostała go na gwiazdkę od Louise. Wspaniale pachniał i obficie się pienił, zatem z pewnością szybciej złagodzi napięcie i ukoi ból. Zmęczenie nie dawało się jej we znaki. Nigdy wcześniej nie była tak pobudzona, wydawało jej się nawet, że już nigdy nie zaśnie. Odkręcając butelkę, zauważyła ze zdziwieniem, że jest prawie pusta, choć użyła płynu tylko raz.

Rzuciła ubrania na podłogę, okręciła się szlafrokiem i zeszła na dół, by nalać sobie drinka. Nie było wielkiego wyboru. Harvey's Bristol Cream. Resztki Dubonnet, które jej mąż rozcieńczał wodą sodową i pijał dość śmiało. Rose's Lime Juice.

Ann westchnęła. W obecnym stanie ducha odczuwała wielką pokusę, by wlać wszystko do ogromnego shakera, wymieszać i wypić, a potem zapomnieć o całym świecie. Otworzyła wielki rzeźbiony kredens i w głębi zauważyła butelkę czerwonego wina z Sainsbury. Pięć minut później, leżąc w pachnącej wodzie i wychylając lampkę za lampką, odtwarzała w myślach straszne wydarzenia ostatnich dwóch godzin. Nie mogła uwierzyć, że grunt tak nagle usunął się jej spod nóg i że wydarzenia tak szybko mogły wymknąć się spod kontroli. Czy jest gdzieś jakieś miejsce, w którym mogłaby się schować, by zapomnieć o tym, co się stało?

Wszystko zaczęło się od zniknięcia kolczyków, które odziedziczyła po matce. Kunsztowna, delikatna robota: różowe diamenty i szmaragdy na ametystowym zapięciu. Ann dostała je na osiemnaste urodziny razem z kieszonkowym zegar-

kiem na pasku z mory, naszyjnikiem z granatów i turkusów oraz kilkoma pięknymi pierścionkami, pasującymi tylko na jej małe palce.

Szukała chusteczki, kiedy zauważyła, że ktoś musiał ruszać żółto- brązowy jedwabny szal, pod którym trzymała rzeźbioną kasetkę na biżuterię. Otworzyła ją. Kolczyków nie było.

Ann rzadko zakładała biżuterię. Życie, jakie prowadziła, nie stwarzało wielu okazji, by nosić tak piękne rzeczy - lub chwalić się nimi, jak ująłby to jej mąż. Nie wolno nam eksponować naszego bogactwa, powtarzał często tym swoim beznamiętnym, celowo pozbawionym krytyki tonem. I Ann zawsze się z nim zgadzała, nigdy, przenigdy nie przypominając mu, że tak naprawdę było to jej bogactwo.

Drżącymi palcami przekładała inne rzeczy w kasetce. Policzyła pierścionki, na chwilę przycisnęła naszyjnik do serca i odłożyła wszystko na miejsce. Nie zniknęło nic więcej. Spojrzała na swą bladą twarz w lustrze, na okolone jasnymi rzęsami oczy, w których pojawił się lęk. Ale nie mogła, *nie chciała* zostawić tego bez wyjaśnienia.

Wiedziała, kto wziął kolczyki, co tylko pogarszało sprawę. Oznaczało to bowiem konfrontację. A na myśl o konfrontacji kurczyła się w sobie. Czy miała jednak inne wyjście? Gdyby powiedziała o tym Lionelowi, czekałoby ich bardzo kłopotliwe spotkanie we troje. Ona starałaby się nie brzmieć oskarżycielsko, a Lionel, pełen współczucia, próbowałby zrozumieć i wytłumaczyć Carlottę, i w końcu jej wybaczyć. Dziewczyna pewnie zaprzeczałaby, że zabrała kolczyki. I co wtedy? Albo zagrałaby swoją kartą nieszczęśliwego dzieciństwa, płacząc, że nie chciała zrobić nic złego. Chciała tylko przymierzyć kolczyki, bo nigdy nie miała nic wartościowego ani pięknego w całym swym okropnym, pozbawionym miłości życiu.

Ann była pewna, że Carlotta od czasu do czasu nosiła niektóre z jej ubrań. Bluzki i sukienki dziwnie czasem pachniały. Już wcześniej zniknęły z jej pokoju pewne rzeczy. Drogie wzorzyste rajstopy. Para futrzanych rękawic, które została w kieszeni płaszcza w holu. Niewielkie sumy pieniędzy z portmonetki.

Dokładnie tego się spodziewała po tych Lionelowych nieudacznikach.

Ann spojrzała w górę, w kierunku pokoju Carlotty, skąd nieprzerwanie dochodziła głośna rockowa muzyka. Słyszeć ją było codziennie, od chwili gdy dziewczyna wstawała, aż do dwudziestej trzeciej, godziny ciszy nocnej, ustalonej przez Lionela, gdy nawet jego cierpliwość się wyczerpała.

Musi postępować rozważnie. Podobno Carlotta miała za sobą kilka załamań nerwowych. Kiedy pojawiła się u nich po raz pierwszy, Lionel zalecał ostrożność, przekonując żonę, że najdrobniejsza krytyka czy próby narzucenia dziewczynie pewnych ograniczeń mogą wyprowadzić ją z równowagi. Do tej pory Ann nie zauważyła żadnych oznak, by miało to nastąpić. Zaczynała nawet myśleć, że to raczej ich równowaga psychiczna jest zagrożona.

Czuła mdłości, jak zawsze, gdy musiała okazać złość. Choć może — Ann zaczęła się wycofywać — nie będzie to konieczne. Może powinna się najpierw upewnić, czy kolczyki naprawdę zginęły?

Z ulgą myśląc o możliwości odłożenia konfrontacji, Ann wyjęła górną szufladę, wysypała jej zawartość na łóżko i zaczęła uważnie przeglądać rajstopy i bieliznę. Kolczyków nie było. Sprawdziła dwie kolejne szuflady — z takim samym rezultatem.

Przypomniała sobie, kiedy ostatni raz je założyła. Było to w rocznicę śmierci jej matki, gdy Ann zaniosiła świeże kwiaty na grób. Kiedy nalewała wodę do kamiennego wazonu i starannie układała żółte róże z pączkami wyglądającymi jak płomień świec, dziecięca część jej osobowości, pogrążona w rozpacz, pragnęła, by mama znów się pojawiła, chociaż na chwilę. By zauważyła, że Ann ma na sobie te kolczyki i że nie zapomniała. Że nigdy nie zapomni.

Nagle muzyka stała się jeszcze głośniejsza. Smutne wspomnienia i niemal pewność, że dziewczyna rzeczywiście ukradła jedną z jej najcenniejszych rzeczy, sprawiły, że Ann nagle znalazła odwagę, by zrobić pierwszy krok. Ruszyła przez podest, na wpół biegnąc i potykając się o prowadzące na strych stopnie, po czym głośno zastukała do drzwi.

Dobiegająca z pokoju muzyka znów zabrzmiała głośniejsz, i to dużo głośniejsz. Rytmiczny dźwięk gitary basowej walił po głowie i wdierał się do mózgu. Drewniane panele drzwi i deski podłogi drżały od hałasu. Ogarnięta złością („To mój dom, mój dom!”), Ann stukała w drzwi, aż zdarła skórę na palcach.

Muzyka ucichła. Chwilę później w drzwiach ukazała się Carlotta, w swych spranych czarnych dżinsach, koszulce i podartych tenisówkach. Długie, ciemne, splecione włosy zawiązała niedbale fioletową, zmiętą wstążką. Na jej twarzy gościł wyraz rozbawienia i pogardy — jak zawsze, gdy były same. Pochyliła głowę, przechodząc przez niskie drzwi, i stanęła przed progiem, zagradzając Ann drogę do swego królestwa.

—Jakiś problem, pani Lawrence?

—Obawiam się, że tak.

Ann odważnie zrobiła krok do przodu i Carlotta, zaskoczona tym nagłym ruchem, odsunęła się na bok. Nie weszła za Ann do pokoju, w którym panował wielki bałagan i unosił się papierosowy dym.

—Co się stało?

—Nie mogę znaleźć kolczyków po mojej matce.

—I co z tego?

Ann głęboko zaczerpnęła powietrza.

—Zastanawiałam się, czy...

—Czy ich nie ukradłam?

—Może pożyczyłaś.

—Nie noszę takich staroświeckich rzeczy. Dziękuję bardzo.

—Były w mojej kasetce na biżuterię...

— Twierdzi pani, że kłamię? - Carlotta wykrzywiła cienkie purpurowe usta.

—Oczywiście, że nie, Carlotto.

—Może pani przeszukać mój pokój. Proszę bardzo.

Wie, że nigdy bym tego nie zrobiła, pomyślała Ann. Zwłaszcza gdy tak stoi i się przygląda. Nie zniosłabym upokorzenia, gdybym nic nie znalazła. Potem wyobraziła sobie okropną scenę, do jakiej mogłoby dojść, gdyby jednak coś znalazła.



Zastanawiała się, czy biżuteria została już zastawiona lub sprzedana, i zrobiło jej się słabo. Zobaczyła, jak jej cenne kolczyki dotykane są przez jakieś brudne palce znajdującego się na rzeczy właściciela lombardu. Jak pieniądze, ledwie część wartości kolczyków, przechodzą z rąk do rąk. Właśnie to wyobrażenie popchnęło ją do wypowiedzenia tych feralnych słów:

— Jeżeli wiesz coś o tych kolczykach, chcę je mieć z powrotem do jutra. W przeciwnym razie będę musiała powiedzieć o tym mojemu...

Dziewczyna rzuciła się biegiem, popychając Ann z taką siłą, że kobieta prawie upadła. Biegała po pokoju, wyciągała szuflady i wyrzucała ich zawartość na łóżko — kosmetyki, rajstopy, bieliznę. Z jednego z pudełek wysypał się puder; beżowy proszek uniósł się w powietrze. Zrywała plakaty, wyciągała z szafy stare ubrania, zrzucała poduszki z krzeseł, wertowała pisma, wyrywając niektóre kartki.

— Raczej ich tu nie ma, prawda?! Ani tu, do cholery! Ani tu!

—Nie! Carlotto... *Proszę!* — to był okrzyk przerażenia. Ann uświadomiła sobie, że miotając się na oślep po pokoju, dziewczyna cały czas płacze. — To nieważne. Musiałam się pomylić.

—Ale i tak mu pani powie, znam panią. Każdy pretekst jest dobry, by się mnie pozbyć.

—To nieprawda. — Ann, usłyszawszy słowa prawdy, zaprotestowała z wielką mocą.

—Nie wie pani, jak tam jest, prawda? Nie ma pani o tym najmniejszego pojęcia.

Ann zwiesiła głowę. Co mogła powiedzieć? Carlotta miała rację. Nie wiedziała, jak tam jest. Nie miała pojęcia. Wściekła tyrada trwała dalej.

— Nie ma pani pojęcia, ile to miejsce dla mnie znaczy. Tam, skąd pochodzę, wszyscy cały czas chcieli mnie skrzywdzić. — Wytarła rękawem nabrzmiałą od łez twarz. — Zrobić mi coś złego. A teraz on mnie tam odeśle!

I właśnie wtedy rzuciła się do ucieczki. W jednej chwili wykrzykiwała Ann w twarz oskarżenia i rozrzucała książki. W następnej już jej nie było. Biegła w dół po schodach. Przez hol. Na dwór, w ciemność nocy.

Teraz, leżąc w prawie już zimnej wodzie, Ann próbowała wyrzucić z pamięci te straszne wspomnienia.

Założyła szlafrok, wzięła butelkę i kieliszek i poczłapała do swej sypialni. Wypiła jeszcze trochę wina, ale poczuła mdłości, więc położyła się do łóżka i modliła o zapomnienie. Zasnęła dopiero, gdy zaczęło już świtać.

TLR



## Rozdział drugi

---

Następnego dnia w wiosce rozeszła się plotka, że ktoś wpadł do rzeki przy drodze do Swan Myrren. Mleczarz z Wren Davis, którego kuzyn mieszkał najbliżej tego miejsca, twierdził, że około północy zjawiała się tam policja i karetka pogotowia. Kuzyn mleczarza, jego żona i sąsiedzi wyszli na dwór, by zobaczyć, co się dzieje, ale policjanci nie byli zbyt skorzy do rozmowy. Zadali tylko kilka pytań i nie uzyskawszy na nie satysfakcjonujących odpowiedzi, ruszyli w dół rzeki.

Choć podniecenie minęło niemal zanim się pojawiło, mieszkańcy Ferne Basset długo komentowali te nocne wydarzenia. Tak niewiele się tu działo od kościelnego kiermaszu, kiedy to świnia, której wagę starano się odgadnąć w ramach konkursu, wyrwała się ze swego kojca i biegała na oślep, niszcząc kilka stoisk i wywracając do góry nogami namiot z napojami.

Na poczcie, w poniedziałkowej kolejce po emerytury, stwierdzono jednogłośnie, że nie ma dymu bez ognia. Policja nie zjawiałaby się bez przyczyny i nie ukrywałaby prawdziwego stanu rzeczy, gdyby nic się nie stało. Wcześniej czy później sprawa z pewnością trafi do telewizji. Starannie ukrywano rozczarowanie tym, że, jak się wydawało, nikt z Ferne Basset nie zaginął.

Z kolei w Brian's Emporium, małym sklepie samoobsługowym, opinie były rozbieżne.

— Cholerny żartowniś — stwierdził Brian. — Nie ma nic lepszego do roboty, jak tylko marnować czas policji głupimi telefonami. Jakbym go dorwał...!

Klienci sklepu uznali jednak, że do wody mogła wpaść starsza pani mieszkająca koło młynu Penfolda. Widywano ją przecież, jak wędrowała po okolicy i recytowała wiersze. No właśnie, te wiersze! Ludzie rozeszli się, oczekując wieści, że w rzece znaleziono ciało romantycznej topielicy.

W porze lunchu w Red Lion można było usłyszeć jeszcze bardziej bezwzględne przypuszczenia i życzenia. Wielu klientów szeptało nazwiska znanych osobistości, których naprawdę nie byłoby żal i którym należał się taki wodny po-

chówek. Byli wśród nich politycy, sportowcy i aktorzy. Rozmowa nabrała później nieco bardziej osobistego charakteru i wymieniono też kilkoro krewnych, sąsiadów, małżonków i, jakże by inaczej, czyjaś teściową.

Louise usłyszała plotki od listonosza. Weszła do wielkiego metalowego garażu, gdzie Val, jak co dzień, wyrabiał swoją normę trzydziestu kilometrów na wspaniałym rowerze marki Chaz Butler. Rower głośno brzęczał, jak olbrzymi rój pszczoł. Szybkość sprawiała, że koła wyglądały jak mgławica migających światełek.

Louise uwielbiała patrzeć jak brat ćwiczy, chociaż wiedziała, że on tego nie lubi. Pędził jak opętany, jego twarz wykrzywiona była z wysiłku, oczy niewidoczne za przymkniętymi powiekami, usta zaciśnięte. Na jego ciele nieustannie pojawiały się błyszczące kropelki potu. Od czasu do czasu, kiedy brakło mu już sił, wyrzucał z siebie pełne twórczej inwencji przekleństwa.

Za każdym razem, kiedy zaklął, Louise wybuchała śmiechem, rozbawiona kontrastem pomiędzy tym demonicznym obrazkiem a ironicznie zdystansowanym obliczem, jakie Val lubił prezentować światu.

Usłyszała kliknięcie komputera przymocowanego do ramy. Brzęczenie stopniowo cichło, zarys kół nabierał wyrazistości. Można już było dostrzec szprychy i piasty. Delikatny, lecz bardzo mocny łańcuch. Wreszcie rower znieruchomiał. Val zsiadł, potężne mięśnie na jego nogach i ramionach wciąż drżały. Louise podała mu rącznik.

— Niedługo będziesz mógł znów wystartować w Tour de France.

— Jestem na to za stary — mruknął Valentine i wytarł twarz. Zdjął rower z rolek i odstawił go delikatnie na tył garażu, gdzie stało pół tuzina innych. — Zrobiłaś kawę?

— Oczywiście.

— To dobrze. — Przeszli przez kryty łącznik prowadzący na werandę z tyłu domu. — Przyszła poczta?

— Same śmieci. Ale usłyszałam trochę plotek od listonosza.

— Obiecali mi przysłać próbny wydruk *Barley Roscoe gra w klasy*.

—A nie chcesz wiedzieć, co to za plotki?

—Na miłość boską, kobieto!

—Ktoś wskoczył do rzeki przy jazie.

—Czy to Lavazza?

—Tak.

—Świetnie. Nie smakowała mi ta czekoladowa, którą piliśmy w zeszłym tygodniu.

Trudno wyobrazić sobie gorsze przebudzenie, przynoszące ból, żal i poczucie winy. Ann, skulona, objęła się ramionami i czując przeszywający ból w całym ciele, przez zmrużone powieki obserwowała piękny ruchliwy wzór szarych liści odbijających się na suficie sypialni. Przez okno widziała prostokąt czystego niebieskiego nieba. Cały pokój zalewało jesienne słońce.

Powróciły bolesne wspomnienia. Przed jej oczami przesuwały się wszystkie okropności poprzedniego wieczoru, widziała wyraźnie każdy szczegół jak na kinowym ekranie. Powracały bez końca. Ona sama, kiedy pełna obaw wchodzi schodami na strych. Carlotta krzycząca i rozrzucająca książki i ubrania po pokoju, a potem wybiegająca w ciemność. Bystry nurt rzeki.

Dzisiaj Ann będzie musiała to powiedzieć Lionelowi. *Musi mu powiedzieć.* Na pewno zapyta, gdzie jest Carlotta. Ale, nie wiedząc dlaczego, Ann była pewna, że nie może mu powiedzieć całej prawdy.

Nie, nie mogła mu zarzucić, że nie wykazuje zrozumienia. A, jak często jej mówiono, zrozumieć wszystko to znaczy wszystko wybaczyć. Bez końca i czasem głupio wybaczał wszystkim młodym ludziom, których brał na jakiś czas pod swoje skrzydła. Tym, którym społeczeństwo okazywało tylko okrutną obojętność. Zropaczonym i opuszczonym, kryminalistom i prawie kryminalistom. Zawsze (z jednym tylko wyjątkiem) starała się przyjmować ich z otwartymi ramionami.

Ann wahała się, wiedząc, że Lionel będzie bardzo rozczarowany jej zachowaniem. Nawet może się za nią wstydzić. I słusznie. Jakie wytłumaczenie można znaleźć dla prawie czterdziestoletniej kobiety, pochodzącej z dobrej rodziny, do-

brze sytuowanej, mieszkającej w pięknym domu, która zwróciła się przeciwko biednemu stworzeniu, szukającemu tu bezpieczeństwa, i sprowokowała je do nocnej ucieczki? Tylko dlatego, że zniknęły kolczyki, które dziewczyna być może wzięła. To nie było żadne wytłumaczenie.

Ann wstała, z bólem prostując posiniaczone kończyny. Założyła różowe brokatowe kapcie, wyciągnęła ręce do sufitu, potem, krzywiąc się z bólu, dotknęła stóp.

Lionel jeszcze trochę pośpi. Wczoraj wrócił późno. Ann postanowiła zaparzyć sobie herbatę, usiąść w bibliotece i przemyśleć, co mu powie.

Zakładała szlafrok, kiedy usłyszała, że otwierają się frontowe drzwi i jej pomoc domowa woła:

— Pani Lawrence! Dzień dobry. Piękny mamy dziś poranek. Ann pospiesznie wyszła na podest, zmusiła się do uśmiechu i starała się, by jej głos zabrzmiał ciepło.

— Dzień dobry, Hetty — zawołała, wychylając się na schody.

Evadne Pleat z Mulberry Cottage, stojącego przy skwerze, właśnie kończyła najważniejsze zadanie dnia: pełną uczucia pielęgnację swych sześciu pekińczyków. Czesanie, mycie, przycinanie pazurków, karmienie, odrobaczanie i wyprawianie na spacer. Trzeba było zmierzyć im temperaturę, sprawdzić czystość obróżek, przejrzeć piękne kremowe futro i upewnić się, czy jakieś obce stworzenia nie ośmieliły się tam zadomowić.

Zakończywszy te pracochłonne czynności, Evadne jadła śniadanie (zwykle była to owsianka i kawałek wędzonej ryby) i stawiała białą kaszmirską pelargonie w kuchennym oknie. Oznaczało to, że była w domu, i od tej pory jej dzień wypełniał się tak bardzo, że z trudem znajdowała chwilę na odpoczynek. Przyczyna jej popularności była bardzo prosta. Evadne była cudownym słuchaczem.

Rzadko spotyka się kogoś bardziej zainteresowanego innymi osobami niż samym sobą i mieszkańcy Feme Basset szybko docenili wyjątkowe cechy Evadne. Wydawało się, że zawsze ma czas, by poświęcić innym niepodzielną uwagę. Nigdy nie zerkała na cyferblat pięknego zegara, który odziedziczyła po babce,

nigdy nie rozpraszało jej jego delikatne bicie. Niezależnie od omawianego tematu, zawsze okazywała zrozumienie. I była całkowicie dyskretna.

Ludzie zaczęli szukać jej towarzystwa. Najwygodniejszy fotel w jej małym, zagraconym saloniku zawsze zajmowała jakaś zmartwiona czy podniecona osoba, która wyrzucała z siebie wszystko, pokrzepiając się kruchymi ciasteczkami i Earl Greyem. Lub, po szóstej wieczorem, kuleczkami serowymi Epicure i lampką Noilly Pratt.

Evadne nigdy nie udzielała rad, co zdziwiłoby jej gości, gdyby się nad tym zastanowili, bo zawsze wychodzili od niej pocieszeni, czasem mówili nawet, że lepiej rozumieją swoją sytuację. Nierzadko w zupełnie innym świetle postrzegali osoby, na które przyszli się gorzko poskarżyć.

Dzisiaj oczywiście nie mówili o niczym innym, jak o wydarzeniach, które miały rozegrać się w nocy na brzegu rzeki. Brak jakichkolwiek dowodów nie powstrzymał powodzi najdziwniejszych przypuszczeń. Nic dokładnie nie wiadomo, mówili jej. To wszystko tylko domysły. Tak naprawdę nikt o niczym nie słyszał. Ale przecież nie ma dymu bez ognia. Zanim jeszcze przyszła pora na lunch, Evadne zdążyła pożałować, że nie ma talentu literackiego, bo zdobyła tyle melodramatycznego materiału, że mogłaby przez dziesięć lat pisać scenariusz do opery mydlanej.

W porze lunchu zdjęła z okna pelargonie i przywołała Pier-sa, najstarszego i najbardziej rozsądnego pekińczyka. Dała mu koszyk z karteczką i pieniędzmi w kopercie i wysłała do Brian's Emporium po „Timesa”, trochę karmy dla psów i kilka lukrowanych ciasteczek. Skończył się jej też tonik, ale czuła, że nie może oczekiwać, by pies taszczył ciężkie butelki.

Kiedy Piers wrócił, z kopertą zawierającą za mało reszty (nie po raz pierwszy), Evadne przekręciła klucz w drzwiach wejściowych i zaczęła przygotowywać lunch. Zeszklila kilka szalotek w niesolonym maśle, dodała do nich trochę posiekanego selera, wrzuciła liść laurowy, dołała trochę bulionu i zostawiła garnuszek na małym ogniu. Potem nalała kieliszek wina z kwiatów dzikiego bzu i nakryła do stołu. Piękne srebrne sztucce — prezent pożegnalny, który dostała od personelu biblioteki w Swiss Cottage, kiedy odchodziła na emeryturę — gałązka mimozy ze szklarni, ciepłe razowe bułki.

Mieszając zupę i popijając domowe wino, odpływała myślami do spraw, które tak zajmowały jej porannych gości. Zastanawiała się, czy naprawdę ktoś wpadł do wody. I jeśli tak, to gdzie się teraz znajdował? Czy rzeczywiście woda porwała go daleko stąd? Czy zaplątał się w wodorosty? A może utknął gdzieś na dnie?

Ręka Evadne drżała, kiedy sięgała po kardamon i wyjmowała moździerz i tłuczek, a jej serce wypełniło się współczuciem dla tej, być może nieistniejącej, osoby. Evadne zawsze bała się wody. Kiedyś w szkole miała przeczytać fragment *Ryszarda III*, scenę opisującą śmierć Clarence'a, i prawie zadławiła się z przerażenia. Na myśl o tym odstawiła kardamon i postanowiła zjeść zupę bez przypraw.

Kiedy już siedziała przy stole, a łyżka była w pół drogi do jej ust, nagle przypomniała sobie coś, co zdarzyło się poprzedniej nocy. Była już w sypialni na piętrze i przygotowywała się do snu. Przebrała się w długą flanelową koszulę nocną i, jak zawsze od czasów dzieciństwa, umyła twarz deszczówką i mydłem Pears. Odmawiała pacierz: jak co dzień polecała Bogu różne osoby, które wcześniej przyszyły się jej zwierzać, sugerowała nawet możliwy przebieg dalszych wydarzeń, przyznając oczywiście, że ostateczna decyzja należy do Niego. Potem się położyła.

Evadne zawsze spała na plecach z rękami skrzyżowanymi na piersiach, jak nagrobne rzeźby na sarkofagach w małym wiejskim kościółku. Lubiła świadomość, że jeśli jej dusza opuści swą bezpieczną przystań we śnie, jej ciało zostanie znalezione w stanie schludnym, w pozycji uwielbienia dla Boga. Niezmiennie natychmiast zapadała w spokojny sen, ale wczoraj, kiedy zasypiała, wybudził ją dziwny krzyk, głośny i pełen przerażenia, prawie wrzask. Pomyślała wówczas, że to jakieś małe zwierzę schwyte przez drapieżnika. Jednak teraz, siedząc w wypełnionej słonecznym światłem kuchni i patrząc na szybko stygnącą zupę, Evadne nie była już tego taka pewna.

Otrząsnęła się i powiedziała sobie wyraźnie, że nawet jeśli myliła się i był to ludzki krzyk, z pewnością nie ma to żadnego związku ze sprawą. Wszyscy powtarzali, że wypadek zdarzył się koło Swan Myrren. A te hałasy dochodziły gdzieś z pobliza. A mimo to...



Evadne szybko skończyła lunch, włożyła naczynia do zlewu i postawiła perlagonię z powrotem w oknie. Kiedy niemal w tej samej chwili rozległ się dźwięk kołatki, pospieszyła, by otworzyć drzwi. Była to jedna z niewielu chwil, kiedy potrzebowała towarzystwa ludzi, tak samo jak oni potrzebowali jej.

Okolo czwartej tego samego popołudnia Louise poszła odwiedzić Ann Lawrence. Łączył je przyjacielski, lecz niezbyt bliski związek, bo poza miłością do ogrodnictwa niewiele miały ze sobą wspólnego. Oczywiście Louise zdawała sobie sprawę z tego, że gdyby nadal mieszkała i pracowała w Londynie, byłyby jak mijające się w ciemnościach okręty, ledwie zauważające wzajemne istnienie.

Ale w małej wiosce wybór jest ograniczony i znalazłszy kogoś chociaż trochę odpowiadającego nam towarzyszko, zawsze staramy się do niego zbliżyć. Prawdą jest, że obie kobiety były sobą wzajemnie zaintrygowane. Żadna z nich nie mogła zrozumieć, jak druga może żyć tak, jak żyje.

Ann podziwiała, choć też trochę się bała, elegancji Louise, jej bezkompromisowego, ironicznego podejścia do życia i żartobliwych, nieco obojętnych relacji z bratem. Walka młodszej od niej kobiety o swoje miejsce na ziemi budziła jej zazdrość. Pewne sytuacje, z którymi Louise musiała się zmierzyć jako analityk w dziale akcji i obligacji banku handlowego, gdzie wcześniej pracowała, z pewnością zmusiłyby Ann do ucieczki z przerażenia do najbliższej toalety.

Louise z kolei nie mogła uwierzyć, że inteligentna, potencjalnie niezwykle atrakcyjna kobieta w wieku Ann mogła spędzać dzień po dniu, miesiąc po miesiącu i rok po roku, nic nie robiąc. Przynajmniej w jej rozumieniu. Nudne zajęcia, jak kręcenie się w szklarni, przewodniczenie Klubowi Kobiet, redagowanie i wydawanie parafialnego pisemka, organizowanie dyżurów sprzątnięcia kościoła i układania kwiatów. Niewiarygodne.

Bez trudu zaspokoili ciekawość, jak to się stało, że Ann wyszła za takiego nudziarza, bo wszyscy we wsi znali tę historię. Ann mieszkała ze swym ojcem, pastorem rezydentem w Ferne Bailtt, który miał już ponad pięćdziesiąt lat, kiedy się urodziła, aż do Jego śmierci, dwadzieścia dwa lata później. Podczas choroby wielebnego Byforda wikariusz Lionel Lawrence, nieśmiały, miły mężczyzna, wówczas czterdziestokilkuletni, stopniowo przejmował jego obowiązki i pomagał Ann w opiece nad ojcem.

Kiedy zasugerował nieszczęśliwej, pogrążonej w żałobie dziewczynie, że powinni dalej wzajemnie się o siebie troszczyć, Ann, która nie знаła niczego poza życiem na wiejskiej plebanii i była niezwykle nieśmiała, zgodziła się. Kilka lat po ich ślubie Lionel, chociaż nie przestał być duchownym, porzucił pracę w parafii. To, jak wyjaśniał, miało dać mu czas na pracę dla Pana tam, gdzie potrzeby są największe. Na szczęście nie groziła im utrata domu, gdyż należał do matki Ann, a nie do diecezji. Msze odprawiał teraz co trzecią niedzielę pastor, który objeżdżał także dwie inne wsie. Kiedy od czasu do czasu Louise poruszała temat małżeństwa Ann, ta mówiła: „Tak było najprościej” i szybko zmieniała temat.

Louise wydawało się to smutne. Była przekonana, że Ann jest nieszczęśliwa — a która kobieta by nie była, będąc żoną takiego żalostnego starego nieudacznika? A jeśli chodzi o galerię tych nierobów i przestępców, których Lionel wciąż sprowadzał do ich domu, no cóż... Louise popełniła błąd na wczesnym etapie ich przyjaźni, radząc Ann, by tupnęła nogą. Ku swemu zdumieniu odkryła, że Ann zamiast mieć żal do męża o takich trudnych podopiecznych, wstydziła się, że nie potrafi z otwartymi ramionami przywitać i szczerze opiekować się tymi „biednymi młodymi ludźmi”. Uważała, że sprawia mężowi zawód.

Kiedy już Louise odzyskała oddech, usilnie starała się przekonać koleżankę, że jej punkt widzenia jest niewłaściwy. Że większość ludzi już samo akceptowanie takiej sytuacji uznałaby za niezwykłą tolerancję. A rzucanie się w to na oślep zostałyby ocenione jako brak piątej klepki.

Okazało się to tylko stratą czasu. Ann starała się słuchać, lecz szybko dało się zauważyć jej zniecierpliwienie i irytację.

Louise dała za wygraną, ale wkrótce zauważyła jeden malutki efekt tej rozmowy. Niewiele później pojawił się w Starym Probostwie pewien młody człowiek. Kiedy Ann go ujrzała, poczuła, że ciarki chodzą jej po plecach, a całe ciało przenika zimny dreszcz. Chociaż stał cierpliwie na progu, a jego głos był cichy i spokojny, Ann wyczuła w nim olbrzymie zło. Spojrzał na nią tylko raz, ale jego spojrzenie przenikało jak nóż szukający miejsca, w które może się wbić.

Przestraszona, poszukała męża i powiedziała mu, że nie życzy sobie obecności tego mężczyzny w swoim domu. Lionel oczywiście się zirytował, zwłaszcza



że nie potrafiła sensownie wyjaśnić takiej postawy, lecz w końcu wzburzenie w jej głosie dało mu do myślenia i ostatecznie się poddał.

Louise pochwaliła później Ann za jej stanowczość, ale przyjaciółka odparła, że nie ma czego chwalić. Po prostu poniosło ją. Wtedy Louise pomyślała, że wszystko to było trochę śmieszne. Teraz zrozumiała. Teraz, kiedy było już za późno.

Nowy gość został zakwaterowany w mieszkaniu nad garażem, które miało telefoniczne połączenie z domem. zaproponował, że zajmie się zabytkowym humberem hawkiem, odziedziczonym po ojcu Ann, i bardziej kosztownym w eksploatacji, niż mogli sobie pozwolić. Lionel, ponieważ nie umiał prowadzić, był zachwycony i uznał ten gest za pierwszy znak trwałej zmiany na lepsze u podopiecznego.

Teraz, kiedy Louise zbliżała się do Probstwa, samochód stał na podjeździe. Z zadowoleniem odnotowała brak kierowcy. Minęła wysokie okna jadalni, dostrzegając, że Lionel rozmawia przez telefon. Wydawał się poruszony, jego siwe włosy sterczały we wszystkie strony jak u Piotrusia Rozczochrańca\*<sup>1</sup>, jedną ręką wymachiwał w powietrzu.

Louise właśnie miała wejść na stopnie przed frontowymi drzwiami, kiedy zauważyła Ann, siedzącą zupełnie bez ruchu na płóciennym krześle przy wielkim cedrze na środku trawnika. Louise zbliżyła się do niej.

— Cześć. Przyniosłam ci kilka sadzonek fiołków. Białych. — Położyła wilgotną paczkę na trawie i usiadła. — Ann!

Louise zauważyła teraz, że Ann nie siedzi zupełnie bez ruchu, lecz cała drży. Raz po raz zamyka i otwiera drżące usta, mruży oczy i mruga powiekami.

—Co się stało, do diabła?

---

<sup>1</sup> \* Piotruś Rozczochraniec - symbol abnegacji fizycznej i duchowej, postać z książki dla dzieci Heinricha Hoffmanna (przyp. red.).

—O, Louise... Zrobiłam coś tak... strasznego... nie mogę ci tego powiedzieć.  
— I wybuchnęła płaczem. Louise objęła ramieniem szczupłe ramiona Ann, a ona płakała i płakała, powoli zdając sobie sprawę, jak bardzo tego potrzebowała.

—Powiedz mi.

—To zbyt straszne.

Louise pomyślała, że „straszne” oznacza dla niej i Ann dwie różne rzeczy.

—Chyba nie pominęłaś znów pani Craven w dyżurach układania kwiatów.

—Pokłóciłam się... z Carlottą.

—To świetnie.

—Ale ona uciekła.

—Nie wątpię. — Louise miała własne zdanie na temat dziewczyny.

—Lionel nie może jej znaleźć. Szukał wszędzie.

—Czy to wszystko?

Po długiej przerwie Ann szepnęła:

— Tak.

Przestała się trząść, ale bardzo zbladła. Jej oczy błądziły na boki, patrzyła ponad ramieniem Louise, w dal, albo na ziemię.

Louise pomyślała, że Ann kłamie najgorzej ze znanych jej osób. To, co powiedziała na początku, było przekonujące. Wierzyła, że naprawdę doszło do awantury z Carlottą. Dziewczyna rzeczywiście mogła uciec. Ale to z pewnością nie było wszystko. Na pewno nie.

—Kiedy to się stało?

—Wczoraj w nocy.

—Zgłosiłaś to na policję?

—Nie! — krzyknęła Ann.

—Już dobrze, kochana. — Louise pogłaskała ją uspokajająco po włosach. — Już dobrze...

—Przepraszam. —Ann wyjęła z kieszeni spódnicy zwój zmiętych chusteczek i wytarła nos. — Lionel powiedział, że tego nie zniesie. Mieszać do tego te... świnie.

Świnie, dobre sobie. Lionel myślał, że przez małpowanie tych młodych ludzi stanie się jednym z nich. Niedługo zaczną nosić baseballowe czapki z daszkiem do tyłu i T-shirt z napisem „Radiohead”.

—Nie zostawię cię tutaj. — Wstała i wzięła Ann za rękę, starając się pociągnąć ją za sobą. — Chodźmy do mnie i napijmy się herbaty.

—Nie mogę.

—Oczywiście, że możesz! — Zdecydowanym ruchem ujęła Ann pod pachę i skierowała w stronę podjazdu. — Mam świetne kawowe ciasto od Marksa i Spencera.

—Muszę powiedzieć Lionelowi.

—Bzdura. Nawet nie zauważy, że wyszłaś.

—Rzeczywiście — ze smutkiem potwierdziła Ann. — Nie sędzę, by zauważył.

Candy zawsze uważała się za psa pani Leathers i wiedziała, że pani Leathers jest tego samego zdania. Żadna z nich nigdy tego nie podkreślała, zwłaszcza kiedy Charlie był w pobliżu. Tego wieczoru poszedł do frontowego pokoju, gdzie zwykle jadali i oglądali telewizję. Siedział już tam tak długo i tak cicho, że jego żona myślała, iż zasnął. Poklepała się zatem po udach. Candy w pierwszej chwili zawahała się, potem z niepokojem spoglądając w kierunku zamkniętych drzwi do frontowego pokoju, wskoczyła swej pani na kolana.

Pani Leathers pieściła jej złotobrązowe uszy, podobne do małych, trójkątnych, ciepłych tostów. Podrapała suczkę po brzuszku, a ta zapiszczała z radości. Kobieta zastanawiała się, co może robić jej mąż — zniknął jej z oczu już godzinę temu, zabierając wczorajszy numer „People”, nożyczki i tubkę kleju.

— Nie powinniśmy narzekać, prawda? — powiedziała pani Leathers do Candy i uśmiechnęły się do siebie, wtulone w stary zniszczony fotel na biegunach obok reprodukcji obrazu Ra-eburna. Ale kiedy upłynęło dwadzieścia kolejnych minut i w pokoju, gdzie był Charlie, nadal panowała zupełna cisza, pani Leathers z ociąganiem odłożyła psa do jego plastikowego kosza na bieliznę i poszła zobaczyć, czy wszystko w porządku.

Na rozklekotanym rozkładanym stoliku Charlie, w gumowych rękawiczkach, których żona używała do zmywania, wycinał duże kawałki gazety. Stare kupony od bukmachera i z loterii leżały odsunięte, by nie zajmowały miejsca.

Charlie wycinał coraz mniejsze fragmenty tekstu. Wybierał paragraf, zdanie, jedno słowo, literę. Wydał z siebie głębokie westchnienie satysfakcji. Zadanie okazało się niezbyt trudne. Potrzebował tylko czterech, i to bardzo zwyczajnych, słów.

Zdjął rękawiczki i sięgnął po bibułę, by skrócić sobie papierosa. Ułożył brązowawe, cierpko pachnące listki tytoniu Sam-sona w nierówny podłużny kopczyk, zwinał bibułę, zwilżył jej brzeg koniuszkiem języka, skleił, po czym zapalił papierosa.

Usłyszał otwieranie drzwi i ujrzał na progu żonę. Zerwał się na równe nogi, purpurowy ze złości.

—Wynoś się!

—Zastanawiałam się, czy...

—Czy człowiek już nie może w spokoju poczytać gazety?

—Przepraszam.

Charlie Leathers spojrział na żonę, która wycofywała się z pokoju. Na potulną postawę jej szczupłej sylwetki, potargane siwe włosy i z rezygnacją pochylone ramiona. Boże, co za żałosna, uprzykrzona baba. Normalnie poszedłby za nią do kuchni i pokazał, gdzie jej miejsce. Ale nie dziś. Dzisiejszy wieczór był dla Charliego zupełnie niezwykły. Można powiedzieć, że zapisze się w jego życiu złotymi zgłoskami. Przed sobą miał cztery słowa, oznaczające wolność. Rozejrzał się po maleńkim pokoju, pozwolił sobie na wybuch śmiechu na widok podziurawionego w kilku miejscach kompletu wypoczynkowego pokrytego skajem, taniego

forniowanego kredensu i starego telewizora. Niedługo powie temu wszystkiemu do widzenia. Zamieni to na wygodny skórzany fotel, szklaneczkę szkockiej z lodem i jakieś młode, blondwłose stworzenie na kolanach.

Bo za pieniądze można kupić wszystko. A on będzie miał pieniądze. O tak. Po raz pierwszy w życiu będzie miał pieniądze. Najpierw skromną sumkę. Trzeba zachować rozsądek. Nie ma sensu niepotrzebnie straszyć ludzi. Ale później z tego samego źródła przyjdzie więcej. Dużo więcej. Wystarczy, żeby wygodnie i przyjemnie spędzić resztę życia.

Kiedy w lokalnych wiadomościach o dziewiątej nie pojawiła się już żadna wzmianka o wydarzeniach przy jazie na Misbourne, klientela Red Lion uznała, że był to jakiś żart, i skierowała uwagę na ważniejsze sprawy. Takie jak znalezienie sześciu bażantów w przybudówce u Gordona Cherry. Albo sprawa serwisu do herbaty babci Ady Lucas, który wędrowny handlarz wycenił na pięćdziesiąt funtów, podczas gdy wszyscy wiedzieli, że serwis miał znak Rockingham i był wart ponad sto funtów.

Do chwili zamknięcia pubu praktycznie zapomniano o całym tym zamieszaniu z wypadkiem nad rzeką. W świetle księżycy widać było wiele osób wracających do domu pieszo, po ulicy przemknęło kilka samochodów. Wszystkie głowy zaprzątnięte były innymi sprawami.

— Myślę, że już wyczerpaliśmy limit ekscytujących wydarzeń na cały rok — powiedział właściciel pubu do żony, która wylewała resztki piwa z tacy pod dystrybutorem.

I był to doskonały przykład tego, jak bardzo człowiek może się mylić.

## Rozdział trzeci

---

Ann Lawrence sprawdziła zawartość tacy ze śniadaniem dla męża. Słaba chińska herbata, jajko gotowane przez cztery minuty, świeży tost i jabłko. Trochę Flory i marmolada Cooper Oxford. Włożyła gałązkę przywrotnika do małego wazonika w kwiatki.

— Mogłabyś zanieść to na górę, Hetty?

Ann od dziecka nazywała tak panią Leathers, a pani Leathers mówiła do niej Annie lub Kruszynka albo wymyślała inne pieszczotliwe imiona. Ale w dniu swojego ślubu Ann w tajemniczy sposób stała się panią Lawrence i żadne argumenty, czy to żartobliwe, czy poważne, nie były w stanie przekonać Hetty, by inaczej się do niej zwracała. To po prostu byłoby niegrzeczne.

— Oczywiście — odparła pani Leathers, zastanawiając się, gdzie u diabła podzieje oczy, jeżeli wikary (jak wciąż o nim myślała) otworzy drzwi w piżamie. Albo jeszcze gorzej.

— Tylko zapukaj i postaw to przed drzwiami.

Ann nalała sobie trzecią filiżankę kawy i wzięła ją do biblioteki. Była już prawie dziesiąta, ale uważała, że najlepiej nie budzić Lionela. Wczoraj do późna objeżdżał różne schroniska, noclegownie i ośrodki resocjalizacji, starając się wykorzystać kontakty w nadzorze kuratorskim. W końcu lęk o losy Carlotty pokonał jego opory przed tym, by jej przypadkiem nie zaszkodzić, i zgłosił jej zaginięcie na komendzie policji w Causton. Po powrocie do domu szczegółowo opisał z pogardą ich „całkowity i nieludzki brak zainteresowania”.

Ann słuchała go nieszczęśliwa i z poczuciem winy. Chciałaby cofnąć czas i wrócić do wcześniejszego, łatwego życia. Jakże nudne jej się kiedyś wydawało! Teraz marzyła, by powróciło.

Zobaczyła odjeżdżającą pocztową furgonetkę. Weszła do holu i opróżniła dużą drucianą skrzynkę po wewnętrznej stronie drzwi. Zawsze przychodziło dużo listów. Lionel był zwolennikiem utrzymywania kontaktów z ludźmi — Ann uwa-

żała czasem, że ze wszystkimi, których kiedykolwiek spotkał. Na szczęście wielu z nich nie chciało korespondować z Lione-lem. Często przy śniadaniu słyszała skargę, że taki-a-taki wciąż nie odpisał na drugi (czy trzeci) list.

Lionel już od dawna nie zajmował się sprawami diecezji, lecz zawsze przychodziła do niego jakaś korespondencja dotycząca różnych akcji charytatywnych, w których uczestniczył, jakieś pisma (dzisiaj „New Statesman”) i listy z prośbami o finansowe wsparcie. Dwie koperty zaadresowane były do niej. Pierwsza, jak rozpoznała po charakterze pisma, pochodziła od jej leciwej ciotki z Northumberland, która zawsze pisała do niej w sierpniu, by przypomnieć, że zbliżają się urodziny jej matki i trzeba się za nią pomodlić. Na drugiej kopercie widniało tylko jej nazwisko. Bez adresu. Ktoś po prostu wrzucił list przez szparę w drzwiach. Ludzie często tak robili, zwłaszcza wieczorami, kiedy nie chcieli przeszkadzać. Ann usiadła w fotelu przy oknie w jadalni i otworzyła kopertę.

Tę chwilę miała pamiętać do końca życia: żywy kolor ciem-noróżowych malw napierających na szyby, szorstką tapicerkę, o którą opierała łydki, warstewkę kurzu przy jej kapciach, ją samą rozkładającą cienką, trochę przybrudzoną kartkę.

Przez ułamek sekundy ze zdziwieniem wpatrywała się w dziwne, nierówno poprzyklejane, powycinane z gazetowych liter słowa. Jakieś kolejne reklamowe śmieci? Nowy sposób docierania do potencjalnych klientów? Potem przeczytała słowa po kolei, by sprawdzić, czy jest w tym jakiś sens.

Jej głowę wypełniły nagle dziwne dźwięki. Serce zaczęło walić nierówno, jak od uderzenia jakiejś potężnej pięści. Głęboko zaczerpnęła powietrze. I przeczytała te słowa jeszcze raz: „Widziałem jak ją popchnęłaś”.

Ann poczuła nagle ogromny chłód. Zrobiło się jej kwaśno w ustach. Starając się nie wymiotować i nie zemdleć, położyła głowę na kolanach. Kiedy się tak kuliła, cała drżąca, na dywanie pojawił się jakiś cień.

—Dobrze się pani czuje, pani Lawrence?

—Co? — Ann podniosła głowę. Poderwała się z fotela. Papier wyślizgnął się jej z rąk i zsunął na dywan, tekstem do góry.

—Co tu robisz?



W progu stał mężczyzna, jedną ręką opierał się niedbale o framugę. Bardzo przystojny, z krótkimi, kręconymi włosami, tak jasnymi, że były prawie białe, i błyszczącymi ciemnoniebieskimi oczami. Na przedramieniu miał tatuaż, ale niezwykle delikatny. Była to lazurowozielona ważka, o ciele przypominającym wykrzyknik. Zdjął zniszczoną dżinsową czapkę, jednak udało mu się wykonać ten z pozoru grzeczny gest z pogardą.

—Lionel prosił o przygotowanie samochodu na jedenastą, ale nie mogę go odpalić. To chyba gaźnik.

—W takich sytuacjach masz dzwonić. — Powiedziała to zbyt głośno. Nigdy przedtem tego nie robił. Nie wchodził do domu. I musiał przyjść właśnie teraz.

—Telefon się schrzanił. — Uśmiechnął się, kiedy policzki Ann zrobiły się purpurowe. — Poszedłem do kuchni, by powiedzieć pani L., ale nie ma jej tam.

Wyjaśnwszy swoją obecność, młody człowiek nie ruszał się z miejsca, wetknął oba kciuki za pasek dżinsów i patrzył na nią z udawanym szacunkiem. Pokój nagle bardzo się zmniejszył i wypełnił napięciem, którego ona nie starała się zrozumieć.

— Powiem mężowi.

Ann nie mogła wyjść. Nie była w stanie precyzyjnie przycisnąć się obok tego szczupłego ciała, opierającego się z wdziękiem o framugę drzwi. Zmusiła się, by na niego spojrzeć, i w jego jasnym spojrzeniu zobaczyła niechęć, a nawet nienawiść, ale wrażenie to przypisała swemu obecnemu stanowi ducha.

— Upuściła pani list.

Szybko chwyciła oklejony arkusz papieru i zgmiotła go w ręce. Czy widział, co tam było napisane? Nie, to niemożliwe z tej odległości. Wcisnęła papier do kieszeni domowej sukienki i z wielkim wysiłkiem powiedziała:

—Możesz już iść... hm... Jax.

—Wiem, pani Lawrence. Nie musi mi pani tego mówić. Ann cofnęła się po omacku do fotela i powoli usiadła. Co

powinna teraz zrobić? Uratowało ją, sparaliżowaną niezdecydowaniem i strachem, pojawienie się Hetty.



— Przepraszam. — Pani Leathers, niosąc plastikowe wiaderko wypełnione szmatkami i puszkami z pastą, zdecydowanym ruchem przecisnęła się obok szofera. — Niektórzy z nas mają robotę.

Po chwili już go nie było. Oddalił się jednym płynnym ruchem, jak dziki kot. Hetty nie mogła nie zauważyć zdenerwowania Ann.

— Nie powinna się pani przejmować tym śmieciem. — Nie pojmowała, jak wielobny mógł narażać żonę na kontakt z taką hołotą. Zdjęła ze stołu przybrudzony koronkowy obrus i starannie go złożyła. — Im szybciej się stąd wyniesie, tym lepiej.

— Nie chodzi tylko o niego. — Ann przywołała się do porządku. — Carlotta uciekła.

— Na pewno spadnie na cztery łapy. Takie zawsze sobie radzą. — Pani Leathers zazwyczaj nie rozmawiała z Ann tak otwarcie. Uważała, że powinna być lojalna zarówno wobec pastora, jak i jego żony, ale dzisiaj po prostu nie mogła milczeć. Ann wyglądała na chorą. — Skończyłam już w kuchni. Może pani tam pójdzie i zrobi sobie filiżankę dobrej herbaty?

Ann prawie wybiegła z pokoju. Nie skierowała się jednak do kuchni, lecz błąkała się na oślep po domu, bez żadnego określonego kierunku i nie mając pojęcia, dokąd idzie. W końcu znalazła się w garderobie i wpatrywała się w stosy złożonych prześcieradeł na wąskich drewnianych półkach, pachnących werbeną.

Wyjęła z kieszeni list i wygładziła papier. Ręce drżały jej tak bardzo, że naklejane litery skakały w górę i w dół, jak w jakimś szalonym tańcu. Czuła się tak, jakby trzymała coś nieprzyzwoitego. Pokrytego brudem. Tętniącego swoim niewidzialnym obrzydliwym życiem.

Pobiegła do łazienki i podarła list na drobne kawałeczki, to samo zrobiła z kopertą. Wrzuciła wszystko do muszli i spuściła wodę, i jeszcze raz, i jeszcze, dopóki ostatni skrawek nie zniknął jej z oczu.

Rozebrała się, odkręciła wodę i zaczęła się szorować pod prysznicem. Umyła uszy i wnętrze nosa, wyczyściła paznokcie. Umyła włosy i wielokrotnie je wypłukała. Kiedy skończyła, złożyła sukienkę i pozostałe rzeczy, które miała na so-

bie, gdy po raz pierwszy dotknęła listu, i wcisnęła to wszystko do kosza na śmieci.

Później, spoglądając w przeszłość, Ann dziwiła się, że nie spodziewała się wówczas kolejnego kroku autora listu. Widziała wystarczająco dużo thrillerów, czytała dość kryminałów, ale tamten telefon i tak był dla niej zupełnym szokiem. Prawie tak silnym jak sam list.

Wydawało się, że mężczyzna mówił przez kłębek bawełnianej włóczki. Pozbawione akcentu, zdławione mamrotanie. Chciał pieniędzy. Tysiąc funtów albo pójdzie na policję. Dokładnie opisał, gdzie i kiedy ma je zostawić. Ann zaczęła protestować. Starła się powiedzieć, że nie dał jej dość czasu. Ale usłyszała tylko trzask odkładanej słuchawki.

Ani przez chwilę nie myślała o tym, by nie zapłacić, i to nie tylko z powodu niebezpieczeństwa ujawnienia przez niego wypadków sprzed dwóch dni. Ogarnięta poczuciem winy uważała się za jedyną winną całej tej tragicznej sytuacji. To przez nią Carlotta wybiegła z domu nad rzekę, to ona, mimo wszelkich starań, nie zdołała jej powstrzymać przed skokiem do wody.

Tak naprawdę Ann zaczynała teraz zadawać sobie pytanie, na ile te starania były szczerze. Pamiętała słowa Carlotty: „Nigdy mnie pani tu nie chciała, będzie pani zadowolona, że się mnie pozbyła” i wiedziała, że to była prawda. Rozpacz dziewczyny, jej determinacja, by skoczyć, były silne, ale gdyby tylko Ann postarała się trochę bardziej... I ten krzyk: „Niech mnie pani nie popycha...”. Przecież nie popchnęła Carlotty. *A może popchnęła?*

Jednak niezależnie od tego, czy to zrobiła, wszystko, co się stało, było jej winą. I powinna zapłacić. To będzie pierwszy krok do tego, by uzdrowić sumienie. Podejmie te pieniądze z banku. Znali ją tam, a pieniędzy na rachunku z pewnością wystarczy. A jeżeli pojawią się kolejne żądania, sprzeda resztę biżuterii po matce. Wtedy, rzecz jasna, szala choć trochę przechyli się na jej stronę. Ten smutny wniosek sprawił, że zaczęła szlochać.

Tej nocy Ann wzięła latarkę, by oświetlić sobie drogę przez Las Cartera. Była tam niewielka polana przygotowana na pikniki, z drewnianymi ławami przy

dwóch długich stołach. Miała wrzucić pieniądze w zamkniętej kopercie i foliowej torbie do kosza na śmieci.

Świadomość, że robi coś złego, przerażała ją bardziej niż samotna wędrówka między ciemnymi, szumiącymi drzewami. Nie bała się o własne bezpieczeństwo. Szantażysta z pewnością nie skrzywdzi kury znoszącej złote jajka, a nie chcąc być zauważonym, będzie się trzymał od niej w pewnej odległości.

Na polanie stały dwa kosze na śmieci. Jeden był pusty i to tam Ann wrzuciła paczkę. Usłyszała głucho stuknięcie, kiedy torba spadła na dno, i zastanowiła się, czy on też to usłyszał. Jakieś zwierzę zapiszczało gdzieś w pobliżu, kiedy Ann zaczęła biec z powrotem.

TLR

## Rozdział czwarty

---

Kiedy jej mąż nie wrócił o zwykłej porze ze swego wieczornego spaceru z psem, pani Leathers poszła spać. Czasem tak robił. Zachodził do pubu — gdzie czas zamknięcia zmieniał się w zależności od sytuacji — by pograć w rzutki, wypić coś i zapalić. Od czasu do czasu myślała, że zostałby tam całą noc, gdyby mu na to pozwolili. Zasnęła szybko z przyjemną świadomością, że obok niej nikogo nie ma.

Kiedy się obudziła, pokój był zalany światłem. Usiadła i mrugając, rozejrzała się wokół. Sięgnęła po budzik. Było dziesięć po ósmej!

Głęboko zaczerpnęła powietrza i wyszła z łóżka. Charlie nigdy nie zapominał nastawić budzika. Punktualnie na szóstą trzydzieści. I nigdy nie wstawał, zanim nie wypił herbaty.

Bardziej zaintrygowana niż zmartwiona, założyła zniszczony szlafrok frotte. Spojrzała jeszcze za siebie na sypialnię, jakby jej mąż mógł się poślizgnąć i leżeć teraz gdzieś między meblami. Łóżko wydało jej się bardzo duże. Do tej pory nie zdawała sobie sprawy, jak wiele miejsca zajmowało. Zeszła na dół wąskimi krętymi schodami i weszła do kuchni, gdzie ostry zapach papierosów Charliego wypełniał powietrze, dominując nad wonią chlebowego ciasta pozostawionego na noc do wyrośnięcia. Pani Leathers automatycznie napełniła czajnik i włożyła do dzbanka dwie torebki herbaty.

Nigdy nie uważała się za osobę z wyobraźnią, ale teraz jej myśli rozbiegły się w przeróżnych kierunkach. To przez te głupie seriale — tak powiedziałby Charlie. — Mieszają ci tylko w głowie, kobieto. To prawda, że zawsze zachwycały ją ekscytujące zwroty akcji. Gdyby to był serial, okazałoby się, że jej mąż uciekł z inną kobietą. Serce pani Leathers, które na samą taką myśl podskoczyło w jej płaskiej piersi, znalazło się z powrotem na swoim miejscu, kiedy kobieta wróciła do rzeczywistości. Nie oszukujmy się, westchnęła głośno, kto przy zdrowych zmysłach chciałby Charliego.

A może współuczestniczył w jakimś przestępstwie i musiał uciekać? To było już bardziej prawdopodobne, ale Charlie był tak głupi, iż raczej nie wiedziałby, że trzeba uciekać, do czasu gdy byłoby już na to za późno. I z kim miałyby popełnić to przestępstwo? Z garstką podpitych koleżków z pubu? Nie miał ani jednego prawdziwego przyjaciela.

Woda się zagotowała. Pani Leathers napełniła dzbanek i zawołała:

— Czas na herbatę, Candy.

Ale pies nie wychodził z kosza. Pani Leathers schyliła się, zagwizdała z cicha i zajrzała pod stół. Candy tam nie było. To znaczy, że oboje od wczoraj nie wrócili.

Bardziej zaniepokojona nieobecnością pieska niż męża, pani Leathers wzięła zza drzwi duży żelazny klucz i wybiegła do ogródka przed domem.

Zatrzymała się przy furtce pod wspaniałym krzewem hibiskusa (prezent, który dostała przed dwudziestu laty na Dzień Matki od córki, Pauline), ale jego piękno, i w istocie piękno całego poranka, zupełnie dla niej teraz nie istniało. Myślała tylko o tym, gdzie jest Candy.

Na końcu drogi ukazała się czerwona pocztowa furgonetka. Rzadko dochodziła do nich jakakolwiek poczta, a jeśli już otrzymywali jakieś listy, to były to reklamy zachęcające do podjęcia kursu księgowości lub wybudowania ogrodu zimowego ze szkła zespolonego. I tym razem furgonetka nie podjechała.

Pani Leathers wybiegła, by zatrzymać listonosza. Mężczyzna patrzył na nią ze zdziwieniem. Miała dziki wyraz twarzy, włosy sterczały we wszystkie strony, dół jej szlafroka zaczepił się o krzew jeżyn, a kapcie były zupełnie przemoczone.

— Dzień dobry, pani Leathers. Czy coś się stało?

— Nie widział pan mojej małej terierki? — Po chwili, kiedy listonosz się zastanawiał, dodała: — Brązowej suczki z czarnymi łatami i białymi łapkami.

— Będę się rozglądał — obiecał przez otwarte okno samochodu. — Proszę się nie martwić. Psy często uciekają.

Nie moja Candy. Pani Leathers narzuciła na siebie jakieś ubranie, krzywo zapinając guziki, wsunęła na nogi ogrodowe chodaki i wybiegła, na wszelki wypadek zostawiając otwartą furtkę.

Pospieszyła na skwer. Na jej twarzy malował się niepokój. Rozglądała się, patrząc też uważnie pod nogi, tak jakby mogła przewrócić się przez psa, którego wcześniej nie zauważyła. Kilka osób, między innymi Evadne Pleat, spacerowało z psami. Wszyscy bardzo jej współczuli. Pytali o jakieś szczególne miejsca, w których mogliby szukać, i obiecali popytać sąsiadów, gdy wrócą do domu. Evadne zaproponowała, że zrobi kolorowe plakaty i porozwiesza na drzewach i na tablicy ogłoszeń.

Pani Leathers mogła tylko się domyślać, którądy szedł jej mąż poprzedniego wieczoru. Ale niezależnie od tego, czy na końcu ulicy Tali Trees skręcał w lewo, czy w prawo, zawsze obchodził mniej więcej ten sam teren, robiąc kilka kółek przed powrotem do domu.

Gdy doszła do kościoła, postanowiła przejść uliczką Pin-gles. Była to właściwie wąska ścieżka na tyłach kilkunastu domów, ulubione miejsce zakochanych i wyrostków, którzy wachali, połykali lub wstrzykiwali sobie zabronione substancje.

Pani Leathers nie przestawała nawoływać. Od czasu do czasu, kiedy mogła dosięgnąć ogrodowego składziku, pukała w ścianę i wołała:

— Candy!

Wiedziała, że łatwiej można tu było znaleźć zabłąkane koty, trzeba jednak próbować.

Uliczka wiodła do małego zagajnika, a potem na pole pszenicy i jęczmienia, po których teraz, po żniwach, pozostały wielkie, złote bale słomy, czekające na odwiezienie do magazynów.

Kobieta weszła do lasu, delikatnie cmokając na psa, który na pewno rozpoznałby ten dźwięk. Stała bez ruchu, uważnie nasłuchując. Dochodził do niej szmer i plusk płynącej po kamieniach rzeki. Odgłos pospiesznej ucieczki jakiegoś przestraszonego zwierzątka. Trzask łamanych gałązek i szelest rozgarnianych liści. Nagły łopot skrzydeł.

Pani Leathers zastanawiała się, czy zapuszczać się głębiej w las. Wiedziała, że jej mąż raczej nie szedłby tam po ciemku, ale nie mogła nie sprawdzić nawet tych najmniej prawdopodobnych miejsc. Zrobiła kilka kroków stłumionych przez grubą warstwę liści, jeszcze raz zawołała i czekała.

Usłyszała jakiś delikatny dźwięk. Prawie niesłyszalny. Trudno to było nawet nazwać skomleniem. W pierwszym odruchu chciała jak szalona rzucić się do biegu, szukać, wołać, znów szukać. Zdawszy sobie jednak sprawę, że mogłaby nadepnąć na psa, zmusiła się do zachowania spokoju i pozostała na miejscu.

Potem powoli ruszyła na palcach i szepcząc uspokajające słowa, chodziła w tę i z powrotem, rozsuwała igliwie i suche gałązki. Od czasu do czasu napotykała puszkę po piwie. Candy leżała za powalonym dębowym konarem. Był wielki i ciężki, a kobieta musiała go odsunąć, żeby się do niej dostać. Rozsądnie byłoby sprowadzić pomoc, ale nie potrafiła zostawić Candy nawet na chwilę. Z wysiłkiem zaczęła pchać konar, potem ciągnąć. Drzazgi wbijały jej się za paznokcie i w dłonie, w końcu rozplakała się z bólu i frustracji.

Wreszcie udało jej się przesunąć konar na tyle, by przecisnąć się do psa. By dobrze mu się przyjrzeć. Schylić się i wziąć na ręce. I wtedy pani Leathers rozplakała się na dobre.

Ponieważ poranek był słoneczny i suchy, Valentine Fainlight postanowił swoją normę trzydziestu kilometrów przejechać na rowerze w terenie. Właśnie wjechał z powrotem do Ferne Basset i zwalniał, kiedy spomiędzy domów wybiegła prosto na jezdnię jakaś kobieta. Skręcił, zahamował gwałtownie i już miał ją zrzucić, gdy rozpoznał w niej sprzątaczkę Lawrence'ów. Trzymała coś delikatnie, przyciskając do piersi, a na jej ubraniu widniały plamy jasnej krwi.

—Pani Leathers! Co się... — Podszedł bliżej. — O, mój Boże.

—To moja... muszę... do weterynarza... muszę... muszę...

—Proszę tu zostać. Zaraz podjadę samochodem. Dwie minutki, dobrze?

Jednak kiedy wycofywał swojego alvisa, ona już szła w stronę domu, z pewnością mając nadzieję, że zyska kilka cennych sekund. Valentine wziął ze sobą podróżny koc i owinął nim jej kolana, bo drżała z nerwów i zimna.



— Moja siostra już tam dzwoni, by przygotować ich na nagły wypadek.

Mocno przycisnął pedał gazu, samochód ruszył szybko i już po chwili opuszczali wieś. Do Causton było około dwudziestu kilometrów, ale on przejechał ten dystans w niecałe dziesięć minut.

Pani Leathers siedziała bez ruchu przez całą drogę. Nic nie mówiła. Mruczała tylko coś delikatnie do smutnego zawiniątka na jej rękach.

Valentine zastanawiał się, czy pies jeszcze żyje. Nierzadko przecież osoby w żałobie wciąż mówią do swych bliskich, którzy już nie mogą ich słyszeć. Pewnie pies wpadł pod samochód. Ale dlaczego w takim razie pani Leathers wyniosła go spomiędzy domów?

Kobieta trzymająca w koszyku szylkretowe kociaki, kiedy usłyszała, co się stało, natychmiast zgodziła się przepuścić panią Leathers. Siedziała obok niej z milczącym współczuciem. W którejś chwili nawet chwyciła ją za dłoń. Val, który nigdy nie miał żadnego zwierzęcia, czuł się raczej dziwnie.

Po mniej więcej dziesięciu minutach w drzwiach gabinetu ukazał się weterynarz. Sam przypominał zwierzę, ze swoim długim nosem, zbyt owłosionymi rękoma i ciemnobrązowymi, inteligentnymi oczyma. Pani Leathers poderwała się i podbiegła do niego.

—No cóż, pani Leathers — powiedział weterynarz — pies wciąż jest z nami.

—Och... Dziękuję, panie Bailey. Bardzo dziękuję.

—Proszę mi nie dziękować. Jeszcze nic nie zrobiłem.

—Myślałam, że... bo było tyle krwi.

—Tak ją pani znalazła? Kobieta skinęła głową.

—W lesie, niedaleko od domu.

—Gdzieś w pobliżu wody?

—Tak, koło rzeki. Co się stało Candy, doktorze?



Niezwykłe silny cios w głowę, dzikie kopniaki, którymi jakiś złoczyńca połamował jej wszystkie żebra i złamał tylną łapę, potem wrzucenie do wody, by utonąła. To się stało Candy.

— Zbadam ją dokładniej, kiedy odpocznie..Teraz nic ją nie boli. Proszę się nie martwić, zaopiekujemy się nią...

—Kiedy będę mogła...

—Proszę zadzwonić rano. Tak będzie najlepiej. Kiedy wsiadali do samochodu, Hetty Leathers zapytała:

—Jaki dziś dzień, panie Fainlight?

—Środa.

—Powinnam być teraz w pracy. Muszę powiadomić panią Lawrence, co się stało. — Po chwili wahania dodała: — Słowa weterynarza brzmiały optymistycznie, prawda?

—Rzeczywiście, bardzo optymistycznie — skłamał Valentine, sprawdzając, czy kobieta dobrze siedzi, zanim sam przeszedł na stronę kierowcy. — Na pewno czuje pani ulgę. I jestem pewien, że mąż także się ucieszy.

Ann sądziła, że po przekazaniu okupu nie zaśnie. Z Lasu Cartera biegła jak szalona, okrążyła dom i przez oranżerię poszła prosto do swego pokoju.

Zrzuciła płaszcz i buty, wskoczyła do łóżka w ubraniu, naciągnęła kołdrę na głowę, ukryła twarz w poduszce, przerażona i z poczuciem, że ledwo umknęła przed jakimś nieznanym niebezpieczeństwem. Ku jej późniejszemu zdziwieniu zasnęła natychmiast głębokim, spokojnym snem.

Obudziła się przed ósmą i usiadła, wpatrując się w rękawy zielonego swetra i w zmiętą tweedową spódnicę. Od razu wszystko sobie przypomniała. Każde uczucie, każdą chwilę, każdy przepełniony strachem oddech.

Wstała, umyła się, założyła czystą lnianą koszulę, dzinsy i sfilcowany kardiogan z Fair Isle i zeszła do kuchni. Rozchodziło się tam miłe ciepło z kuchenki. Na stole stał kamienny dzbanek ozdobiony prymulkami, a na kredensie ustawione były pozostałe z serwisu po rodzicach talerze, filiżanki i spodeczki malowane

w listki wierzby. Prawie wszystko w tym pomieszczeniu dawało uspokajające poczucie ciągłości, tak jak ten staromodny zegar z rzymskimi cyframi, który kupił jej ojciec, gdy zamykano wiejską szkołę.

Zazwyczaj była to jej ulubiona pora dnia. Lionel jeszcze był na górze, Hetty dopiero miała przyjść. Ranek odpędzał wszystkie niepokoje, które dręczyły ją wraz z zapadnięciem nocy, ale nie przynosił jeszcze tak wielu zajęć, żeby zapominała o sobie, o swych zainteresowaniach, marzeniach i pragnieniach. Czasem to cenne poczucie własnego „ja” tak bardzo gubiło się w tym, czego chcieli i potrzebowali inni, że Ann miała wrażenie, iż już nigdy go nie odzyska.

Ale ten ranek nie był taki jak inne. W kuchni nie znalazła żadnego spokoju. Może już na zawsze opuścił to miejsce? Podeszła do okna i wpatrywała się w pobliski cedr. Poranne słońce rozświetlało jesienne krokusy rozrzucone dookoła potężnego pnia. Nitki srebrnej mgły nadal błyszcząły na górnych gałęziach. Kiedy była małą dziewczynką myślała, że to olbrzymie drzewo nigdzie się nie kończy, ale rośnie w górę coraz wyżej i wyżej i w końcu znika w niebie.

Nagle poczuła wielką tęsknotę za tamtymi czasami. Wydawało się jej, że kiedy żyła jej mama, wszystko było proste. Mama delikatnie ocierała jej łzy po śmierci ukochanego zwierzaka i opowiadała historie o jego nieustającym szczęściu w lepszym świecie. Rozstrzygała spory z koleżankami bez oskarżeń i kar.

Gdzie jest ktoś, kto mógłby jej teraz pomóc? Kto pocałunkami przegoni całe zło świata? Nie ma, oczywiście, takiego człowieka. Jeśli kazania jej ojca nie kłamały, zło miało się raczej dobrze, tak jak to zielone drzewo za oknem. Nigdy nie czuła się taka samotna.

—Dzień dobry, kochanie.

—Och! — Ann obróciła się. — Nie słyszałam cię.

—Gdzie moja herbata?

— Przepraszam. — Popatrzyła na zegar. Dochodziła dziewiąta. — O mój Boże. Co mogło się stać z Hetty?

Ponieważ Lionel nie miał pojęcia, nie odezwał się. Stał w drzwiach w swoim szlafroku w kratkę i w kapciach i czekał.

—Herbata, oczywiście. — Ann napełniła elektryczny czajnik. — Wypijesz tutaj? — Miała nadzieję, że powie „nie”. Było coś bardzo przygnębiającego w jego nieogolonych policzkach, w odbijającym światło siwiejącym zarostcie, w grzywie szpakowatych włosów. W jakiś przedziwny sposób zawsze wyglądał starzej w szlafroku.

—Nie. Nie mam czasu, by usiąść i rozmawiać — powiedział, podnosząc prawą rękę w surowym geście. Wyglądał jak przedstawiciel Watykanu powstrzymujący hordy rozmodlonych wiernych. — Przynieś ją na górę, wypiję ubierając się.

Jest dużo do zrobienia. Musimy zacząć poszukiwania zaraz po śniadaniu.

Ann wpatrywała się w niego. „Poszukiwania?”

— Zjem dziś tylko jajka, bekon i grzanek z pomidorem. — Kierując się w stronę schodów, dodał przez ramię: — I trochę tych grzybów rosnących koło kościoła, jeżeli ich jeszcze nie ukradli.

Ann miała na końcu języka uwagę, że skoro jej mąż nie był już związany pracą z kościołem, to nie miał żadnego prawa do grzybów. Ale tak jak wiele słów, które miewała na końcu języka, także i te zostały połknięte.

Podeszła do lodówki i wyjęła pojemnik z chudym bekonem i dwa jajka. Wracając do stołu, zauważyła czerwonego pocztowego vana. Myśl o listach wpadających do drucianej skrzynki wywołała u niej mdłości. To śmieszne, powiedziała sobie. Weź się w garść. Ten podły tekst, który dostałaś, został przez kogoś wrzucony. I przecież zrobiłaś to, czego chciał. Po co miałby znów pisać?

Patrzyła, jak listonosz wysiada z samochodu. W tym samym momencie przy furtce pojawił się Jax. Najwyraźniej wracał z porannego joggingu. Zatrzymał się i odebrał listy, potem przebiegł przez podjazd i wrzucił je przez szparę we frontowych drzwiach, po czym pobiegł w stronę swego mieszkania.

Ann zmusiła się, by dalej przygotowywać mężowi śniadanie. Tam nie ma dla niej żadnego listu. Prawie nigdy nie było. Lionel wyjmował pocztę, przeglądał ją z powagą, kiedy jadł swe tosty, krusząc na papiery, a potem zabierał do swego biurka i jeszcze raz z powagą studiował.

Zatem wszystko było dobrze. Ann włożyła jajka do gotującej się wody, nastawiła timer na cztery minuty i wsunęła bekon do opiekacza. Zanim Lionel zej-  
dzie na dół, wszystko będzie gotowe.

Wyobraziła sobie, jak zaskoczony woła z holu: „Jest dziś coś do ciebie, Ann”. Gdyby tak się stało i gdyby okazało się, że to ciąg dalszy, jak mogłaby to ukryć? Na pewno nie udałoby się jej nic po sobie nie pokazać. O wiele rozsądniej będzie zapobiec takiej sytuacji i sprawdzić pocztę.

Teraz wydawało jej się niemożliwe, że chciała postąpić inaczej. Szybko, za-  
nim mąż zdaży zejść na dół, pobiegła do holu.

Chociaż od razu dostrzegła, że nie było tam nic, co mogłoby ją wystraszyć  
czy zdenerwować — na wszystkich kopertach widniało jakieś firmowe logo lub  
profesjonalny nagłówek, wszystkie też miały pieczętki — obracała każdy list  
dwa czy trzy razy drżącymi rękoma, przyglądając się nawet, czy nie był wcze-  
śniej otwierany i zaklejony ponownie, po włożeniu czegoś innego, niż jego pier-  
wotna zawartość.

Ale nie było powodu do niepokoju. Ann nie zdawała sobie sprawy, że  
wstrzymuje oddech. Dopiero teraz wypuściła powietrze w powolnym, równym  
wydechu. Oparła się o drzwi i odprężyła. Tę spokojną chwilę zakłócił jej pełen  
złości krzyk dochodzący z kuchni. Dotarł też do niej dziwny zapach — roz-  
poznała, że to przypalony bekon. Formułując w głowie przeprosiny, Ann po-  
spiesznie ruszyła do kuchni.

— Chyba sprawiam panu mnóstwo kłopotów.

— Bynajmniej. Nie miałem dzisiaj rano nic szczególnego do roboty.

Szczerze mówiąc, Valentine był całkiem zadowolony. Prawie nic nie daje  
więcej satysfakcji, myślał, jak pomaganie innym w potrzebie. Żadnych kosztów,  
dużo interesujących wydarzeń i ten rodzaj naładowanych uczuciami rozmów, od  
których normalnie uciekał na kilometr.

Szkoda tylko, że nie miał aparatu fotograficznego w chwili, gdy do pani Le-  
athers dotarła jego uwaga o jej mężu. Val wiedział, że mimo daru naśladowania,  
nigdy nie uda mu się dokładnie oddać poczucia winy malującego się na jej twa-

rzy, gdy powiedziała: „Wiedziałam, że było coś jeszcze”. Nie miał pojęcia, jak udało mu się zachować powagę.

Ustalili, że teraz, będąc w Causton, powinni iść na policję i zgłosić zniknięcie Charliego. Dla pewności zadzwonili jeszcze do domu państwa Leathers, by sprawdzić, czy nie wrócił pod nieobecność żony.

Val myślał, że zabiorą ich do specjalnego pokoju, ale konstabl w recepcji po prostu wręczył pani Leathers żółty formularz do wypełnienia, mówiąc, że gdyby potrzebowała pomocy, to on jest obok.

— Mnóstwo tu dziwnych pytań — zauważyła kobieta, posłusznie wpisując potrzebne dane. — O blizny, jąkanie się i tym podobne. Pochodzenie etniczne. Charliemu by się to nie podobało.

Val przyglądał się plakatom, żaden z nich nie był wesoły. Poraniona i posiniaczona twarz młodej dziewczyny na plakacie kampanii przeciwko pijanym kierowcom. Jasny labrador z wywieszonym językiem za zamkniętym oknem samochodu: „Kiedy wrócisz, on może już nie żyć”. I złamana strzykawka nad numerem policyjnej gorącej linii. Już zaczął się dowiadywać więcej, niż naprawdę chciał, o stonce, kiedy zauważył, że pani Leathers rozmawia z konstablem.

— Co to znaczy „znaki szczególne”?

— No, wie pani, na przykład spódniczka albo futrzane stringi, które nosi na wieczorne nabożeństwo. Takie rzeczy.

To był błąd. Pani Leathers odsunęła się nieco i już więcej nie spojrzała mu w oczy. Pisała jeszcze przez niemal dziesięć minut, po czym wręczyła formularz.

—Część czwarta, proszę pani — powiedział policjant, oddając go z powrotem. — Osoba zgłaszająca zaginięcie.

—Aha. Przepraszam. — Kobieta dopisała swoje imię, nazwisko i numer telefonu. — Czy mam was poinformować, jeśli wróci?

—Tak, bardzo proszę.

—Wyszedł tylko na spacer.

Konstabl uśmiechnął się, myśląc, że byłoby wspaniale, gdyby dostawał piąta-ka za każdym razem, kiedy to słyszy. Nurkowałby teraz na Karaibach. Jednak było mu żal tej starej. Najwyraźniej musiała się nieźle wypłakać, zanim zebrała się, by tu przyjść.

Wziął od kobiety formularz 428 i podał go cywilnemu urzędnikowi, który siedział przy całodobowym telefonie. Już miał zająć się swoimi sprawami, kiedy odezwał się towarzysz tej starszej kobiety.

—Przepraszam.

—Tak, słucham.

Ale Valentine nie mówił do policjanta. Ujął panią Leathers pod ramię i delikatnie skierował ją znowu do lady.

— Proszę powiedzieć im o psie.

Wkrótce po powrocie do domu pani Leathers musiała wyjaśnić Evadne, że sytuacja uległa zmianie. Evadne, nieświadoma, że pies się znalazł, przyszła zapisać numer telefonu sąsiadki, by umieścić go na plakacie.

Ponieważ była to prawie pora lunchu, pani Leathers zaproponowała jej talerz zupy i tosty. Evadne, chcąc usłyszeć, co dokładnie się stało, przyjęła zaproszenie. Miała pewne obawy, kiedy zobaczyła zupę w puszcze, ale pomyślała, że jeden talerz jej nie zaszkodzi. Zupa była jaskrawopomarańczowa, gęsta i okazała się raczej słodka. Nie przypominała w smaku żadnego warzywa, jakie Evadne kiedykolwiek jadła.

Ale jej ciekawość dotycząca składników lunchu znikła natychmiast, kiedy pani Leathers zaczęła opowiadać historię cierpień Candy. Słuchała ze współczuciem i przerażeniem, wyobrażając sobie, że to samo mogłoby się przytrafić jednemu z jej ukochanych pekińczyków, i zastanawiając się, jak, na litość boską, mogłaby to znieść.

—Ona wyzdrowieje, Hetty. To dzielny i odważny pies.

—Tak — przytaknęła pani Leathers i wybuchnęła płaczem. Evadne porzuciła swój posiłek, obeszła stół i objęła panią



Leathers. Kołysała ją w przód i w tył, mrużąc: „Już dobrze, już dobrze”. Tak samo robiła, gdy Piers wpadał w melancholię i brał na siebie wszystkie problemy świata.

— Musisz mi powiedzieć, kiedy wraca do domu. Sama zabiorę cię do Causton.

— Dziękuję.

—Ale czy ty...? Wybacz mi, ale te sprawy bywają... no wiesz, opieka weterynaryjna, lekarstwa. Mam nadzieję... gdybyś miała jakieś problemy...

—Jesteś bardzo miła Evadne, ale mam na nią ubezpieczenie. — Jaką walkę musiała o nie stoczyć z Charliem!

— Świetnie.

Pani Leathers westchnęła głęboko, otarła łzy z policzków i powiedziała:

—Ojej, twoja zupa wystygła.

—Nie szkodzi. A tak przy okazji, co to za zupa?

—Pomidorowa.

— Wielkie nieba! — wykrzyknęła Evadne. — Poradzisz sobie? Chcesz, żebym jeszcze trochę z tobą została? A może mam wrócić, kiedy wyprowadzę moich chłopców?

— Wkrótce powinna się zjawić moja córka. Przyjedzie z Great Missenden. — Pani Leathers nie mogła się przyzwyczaić, że sąsiadka nazywała pieski „chłopcami”, skoro jeden z nich był dziewczynką. Evadne wyjaśniała jej, że Mazepa jest wrażliwa i nie chce czuć się inna. — Pauline musi tylko znaleźć kogoś do opieki nad dziećmi.

Rozległo się pukanie do drzwi i Hetty powiedziała:

— To albo ona, albo policja.

— Ojej — Evadne była zaintrygowana. — Dlaczego, do licha, mieliby tu przychodzić?

— Chcą, bym pokazała im dokładnie, gdzie znalazłam Candy.



—No cóż — powiedziała Evadne — muszę przyznać, że to naprawdę budujące. Tak wielka troska o małego psa.

—Charlie także zaginął — wyjaśniła pani Leathers, która zanim otworzyła drzwi, badawczo przyglądała się swej mokrej od łez twarzy w małym lusterku.

—Ojej! — Evadne widywała, jak pan Leathers ze złością ciągnął Candy w tę i z powrotem przez skwer, i miała szczerą nadzieję, że się nie odnajdzie.

Na progu stał sierżant w mundurze i młoda policjantka. Gospodyni poprosiła, by poczekali, aż założy płaszcz. Evadne zaczęła z nimi rozmawiać, starając się wprowadzić miły nastrój. Kiedy pani Leathers wróciła, wydawało się jej, że policjantka dostała dziwnego ataku kaszlu.

— Pójdę z tobą — powiedziała Evadne zdecydowanym tonem. Potem, kiedy pani Leathers zawahała się, dodała: — Pauline by z tobą poszła, gdyby tu była.

Sąsiadka musiała przyznać jej rację. Zresztą wolała mieć towarzystwo. Samochód policyjny zaparkowany był na końcu drogi i kilka kobiet z wózkami dziećcyimi stało już w pobliżu, z ciekawością rozglądając się dokoła.

Kiedy cała czwórka wychodziła, pani Leathers potknęła się o kępę trawy i sierżant ujął ją pod ramię. Przekonana, że wszyscy uznają ją za aresztantkę, zaczerwieniła się po czubek nosa. Evadne z kolei wyszła z wielkim rozmachem, kroczyła z powagą i machała do wszystkich. To właśnie ona zaprowadziła policjantów do Lasu Cartera.

Tam prowadzenie przejęła pani Leathers. Ale im bardziej zbliżali się do miejsca, gdzie znalazła Candy, z tym większym ociąganiem posuwała się do przodu. Kiedy już doszli, musiała wziąć Evadne za rękę. Ku jej zaskoczeniu po wskazaniu przez nią właściwego miejsca, policjantka powiedziała, że wraz z sąsiadką mogą wrócić do domu.

Evadne była rozczarowana faktem, że przygoda skończyła się prawie natychmiast po tym, jak się zaczęła. Obok pubu zebrało się kilka osób, które rozglądały się i rozmawiały, najwyraźniej szczęśliwe, że nie były zaangażowane w sprawę. Kiedy pani Leathers przeciskała się między nimi, paru ludzi zadało jej pytania.

Ona jednak zauważyła samochód córki zaparkowany przy skwerze i szybkim krokiem ruszyła do domu. Evadne poszła do siebie i gdy tylko znalazła się na miejscu, zaparzyła sobie dzbanek Lapsang Souchong, by pozbyć się przedziwnego smaku zupy. Potem zabrała pekińczyki na długą przechadzkę. Na wspomnienie Candy co kilka metrów zatrzymywała się, podnosiła jednego z nich i przyciskała z ulgą do piersi. Pieski, chociaż zaskoczone, to jednak jak zawsze uprzejme, nie protestowały.

W drodze powrotnej zauważyła jeszcze kilka samochodów policyjnych i jeden czy dwa cywilne, których wcześniej nie widziała. Tłum zgęstniał, ale wszyscy musieli pozostać za biało--niebieską taśmą policyjną.

Charlie Leathers leżał w zasypanym liśćmi dole około pięćdziesięciu metrów od miejsca, gdzie jego żona znalazła Candy. Fotograf i ekipa filmowa już poszli, a George Bullard, lekarz policyjny, prawie skończył swoją robotę. Dwaj pracownicy kostnicy siedzieli na pobliskiej kłodzie i palili papierosy, opowiadając sobie dowcipy i obmyślając system pozwalający wygrać na loterii.

Nadinspektor Barnaby, raz rzuciwszy okiem na zwłoki, nie miał ochoty spojrzeć na nie po raz drugi.

— Czasem, George, zastanawiam się, jak udaje ci się utrzymać obiad w żołądku.

— To dar.

— Co stało się z jego twarzą? — zapytał sierżant Troy, jak zawsze kręcący się przy swoim szefie. — Prawie nic z niej nie zostało.

—Nocna uczta — odparł doktor Bullard. — Pewnie jakieś zwierzę.

—Chryste, mam nadzieję, że to rzeczywiście jakieś cholerne zwierzę — Barnaby odezwał się tak, jakby za chwilę miał wybuchnąć. — Mamy dość kłopotów bez kanibalizmu.

—Dobra, chłopaki — doktor Bullard ściągnął gumowe rękawiczki i wrzucił je do torby ze śmieciami. — Możecie go zabrać.

— Jak sądzisz, od kiedy tu leży? — zapytał nadinspektor.

— Hm... Prawdopodobnie od wczorajszej nocy. Na pewno nie dłużej niż dwadzieścia cztery godziny. To jest zaleta śmierci przez uduszenie. Łatwo określić czas zgonu. — Wstał, strzepując ze spodni zwiędłe liście. — No cóż, uciekam. Pozdrów Joyce. A jak córka?

— Kwitnąco, dziękuję.

— Jutro powinieneś już mieć coś na biurku.

Barnaby patrzył, jak doktor odchodzi, spoglądając w niebo i wdychając jesienny zapach wilgotnej ziemi. Sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego.

— To byłby dobry tytuł autobiografii. Jestem pewien, że coś tam w sekrecie pisze.

— Tytuł? — Sierżant Troy odsunął się na bok, by ekipa z kostnicy mogła przejść.

— Zaleta śmierci przez uduszenie. Chodź, wracamy na komisariat.

— Już dawno powinniśmy zjeść lunch, szefie. Może skoczymy do pubu? Wziąłbym sobie kielbasę, jajko i frytki.

— Chyba masz żołądek ze stali.

Wiadomość rozniosła się po Ferne Basset lotem błyskawicy. Po zabraniu ciała w lesie pojawili się technicy kryminalistyczni. Wyjęli z furgonetki dziwne narzędzia, założyli plastikowe kombinezony, rękawice i buty, wreszcie zniknęli między drzewami.

Sierżant i młoda policjantka, którzy wcześniej przyszli po panią Leathers, teraz znów zadzwonili do jej drzwi. Tym razem otworzyła krępa, młoda, ciemnowłosa dziewczyna, która wyglądała na szesnastolatkę, ale okazała się dwudziestotrzyletnią córką pani Leathers.

— O co chodzi? — zapytała, trzymając ręce na biodrach.

— Czy możemy zamienić słowo z pani matką? — zapytała policjantka. Wciąż była na etapie, kiedy przynosząc złe wiadomości, przybierała specjalny ton głosu. Miły i łagodny, ale uroczysty. „Zdradza ją to — pomyślał sierżant — ale trzeba brać poprawkę na jej brak doświadczenia. Wyrośnie z tego”.

— Sądzę, że ma dość przeżyć jak na jeden dzień.

— W porządku, Pauline — zawołała pani Leathers z kuchni. Wszyscy weszli do frontowego pokoju, gdzie sierżant nie przyjął zaproszenia na herbatę. „Dobrze — pomyślała Pauline — i tak bym nie zrobiła”.

—Zgłosiła pani zaginięcie męża. Zastanawialiśmy się, czy ma pani jego zdjęcie.

—Mam, ale obawiam się, że niezbyt aktualne. — Kobieta spojrzała nerwowo na policjanta, podeszła do biblioteczki i wyjęła album. — Dlaczego pan pyta?

— Pomogłoby to nam w śledztwie.

—Czy to ma związek z tymi samochodami przy skwerze? — zainteresowała się Pauline.

—To ostatnie — pani Leathers wręczyła policjantowi zdjęcie niskiego, chole-rycznego mężczyzny wpatrującego się w obiektyw. Trzymał strzelbę, a u jego stóp leżało kilka martwych ptaków. — Zrobione mniej więcej osiem lat temu.

—Dziękuję. — Policjant wetknął fotografię do portfela. Pauline znów się odezwała:

—Zadałam panu pytanie.

— Tak. — Nie było sensu zaprzeczać. Pół wsi widziało nosze. Sierżant starannie dobierał słowa. — Znaleźliśmy w lesie ciało mężczyzny. Jeszcze nie wiemy, kim jest ani jak zginął.

Pani Leathers chciała się odezwać, ale nagle nie mogła wydobyć z siebie głosu. Wbiła wzrok w córkę, a ta chwyciła jej dłoń i mocno ją ścisnęła.

— Odprowadzę ich, mamó. Zaraz wracam. — Na progu domu zapytała: — To on, prawda?

—Nie wiemy na...

—Lepiej się nie nastawiać, co? Ale trzymam kciuki.

—Słucham? — Policjantka nie mogła uwierzyć własnym uszom.

—Co za życie ten facet jej zgotował! Mówiąc prawdę, zrobiłabym to już dawno, gdybym wiedziała, że ujdzie mi to na sucho.

Valentine i Louise jedli obiad na najwyższym piętrze swego kryształowego pałacu. Zależnie od potrzeb, prawie wszędzie można było w nim urządzić sypialnię lub jadalnię.

W każdym pokoju znajdowały się łóżka: pojedyncze sofy przykryte kolorowymi narzutami z jedwabiu lub futra. Kuchnię umieszczono w przyziemiu, na tym samym poziomie co garaż. Czasem tam jadali. Częściej jednak korzystali z małej towarowej windy, eleganckiego ogrzewanego sześcianu ze stali nierdzewnej podwieszonego na czarnych gumowych linach. Przesuwał się on gładko w górę i w dół wewnątrz przezroczystego szybu, wbitego, jak potężny obelisk, w sam środek budynku.

Przeważnie gotowali razem, ale dziś Valentine poświęcił tyle czasu opiece nad panią Leathers, że Louise zrobiła zakupy i sama przygotowała posiłek. Perliczka duszona w białym winie z ziemniakami na słodko i sałatką z rzeżuchy. Grillowane brzoskwinie z amaretto i herbatniki domowej roboty. Wino Kesselstatt Riesling.

Zazwyczaj rozmowa toczyła się gładko na temat książek, muzyki czy teatru. Czasem znęcali się nieco nad którymś z nieobecnych przyjaciół. Kiedyś, zanim ich serca zaznały nieszczęścia, znęcaliby się nad tym kimś bez litości.

Niekiedy Val opowiadał o swojej pracy, lecz zdarzało się to raczej rzadko. Barley Roscoe, bohater, który przyniósł mu fortunę, miał tylko siedem lat i jego codzienne doświadczenia, chociaż nieporównanie bardziej ekscytujące od doświadczeń przeciętnego dziecka w jego wieku, nie mogły, rzecz jasna, podtrzymać konwersacji dorosłych.

Ale dzisiaj, jak wszyscy w wiosce (poza Lawrence'ami), roztrząsali straszliwe odkrycie w Lesie Cartera. Oni także, jak pozostali mieszkańcy, byli przekonani, że znaleziony człowiek to Charlie Leathers.

—Po pierwsze, zaginął—Valentine odliczał na palcach. — Po drugie, to jego psa, i to pobitego, znaleziono w pobliżu. Po trzecie, absolutnie nikt go nie lubił.

—Ale to, że się kogoś nie lubi, to jeszcze nie powód...

—To dla nas cholerny kłopot. Będziemy musieli znaleźć kogoś innego do prac w ogrodzie.

—Przecież on pracuje... pracował tylko kilka godzin tygodniowo. Poradzę sobie z tym. To w Starym Probostwie odczują różnicę. A to przypomina mi o...  
— I Louise opowiedziała bratu o swym spotkaniu z Ann Lawrence poprzedniego wieczoru, kiedy rozmawiały o zniknięciu Carlotty.

— Niemożliwe, by zwykła kłótnia doprowadziła ją do takiego stanu. Cała się trzęsła i ledwie mogła mówić.

—Może to ona załatwiła Charliego.

—To nie jest zabawne, Val.

—Morderstwo nie jest zabawne.

—To raczej...

Louise przerwała, natychmiast zdając sobie sprawę, że zrobiła to za późno. Powinna była w ogóle nie wypowiadać tych słów. A tak się starała. Zawsze myślała, przewidywała. Od tamtej nocy, sprzed kilku miesięcy, kiedy po raz pierwszy wypowiedziała swoją opinię na pewien temat i Val także się wypowiedział, i stało się jasne, że nigdy, przenigdy się co do tego nie zgodzą. Wcześniej nie widziała, żeby jej brat zachowywał się w ten sposób. Jakby coś w niego wstąpiło. I pewnie tak się właśnie stało.

— To raczej...?

Odczuła te słowa jak smagnięcie biczem.

— Przepraszam, Val.

—Jeden błąd, za który ma płacić do końca życia, tak? — Mężczyzna podniósł się, zdjął marynarkę z oparcia krzesła i potrząsając nią nad ramionami, wkładał rękę w rękaw.

—Nie! — Obiegła stół dookoła, nie dbając o to, co teraz powie, skoro już się stało. — Nie idź tam. *Proszę.*



—Pójdę, dokąd zechcę. — Już zbiegał w dół po kręconych szklanych schodach. Na dole obrócił się i spojrzał do góry na siostrę; jego twarz była bez wyrazu, tylko oczy w niej płonęły. — Jeżeli potrafisz tylko krytykować jedyną osobę, która sprawia, że cieszę się, iż żyję, to lepiej poszukaj sobie innego miejsca, by to robić.

Oczywiście ktoś zadzwonił do Starego Probostwa. Osobie tej wydawało się, że Lionel Lawrence, którego uparcie tytułowała „Wasza Wielebność”, będzie chciał złożyć pani Leathers wizytę w roli „sługi i pracownika Bożego oraz pocieszyciela”.

Ku wielkiej irytacji Lionela w wiosce panowało przekonanie, że duchownym jest się raz na zawsze. Często nadal zwracano się do niego „pastorze” i od czasu do czasu wciągano w pełne napięcia sytuacje, które już zupełnie nie wiązały się z jego obowiązkami. Zawsze odmawiał, ale ludzie potrafili być niezwykle, czasem nawet nieprzyjemnie uparci. W obecnej sytuacji, po kilku sondujących pytaniach, Lionel czuł się w obowiązku odmówić. Wydawało się, że ciało nie zostało jeszcze zidentyfikowane. Lionel rzadko bywał zakłopotany, lecz nawet on czuł, że jest coś niestosownego w pocieszaniu wdowy, której mąż może w każdej chwili wsunąć głowę przez uchylone drzwi.

Teraz sam bardzo martwił się stanem swej żony. Kiedy przekazał jej wieści, Ann zareagowała w sposób bardzo niepokojący. Przyskoczyła do niego i chwyciwszy go mocno za rękę, wielokrotnie pytała, gdzie dokładnie znaleziono ciało mężczyzny i kiedy to wszystko się stało. Była bardzo podniecona, wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma, a jej ciało było tak rozpalone, że Lionel zasugerował, by wezwali lekarza. Wtedy się uspokoiła. Lub udawała spokój. Widział, że stara się wyglądać na zrelaksowaną, ale w jej rozbieganych oczach czaił się lęk.

W końcu przekonał ją, by się położyła. Później wszedł do gabinetu, włożył kilka dREW do ognia i zagłębił się w listach świętego Pawła. Ale jego myśli szybko wróciły na wcześniejsze tory. Zastanawiał się, gdzie jest teraz Carlotta i co może robić. Czy pojechała do Londynu i wpadła w złe towarzystwo? Czy próbowała podróżować autostopem i zabrał ją jakiś zboczeniec polujący na młode dziewczęta? Może właśnie teraz leżała w jakichś zaroślach, w podartym ubraniu i z zadartą na głowę spódnicą...



Myśli nasuwały mu przed oczy wyraziste obrazy. Lionel westchnął głęboko z przerażenia i odwrócił zaczerwienione policzki od ognia. Skierował swe myśli na bezpieczniejszy temat pobytu dziewczyny w jego domu. Rozmowy, jakie prowadzili, spacerując po ogrodzie lub przebywając w jej zagraconym pokoju. Ojcowskie współczucie i troska z jego strony, które biedna, spragniona uczucia Carlotta chłoneła jak gąbka. Potrzebujesz tylko miłości — naiwny hymn z czasów, kiedy dorastał — to szczerą prawdą. A on miał tyle do zaoferowania.

Cały ten niepokój zaczął odbijać się na jego żołądku. Poszedł podgrzać sobie trochę mleka. Zasiadając ponownie w głębokim fotelu i zauważając ze smutkiem, że żona wciąż chodzi nerwowo nad jego głową, wrócił do czystej prostoty świętego Pawła.

Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest... Miłość nigdy nie ustaje...

Tak więc trwają wiara, nadzieja, miłość — te trzy: z nich zaś największa jest miłość\*<sup>2</sup>.

Dobrze wiedzieć, że jest się na właściwej drodze.

Evadne Pleat także szykowała się do snu. Wyprowadziła już psy na ich ostatnią przechadzkę, wymieniła śmiertelnie poważne pozdrowienia z nielicznymi mieszkańcami wioski, którzy jeszcze przebywali na dworze, a potem starannie ułożyła psy na noc. Sypiały na różnych posłaniach i w koszach w kuchni. Musiała z żalem porzucić wcześniejsze eksperymenty z zabieraniem piesków na noc do sypialni, bo wywoływało to ataki zazdrości. Wszystkie naraz pchały się pod koc. Potem zaczynała się przepychanka o najlepsze miejsce. Kiedy już wreszcie dochodziło do smutnej dla niektórych ugody, ten czy ów zaczynał się czyścić albo wstawał, by się napić. Było gorzej niż na wystawie psów.

Odmówiwszy modlitwy, w których nie omieszkała wspomnieć Hetty i jej pieska, Evadne opadła na poduszki i umościła się pod piękną, ręcznie robioną, patchworkową narzutą. (Nie uznawała nowoczesnych kołder, bo uważała je za zwykłe wory wypchane puchem).

---

<sup>2</sup> \*Kor 13, 4-13 (przyp. red.).

Tym razem sen nie przyszedł od razu. Jej myśli krążyły wokół znalezionej w lesie ciała i Candy, bliższej śmierci niż życia. Evadne poczuła się zmieszana, gdyż wydarzenia ostatniego dnia rzuciły zupełnie nowe światło na pana Fainlighta, o którym zawsze myślała, że traktuje innych z pogardą. Okazał Hetty taką troskę w trudnych chwilach.

Do pokoju wlewała się księżycowa poświata. Jasna i ostra, wydobywała z mroku jej bibeloty i obrazki, przeszkadzając w zaśnięciu, kobieta podniosła się więc z łóżka i podeszła do okna, by zasunąć zasłony.

Po przeciwnej stronie drogi znajdował się dobrze teraz oświetlony ogród Staro Probstwa. Jakies grasujące tam zwierzę musiało spowodować włączenie się halogenowej lampy. Zdarzało się to bardzo często. Utrapienie — kobieta przypominała sobie słowa Ann Lawrence — ale warto zapłacić tę cenę za poczucie bezpieczeństwa.

Evadne przetarła oczy, uchyliła okno i uważniej przyjrzała się otoczeniu Probstwa. Przez ostatnie kilka tygodni jakiś mężczyzna przychodził w nocy i wystawał pod cedrem. Teraz był tam znowu. Nawet z tej odległości widziała, jak bardzo był spięty. Naprężony jak struna. Zastanawiała się, jak długo będzie czekał tym razem. Nagle otworzyło się okno, ale nie w pokoju Carlotty, tak jak oczekiwała, tylko w mieszkaniu nad garażem. Wychylił się z niego młody mężczyzna, który tam mieszkał. Evadne usłyszała śmiech i w chwilę później zauważyła, że otwiera się ciemnoniebieska furtka w murze. Ku jej zaskoczeniu mężczyzna spod drzewa prawie biegiem ruszył przez podjazd i wszedł do środka. Kiedy odwrócił się, by zamknąć furtkę, światło padło na jego twarz i Evadne rozpoznała Valentine'a Fainlighta.

Zamknęła okno i powędrowała do stojącego obok łóżka fotela. Usiadła i, właściwie bez wyraźnego powodu, poczuła się nieswojo. Prawie nie rozmawiała z szoferem Lionela Lawrences, ale wiedziała, że nie wolno mu było wchodzić do domu, i nie wierzyła, by Ann Lawrence narzuciła taką zasadę bez powodu. Także Hetty Leathers, jedna z najmilszych osób na świecie, mówiła, że go nie znosi.

W końcu Evadne położyła się, jednak nadal nie mogła zasnąć. Czowała się tak, jakby jej duszę ogarnął wielki cień. Wolałaby nigdy nie zobaczyć tego nagłego sprintu przez trawnik.

Główna sala w Red Lion wprost pękała w szwach, ale atmosferę trudno było nazwać ożywioną. Wydarzenia dnia nie wywołały ani podniecających plotek, ani hałaśliwych spekulacji, raczej przygnębiły klientelę pubu; ludzie rozmawiali przyciszonymi głosami.

Valentine Fainlight miał całkowitą rację, mówiąc, że nikt za bardzo nie lubił Charliego Leathersa. Mimo to wydawało się, że jego prawdopodobna śmierć przytłoczyła wszystkich. Ludzie sądzą, że nagła śmierć przytrafia się tylko innym, i słusznie. Ale ta zdarzyła się tak blisko. Nadal nie rozumiejąc, jak to się stało, całe towarzystwo czuło się bardzo niepewnie.

Właściciel zaproponował, by zebrać datki dla wdowy, co zostało dobrze przyjęte, bo ludzie lubili Hetty i bardzo jej współczuli. Mężczyzna postawił dużą butelkę na ladzie i przed zamknięciem pubu była ona już w połowie pełna. Tak naprawdę, zauważył z pewnym żalem, znalazło się tam więcej pieniędzy niż w jego kasie. Bar powoli pustoszał. Klienci opuszczali go cicho, z powagą i szybko podążali do domów małymi grupkami. Nikt nie szedł samotnie.

# Rozdział piąty

---

Tym razem George Bullard dotrzymał słowa. Kiedy następnego ranka Barnaby dotarł do swego biurka, raport z sekcji zwłok już na niego czekał. Podobnie jak sierżant Troy, zatopiony w lekturze.

—Co się stało?

—Słucham?

—Nigdy nie przychodzisz wcześniej niż ja.

—Wiem. Zawsze mi pan o to suszy głowę. Więc pomyślałem, że się postaram.

—Lubię konsekwencję u moich podwładnych, Troy. Nie wprowadzaj zamieszania, dobra?

—Tak jest, szefie.

—No dobrze, jaki werdykt?

—Uduszony drutem, co już wiedzieliśmy. Raport mówi „bardzo cienki drut”. Myślę, że technicy dostarczą nam więcej szczegółów. Kiedy go znaleziono wczoraj o wpół do piątej, nie żył od około szesnastu godzin.

—Zatem zginął około północy we wtorek.

—Wcześniej zjadł solidny posiłek. Jakieś mięso, warzywa, ryż, pewnie w puddingu. Potem piwo i znów jakaś wieprzowina...

—Możesz przestać? Niedawno zjadłem śniadanie. — Barnaby sięgnął po raport, po chwili przewrócił kartkę. Czytał jeszcze przez moment, po czym odłożył plik i otworzył dużą kopertę opartą o oprawioną w srebrną ramkę fotografię jego żony i córki. Wyjął kilka dużych czarno-białych odbitek i rozłożył je na biurku.

— Nie podoba mi się to, Troy.

A komu by się podobało — pomyślał sierżant, wpatrując się w wytrzeszczone przerażone oczy, w to, co zostało z poszatko-wanych policzków, i w wystający poczerniały język, także niezle poszarpany. Ten widok przypomniawszy mu te dziwne rzygacze, jakie widywał w starych kościołach. Rzygacze albo matkę Maureen.

— Najwyraźniej — Barnaby postukał w raport — nie było innych obrażeń. I żadnej skóry, włosów czy innych tkanek pod paznokciami.

— Więc się nie bronił.

— Każdy się broni, jeżeli ma jakąś szansę. Ale tutaj, z drutem owiniętym wokół szyi, ten mężczyzna nie miał szans.

— O rany! Ktoś musiał mieć muskularne ręce.

— O tak. Leathers był trochę po sześćdziesiątce. Nie młody, ale też nie słaby ani stary. Odebranie komuś życia w tak szczególny sposób wymaga dużo fizycznej siły. I, powiedziałbym, pewnej wiedzy.

— Myśli pan, że ten ktoś już to wcześniej robił, szefie?

— Nie wyciągałbym tak daleko idących wniosków. Ale oczywiście nie jest to metoda, jakiej można nauczyć się we własnym ogródku.

—Może morderca ćwiczył na arbuzie.

—Co?

—Jak w *Dniu Szakala*.

Barnaby zamknął na chwilę oczy, położył na czole wskazujący i środkowy palec lewej dłoni i głęboko odetchnął. Potem zebrał zdjęcia.

— Niech to zawieszają w centrum operacyjnym. Pierwsza odprawa o wpół do trzeciej. Do tego czasu powinniśmy już mieć raport od techników.

—Tak jest.

—I przynieś mi Marsa, jeśli będziesz brał dla siebie.

Do czasu kiedy zespół nadinspektora Barnaby'ego zebrał się na odprawę, doktor Jim Mahoney, lekarz domowy Charlie-go Leathersa, odwiedził kostnicę w szpitalu Stoke Mandeville i zidentyfikował ciało swojego pacjenta, a technicy kryminalistyczni potwierdzili swe wstępne wnioski.

Zespół Barnaby'ego składał się z ośmiu pracowników dochodzeniówki (była wśród nich cudowna sierżant Brierley, której Troy beznadziejnie pragnął od chwili, kiedy siedem lat wcześniej zobaczył ją po raz pierwszy) i dwunastu umundurowanych policjantów. Mniej niż połowa sił, jakimi nadinspektor chciałby dysponować, ale to nie było nic nowego.

—Raport z miejsca zbrodni od naszych techników — Barnaby pomachał nim w powietrzu. — Można dostać kopie. Zapoznajcie się z nim. Mężczyzna został zabity kawałkiem drutu, prawdopodobnie już wcześniej zawiązanego w pętlę, zarzuconego mu z tyłu na szyję i zaciśniętego. Gęsta warstwa liści na ziemi oznacza, że nie mamy odcisku wyraźnego na tyle, by mógł się przydać, nawet jeżeli nie kręciłyby się tam leśne zwierzęta. Kilka metrów od ciała znaleziono latarkę z odciskami palców denata.

—Czy w ogóle coś o nim wiemy? — zapytał inspektor „Wesoły” Carson, ponury mężczyzna, niedawno awansowany i starający się zabłysnąć.

—Niewiele póki co. Wydaje się, że to kawał drania. Bił żonę. Podobno jego córka stwierdziła, że sama dawno by to zrobiła, gdyby miała choć cień szansy, że nie zostanie złapana.

—Czy coś nie stało się też z jego psem? — zapytała sierżant Brierley. — Słyszałam o tym w kantynie.

—Rzeczywiście. Ktoś go skopał i wrzucił do rzeki.

—Gnojek — mruknął Troy, prawdziwy miłośnik psów. Koledzy potakiwali. — Ten sam, który zabił?

—Prawdopodobnie.

—Czy to nie oznacza, że ktokolwiek to był, wciąż jest w okolicy? — zauważył Carson. — Pies mógłby go rozpoznać. I zareagować.

—Słuszna uwaga — nadinspektor lubił zachęcać tych, którzy szybko myśleli. W przeciwieństwie do wielu starszych oficerów, nie zakładał, że każdy policjant niższy stopniem był automatycznie mniej od niego inteligentny.

—Dlaczego po prostu nie uciekł? — zapytał młody umundurowany konstabl. Kilka zdziwionych twarzy odwróciło się w jego kierunku.

—Niewiele wiesz o psach, co, Phillips? — odezwał się chłodno sierżant Troy. Konstabl się zaczerwienił.

— Z raportu z sekcji zwłok wiemy, że zmarły spędził prawdopodobnie trochę czasu w pubie. Trzymajmy kciuki, żeby to był pub w tej wiosce. To zaoszczędziłoby nam wiele jeżdżenia. Dwoje z was może zacząć chodzić od domu do domu. Wieś, na nasze szczęście, jest niewielka. Chcę znać wszystkie plotki, jakie zbierzecie. Wszystko, co mieszkańcy wiedzą lub wydaje im się, że wiedzą na temat Charliego Leathersa. Praca, życie — tak daleko w przeszłość, jak tylko pamiętają — hobby, rodzina. Kto widział go tej nocy, kiedy zginął. Każde niezwykle zachowanie poprzedzające ten czas. Nic, zupełnie nic nie może być uznane za nieważne. Z wdową porozmawiam sam. Następna odprawa jutro o dziewiątej rano, i nie mam na myśli pięć po dziewiątej. Możecie się rozejść.

Z biura prasowego przedostały się już do gazet informacje, że w lesie koło Ferne Basset znaleziono martwego mężczyznę. Następnego dnia ujawniono jego nazwisko i to, jak zmarł.

Wysłannicy gazet stanęli do pojedynku z dziennikarzami i operatorami z lokalnej telewizji. Wszyscy zadawali te same pytania, otrzymywali te same odpowiedzi i wchodzili sobie nawzajem w drogę.

Wywiady telewizyjne nagrywane były przed niezwykle domem Fainlightów. Nie dlatego, że miał on jakikolwiek związek ze zbrodnią, a przynajmniej nic o tym nie było wiadomo. Po prostu był zbyt wspaniały, by go nie wykorzystać. Drugim pod względem atrakcyjności tłem okazało się wejście do Red Lion, ulubionego miejsca, w którym zmarły gasił pragnienie. Właściciel i kilku stałych klientów kręciło się przy donicach ze zwędniętymi bratkami, mając nadzieję, że ktoś poprosi ich o komentarz. Ci, którzy wreszcie się tego doczekali, byli rozczarowani, że albo wcale nie zobaczyli się później w lokalnych wiadomościach



wieczornych, albo pojawili się w nich tylko przez kilka sekund i wypadli bardzo niekorzystnie. Naprawdę ważnych wywiadów — z najbliższą rodziną ofiary — nikomu niestety nie udało się przeprowadzić.

Gdy dziennikarska zgraja opuściła wieś, pojawili się policjanci, którzy chodząc od domu do domu, dopytywali się o to samo.

Detektyw nadinspektor Barnaby i sierżant Troy przyjechali jako pierwsi. Dzięki cywilnym ubraniom i nieoznakowanemu samochodowi (należącej do szefa astrze vauxhall) mogli dyskretnie zaparkować na końcu ulicy Tali Trees, przez nikogo nie niepokojeni. Barnaby, zatrzymawszy się na krótko, by podziwiać zachwycający liliowy hibiskus, przeszedł rażno wzdłuż ścieżki prowadzącej do bungalowu Leathersów i zastukał do drzwi. Natychmiast otworzyły się na oścież.

—Co wam gnojki mówiłam? Z nikim nie będzie rozmawiać. Spływajcie, z nim wezwę policję.

—Pani jest zapewne córką pani Leathers. — Barnaby wyjął legitymację. — Detektyw nadinspektor Barnaby. A to sierżant Troy.

Troy także machnął swoimi dokumentami i uśmiechnął się uspokajająco.

—Przepraszam. Przez cały ranek nękali nas dziennikarze. — Kobieta cofnęła się, by zrobić im przejście. —Jak ma dojść do siebie?

—Obawiam się, że naprawdę musimy zakłócić jej spokój, panno Leathers.

—Nazywam się Grantham. Pauline. Nie będzie miała nic przeciwko temu. W końcu to wasza robota.

Pauline wprowadziła ich do przytulnej kuchni. Pani Leathers siedziała z podciągniętymi nogami w fotelu na biegunach przy kuchennej kozie i popijała herbatę. Jej ramiona okrywał miękki szal.

—To policja, mamo.

—Och...

—Proszę nie wstawać, pani Leathers. Mogę...? — Barnaby wskazał na zniszczony stółek i przyciągnął go nieco bliżej do ciepłego piecyka.

—Tak, jasne. Proszę usiąść, gdzie panu wygodnie.

Sierżant Troy przysunął do stołu krzesło i odwrócił się nieco od pary przy palenisku. Starając się nie zwracać niczyjej uwagi, wyjął notes i długopis i położył je na bawełnianym obrusie w zielono-białą kratę.

— Obawiam się, że mam złe wieści, pani Leathers — zaczął Barnaby. — Doktor Mahoney zidentyfikował mężczyznę znalezionej wczoraj w Lesie Cartera jako pani męża.

— Właściwie spodziewaliśmy się tego. Prawda, mam? — Pauline przesunęła stołek z siedziskiem z rafii, usiadła blisko matki i wzięła ją za rękę.

— Tak. Zaczynamy się oswajać z tą myślą — powiedziała pani Leathers i szybko zmieniła temat: — Mają panowie ochotę na filiżankę herbaty?

— Nie w tej chwili, dziękuję.

— Jak dokładnie zmarł mój tata? — spytała Pauline.

— Obawiam się, że został zamordowany, pani Grantham. Prowadzimy dochodzenie w sprawie o zabójstwo.

— Tak mówili we wsi — Pauline odezwała się do matki. — Nie mogłam w to uwierzyć.

— Czy macie panie jakiegokolwiek podejrzenia, kto mógł to zrobić?

Barnaby skierował to pytanie do obu kobiet, patrzył to na jedną, to na drugą i starał się stworzyć intymną atmosferę. Mówił cichym i spokojnym głosem. Na jego twarzy malowało się współczucie i szczere zainteresowanie. To właśnie tej umiejętności, z której potrafił korzystać w każdym czasie i miejscu, najbardziej zazdrościł mu Troy. Sierżant starał się czasem naśladować to zachowanie, ale ludzie zawsze umieli go przejrzeć i nie reagowali tak samo jak na pytania nadinspektora. Wyczuwał, że nie wzbudza zaufania.

— To nie mógł być nikt, kogo Charlie znał — z przekonaniem stwierdziła pani Leathers.

Troy pomyślał, że raczej nie warto tego notować. Z tego, co słyszał o tym żalonym draniu, wynikało, że zrobić to mógł właśnie ktoś z grona znajomych. Ale z pewnością nie był to czas, by o tym wspominać, i szef oczywiście tego nie zrobił.

— Ale czemu miałyby to zrobić ktoś zupełnie obcy? — Pauline zapytała matkę. — Przecież nigdy nie nosi! przy sobie dużo pieniędzy. I co on w ogóle robił w lesie?

— Wyprowadzał Candy.

— Po ciemku? O tej godzinie?

— Pani Leathers, czy mąż wyjaśnił, dlaczego wychodzi dużo później niż zwykle?

— To nie było dużo później. Około dziesiątej, zamiast o wpół do dziesiątej. Kiedy nie wrócił, pomyślałam, że zasiedział się w pubie.

— No, pięknie — wtrąciła Pauline z goryczą. — Wydawał pieniądze, jakbyście mieli ich za dużo.

— Czy powiedział, że ma się z kimś spotkać? — chciał wiedzieć nadinspektor. A potem, kiedy gospodyni pokręciła przecząco głową, dodał: — Czy zachowywał się inaczej w dniach poprzedzających swoją śmierć? Czy robił coś niezwykłego?

— Nie — kobieta zastanawiała się przez chwilę, a później dodała: — Chodził do pracy, jak zwykle.

— A gdzie pracował?

— Najczęściej w Starym Probostwie, tam gdzie ja. I wpadał na godzinę lub dwie do Fainlightów, po drugiej stronie drogi.

Nic więcej nie mogła dodać i policjanci, zapytawszy o adres Fainlightów, zbierali się do wyjścia. Barnaby powiedział, jak bardzo mu przykro, że przynosi tak złe wieści. Sierżant Troy zatrzymał się przy drzwiach.

— A jak piesek, pani Leathers?

— Trzyma się — twarz kobiety pełna była teraz smutku, tak wyraźnie nieobecnego, kiedy rozmawiali o jej mężu. — Pan Bailey mówi, że jeszcze trochę za wcześnie, by przewidzieć, co będzie dalej.

Troy wiedział, co to oznacza. To samo usłyszał od weterynarza, kiedy jego owczarek niemiecki zjadł jakieś zatrute mięso wyłożone na szczury.

— Bardzo mi przykro — powiedział.

Kiedy wyszli, Pauline zapytała, co matka przed nimi ukrywała.

—O co ci chodzi? — zdenerwowała się pani Leathers.

—Miałaś zamiar coś powiedzieć, kiedy zapytali, czy nie robił przed śmiercią czegoś niezwykłego. Ale się powstrzymałaś.

—Powinnaś pracować w policji.

—No mów, mammo.

—To nic ważnego — pani Leathers znów się zawahała, wspominając wściekłe krzyki męża i jego czerwoną twarz w chwili, gdy weszła do frontowego pokoju. — Tylko by się śmiali.

—Powiedz wreszcie.

—Robił coś w rodzaju... albumu z wycinkami z gazet.

—Albumu z wycinkami z gazet? Tata?

Na widok Starego Probostwa Barnaby wpadł w zachwyt, bo był to rzeczywiście piękny, harmonijny budynek. Wysokie wąskie okna (a w nich opuszczone do połowy rolety), nad frontowymi drzwiami wspaniałe półkoliste okienko i elegancki gzyms. Domostwo było jednak zaniedbane. Ciemnoczerwone ceglane ściany, ozdobione geometrycznym ornamentem i porośnięte dzikim winem, były porowate i aż prosiły się o remont. Tynk w znacznej części już odpadł, a to, co z niego pozostało, pokryte było brudem. Rynny i rury spustowe były połamane, a dekoracyjna podwójna brama z kutego żelaza — zardzewiała.

Troyowi przypomniała się scenografia jednego z telewizyjnych dramatów kostiumowych, które tak lubiła jego matka. Oczyma wyobraźni zobaczył dwukólkę przesuającą się przez podjazd, zaprzężoną w konia prowadzonego przez woźnicę w wysokim kapeluszu, lśniących wysokich butach i obcisłych spodniach. Z domu wybiega służący, by pomóc przybyłym przy wysiadaniu. Wówczas piękna dziewczyna, cała w zalotnych lokach i wstążkach, w sukience zakrywającej kostki, ale odsłaniającej...

—Czy będziemy tu stali przez cały cholerny dzień?

—Przepraszam pana.

Troy pociągnął za zakończony głową gryfa uchwyt staromodnego dzwonka. Kiedy go puścił, zastanowił się, co stałoby się, gdyby tego nie zrobił. Czy mógłby bez końca ciągnąć przewód? Czy mógłby odejść, zawijając go sobie wokół dłoni? Czy w końcu dom by się zawalił? Zachichotał na myśl o tej ostatniej możliwości.

—I pozbądź się tego uśmiešku.

—Tak jest.

—Nikogo nie ma — nadinspektor nie należał do osób cierpliwych.

—Są w domu. Tylko czekają, kiedy pójdziemy do tylnych drzwi.

— Co?

—Dla dostawców i domokrażców — Troy pogardliwie wydał wargi, jak zawsze, kiedy oceniał burżujów. — Tak, proszę pana. Nie, proszę pana. Trzy pełne torby.

—Głupstwa gadasz. To tylko miejscowy pastor. Lionel Lawrence.

— Więc pan go zna?

— Bardzo słabo. Dwadzieścia kilka lat temu udzielił ślubu komisarzowi policji.

—A niech to! — zdziwił się sierżant. — Więc masoni też się żenią? — Podniósł rękę, by załomotać w drzwi, ale Barnaby go powstrzymał.

—Ktoś idzie.

Drzwi otworzyła im Ann Lawrence. Nadinspektor ujrzał spłowiała niebieską sukienkę i niedbale spięte, opadające luźnymi kosmykami włosy. Jej skóra była prawie przezroczysta, a oczy tak blade, że nie można było odgadnąć ich koloru. Pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział kogoś tak bezbarwnego. Zastanawiał się, czy nie jest chora. Na ciężką anemię, na przykład.

—Pani Lawrence?

—Tak — sprawiała wrażenie osoby, która spodziewa się jakiejś tragedii. Wydawało się, że wstrzymuje oddech. Niespokojnie spoglądała to na jednego, to na drugiego mężczyznę. — Kim panowie są?

—Detektyw nadinspektor Barnaby. Wydział dochodzeniowy policji w Causton. A to sierżant Troy. — Kiedy Barnaby wyjął swą legitymację, Ann Lawrence wydała mimowolny okrzyk, po czym zakryła usta dłonią. Ostatnie resztki koloru odpłynęły z jej twarzy. — Czy możemy zamienić z panią kilka słów? I z pani mężem, jeżeli jest w domu.

—O czym? Czego panowie chcą? — Najwyraźniej starała się zebrać w sobie, zdając sobie pewnie sprawę z tego, jak dziwne mogło się wydawać jej zachowanie. —Przepraszam. Proszę wejść. — Cofnęła się, otwierając na oścież ciężkie drzwi. — Lionel jest w swoim gabinecie. Zaprowadzę panów.

Przeszli przez wyłożony białymi i czarnymi kaflami hol. Wielka lampa w kształcie gwiazdy wisiała na ciężkim łańcuchu nad schodami. Na małym owalnym stoliku tuż obok stosi-ka listów do wysłania stał miedziany dzban z bukietem bukowych liści, krwawnika i suszonego wrotyczu.

Gabinet mieścił się w spokojnym pokoju z widokiem na zaplecze budynku. Zasłony z wyblakłego jedwabiu w kolorze bursztynu były tak stare, że wydawały się prawie przezroczyste. Pokój wypełniały książki, gazety i doniczki z hiacyntami. W kominku strzelał ogień, wypełniając powietrze zapachem drewna z jałbłoni.

Lionel Lawrence podniósł się natychmiast, gdy żona przedstawiła gości, i pośpiesznie wyszedł z za biurka, by uścisnąć dłoń Barnaby'ego.

— Drogi nadinspektorze! My się już spotkaliśmy.

— Raz czy dwa — przytaknął detektyw. — Chyba w sądzie pokoju przy drobnych sprawach.

—Czy przyszli panowie w sprawie Carlotty?

—Carlotty?

—Młodej przyjaciółki, którą się opiekujemy. Doszło do nieporozumienia — właściwie kłótni z moją żoną — i dziewczyna uciekła. Oboje bardzo się martwimy.

—Niestety, my w innej sprawie. — Barnaby zastanawiał się, czy to tłumaczy dziwne zachowanie pani Lawrence, kiedy otworzyła drzwi. Uznał je jednak za zbyt silną reakcję. Większość młodych ludzi, nawet z porządnych środowisk, od czasu do czasu znika z domu. Po rodzinnej awanturze ukrywają się na noc w domu któregoś z przyjaciół. Spokojnie śpią, podczas gdy ich rodzice dzwonią do wszystkich znajomych lub chodzą po ulicach, szukając ich i nawołując. Zauważył, że kobieta znacznie się teraz uspokoiła.

— Proszę, panowie usiądą.

Gospodyni wskazała oliwkową sofę i sama usiadła, zwracając się do nich twarzą. Patrząc na jej włosy, teraz rozjaśnione w promieniach słońca, Barnaby zauważył, że nie są siwe, jak myślał wcześniej, tylko mają delikatny odcień popielatego blond. Miała na sobie źle skrojoną zieloną tweedową spódnicę i ręcznie robiony wełniany sweter.

— Chyba państwo wiedzą, że Charlie Leathers został znaleziony martwy.

—Tak — kobieta wzdrygnęła się. — To straszne.

—Byłaś u Hetty? — zapytał jej mąż.

—Oczywiście — odparła Ann ostro. — Teraz jest z nią córka. Zawiadomiamnie, jeśli będę potrzebna.

—Ktokolwiek to zrobił, trzeba go znaleźć — powiedział Lionel. To surowe stwierdzenie zostało skierowane bezpośrednio do Barnaby'ego. — Taki człowiek rozpaczliwie potrzebuje pomocy.

Sierżant Troy z otwartymi ustami wpatrywał się w wysokiego starszego mężczyznę z długimi do ramion szpakowatymi włosami, który zaczął teraz chodzić w tę i z powrotem po pokoju. Chude kości sterczały pod zmiętymi tweedowymi spodniami i znikwały w wysokich butach z elastycznymi bokami. Jego długie jak u



derkacza nogi zginały się i prostowały jak nożyczki. Wykręcał splecione dłonie w geście niezdecydowania.

—Czy mógłbym jakoś pomóc? — wykrzyknął, zatrzymując się w końcu przy pięknym inkrustowanym biurku. — Na pewno jest coś, co mógłbym zrobić.

—W tej chwili wystarczy, że odpowie pan na nasze pytania — ton nadinspektora był raczej cierpki. Nie miał zamiaru ulegać takim zachowaniom. — Słyszałem, że zatrudniał pan pana Leathersa.

—Tak. Pomagał nam w utrzymaniu ogrodu. Wykonywał różne prace.

—Od dawna u państwa pracował?

—Chyba ponad trzydzieści lat.

—Jakim był człowiekiem?

—Wielkie nieba, nie wiem. Niewiele miałem z nim do czynienia. Ann będzie pewnie mogła... — zwrócił się pytająco do żony.

—Niewiele rozmawialiśmy. Tylko o pracy.

—Zatem nie wiedzieliście państwo nic o jego prywatnym życiu?

—Niestety nie — Ann nie miała zamiaru zdradzać smutnych zwierzeń Hetty.

—Jednak wiedziałby pan, gdyby miał kłopoty? — sierżant Troy usłyszał agresję w swoim głosie, ale nie mógł się powstrzymać. Unikał wzroku szefa. — To znaczy wyczułby to pan. Jeśli chciałby porozmawiać. Jest pan przecież znany z pomagania innym.

—Tak przypuszczam. — Ironia, nawet tak mało subtelna jak sierżanta, umykała uwadze Lionela. Skinął głową, rozciągając wąskie usta w uśmiechu zadowolenia.

—A może miał kłopoty finansowe? — zapytał Barnaby. — Czy kiedykolwiek prosił o podwyżkę? Albo o pożyczkę?

—Dostawał podwyżkę co roku — odparła Ann. — Podobnie jak Hetty. Nigdy nie wspominał o kłopotach finansowych.

—Czy ktokolwiek, może ktoś obcy, kiedykolwiek przychodził tu pytać o niego? Albo dzwonił?

—Nie, nigdy. — Lionel Lawrence stał się podejrzliwy. — Słuchajcie panowie, wszystkie te pytania są bezcelowe, tracimy tylko czas. Leathers został po prostu zaatakowany przez jakąś biedną, zagubioną duszę, która być może tylko czeka, by znów coś zbroić, jeżeli nie pójdziecie stąd i jej nie znajdziecie.

W tym momencie, wyczuwając chyba rozdrażnienie obu śledczych, pani Lawrence wstała i nieco niezręcznie podążyła w stronę drzwi, wskazując ruchem szczupłej dłoni, że powinni pójść za nią. W chwilę później znaleźli się na schodach przed frontowymi drzwiami, znów w bliskim kontakcie z wino-bluszczem okalającym wejście.

— „Coś zbroić!” — wysapał Troy. — Jezu Chryste. Tak mówi o... auu!

Jego ramię znalazło się w stalowym uścisku.

—*Nigdy więcej tego nie rób!*

—Cholerni dobroczyńcy. Chce mi się rzygać.

—Nasze uczucia nie są ważne podczas przesłuchania. Jeżeli zdenerwujesz rozmówcę, nie uzyskasz od niego informacji — zapamiętaj to sobie.

—Powinniśmy pokazać im jakieś zdjęcia ofiary. — Troy z bólem uwolnił się z uścisku. — Albo kilka razy przegonić ich po kostnicy.

Mógł sobie wyobrazić reakcję na posterunku na poglądy pastora. Poparcie dla kary śmierci było tam bardzo silne, a temat ten często pojawiał się w kantynie. Ulubioną rozrywką było układanie listy pięciu nazwisk, zbieranej i aktualizowanej w tęsknym oczekiwaniu na przywrócenie tej trafnej praktyki. W zeszłym tygodniu jakiś żartowniś dopisał lorda Longforda<sup>3</sup> i doszło do długiej i całkiem poważnej kłótni, zanim niechętnie wykreślono go z listy.

---

<sup>3</sup> \* Frank Pakenhara (1905-2001) — zwany lordem Longfordem, wybitny polityk Partii Pracy, znany z kontrowersyjnej działalności w organizacji zajmującej się integracją byłych więźniów ze społeczeństwem (przyp. red.).

Kiedy Barnaby odchodził z Troyem, ponuro krocącym tuż za nim, jego uwagę przykuł jakiś ruch przy garażu. Mężczyzna mył samochód marki Humber. Nadinspektor nie pomyślał o tym, by zapytać Lawrence'ów, czy mają jakiś inny personel. I, co interesujące, oni nie pomyśleli, by powiedzieć o tym policjantom.

— Szofer — rzekł Troy z głęboką pogardą. — Ha! A myślałem, że duchowny żyje bardzo skromnie.

—Już ci mówiłem, Lawrence nie jest czynnym duchownym. Porzucił to lata temu.

—Załatwił sobie wygodne gniazdko — mruknął Troy. — Myśli pan, że pani L. ma pieniądze?

— Nie, jeśli sądzić po stanie tego miejsca.

Samochód wyglądał jak eksponat muzealny. Humber Hawk, na tablicach rejestracyjnych cztery cyfry, trzy litery. Niemal czterdziestoletni, ciężki, czarny jak okładka Biblii, ta-picerka z zużytej skóry w kolorze orzecha i ciemnobrązowego sztruksu. Był to dokładnie taki samochód, jakim, w powszechnej opinii, starszy wiejski duchowny przemieszcza się po drogach. Barnaby nie mógł powstrzymać uśmiechu. Były tam nawet małe srebrne wazoniki na kwiaty w kształcie wafli do lodów.

Chociaż mężczyzna musiał być świadom, że się zbliżają, nie spojrział w górę. Nadal równo i delikatnie polerował maskę ściereczką, po czym spryskiwał ją jeszcze raz aerozolem. Miał na sobie ciasną białą koszulkę i jeszcze ciaśniejsze dżinsy, które wyglądały na autentycznie zniszczone, a nie modnie rozjaśnione. Był bardzo zgrabny i przystojny. Sierżant Troy, już w złym humorze, wpatrywał się w niego ze złością.

— Dzień dobry — rzekł Barnaby i się przedstawił. Mężczyzna popatrzył mu prosto w oczy pełnym sztucznej serdeczności wzrokiem. Uśmiechnął się szeroko i wyciągnął rękę.

Barnaby wyjął legitymację, nie zauważając, jak się wydawało, wyciągniętej ku niemu dłoni. Jego nozdrza wyczuły delikatny zapach hipokryzji. Nie kupiłby od tego człowieka tacki frytek, nie mówiąc już o filecie rybnym.

— Witam panów. — W miarę pogłębiania się jego uśmiechu, z oczu odpływała serdeczność. Po prostu miał za mały talent aktorski, by utrzymać i jedno, i drugie. — Co mogę dla panów zrobić?

—Nazwisko? — zapytał sierżant.

—Jax.

Troy starannie zapisał: „Jacks”.

—Imię?

—Nie mam imienia. A tak przy okazji, to pisze się J-a-x.

—Naprawdę? — zdziwił się Troy.

—Prowadzimy śledztwo w związku ze śmiercią Charliego Leathersa — odezwał się nadinspektor. — Pewnie go znałeś.

—Oh, tak. Biedny stary facio. Mieliliśmy świetne układy.

—Jesteś zatem wyjątkiem — skomentował sierżant.

—Zwierzał ci się? — zapytał Barnaby.

—Trochę. Był strasznie zmartwiony, to mogę wam powiedzieć.

—Czym?

—Hazard, nie wiecie? Trochę grał i popadł w tarapaty.

—Jaki hazard? Konie?

—Nigdy nie powiedział. Ale trochę się bał.

—Czego? — chciał wiedzieć Troy.

—Pewnego wieczoru w zeszłym tygodniu przysięgał, że jakiś facet tam się na niego zaczął. — Jax kiwnął głową w kierunku ciemnej grupy drzew. — Poszedłem i rzuciłem okiem. Nikogo tam nie było.

—Więc uważasz, że ubzdurał to sobie.

—Uważałem, aż do dziś. Teraz nie jestem już taki pewny.

—Czy rozmawialiście o czymś jeszcze? — odezwał się Barnaby. — Może miał jakieś plany? Może mówił o swojej rodzinie? Albo przyjaciółach?

—Charlie nie miał przyjaciół.

—Ale z tobą się świetnie dogadywał? — sierżant Troy był uosobieniem niedowierzania.

—Taki jestem. — Jax po raz ostatni rzucił krytycznym okiem na maskę i zaczął pakować swoje narzędzia pracy — irchę, aerozol i ściereczki — do przezroczystego pojemnika zapinanego na zamek.

—Gdzie byłeś pomiędzy dziesiątą a dwunastą w przedwczorajszą noc, Jax?

—Wszystkich o to pytacie? — mężczyzna twardo wpatrywał się w Barnaby'ego. — Czy też zostałem specjalnie wybrany?

—Po prostu odpowiedz — rzucił Troy.

—W mieszkaniu — wskazał kciukiem w kierunku dachu garażu. — Tam mieszkam.

—Być może będziemy musieli znów z tobą porozmawiać — rzekł Barnaby. — Nie wyjeżdżaj nigdzie bez powiadomienia nas.

Mężczyzna podniósł swoją torbę i odwrócił się, potem, po chwili wahania, znów zwrócił się do policjantów:

—Słuchajcie, i tak się tego dowiecie. Miałem trochę drobnych kłopotów, ale Lionel dał mi drugą szansę. Tutaj mogę zacząć od początku. Za nic tego nie spierzę.

—Właśnie to chcieliśmy usłyszeć — odpowiedział nadinspektor.

Teraz pozostało już tylko porozmawiać z Fainlightami. Barnaby nie pokładał w tym wielkich nadziei. Według Hetty Leathers Charlie pracował tam tylko dwie godziny w tygodniu i, biorąc pod uwagę jego małomówność, istniała mała szansa, by poświęcał je w większości na pogawędki o sobie.

— O jasny gwint! — wykrzyknął sierżant Troy, kiedy zbliżali się do ogromnej szklanej struktury. — Zastanawiam się, jak dostali na to zgodę.

Barnaby też się nad tym zastanawiał. Uważał, że budynek jest olśniewająco piękny. Już prawie zmierzchało i niemal wszystkie pomieszczenia były oświetlone. Nie wszystkie spośród bladozielonych szklanych płyt, z których wzniesiony był dom, były przezroczyste. Niektóre były półmatowe i poświata wielu lamp i kinkietów przenikała przez nie i rozpraszała się w powietrzu niczym światło wielu niknących za mgłą gwiazd.

Na pierwszy rzut oka wydawało się, że drzwi także są wykonane ze szkła, lecz Barnaby, oglądając ogromny prostokąt z szerokimi ramami, uznał, że to prawdopodobnie jakieś bardzo twarde tworzywo sztuczne. Klamka miała formę połyskliwej, opalizującej kuli. Nie było skrzynki na listy. Wydawało się też, że nie ma dzwonka. Ani tabliczki z nazwą, chociaż, jak odkrył później, dom nazywany był po prostu Fainlights, od nazwiska mieszkańców.

—Musimy zapukać, szefie — Troy nie mógł się doczekać, by zobaczyć wnętrze.

—Poczekaj — Barnaby oglądał ościeżnicę i dostrzegł osadzony w niej wąski pasek błyszczącej stali. Nacisnął i czekał. Ze środka domu nie dochodził żaden oczekiwany po tej czynności dźwięk.

—To nie jest dzwonek — odezwał się sierżant. — To przycisk zwalniający dobermanów.

Wewnątrz domu Louise ponuro rozpamiętywała poprzedni wieczór i zignorowała dzwonek. Wpatrywała się niewidzącym wzrokiem w strony z recenzjami w „Guardianie”. Leżały obok filiżanki zimnej, gorzkiej kawy i małej niebieskiej szklanej miski z dojrzałymi brzoskwiniami.

Kiedy poprzedniego wieczoru Val wyszedł z taką dziką stanowczością, po prostu musiała pójść za nim. Wiedziała, dokąd idzie i że nie dowie się niczego nowego. Także to, że nie może zrobić nic, by go zatrzymać, i że byłby jeszcze bardziej rozzłoszczony, gdyby ją zobaczył. Jednak nie mogła się powstrzymać.

Kiedy zobaczyła, jak wchodzi do ogrodu Starego Probostwa, czekała, nie mając pojęcia, co robi, jeżeli brat ją nakryje. Gdy otworzyły się drzwi do mieszkania nad garażem, odwróciła się z ciężkim sercem i poszła do domu.

Val przyszedł mniej więcej godzinę później. Louise patrzyła na niego przez miejsce pomiędzy dywanikami na swej podłodze. Przez jakiś czas siedział nieruchomo, opierając głowę na dłoniach, później poszedł cicho na górę do łóżka.

Prawie nie spała i obudziła się przepelniona lękiem. Pierwszy raz w życiu obawiała się spotkania twarzą w twarz ze swoim bratem. Mimo to, kiedy usłyszała, że już wstał, przygotowała dzbanek herbaty Assam Orange Pekoe, którą zawsze lubił o poranku, i skierowała się do jego pokoju.

Zapukała i nie usłyszawszy odpowiedzi, delikatnie nacisnęła kłamekę. Valentine był w łazience. Najwyraźniej właśnie wyszedł spod prysznic i stał przed lustrem z ręcznikiem owiniętym wokół bioder. Golił się. Drzwi do łazienki były uchylone. Właśnie miała go zawołać, kiedy pochylił się, by opłukać twarz wodą, i zobaczyła na jego szyi straszny ślad, sinoczerwony, o prawie czarnych krawędziach.

Louise cofnęła się niezdarnie na podest. Wszystko, co miała na tacy, trzęsło się i drżało. Pokrywka dzbanka, delikatna filiżanka i spodeczek, mleko w dzbanuszku. Ostrożnie postawiła tacę na podłodze i powoli się wyprostowała. Oparła drżące ręce na biodrach i oddychała głęboko, starając się odzyskać równowagę.

Wiedziała, kto był za to odpowiedzialny, i powtarzała sobie, że to nie takie straszne, na jakie wygląda, choć wiedziała; że jest jeszcze gorsze. Przyszło jej na myśl określenie „ukąszenia miłości”. Przypomniała sobie, że kiedy udawało się błysnąć w szkolnym autobusie tymi niewinnymi, soczystymi siniakami, inne dziewczęta ich zazdrościły.

Ale to było co innego. W tym nie było śladu miłości. Raczej nienawiści. To była rana. Zastanawiała się, czy krwawiła, gdy została zadana, czy po powrocie do domu Valentine musiał sięgać do niej ręką przez ramię, umyć ją i osuszyć. Czy bolało go, kiedy się położył.

Pół godziny później, gdy jej brat wszedł do kuchni, niosąc tacę, nie mogła się zmusić, by na niego spojrzeć. Nie z powodu ich kłótni, która teraz wydawała się zupełnie błaha, ale z powodu tego, co mogła wyczytać z jego twarzy.

Poruszał się bardzo spokojnie, jak we śnie — włożył filiżankę i spodek do zmywarki, obrał pomarańczę. Potem usiadł przy stole, podzielił owoc na części, rozłożył je starannie na talerzyku, ale nie zaczął jeść.



Louise przeszła poza zasięg jego wzroku, by móc na niego spojrzeć. Potem uświadomiła sobie, że wcale nie musiała się odsuwać, bo on całkowicie zapomniał o jej istnieniu. Wpatrywał się w przestrzeń za oknem jasnym, nieruchomym, wszystkowiedzącym spojrzeniem. Całe jego ciało wskazywało na rezygnację. Ręce spoczywały smutno na kolanach, plecy ugiwały się pod niewidzialnym ciężarem.

Inne wspomnienie, tym razem z wczesnego dzieciństwa. Razem z dziadkiem oglądała album z fotografiami. Były tam też widokówki, kilka z pierwszej wojny światowej. Anioł z Möns\*<sup>4</sup> patrzył ze smutkiem na żołnierza klęczącego pod krzyżem. Żołnierz odważnie oglądał się za siebie — znał swój los i przygotowywał się, by go przyjąć. Tak wyglądał teraz Valentine.

Dźwięk kurantów przywrócił ją do rzeczywistości. Louise westchnęła, wyprostowała się i odsunęła gazetę. Za ciężkimi drzwiami zobaczyła niekształną, potężną sylwetkę. Tuż za nią drugą, szczuplejszą.

—Pani Fainlight?

—Forbes. Valentine Fainlight to mój brat. Kim panowie są?

Pokazując swą legitymację, Barnaby z zachwytem przyglądał się stojącej przed nim kobiecie. Trudno było wyobrazić sobie kogoś bardziej odmiennego od Ann Lawrence. Szerokie usta o cienkich wargach, starannie pomalowane cynobrową szminką. Wydatne kości policzkowe, lekko skośne orzechowe oczy z bardzo długimi rzęsami, skóra koloru i struktury gęstej

śmietany. Przypominała mu Lauren Bacall z czasów, kiedy Bogie\*<sup>5</sup> jeszcze mógł tańczyć boogie.

— Możemy wejść?

---

<sup>4</sup> \* Według legendy w czasie I wojny światowej angielscy żołnierze odpierający niemiecki atak pod Möns widzieli na niebie postacie aniołów (przyp. red.).

<sup>5</sup> \* Bogie — pseudonim Humphreya Bogarta (1899-1957) (przyp. red.).

—Po co? — mimo ostrej reakcji, jej głos miał w sobie pewną gardłową słodycz.

—Mamy kilka pytań na temat Charliego Leathersa. Słyszałem, że dla państwa pracował.

— Tylko trochę.

Ale odsunęła się, by ich wpuścić. Barnaby wszedł i czekał, czując się jak u siebie — jak prawie wszędzie. Troy z podziwem przyglądał się otoczeniu: wspaniałej kaskadzie zasłon, pojedynczej oszłamiającej centralnej lampie, arabskim lampkom i wzorzystym jedwabnym materiałom wiszącym na ścianach. Cała budowla była jak z bajki.

Poprowadziła ich za łukowaty lniany parawan, który ukrywał kilka szerokich skórzanych kanap w kolorze orzecha i niski stolik z czarnego szkła, na którym stały egzotyczne szachy. Była tam także niezwykła lampka z płaskim, ostro zakończonym ornamentem, przypominającym głowę węża.

— Zatem — powiedziała Louise, zakładając nogę na nogę i nieco agresywnie wpatrując się w dwóch policjantów — co tak naprawdę chcecie wiedzieć?

— Od kiedy zatrudniali państwo pana Leathersa? Zanim zdążyła odpowiedzieć, usłyszeli nad głowami wyraźne szybkie kroki, które po chwili dobiegały już od strony schodów.

— Louise! Czy ktoś przyszedł?

Za tym pytaniem kryło się coś więcej niż zwykła ciekawość. Barnaby wyczytał z niego oczekiwanie, może nawet podniecenie. Valentine Fainlight obszedł parawan i zatrzymał się tuż przed policjantami.

Trudno by zgadnąć, że to rodzeństwo — pomyślał nadinspektor. Valentine miał gęste proste włosy koloru masła, kwadratową twarz, jasnozielone oczy i duży nos. Był niższy od Louise i przy tym krępy.

— Pytają o Charliego Leathersa.

— Naprawdę? — usiadł obok siostry, wyciągnął paczkę papierosów Karelia i zapalił. — Nie sądzę, byśmy mogli się na coś przydać.

Nozdrza Troja drgnęły. Stosunkowo niedawno rzucił palenie dla dobra córki Talisy Leanne, teraz czteroletniej. Przedtem przez kilka miesięcy palił tylko w łazience, wydychając dym za okno. Maureen uważała, że palenie tylko pod prysznicem może przerwać nałóg. Taka była. Bardzo sarkastyczna.

—Co możecie mi państwo powiedzieć o Charliem Leather-sie? — zapytał nadinspektor.

—Prawie nic — odparł Valentine. — Mówiliśmy mu, co ma zrobić, a on się za to zabierał. Raz w miesiącu mu płaciliśmy. To wszystko.

—Czy pracował też w domu?

—Nie. Tylko w ogrodzie.

Barnaby zwrócił już uwagę na ogród, leżący na tyłach domu. Spokojna, niezwykle elegancka aranżacja złotego żwiru, układającego się w linie w kształcie muszli łodzika. Stało tam kilka olbrzymich, starannie rozlokowanych ceramicznych amfor, a w długim prostokątnym basenie, wyłożonym czarnymi płytkami, unosiło się kilka białych lilii. Przestrzeń zamykał mur z wieloma niszami, w których stały rzeźby w bardzo sztucznych — nawet jak na rzeźby — pozach.

Nadinspektor, zapalony ogrodnik, z pewnością nie chciałby tu pracować.

Bezduzne, nawet trochę złowieszcze otoczenie — pomyślał. Przypomniało mu to film, który oglądał w latach sześćdziesiątych, kiedy podrywał Joyce. *Ostatni rok gdzieś tam* czy *jakoś tam*.

Widząc, że szef na chwilę się rozproszył, i mając świadomość czystych kartek w swoim notatniku, Troy przerwał chwilę milczenia.

— Zatem żadnych pogawędek nad filiżanką herbaty?

Popatrzyli na niego, potem na siebie nawzajem i parsknęli śmiechem. Troy się zaczerwienił. Chciał udać, że tylko żartował (naturalnie nie brataliby się z wynajętym pracownikiem), ale wiedział, że nie będzie miał dość śmiałości, by zabrzmiało to przekonująco. Czerwień na jego policzkach pogłębiła się. Stwierdził, że nienawidzi zadzierających nosa palantów prawie tak samo jak wszelkich dobroczyńców.

— Więc nie macie państwo pojęcia, kto mógł chcieć go zabić?

—Właśnie — Louise, która czuła się raczej podle, uśmiechnęła się do Troya przyjaźnie. — Nie sędzę, by to miało jakiegokolwiek znaczenie, ale widziałam go tej nocy, kiedy zginął.

—To może mieć znaczenie — odezwał się Barnaby. — O której to było?

—Około wpół do dziesiątej. Myślę, że był w drodze do pubu. Ciągnął za sobą tego biednego pieska.

—Ach, tak. Zdaje się, że był pan przy tym, jak piesek się znalazł, panie Fainlight.

Valentine wzruszył ramionami:

— Zawiozłem ich do weterynarza, to wszystko. Właściwie powinien to być koniec wywiadu. Było jasne, że

Leathers nie odgrywał w ich życiu żadnej roli, a oni nie wiedzieli o nim nic. Ale Barnaby ociągał się z wyjściem. I to nie tylko ze względu na niezwykłość otoczenia czy na przyjemność, wciąż silną, płynącą z patrzenia na Louise Forbes. Raczej ze względu na poczucie, że było tu coś, co można by nazwać „ukrywaniem czegoś”. Być może to, co kryło się pod powierzchnią, nie miało żadnego związku z toczącym się dochodzeniem. Tak naprawdę było to bardzo prawdopodobne. Ale nigdy nie wiadomo.

Barnaby planował kolejny ruch. Coś związanego z Char-liem, jeśli to możliwe, ale co mogłoby jednocześnie rozszerzyć temat ich rozmowy.

— Czy pani Leathers także tu pracowała?

—Nie — powiedziała Louise, jeszcze zanim do końca wypowiedział pytanie. — Korzystamy z agencji w Aylesbury.

—To praktyczne. — Barnaby zauważył szybkość, z jaką zaprzeczyła. Od czego starała się odciągnąć jego uwagę? Od mówienia o Hetty Leathers? Oczywiście, że nie. O pracy Hetty Leathers? Być może.

— Myślę, że ma aż nadto pracy w Starym Probostwie. Wtedy stało się jasne, że gospodarze coś ukrywają. Zatem,

pomyślał Barnaby, rozpierając się wygodnie na kanapie ze skóry w kolorze orzecha, coś w tym jest.

— Ona nie umie przestać gadać — powiedział Troy, kiedy raz jeszcze w drodze do samochodu przechodzili pod znakiem z kłosami pszenicy, kijami do krykieta i borsukiem. — Kiedy już zacznie.

—Rzeczywiście. Szkoda tylko, że nie powiedziała nic istotnego dla naszego śledztwa.

—Tego nie wiemy, proszę pana. Trzeba mieć otwarty umysł.

Chociaż Troy starannie usunął z głosu ślady satysfakcji, poczuł między łopatkami ostre spojrzenie szefa. Jednak było warto. Słyszał tę uwagę dziesięć razy dziennie przez ostatnie dziesięć lat i po raz pierwszy to jemu udało się wtrącić ją do rozmowy. Ha, ha, ha.

Louise mówiła o latach pracy w bankowości. O problemach związanych z kupowaniem i sprzedawaniem nieruchomości w Londynie. O budynku Fainlights, opisując jak konserwatywny opór wydziału planowania przestrzennego ustąpił snobistycznej dumie, kiedy uwagę urzędników przyciągnęła sława architekta, zdobywcy wielu nagród.

Opisała dzieciństwo swoje i brata spędzone w Hong Kongu i napomknęła o tym, jak to się stało, że teraz mieszkają razem. Wspomniała o powstaniu postaci Barleya Roscoe, o jego rosnącej popularności oraz o nowej adaptacji telewizyjnej.

Pisarze. Sierżant Troy pociągnął nosem, wysyłając jeszcze jedną grupę do swej prywatnej paki. Przez chwilę podziwiał cierpliwość szefa, który siedział i słuchał wszystkich tych głupstw, ale później zdał sobie sprawę, że nie robił tego pod przymusem, ale dlatego, że chciał. Kiedy miał dość — w połowie historii o walce Louise o wyciągnięcie od Goshawk Freres odprawy odpowiedniej za jej dwunastoletnią pracę w firmie na stanowisku analityka giełdowego — nadinspektor zakończył rozmowę i wyszedł.

Kiedy doszli do samochodu, Troy powiedział:

—Bardzo apetyczna ta pani Forbes.

—Rzeczywiście.

—Po co tyle gadała, jak pan myśli?

Barnaby wgramolił się na siedzenie pasażera, oparł wygodnie i zamknął oczy. To było dobre pytanie, ale w tej chwili nie znał na nie odpowiedzi. Wiedział tylko, że w chwili gdy siostra zaczęła mówić, Valentine Fainlight odszedł, by odebrać telefon, którego dzwonek Barnaby zupełnie nie słyszał. Podejrzewał, że Fainlight także go nie słyszał. A potem Louise po prostu mówiła. I mówiła. A on był... Co to było za słowo? Rozproszony? Zdekoncentrowany? Nie, zablokowany, to było to. Zablokowany, nawet zanim podjął jakąkolwiek próbę zadania poważnego lub istotnego dla sprawy pytania, gdyby w ogóle wiedział, jak mogłoby ono brzmieć.

Na tym etapie nie miało to znaczenia. Mógł spotkać się z każdym z nich, kiedy tylko chciał. Ale jaki cel miało tak usilne odwracanie jego uwagi? Nie chodziło o to, by uniknąć dalszej rozmowy o Charliem Leathersie, tego nadinspektor był pewien. I dlaczego wyciągała wszystkie te sprawy dotyczące ich finansowej sytuacji? Wydawało mu się, że Louise jest z natury raczej dyskretna. Czy robiła to, by utrudnić mu pytanie o brata? O człowieka, który byłby w stanie zacisnąć pętlę na czyjejś szyi — jeżeli w ogóle ktokolwiek to potrafi? Prawdopodobnie, biorąc pod uwagę te niezwykle muskularne ramiona i ręce, mógłby to zrobić jedną ręką. Niezależnie od przyczyny zachowania Louise, Barnaby był zaintrygowany.

Troy zwolnił ręczny hamulec i wrzucił jedynkę. Samochód zaczął wolno wytaczać się z parkingu przy Red Lion.

— Postaraj się nie stuknąć tego vana.

Troy zacisnął usta w obliczu tej jawnej niesprawiedliwości. Był doskonałym kierowcą, pierwszej klasy. To wszystko przez przebywanie z szefem. Jego krytycyzm sprawiał, że Troy stawał się nerwowy. Tak samo czuł się przy Maureen. I swojej matce. I, prawdę mówiąc, przy ojcu. Właściwie prowadził naprawdę dobrze tylko wtedy, kiedy jechał sam. Ale tego nie mógł nikomu powiedzieć. I tak by mu nie uwierzyli.

Kiedy nadinspektor wszedł do budynku numer siedemnaście przy Arbury Crescent, powitał go cudowny zapach. Oznaczało to, że jego ukochana żona, Joyce, dziś nie gotowała. Więc kto to mógł być? Może panowie Marks i Spencer. Lub jeżeli naprawdę miał szczęście...

— Cully!

—Cześć, tato — uścisnęła go mocno i odwróciła się do garnków. — Schudłeś.

—Naprawdę? — Barnaby zapytał niedbale, ale w głębi serca był zachwycony. Na ostatnich badaniach George Bullard powiedział mu, że musi zrzucić około piętnastu kilogramów. Nietrudno było mniej jeść w domu, ale lubił wynagradzać sobie domową udrękę, folgując sobie w kantine. — Byłem na diecie. Jadłem tylko zupę z kapusty.

—Och! — Cully wzdrygnęła się teatralnie. — Jak idzie nowa sprawa?

—Tak sobie. Dziś po południu rozmawiałem ze sławną osobistością.

—A kto to taki?

—Valentine Fainlight. Píše...

—Wiem. Spotkałam go.

—No proszę!

—Na przyjęciu po premierze, trzy, może cztery lata temu. Był z Bruno Magellanem.

—Z kim?

—Wspaniałym scenografem. Myślę, że byli razem od dłuższego czasu.

—Teraz Valentine mieszka z siostrą.

—Tak, Bruno zmarł na aids. Przykra sprawa.

Barnaby poszedł do holu po wino. Wrócił z butelką Montzinger Dindarello rocznik 96, otworzył i wlał trochę do kieliszków.

—Jakieś wieści o reklamie?



—Jeszcze nic. Wciąż czekamy. Nadal nie obcinam włosów. Ale Nico ma się stawić w Narodowym w sobotę.

—To świetnie — stuknęli się kieliszkami. — A gdzie on jest?

—Wyszli z mamą kupić „prezent”. — Głos Cully przypominał werbel. W powietrzu „narysowała” cudzysłów. Srebrne wesele jej rodziców miało być za niecały miesiąc.

—Myślałem, że prezenty mają być niespodziankami.

—I są. Ten będzie od mamy dla ciebie. Ty kupisz coś dla niej...

— Wiem, wiem. A przy okazji — dziękuję za pomoc. Jakiś czas temu Cully przedstawiła ojcu przyjaciółkę z lat

szkolnych, Dodie McIntosh, teraz wziętą jubilerkę. Barnaby zamówił dla żony owalne lustro w srebrnej oprawie. Projekt był śliczny. Inicjały Joyce, płynnie się przeplatające, zostały umieszczone w sercu otoczonym przez bordiurę z jej ulubionych kwiatów — konwalii. Małe delikatne dzwoneczki ciągnęły się dalej, oplatając rączkę lusterka.

—A ja i Nicolas mamy prezent dla was obojga.

—Dobry Boże.

— Uważam, że jest wspaniały. — Cully powąchała potrawę, zamieszała i spróbowała. — Zwłaszcza że wszyscy idziemy w to szczególne miejsce. To w pewnym sensie zatoczenie koła.

Kilka dni temu rozmawiali o zaręczynach. Nicolas uważał, że to przebrzmiały zwyczaj. Cully krytykowała wyrzucanie pieniędzy na coś, co nazywała „marnym kamyczkiem”, kiedy można za to przez dwa tygodnie kołysać się na karaibskich falach ze swoim ukochanym.

Joyce wciąż nosiła swój „marny kamyczek”, który był wszystkim, na co Barnaby mógł sobie pozwolić z pensji młodego kon-stabla. Wręczył jej ten pierścienek w tanim skórzanym pudełeczku przy obiedzie w małym francuskim bistro w Londynie. Jedli *boeuf bourguignon* i tarte z truskawkami, popijając tanie czerwone wino. Doceniając znaczenie tego wieczoru, właściciel pozwolił im zabrać ze sobą menu.

Kiedy ich sytuacja finansowa poprawiła się, Barnaby zaproponował, że zastąpi mały pierścionek czymś bardziej okazałym, ale Joyce nie chciała o tym słyszeć. Nosiła go ze złotą obrączką i pięknym pierścionkiem ofiarowanym jako symbol wiecznej miłości, kupionym z okazji narodzin Cully. Upierała się, że będzie tak robić aż do śmierci.

To Nicolas wspomniał o tym, że to ważne bistro, Mon Plaisir, wciąż świetnie prosperuje przy ulicy Monmouth. Potem Cully stwierdziła stanowczo, że muszą tam iść, by uczcić ich srebrne wesele. Barnaby natychmiast się zgodził, rozkoszując się cudowną słodyczą tego pomysłu. Tylko Joyce się wahała, niepewna, czy warto wracać do miejsca, z którego ma tak cudowne wspomnienia.

—Co w tym jest? — Barnaby wyjął drewnianą łyżkę z ręki córki i zamieszał w rondlu.

—Jagnięcina, młode ziemniaki, cebula i rzepki. Na końcu wrzucę zielony groszek.

—Czy nie mogłabyś za każdym razem, kiedy przyjeżdżasz, robić wielkiej ilości jedzenia i wkładać do zamrażalnika?

—Nie. Jak mama by się wtedy czuła?

—Wiem, jak ja bym się wtedy czuł.

Roześmiali się. Barnaby usłyszał nadjeżdżający samochód, przeszedł do salonu i wyjrzał przez okno. Na podjeździe zakołysał się van z Centrum Ogrodniczego, tuż za nim pokazało się punto Joyce. Razem z Nicolasem wysiedli z auta i konferowali z kierowcą vana. Potem obaj mężczyźni wyciągnęli z bagażnika vana olbrzymią skrzynię i wnieśli ją do garażu. Barnaby przypatrywał się temu wszystkiemu ze zdumieniem, po czym wrócił do kuchni.

— Widziałeś skrzynię? — Joyce weszła do domu, pocałowała męża i wyjęła dla siebie kieliszek.

—Oczywiście. — Barnaby nalał jej wina. — Jest wielka jak dom.

—No cóż, ona nie ma nic wspólnego z tobą. Mówię to na wypadek, gdyby przyszło ci to do głowy. — Joyce wypiła trochę wina, stwierdziła, że jest wspaniałe, podeszła do córki i objęła ją ramieniem w talii. — To Elizabeth David?

—Nie. Navarin Printanier.

—Tak myślałam. — Spróbowała sosu. — Wyśmienity. Naprawdę robisz postępy, kochanie.

—Dzięki, mammo.

Barnaby znów podszedł do okna. Ogromna skrzynia była już w środku i Nico zamknął drzwi garażu. Nadinspektor, pewny, że to był prezent dla niego, wysiłał umysł. Była tylko jedna rzecz, której naprawdę potrzebował do ogrodu, ale z pewnością, nawet w tych eleganckich i sybaryckich czasach, nikt nie produkował srebrnych kosiarek do trawy.

TLR

# Rozdział szósty

---

Przed piątkową poranną odprawą Barnaby szybko zapoznał się z pierwszymi raportami z wizyt domowych. Bardzo go rozczarowały. Oprócz zeznania właściciela pubu Red Lion, że po dwudziestej trzeciej Charlie Leathers siedział w części dla palących, nie znalazł nic, co mogłoby im pomóc. Kilka źródeł potwierdzało, że Charlie był starym żalosnym draniem, który nie bardzo dbał o to, gdzie trafiał pięściami.

Feralnej nocy chwalił się, że ma wejść w posiadanie większej sumy oraz że wie już, jak ją spożytkuje. Ale ponieważ zawsze dużo gadał o tym, jak wyda wygraną na wyścigach lub na *loterii*, nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Nie było żadnej wzmianki o tym, by obstawiał inaczej niż zwykle.

Barnaby z irytacją odsunął kartki na bok i wysłał krótką modlitwę do bóstw przyczyny i skutku, by nie było to „przypadkowe morderstwo”. Najgorszą zmorą każdego śledczego jest morderstwo popełnione przez nieznanego na nieznanym. Bez żadnego motywu, który osoba przy zdrowych zmysłach mogłaby zrozumieć, chociaż zabójca, kiedy zostaje złapany, z przekonaniem przedstawia powody, które popchnęły go do tego czynu. Oczywiście, jeśli nie ma choćby jednej nitki, po której można by trafić na jakikolwiek ślad, zabójca często pozostaje na wolności, a ogromna ilość czasu i pieniędzy idzie na marne.

Otrząsając się z tego pesymizmu, nadinspektor pospiesznie się podniósł, wsunął krzesło pod biurko i głośno zaczął domagać się kawy. Nie doczekawszy się reakcji, przypomniał sobie, że Troy szuka w komputerowej bazie danych mężczyzny, który, jak twierdził, nazywa się po prostu Jax. Byłoby ciekawie odkryć, na czym polegały te „drobne kłopoty”, które go spotkały.

Barnaby przeszedł do głównego biura, nalał sobie filiżankę mocnej kolumbijskiej kawy i rozejrzał się w poszukiwaniu swego asystenta. Zauważył go w najdalszej części pomieszczenia z jednym okiem na monitorze, a drugim na pięknej telefonistce. Nadinspektor zbliżył się do niego ukradkiem i mocno klepnął w plecy.

—Cholera jasna!

—Jak idzie?

—Wolałbym, żeby pan tego nie robił. — Troy wyprostował się i naciągnął lekko wypchane ramiona swojej marynarki od Cero Cerrutiego. — Nie najlepiej, szczerze mówiąc.

—A co sprawdzałeś?

—Jax, tak na wszelki wypadek. Jacks pisane przez c, k i s. Jacklin. Teraz szukam Jackmana, ale wydaje się, że to nazwisko nosi połowa więziennej populacji.

Barnaby patrzył przez ramię sierżanta na twarze, które szybko pojawiały się i znikały na ekranie. Niewyobrażalnie podłe, ale także miłe i przyjazne, oblicza facetów, których aż by się chciało poniańczyć. Czarne, białe, jak również we wszelkich odcieniach brązu. Pokryte tatuażami i z kolczykami, a także różowiućkie, gładkie i o okrągłych oczach. Brzydtko ogolone, pokryte guzami głowy z kilkudniowym zarostem oraz schludne siwe czupryny.

—Rety, zatrzymaj. — Sierżant Troy przytrzymał klawisz i obaj studiowali zdjęcie przestępcy. Trudno było wyobrazić sobie twarz kogoś bardziej zdeprawowanego. Przypominająca kulę armatnią głowa wyrastała bezpośrednio z byczych ramion. Szeroki nos z wielkimi porami, cienkie wargi odsłaniające niekompletne, wykoślawione zęby, skołtunione włosy. Uroczą całość dopełniało chytre spojrzenie spod przymrużonych powiek.

—Kto to?

—Skorumpowany prawnik.

Wkrótce potem dotarli do końca Jackmanów.

— Może — zasugerował sierżant — całkiem zmienił swe prawdziwe nazwisko. I jest to na przykład Saunders, Greenfield...

— Wątpię. Na szczęście oni nie mają wiele wyobraźni, jeśli chodzi o pseudonimy. Spróbuj Jackson.

Jacksonów także było wielu, lecz w końcu znaleźli swojego poszukiwanego: ciemnowłosa, o nieskazitelnym profilu i z całkiem okazałymi wąsami, niemniej jednak był to ten sam mężczyzna.

— Mamy go! — zawołał Barnaby. — Do czego zatem prowadzą się „drobne kłopoty”?

Troy jeszcze trochę postukał w klawisze. Obaj wpatrywali się w ekran, po czym zwrócili się do siebie z wyrazem zaniepokojenia i zdumienia.

— Nie wierzę — odezwał się sierżant.

— A ja tak — Barnaby przypomniał sobie, jak ścierpła mu skóra na widok szofera. Jego odraza na myśl o uściśnięciu wyciągniętej dłoni pogłębiała się, w miarę jak czytał listę jego przestępstw. — Nie mogę uwierzyć raczej w to, że ten stary dureń, Lawrence, pozwala temu podłemu skurczybykowi przebywać w pobliżu swojej rodziny.

—Może o tym nie wie.

—Oczywiście, że wie. Jest w radzie resocjalizacyjnej.

Droga do Ferne Basset była bardzo przyjemna. Ciepłe promienie jesiennego słońca prześwietlały przydrożne krzewy i tworzyły plamy światła na drodze, wciąż mokrej po niedawnej ulewie. Na polach właśnie odbywała się orka. Błyszczące bruzdy ciemnobrązowej ziemi podnosiły się i zawijały za zębami bron, a za chwilę rozdziobywało je stado krzyczących ptaków.

Wioska wyglądała już prawie tak, jak przed całym zamieszczeniem. Ani śladu policji, ani jednego przedstawiciela czwartej władzy. Grupa nastolatków wygłupiała się na skraju Lasu Cartera, w którym doszło do zbrodni. Wbiegali pomiędzy drzewa i wybiegali z przerażającymi okrzykami „uaa”, „uaa”. Udawali, że duszą jeden drugiego, chodzili wokół ze sztywnymi rękami i nogami, jak potwór z „Frankensteina”.

Dochodziła trzynasta, kiedy podjechali pod Stare Probostwo. Troy, przypominając sobie dawne powiązania Lawrence'a z komisarzem, spodziewał się, że najpierw grzecznościowo odwiedzą gospodarzy i wyjaśnią powód swego przybycia. Ale Barnaby kazał sierżantowi zaparkować na końcu podjazdu, jak najbliżej

mieszkania szofera. Kiedy wysiedli, Troy zauważył w garażu humber hawka i powiedział:

— Wygląda na to, że jest w domu.

Barnaby zastukał głośno do ciemnoniebieskich drzwi. Wokół nich rozrastał się wonny wiciokrzew, a na stopniu stały doniczki z kremowymi petuniami i szalwią. Nad ich głowami otworzyło się oko.

—Czego chcecie?

—Porozmawiać, panie Jackson — zawołał Troy, zadzierając głowę.

Był zaszokowany tym, że znali jego nazwisko, zauważył Troy. Ale musiał przecież wiedzieć, że go sprawdzają.

—Nie potrzebowaliście zbyt wiele czasu, by się do tego dokopać.

—Tutaj albo na komisariacie, jak wolisz — odezwał się nadinspektor. — I rusz się. Nie lubię stać na progu.

Okno zamknęło się, ale minęło kilka minut, zanim otworzyły się drzwi.

Dla Troya był to jednoznaczny gest: „niech się chrania i poczekają, mam ich gdzieś”. Barnaby bardziej martwił się, że w tym czasie Jax mógł pochować wszystko, co wzbudziłoby ich podejrzliwość. Teraz żałował, że nie przyjechali z nakazem rewizji, ale okoliczności raczej tego nie uzasadniały. Nie znaleźli niczego, co wiązałoby Jacksona ze śmiercią Charliego Leathersa. To był po prostu człowiek, którego czyny z przeszłości wskazywały na morderczy brak samokontroli.

Po wyściełanych chodnikiem schodach weszli za nim do długiej kawalerki w kształcie litery L. Stały w niej wygodne meble, a Barnaby nie mógł nie zauważyć, że są dużo nowsze niż w Probstwie. Podłogę przykrywał beżowy dywan, ściany ozdobione były ładnymi kwiatowymi wzorami, a na kremowych zasłonach czerwieniły się maki. Obok listwy przypodłogowej leżało kilka kompletów ciężarków. Dwoje drzwi prowadziło prawdopodobnie do kuchni i do łazienki.

Sierżant Troy wpatrywał się w to wszystko, a na jego twarz wystąpił rumieniec złości. Myślał o żebrakach leżących na chodniku, narażonych na wszelką niepogodę i każdy występki, jakiego ma ochotę się dopuścić przechodzący rze-



zimieszek. O nastolatkach dających sobie w żyłę w wilgotnych kartonowych pudłach. O swoim dziadku i babci, którzy żyjąc z państwowej emerytury, liczyli każdego pensa, dumni z tego, że nigdy nie byli zadłużeni. A ten cholerny łajdak...

— Sierzancie!

— Tak, proszę pana. — Troy zebrał się w sobie. Wyjął notatnik i usiadł w wygodnym fotelu z pomarańczową tapicerką. Barnaby zajął drugi. Jackson stał, opierając się o drzwi.

—Czujcie się jak u siebie w domu.

—Wydaje się, że spadłeś na cztery łapy, Terry.

—Dla pana — pan Jackson.

—A zatem, tej nocy, kiedy zginął Charlie Leathers...

—Już o tym mówiliśmy.

—No cóż, znów o tym mówimy — sierżant Troy cedził słowa przez zaciśnięte zęby.

—Byłem tutaj mniej więcej od dziewiętnastej. Oglądałem seriale — wskazał na przenośny telewizor marki Sony. — Wypiłem kilka piw, zrobiłem sobie makaron. Posłuchałem Johna Peela w radiu. I poszedłem spać.

Barnaby pokiwał głową. Jackson mógł być spokojny. Był wystarczająco bystry, by wiedzieć, że nic na niego nie mają, bo w przeciwnym razie już siedziałby w areszcie w Causton. Nadinspektor przeszedł do mniej drażliwych tematów.

—Jak Charlie obstawiał?

—Telefonicznie.

—Kim był bukmacher? — chciał wiedzieć sierżant.

—Nie wiem.

—Ale ktoś go ścigał, a on się bał?

—Zgadza się.

—Ciekawe, że nikt inny nic o tym nie wie — zauważył Troy. — Nawet jego żona.

—Ta zgorzkniała stara suka? — roześmiał się Jackson. — Biedny Charlie marzył, żeby zamienić ją na coś młodszego. Wiecie, co mam na myśli?

—Ani jego kumple z pubu. Jackson wzruszył ramionami.

—Myślę, że to wszystko zmyśliłeś.

—Każdy może myśleć, co chce.

— Czy on wiedział coś o twojej przeszłości, Terry? — zapytał nadinspektor.

—Zaczynam tutaj od nowa. Mówiłem wam.

—To musi być miłe. Wymazać przeszłość, tak po prostu.

—Taaa... —Jackson patrzył na policjantów podejrzliwie. Nie był pewien, czy podoba mu się kierunek, w którym zmierzała rozmowa. Rozciągnął usta w przy-  
milnym uśmiechu. Jego siekacze, tak ostro zakończone, jakby były przypilowa-  
ne, zabłyśły bielą.

—Nie można tego nazwać wspaniałą przeszłością, prawda? — ciągnął Barna-  
by.

— Odsiedziałem swoje.

— I robiłeś niewiele poza tym. Od początku sądy dla nieletnich. Kradzieże, oszustwa, pomoc w dużych przekrętach. Ostrzeganie dilerów i paserów. Poważne uszkodzenie ciała, pobicie emeryta i pozostawienie go bliskiego śmierci. Pchnię-  
cie nożem...

—Podjudzili mnie. Był nas tam cały tłum.

—Ty trzymałeś nóż.

—I co? Każdy zasługuje na drugą szansę.

To nie była prośba, raczej proste stwierdzenie faktu. Barnaby zastanawiał się, czy emeryt też nie chciałby dla siebie drugiej szansy. Albo ten facet pozostawiony w rynsztoku z przebitym płucem.

— Gdybyś dostał to, na co zasłużyłeś, Jackson, świat lepiej by pachniał.

Na dole drzwi otworzyły się i zamknęły. Barnaby, obserwując Terry'ego Jacksona, nie mógł wyjść z podziwu dla jego nagłej przemiany. Silny, bezlitosny mężczyzna przekształcił się na jego oczach w prześladowane, ścigane stworzenie, znajdujące się u kresu wytrzymałości. Z jego muskularnej sylwetki zniknęła cała twardość. Nogi się pod nim ugięły. Kucnął na podłodze, przyciągając kolana do piersi, i ukrył twarz.

— Co się tu, u licha, dzieje, Jax?

Chłopiec (tak, chłopiec, w którego się zamienił) powoli podniósł głowę i z wielkim wzburzeniem wpatrywał się w wielebnego Lawrence'a. Obaj policjanci patrzyli z niedowierzaniem na blade, zalęknione oblicze, zmartwione, zaszklone łzami oczy i drżące usta.

— Po prostu tu wtargnęli. Uwzięli się na mnie. Nic nie zrobiłem.

—Wiem, Jax. Wszystko w porządku.

—Obiecałem ci, że nigdy cię nie zawiodę.

Lionel Lawrence odwrócił się do Barnaby'ego. Wyglądał poważnie, miał miłą twarz człowieka rozczarowanego i można było odnieść wrażenie, że jeżeli ktoś go zawiódł, to funkcjonariusze policji Jej Królewskiej Mości.

—Dlaczego prześladowacie tego młodego człowieka?

—Nie ma mowy o prześladowaniu. Po prostu prowadzimy śledztwo w sprawie śmierci pana Leathersa.

—Myślałem — zasugerował sierżant Troy — że pańskim życzeniem jest, by zrobić to dokładnie. Biorąc pod uwagę, że to był pański pracownik.

—To mój dom. Jeżeli jeszcze raz będziecie chcieli rozmawiać z Jaksem, najpierw zajrzyjcie na Probostwo. Przyjdę tutaj z wami. Nie będzie więcej dręczenia. Ma do tego prawo.

—Właściwie to nie ma. — Barnaby skinął na swego sierżanta, który złożył notes i podniósł się do wyjścia. Nadinspektor podążył za nim, spoglądając do tyłu tylko raz.

Lionel Lawrence pochylał się i pomagał Jacksonowi wstać. Ten przywarł do jego ramienia i opierał się na nim. Jego pokryta łzami twarz jaśniała pobożną wdzięcznością, jakby właśnie otrzymał błogosławieństwo.

Barnaby, czując mdłości, zatrzasnął drzwi i zbiegł po schodach.

—Ten stary przyk to gej, bez dwóch zdań — sierżant Troy wielkimi krokami szedł w stronę samochodu i dawał ujście emocjom, kopiąc żwir.

—Nie sędzę.

—Więc co? Po co *to robi*?

Po co Lionel Lawrence to robił? Barnaby nie przestawał o tym myśleć, kiedy Troy zawrócił na podjeździe i wyjechał na główną drogę.

W przeciwieństwie do wielu kolegów nadinspektor nie wrzucał wszystkich dobroczyńców do jednego worka i nie pogardzał nimi. W trakcie swej długiej kariery policjanta spotkał ich już bardzo wielu, zarówno zawodowców, jak i amatorów, i nauczył się rozpoznawać różne typy tych ludzi oraz rozmaite korzyści, które były następstwem ich działań. Zawsze było kilku, którzy twierdzili, że nic z tego nie mają. I wielu więcej takich, którzy nie umieli wyjaśnić, na czym te korzyści polegają.

Wielu robiło to dla władzy, jaką zyskiwali, możliwości tworzenia związków, w których to oni rządzili. Byli to ludzie, których osobowość i talenty sprawiały, że w normalnej sytuacji raczej nie sprawowałyby władzy nad niczym bardziej niezależnym niż biurowy kot. W ich wypadku współczucie było po prostu kostiumem dla protekcjonalności.

Takie same pobudki kierowały osobami nieprzystosowanymi społecznie. Tacy emocjonalni nieudacznicy, zazwyczaj nie-będący w stabilnych, szczęśliwych związkach, już na samym starcie mieli ogromną przewagę, gdyż mogli dyktować psychiczne warunki. Często po raz pierwszy w ich życiu ktoś ich potrzebował.

Byli też tacy, którzy w przemocy doszukiwali się romantycznego uroku. Nigdy nie padli jej ofiarami i czasem podejmowali się odwiedzin w więzieniach. Mając zawsze w pobliżu strażnika, mogli owocnie spędzić czas z kimś, kto, ich zdaniem, był jednym z najbardziej dzikich i niebezpiecznych przedstawicieli ludzkości. Barnaby miał kiedyś do czynienia z takim odwiedzającym więźniów kwakrem, pacyfistą. Na przyjaciół wybierał sobie samych morderców, a kiedy uświadomiono mu ten paradoks, właściwie nie zauważył w tym nic dziwnego.

Można by do tego dodać tych, którzy przeszli na wcześniejszą emeryturę i odczuwali bliżej niesprecyzowaną chęć pomocy innym, oraz niewielką liczbę osób zamożnych o wysokiej świadomości społecznej. Zostawali jeszcze nieliczni, bardzo nieliczni przedstawiciele rasy ludzkiej, którzy bez żadnych dodatkowych warunków po prostu kochali swoich współbraci. Barnaby często spotykał ludzi, którzy mieli o sobie takie właśnie zdanie, ale przez ponad trzydzieści lat naliczył tylko dwóch prawdziwych altruistów.

Do której grupy zaliczyć Lionela Lawrence'a? Nadinspektor postanowił dowiedzieć się czegoś więcej o tym człowieku. Na przykład czy Lawrence'owie mieli dzieci? Jeżeli nie, to mogła to być przyczyna, dla której tak konsekwentnie oferował schronienie młodym. (Czy ktoś nie wspomniał o dziewczynie, która uciekła?) Czy zawsze był blisko Kościoła? Czy to było jego pierwsze małżeństwo? Jeżeli tak, to jak wyglądało jego życie, zanim się ożenił? I czy ten ciepły, przesadnie opiekuńczy stosunek do ludzi, dotyczył także osób nieatrakcyjnych, w średnim wieku lub starszych obojga płci? A jeśli nie, to dlaczego?

Detektyw został gwałtownie przywrócony do rzeczywistości, kiedy sierżant Troy z furją nacisnął na klakson i nagłym ruchem głowy wskazał na mężczyznę z rudym seterem. Obaj wprawdzie cierpliwie czekali, by przejść przez ulicę i ruszyli z chodnika z rozsądną szybkością, ale Troy, wciąż gotujący się ze złości z powodu odpychającej scenki, jakiej właśnie był świadkiem, gwałtownie zwiększył obroty silnika.

Kiedy policjanci opuszczali wioskę, minęli Morrisa należącego do Evadne Pleat. Samochód właśnie skręcał w ulicę Tali Trees. Zjeżdżał w dół wąskiej drogi, zgniatając osty i pokrzywy i zbierając na kołach różne lepkie substancje pozostawione przez zwierzęta.

stawione przez ludzi i zwierzęta. Kobieta starała się nie myśleć o drodze powrotnej.

Wielu pomyślałoby, że to głupota tam wjeżdżać, ale Evadne miała cenny ła-dunek, który nie mógł być bezpiecznie przetransportowany w żaden inny sposób. Z tyłu siedziała Hetty Leathers i trzymała w objęciach Candy. Nie mogła znieść myśli o zamknięciu zwierzęcia w pudełku czy koszu po tym, co przeszło. A niesienie go w dół alejki na rękach, choćby bardzo ostrożne, nadal pociągałoby za sobą ryzyko potknięcia się, a może nawet przewrócenia i upuszczenia cennego ciężaru.

Evadne zaparkowała tuż przed domem Hetty, a ta podała jej klucz. Kiedy frontowe drzwi były już otwarte, bardzo ostrożnie wysiadła.

Obie kobiety stanęły w kuchni, uśmiechając się do siebie. Hetty nie chciała odłożyć psa i w końcu usiadła przy kuchennej kozie z Candy na kolanach, a Evadne przygotowała herbatę.

—Myślisz, że będzie mogła wchodzić i wychodzić ze swojego koszyka?

—Chyba nie — odparła Evadne. — Myślę, że lepiej będzie po prostu położyć poduszkę na podłodze.

Przyglądały się psu, leżącemu w dziwnej pozycji na plecach i wpatrującemu się w Hetty. Tylne noga, w gipsie, sterczała prosto do góry. Rana na głowie i postrzępione ucho zostały pozszywane, a na szyi suczka miała szeroki sztywny biały kołnierz, który miał jej uniemożliwić drapanie się. Hetty uznała, że zwierzę wygląda całkiem komicznie i osobliwie, trochę jak pies Toby z książek dla dzieci. Teraz gdy wiedziała, że Candy przeżyje, mogła sobie pozwolić na taką wesołą obserwację.

—Czy... hm... — Evadne zbliżyła nos do puszki upamiętniającej srebrne wesele Królowej i Księcia Filipa. Zawierała ona jakiś czarny, bardzo ostro pachnący proszek. Powąchała go delikatnie i cofnęła się z niedowierzaniem. — Czy to...?

—Tak, tak — powiedziała Hetty radośnie. — Jedna łyżeczka dla każdej z nas i jedna na dzbanek.

—Dobra — Evadne wlała gorącą wodę, zdjęła z haczyków na sosnowym stojaku dwa kolorowe kubki z wizerunkiem Tower of London i rozejrzała się za sitkiem.

—Musisz poczekać, aż się zaparzy, Evadne. Przynajmniej pięć minut.

— Dla mnie już jest dobra.

Evadne nalała pół kubka dla siebie, poczekała aż przyjaciółka skinęła głową i przygotowała napój także dla niej. Do czarnej jak smoła cieczy dodała dużą ilość mleka i wsypała dwie duże łyżeczki cukru.

— Czy na pewno taka ma być?

— Cudowna — Hetty pociągnęła duży haust. — Herbata, po której może ślizgać się mysz, jak mawiał mój ojciec.

Evadne z przyjemnością wyobraziła sobie mysz na łyżwach, jeżdżącą po powierzchni napoju Hetty, z przednimi łapkami złożonymi z tyłu, potem usiadła i chciała pogłaskać Candy. Jednak tak niewiele ciała pieska było odkryte, że zadowolili się delikatnym poklepaniem go po nosie.

—Poradźcie sobie?

—Poradzimy. Byłaś taka dobra.

— Nonsens — Evadne szorstko odrzuciła tę myśl, tak jak mają to w zwyczaju wszyscy naprawdę dobrzy ludzie. — Cóż, lepiej wróć do rodziny.

Hetty zdecydowała się odprowadzić gościa do bramki. Ale kiedy tylko znalazła się poza zasięgiem wzroku Candy, zwierzę zaczęło cicho skomleć. Straszne, łkające dźwięki które poruszyły obie kobiety do głębi serca. Evadne odwróciła się.

— Boi się — powiedziała. — Przez jakiś czas nie będziesz mogła zostawiać jej samej. Dasz sobie radę?

—Tak. Pauline pomoże mi z zakupami.

—Wpadnę jutro i...



Ale drzwi już zamykały się za gospodynią. Evadne niepewnie spojrzała na swojego morrisa. Był wciśnięty między dwa żywopłoty jak korek w butelkę. Wydawało się niepojęte, jak tu wjechała, a było po prostu niemożliwe, by zawróciła. Potrzebowała pomocy.

Z wysiłkiem precyzyjnie przesuwała się obok samochodu, potem wyruszyła w kierunku głównej ulicy we wsi, zbierając rzepy, które przyczepiały się do jej jasnozielonych szerokich lnianych spodni. Pomyślała o tym, by wstąpić do Red Lion. Była tam miła obsługa. Bardzo przyjazna, zawsze ktoś z nich rzucał jakiś żart, kiedy przechodziła z pekińczykami.

Z drugiej strony mogła się wywiązać rozmowa o tym, kto mógłby bezpiecznie wyprowadzić samochód, a kto nie. Kto ma trochę czasu. I kto mógłby doskonale nadawać się do tego zadania, gdyby nie był właśnie w Aylesbury z wizytą u matki. Innymi słowy, zwłoka.

Evadne chciała szybko mieć problem za sobą, by móc wrócić do domu i przygotować pekińczykom lunch. Mazeppa lubiła na początek, około południa, ciepłą galaretkę ze szpiku na świeżym toście, w przeciwnym razie jej przemiana materii, zawsze delikatna, znacznie się pogarszała.

I wtedy Evadne pomyślała o Valentinie Fainlighcie. O tym, jaki był miły, kiedy spotkał Hetty błądzącą ze swoim rannym pieskiem. On z pewnością pomoże. Będzie pewnie zadowolony z pretekstu, by wejść do bungalowu i sprawdzić, jak ma się Candy.

Valentine tylko udawał, że pracuje. Przez cały ranek nie zrobił nic konkretnego — mył pędzle, zaczynał szkice do ilustracji do scen, które jeszcze nie zostały napisane i według wszelkiego podobieństwa miały takimi pozostać. A kiedy tajemnicze kuranty przy drzwiach zadźwięczały pomiędzy szklanymi ścianami, jego umysł był tak wypełniony erotycznymi wyobrażeniami, że nic nie usłyszał. W jego głowie wciąż krążyły naładowane elektrycznością widoki, dźwięki, wrażenia i zapachy z poprzedniej nocy.

Z tymi wspomnieniami mieszały się inne — z chwili, kiedy Jax po raz pierwszy pozwolił mu wejść do swego mieszkania. Było to prawie cztery miesiące temu. Do tamtego wieczoru prawie ze sobą nie rozmawiali, wymieniali tylko ba-

nalne uprzejmości nieznajomych. Ale wymieniali też spojrzenia, które doprowadziły Valentine'a do kompletnego zauroczenia urodą tego mężczyzny oraz do męczarni nieustannych rozmyślań o tym, kiedy, gdzie i jak to może się stać.

A kiedy wreszcie niebieskie drzwi stanęły przed nim otworem, ostrożnie postawił stopę na pierwszym stopniu, wnosząc ze sobą oczekiwanie ostatnich tygodni, i z niedowierzaniem zaczął wspinać się w górę, nieomal oczekując, że wewnętrzne drzwi pozostaną zamknięte na klucz.

Nie były zamknięte. Wszedł do pokoju i stanął niepewnie na progu, drżąc z emocji. Cicho zawołał: „Cześć” i wyczuł za sobą jakiś ruch. Silne gładkie ramię otoczyło jego tors, poczuł mocny uścisk i pociągnięcie w tył. Dotyk ciepłych ust parzył jego kark, a język prześlizgnął się po krawędzi ucha, po czym wcisnął się jak wąż głęboko do środka. Jego koszula została powolutku wyjęta ze spodni i, guzik po guziku, rozpięta.

Valentine, nagle oślepiiony szczęściem, próbował się odwrócić. Aby objąć twarde spocone ciało drugiego mężczyzny, aby się do niego odezwać. Ale nagie ramię mocniej zacisnęło się na jego piersi i nie mógł się poruszyć. Już nie chciał się ruszać.

Jax zaczął szeptać, wlewając strumień sprośności w ucho swojego więźnia, potem wykonał śmiały ruch i wszedł w niego. Valentine, starając się złapać oddech, wpadł w koszmar podniecenia i bólu.

Dlaczego myślał, że spotka go tu czułość? Parząc na Jaksę, który przeszedł do łazienki, wsłuchując się w szum wody pod prysznicem, powoli się ubierał i zadawał sobie to pytanie, a potem z pogardą uznał się za słabeusza. Czego oczekiwał? Było to wstrząsające przeżycie — radość i niepokój w równych proporcjach; każdy poszukiwacz przypadkowego seksu chciałby mieć takie szczęście.

Jax wyszedł odziany w szlafrok, z uśmiechem zdobywcy. Jest zmęczony i chce odpocząć, więc Val musi mu wybaczyć. Valentine, ukrywając rozczarowanie faktem, że zabrakło zwyczajowego papierosa po stosunku, zawahał się. Wziął z sobą pieniądze, choć miał nadzieję, że okażą się niepotrzebne. Nie dlatego, by był skąpy, ale dlatego, że szukał czegoś, czego nie można kupić za pieniądze. Ale musiał mieć pewność, że będzie tu znów mile widziany.

— Zastanawiam się... — Rozpiął marynarkę. Nietrudno było zauważyć zarys grubego portfela w wewnętrznej kieszeni. — To jest...

—Miło z twojej strony, Val.

—Naprawdę?

—Będę szczery. Dość kiepsko teraz u mnie z pieniędzmi.

—Może mogę pomóc.

—Zasiłek, który dostaję, to psie pieniądze.

Val po prostu wyjął z portfela wszystkie banknoty i położył je delikatnie na stoliku. Jax, spokojny i odprężony, nawet nie spojrzał w tym kierunku. I chociaż powiedział „dobranoc”, nie podziękował.

Po niespełna dwudziestu czterech godzinach Val rozpaczliwie pragnął znów znaleźć się w mieszkaniu nad garażem. I tak się to ciągnęło.

Valentine nigdy nie uważał się za masochistę. Nigdy nie szukał bólu i nie znajdował w nim przyjemności. Lecz szybko dostrzegł, z dreszczem przerażenia, że ten mężczyzna może zrobić z nim wszystko, dosłownie wszystko, a on się nie opiera. Nawet z radością wita wszystko, do czego między nimi dochodzi.

Wreszcie dźwięk dzwonka przebił się przez gęstą mgłę jego wspomnień. Louise by nie dzwoniła. Miała klucz. To musi być on! Valentine poderwał się od biurka, sfrunął po karmelowych spiralnych schodach i szarpnięciem otworzył frontowe drzwi.

Za nimi stała kobieta z Mulberry Cottage, właścicielka całej gromady psów. Miała na sobie przedziwny strój, a w jej potarganych włosach było pełno pyłków, liści, nasion, znalazłoby się nawet kilka jeżyn.

Dopiero po chwili Valentine odzyskał głowę, a po kilku następnych dotarło do niego, co kobieta mówi. Była to raczej niespójna przemowa o jakimś samochodzie, którego nie mogła zawrócić, o rannym psie oraz o kimś o imieniu Piers, kto musiał zostać wypuszczony z wybiciem dwunastej, jeżeli miał zachować swą naturalną rolę przewodnika grupy.

Valentine poszedł po marynarke. Niezależnie od tego, o co chodziło w tym dramacie, rozwiązywanie problemu pomoże mu zapełnić czymś czas do wieczora — kiedy zapadnie zmierzch i będzie mógł jeszcze raz pojawić się przy pomalowanych na niebiesko drzwiach.

Zaproszenie do Starego Probostwa na kawę, choć nie takie rzadkie, nie zdarzało się też zbyt często. Kiedy Ann zadzwoniła poprzedniego wieczoru i zaproponowała spotkanie, Louise zgodziła się od razu, choć planowała tego ranka jechać do biblioteki w Causton. Mogła zrobić to później w ciągu dnia i ze smutkiem zauważyła, że uważa to za „wypełnienie popołudnia”. Potrzeba zabijania czasu była nieprzyjemną nowością. Kiedy jeszcze pracowała, często modliła się o czterdziesto-ośmiogodzinny dzień.

Przed wyjściem próbowała uczciwie ocenić swoją relację z Ann Lawrence. Prawie jakby sprawdzała jej siłę. Ich przyjaźń nie trwała zbyt długo. Większość kobiet nie nazwałaby ich zwierzeń intymnymi. Ale Louise wyczuwała w przyjaciółce prawdziwe ciepło i była przekonana, że Ann okazałaby się zarówno dyskretna, jak i lojalna.

Problem leżał w tym, że Louise bardzo chciała się podzielić swoimi troskami o Valentine'a z jakąś współczującą osobą. Miała przyjaciół, z którymi mogła rozmawiać, ale żaden z nich nie mieszkał blisko, żaden też nie spotkał się twarzą w twarz z indywiduum, które było źródłem jej trosk. Wiedziała, że Ann nie znosi Jaksy, chociaż nigdy tego po sobie nie pokazała, podejrzewała też, że przyjaciółka się go boi.

Kiedyś, gdy przez pół nocy nie mogła zasnąć, zastanawiała się, czy nie zadzwonić do Samarytan. Zapewniali poufność, a zapewne łatwiej byłoby rozmawiać z miłym anonimowym słuchaczem, zwłaszcza przez telefon.

Ale gdy tylko zaczęła wykręcać numer, opadły ją wątpliwości. Co mogła powiedzieć? Mój brat jest homoseksualistą i spotyka się z człowiekiem, który moim zdaniem jest niebezpieczny? Co by jej odpowiedzieli? Czy jest tego pewna? Nie. Jak dobrze zna tego mężczyznę? Wcale. W jakim wieku jest jej brat? Czterdzieści trzy lata. Czy próbowała z nim o tym rozmawiać? Raz. Doprowadziło to do takiego rozdzwiewku między nimi, że przysięgła sobie nigdy więcej tego nie robić.

Czy sądzi, że dałby się przekonać do tego, by sam z nimi porozmawiał? Pod żadnym pozorem. Nie ma o czym gadać.

Rzuciła okiem na zegarek. Prawie jedenasta. Przygotowywała się do wyjścia bez wielkiego entuzjazmu, nie zawracała sobie głowy makijażem, upięła tylko luźno włosy na czubku głowy. Założyła szeroką lnianą brzoskwiniową sukienkę z długimi rękawami i ciemne okulary. Wprawdzie dzień nie był zbyt słoneczny, jednak brak snu pozostawił ciemne sińce pod jej oczami.

Kiedy po jej dzwonku nikt nie pojawił się w drzwiach Probostwa, Louise skierowała się na tyły domu i z ulgą zauważyła otwarte drzwi do garażu i brak samochodu.

Do tylnego wejścia wchodziło się przez oranżerię. Była bardzo duża i bardzo stara, trzymano w niej akcesoria ogrodowe, kalosze, stare kurtki, kilka słomkowych kapeluszy i tuziny kwitnących roślin. Rozrośnięta winorośl, o konarach tak grubych i twardych jak ludzkie ramię, posadzona wprost w ziemi, wiała się jasnymi i coraz cieńszymi gałązkami aż po dach. Całe pomieszczenie wypełniał bardzo przyjemny, intensywny zapach ziemi. Louise zatrzymała się na chwilę, delektując się głuchą, prawie niepokojącą ciszą, zakłócaną tylko przez syk i kapanie z ogrodowego węża.

Popchnęła drzwi i zawołała:

— Dzień dobry.

Nikt nie odpowiadał. Zastanawiała się, czy Ann po prostu nie zapomniała o zaproszeniu i nie wyszła, pozostawiając otwarte drzwi. Często jej się to zdarzało, ku zdumieniu Louise, wynikającemu z długiego zamieszkiwania w mieście.

Chociaż okazało się, że gospodyni jest w kuchni, bez wątplenia musiała zapomnieć o zaproszeniu. Kiedy Louise zerknęła przez otwarte drzwi, Ann odpowiedziała jej pustym spojrzeniem, jakby miała przed sobą kogoś zupełnie obcego — tylko przez ułamek sekundy, ale wystarczająco długo, by Louise stwierdziła, że Ann nie będzie osobą, przed którą można otworzyć serce. Kierowana potrzebą chwili, chyba za bardzo puściła wodze fantazji, doszukując się w zwykłej, miłej znajomości czegoś, co nigdy nie miało miejsca. I chociaż wiedziała, że to nie w porządku wobec Ann, była zaskoczona stopniem własnego rozczarowania.

—Louise! Och, przepraszam. Całkiem... Ojej!

—Nie szkodzi.

—Oczywiście, że szkodzi. Proszę, usiądź.

Ann, według Louise wyraźnie bardziej zdenerwowana, niż mogłoby to wynikać z sytuacji, zaczęła pospiesznie się krzątać, przygotowywać dzbanek do parzenia kawy, wycierać blat, wyjmować żółte filiżanki śniadaniowe. A wszystko to z nerwową determinacją, która zdradzała, jak niepożądana jest ta wizyta.

— Posłuchaj — odezwała się Louise, nadal stojąc w drzwiach — możemy to przełożyć.

— Nie, nie. Musisz zostać.

— To może tylko napijemy się herbaty? — Przysunęła drewniane krzesło. — Zaparzymy sobie ekspresową w kubkach.

Ann natychmiast porzuciła przygotowania do zaparzenia kawy i włączyła elektryczny czajnik, który od razu się wyłączył. Wpatrywała się w Louise.

—Nie wiem... Dziś rano wszystko wydaje się... — nie dokończyła zdania.

—Pozwól — Louise wstała i napełniła czajnik wodą. W zlewozmywaku było pełno brudnych naczyń. Znalazła puszkę i przygotowała herbatę, jednocześnie zerkając na Ann, która siedziała teraz przy stole, blada i lekko drżąca na całym ciele.

Louise podała kubki, usiadła i wzięła przyjaciółkę za rękę. Była zimna i sucha. Siedziały tak w milczeniu przez dłuższy czas. Louise, tak swobodna na początku, teraz zaczęła się czuć nieswojo w przeciągającej się ciszy.

—Co się stało, Ann? Jesteś chora?

—Nie.

—Cała drżysz.

— A tak — Ann zaczęła sama sobie zaprzeczać."— To chyba grypa. Albo przeziębienie czy coś takiego.



Cokolwiek to było, z pewnością nie było to „coś takiego”. Louise zastanawiała się, czy może chodziło o jakieś smutne wydarzenia w rodzinie. Może ktoś umarł. Ale potem przypomniała sobie, że Ann nie miała bliskich krewnych. Ani przyjaciół poza wioską. Może to spóźniona reakcja na zamordowanie Charliego Leathersa? To nie wydawało się prawdopodobne. Podobnie jak inni, nie lubiła tego mężczyzny.

— Chcesz o tym porozmawiać? — uwolniła rękę.

Ann podniosła głowę i spojrzała na Louise. Później przeniosła puste spojrzenie na kubki z herbatą, okruchy grzanki, gałązki purpurowego berberysu w dzbanuszkach. Czy chciała o tym porozmawiać? Mój Boże, tak. Czasem tak bardzo chciała o tym porozmawiać, że obawiała się, iż nie będzie mogła się powstrzymać. Że będzie musiała, jak ci biedni byli pacjenci ze szpitali psychiatrycznych, zaczepić kogoś zupełnie nieznanego na ulicy i zmusić go do wysłuchania straszliwego sekretu.

Ale czy mogła zaufać Louise? Czy dobrze ją znała? Pomyślała, że bezpieczniej byłoby porozmawiać z jakimś przechodniem. Po prostu uznaliby ją za szaloną i na tym by się skończyło.

Oto co się stało. Wcześniej tego ranka, tuż przed wpół do dziesiątej, Ann znalazła drugi list w małej skrzynce na listy przy drzwiach wejściowych. Co dziwne, zważywszy, że wciąż była w szoku po otrzymaniu pierwszego, nie od razu rozpoznała, co to właściwie jest.

Zwykła poczta została dostarczona pół godziny wcześniej i okazała się tak samo nudna i nieszkodliwa jak co dzień. Większość stanowiły reklamowe śmieci i Ann wrzuciła je do kosza. Lionel, który kręcił się w pobliżu, przygotowując się do lunchu z przedstawicielami Rady Powierniczej Caritasu, zgarnął resztę do swojej torby.

Po śniadaniu Ann pomogła Lionelowi założyć płaszcz, znalazła jego lekki, ciepły szal i wyszła, zostawiając go wciąż pochylonego nad dokumentami. Chciała sprawdzić, jak radzą sobie pani Leathers i Candy. W drodze powrotnej wstąpiła do Brian's Emporium po świeży chleb i pomarańcze, na poczcie kupiła kilka znaczków. W sumie była poza domem przez mniej więcej pół godziny.



W tym czasie we wsi mogło ją zobaczyć wiele osób i kilka pewnie rzeczywiście ją widziało. Myśl, że jedna z nich obserwuje dom i czeka, aż z niego wyjdzie i skręci za chwilę w uliczkę, na której mieszka Hetty, lub stanie w kolejce na poczcie, a potem wrzuca tę okropną wiadomość do jej skrzynki na listy, zmroziła jej krew w żyłach, delikatnie rzecz ujmując.

Jej imię wydrukowane było na kopercie w pełnym brzmieniu. Słowa na kartce, teraz też powycinane z gazety i poprzyklejane, wyglądały inaczej. Tym razem wszystkie pochodziły z gazetowych nagłówek. Ann wpatrywała się w wielkie, czarne, przerażające drukowane litery: „TYM RAZEM PIĘĆ KAWAŁKÓW MORDERCZYNI TO SAMO MIEJSCE TA SAMA PORA JUTRO”.

Nic nie widząc, przeszła do kuchni, wrzuciła list i kopertę w ogień, a potem usiadła sztywno wyprostowana przy stole. Jak znaleźć pięć tysięcy funtów w dwadzieścia cztery godziny? Nawet gdyby sprzedała biżuterię matki, tak jej drogą, nie zebrałaby wiele.

Oczywiście miała dom. W porównaniu z wartością Starego Probstwa, mimo jego obecnego kiepskiego stanu, kilka tysięcy było niczym. Nie wątpiła, że bank udzieli jej pożyczki pod tak solidny zastaw. Ale co potem? Musiałaby spłacać pożyczkę, co mogła robić, spieniężając któryś ze swoich papierów wartościowych, czym zmniejszyłaby swoje jedyne dochody. I tak ledwie wystarczało na życie ich dwojga. A co, jeśli pojawią się dodatkowe potrzeby?

Właśnie gdy w rozmyślaniach doszła do tego nieszczęsnego momentu, pojawiła się Louise. Była troskliwa i miła. A teraz pytała, czy ona, Ann, chce o tym porozmawiać.

Pokusa była ogromna. Ann czuła, jak jej usta wypełniają się słowami. Wyjaśnienia, usprawiedliwienia. Jak cała ta okropna sprawa z Carlottą się rozpoczęła i całkowicie wymknęła spod kontroli. Miała już wypowiedzieć pierwsze zdanie: „To nie była moja wina”, kiedy zadzwonił telefon.

To była tylko wiadomość dla Lionela, ale później Ann uznała, że ten przyrwynek cudownie pojawił się w samą porę. Jaka była głupia, że chciała zwierzyć się Louise. Czy naprawdę dobrze znała tę kobietę? Dom Fainlightów wznosił się tuż nad Probstwem. Louise mogłaby bez trudu zobaczyć, kiedy Ann wychodzi,

pozostawiając wolną drogę. Mogła po prostu pobiec, wrzucić list, wypatrywać jej powrotu i przyjść, by napawać się swoją przewagą.

Ann spojrzała podejrzliwie na drugi koniec stołu, całkiem zapominając, że to ona sama zaprosiła Louise, która zbierała się teraz do wyjścia. I dobrze. Od tej chwili Ann będzie bardzo mocno trzymać język za zębami. I nie zaufa nikomu.

Poranna odprawa nie trwała długo. I okazała się tak zniechęcająca, jak Barnaby się obawiał. Nie mieli żadnych tropów ani wskazówek. Wizyty u mieszkańców wioski, już zakończone, nie przyniosły nic, czego by już nie wiedzieli. Wydawało się, że w przeszłości Charliego Leathersa nie było żadnych mrocznych sekretów. Urodził się i umarł w jednej wiosce i wszyscy tam o nim wszystko wiedzieli. Jego życie było otwartą, choć niezbyt przyjemną, księgą.

Nadinspektor opuścił centrum operacyjne, gdzie całą ścianę zajmowały odstręczające powiększone zdjęcia z miejsca zbrodni, i udał się do znacznie milszego otoczenia — biura prasowego, gdzie miał nagrać telewizyjny apel o zgłaszanie informacji. Apel ten miał zostać wyemitowany o dwudziestej drugiej trzydzieści, tuż po podsumowaniu lokalnych wiadomości.

Ze stoickim spokojem siedział, kiedy pudrowano mu twarz, by nie świeciła się na wizji — zabieg, którego nienawidził — i zastanawiał się, jak Nicolas mógł znosić nakładanie tego czegoś na twarz przez dwa popołudnia i pięć wieczorów tygodniowo. Gdy już wykonał swoje zadanie i miał wychodzić, sierżant Troy wsunął głowę przez drzwi i powiedział, że ktoś czeka w recepcji, by się z nim spotkać.

—Przepraszam, że przychodzę tak późno—była to córka Het-ty Leathers. — Mówiąc prawdę, myślałam, że już pan wyszedł.

—Nic nie szkodzi, pani Grantham. — Barnaby poprowadził ją do wysłużonych skórzanych siedzeń na samym końcu recepcji.

—To nie potrwa długo.

Właściwie Pauline miała teraz zupełnie inny nastrój niż wówczas, gdy po raz pierwszy dowiedziała się od matki o „albumie z wycinkami” Charliego. Tuż po odkryciu, że zginął w wyniku morderstwa, wydawało się to niezwykle ważne. Później, stopniowo, fakt ten tracił jej zdaniem na znaczeniu i teraz siedziała tu z

reklamówką pełną pociętych gazet, czując się jak głupia. Tak naprawdę chciała już wcześniej wyrzucić to wszystko z powrotem do kosza i zapomnieć o całej sprawie.

Pospiesznie wyjaśniła to Barnaby'emu, przepraszając go jednocześnie za to, że marnuje jego czas. Ale on wydawał się wdzięczny, że przyszła. Daleki był od tego, by tylko chwycić torbę ze zdawkowym „dziękuję” — dokładnie wypytywał ją, jak doszło do tego odkrycia.

—No cóż, to było wtedy, kiedy zapytał pan, czy tata robił coś niezwykłego przez ostatnich kilka dni.

—Pamiętam.

— Poprzedniego wieczora... poszedł do frontowego pokoju z gazetą i nożyczkami. Siedział tam całe wieki. Kiedy mama weszła zapytać, czy chce herbaty, wydarł się na nią.

— Dlaczego mama sądziła, że robi album z wycinkami?

— Wycinał coś z gazet. A na stole stał słoik z klejem. I jeszcze jedna zabawna rzecz — kontynuowała Pauline pospiesznie, gdy Barnaby właśnie miał się odezwać. — Posprzątał po sobie. A to już cud.

— A te papiery to resztki, które zostały?

— Tak, ścinki, wszystko. Wyrzucił je do śmieci. Na szczęście to było wieczorem, bo w poniedziałki przyjeżdżają śmieciarze i już by to zabrali.

Chwilę później, w swoim biurze nadinspektor wyciągnął z plastikowej torby pocięte szpalty z „The People”. Strona pierwsza, „Rzeź niewiniątek”, datowana była na niedzielę, 16 sierpnia. Troy, który wciąż kręcił się na komendzie i z radością przystał na pozostanie po godzinach, oddał mu gazety z wyrazem zdumienia na twarzy.

— Nie rozumiem, w jaki sposób robienie albumu z wycinkami może doprowadzić do zabójstwa faceta.

—On nie robił albumu z wycinkami.

—Więc co to było?

—Rusz mózgiem, Troy.

Sierżant zastanawiał się nad tym przez chwilę, w skupieniu marszcząc brwi. Już miał się poddać, gdy nagle coś przyszło mu do głowy.

—Cokolwiek Leathers wycinał, miał w tym jakiś cel. Więc nie znajdziemy tu brakujących fragmentów.

—Będą w oryginale. Zanim wyjdiesz, weź to do centrum operacyjnego i posadź przy tym kogoś z nocnej zmiany. Niech porówna to z pełną wersją gazety.

— O! Dobry pomysł, szefie.

Wydawało się to takie oczywiste, kiedy już zostało powiedziane. Dlaczego więc on, Troy, choć raz nie mógł wpaść na coś równie pomysłowego. Dostrzec ślad, który wszyscy inni przeoczyli. Umieścić jakiś dowód w takim miejscu, by rzuciło to światło na całą sprawę i przyniosło rozwiązanie zagadki. Prosił tylko o jeden raz. O szansę, by pokonać nadinspektora, zanim ten odejdzie na emeryturę. Marzenia ściętej głowy.

## Rozdział siódmy

---

Następnego ranka Barnaby zjechał windą do centrum operacyjnego, trzymając kciuki za szczęśliwy przełom w śledztwie. Niewiele jest rzeczy bardziej frustrujących niż absolutnie statyczna sprawa bez żadnego punktu zaczepienia, który mógłby doprowadzić do rewelacyjnego odkrycia. Być może „album z wycinkami” Charliego okaże się takim punktem. Jeżeli tak, poprawi mu to humor, bardzo kiepski po ostrej wymianie zdań z Joyce po śniadaniu.

— Masz dziś wolne, Tom.

Wstał od stołu, wziął marynarkę i chyłkiem skierował się do drzwi.

—Tom!

—Tak?

—Masz dziś wolne.

—Wczoraj, kiedy wychodziłem, pojawiło się coś bardzo ważnego.

—Więc?

—Pomyślałem, że lepiej zająć się tym dziś, niż siedzieć pół nocy i gonić z robotą.

—Czy nie mógłby się tym zająć ktoś inny i zadzwonić do ciebie?

—Wolę zrobić to...

—Kiedy wbijesz w coś zęby, jesteś jak pies, który chwycił kość. Śmiertelnie przestraszony, że ktoś inny może coś uszczknąć.

—Głupstwa opowiadasz — Barnaby przeszukiwał kieszenie w poszukiwaniu kluczyków i zastanawiał się, czy miała rację. — W każdym razie jutro jestem cały dzień w domu.

—Wiesz, że Gavestonowie przychodzą na obiad? Prawie zapomniał.

—Tak.

—Wpół do siódmej, najpóźniej.

— Tak! — krzyknął, po czym zrobiło mu się przykro i spróbował pojednawczo pocałować żonę.

Joyce odwróciła policzek i trzasnęła drzwiami od kuchni. Barnaby trzasnął drzwiami wejściowymi. Wsiadł do astry i trzasnął drzwiczkami, po czym ostro ruszył na komisariat, co było do niego zupełnie niepodobne. Na miejscu wsiadł najpierw do windy, potem wkroczył do swojego pokoju, gdzie, dla równego rachunku, także trzasnął drzwiami.

Miał nadzieję, że przez tę ostatnią sprzeczkę jego żona i córka nie zjednoczą się przeciwko niemu, jak zwykły to robić od czasu do czasu, wierząc mu dziurę w brzuchu, by wcześniej przeszedł na emeryturę. Nie, żeby czasem nie tęsknił za takim rozwiązaniem. Mimo poczucia zawodowej wspólnoty, wzmacnianego czasem szklaneczką czegoś mocniejszego, przyjaźni i wzajemnego wspierania się policja, przynajmniej na wyższych stanowiskach, przypominała basen pełen rekina. Wielkie bestie, pływające dokoła, kłapiące szczękami, a ogonami rozpryskujące wodę. Egoizm i rywalizacja, parcie do przodu. By dzielić i rządzić.

Nic dziwnego, że tak wiele spośród tych smutnych, wyczerpanych stworzeń kończyło znacznie wcześniej, niż to było konieczne, z dala od walki, za biurkiem, w zaciszu centrali. Ale nie on, nie Barnaby. Zbyt długo w tym siedzi, by mógł zaakceptować taki wygodny, „bezzębny” odpoczynek.

Wysiadając z windy, nadinspektor wpadł na swego sierżanta, który właśnie wyszedł z toalety w oparach papierosowego dymu.

—Wciąż sprawdzasz swoją silną wolę, Troy?

—Panu wydaje się to takie łatwe. Uzależnienie potrafi być naprawdę...

—Uzależniająca?

—Tak. Nikt cię nawet nie pochwali.

—Co?

—Ci, którzy nigdy nie palili. Maureen, na przykład. Nie wiedzą, jak to jest.

Barnaby nie miał nastroju na takie lamenty. Pomaszerował do centrum operacyjnego, rzucił prawie pustą teczkę notatek na biurko i popatrzył na swoich ludzi, którzy wyglądali na przygnębionych. Wydawało mu się, że ich szeregi są przereźdzone.

—Gdzie jest konstabl Mitchell?

—W drodze — wyjaśnił inspektor Carter. — Pracowała...

— Nie powinna być teraz w drodze! Powinna być tutaj. Ty — machnął palcem na konstabla siedzącego przy stole — idź i...

Ale w tej chwili do pokoju wpadła Katie Mitchell. Cała w uśmiechach, podniekcytowana.

—Proszę pana! Ja...

—Spóźniłaś się.

— Kurier dostarczył gazetę dopiero o wpół do szóstej rano. I było tyle strzępów, że złożenie tego trwało całe wieki.

— Aha. Rozumiem.

— I wszystko po to, by znaleźć cztery wycięte słowa. Barnaby wyciągnął rękę. Konstabl Mitchell podeszła i wręczyła mu arkusz papieru A4.

—Przykleiłam je w jedynej kolejności, w jakiej to ma jakiś sens, proszę pana.

—Ach tak — powiedział Barnaby, zwracając uwagę na zwrot „w jedynej kolejności”. I serce podskoczyło mu w górę z radości.

„Widziałem jak ją popchnęłaś”.

Barnaby jeszcze raz przeczytał te słowa, tym razem głośno. Widział i czuł zainteresowanie i ożywienie wszystkich obecnych. Apatia i rozczarowanie zniknęły w jednej chwili.

Zatem, jak się teraz wydawało, anonimowy telefon nie był żartem. Istniało duże prawdopodobieństwo, że ktoś naprawdę wpadł lub został wepchnięty do



Misbourne krótko przed dwudziestą drugą trzydzieści dwie w niedzielę, szesnastego sierpnia.

— Czy ktoś ma jakiś pomysł na to — spytał Barnaby — jak ten ślad może popchnąć nasze śledztwo do przodu?

Sierżant Troy nie wahał się. Chociaż jego myśli i opinie rzadko były brane pod uwagę, starał się ćwiczyć umysł. Nie mógł znieść sytuacji, gdy można mu było zarzucić brak aktywności.

— Leathers zobaczył kogoś, kto został wepchnięty do wody, i próbował wymusić na kimś pieniądze. Jednak ten, kogo zmuszał, zamiast płacić, założył mu na szyję piękną drucianą pętlę. Poza tym, ponieważ jedna pupilka z gromadki Lionela Lawrence'a zniknęła mniej więcej w tym samym czasie, powiedziałbym, że te dwa incydenty mają ze sobą związek — Troy przerwał i nagle poczuł, że nadinspektor mu się przygląda, wbił więc wzrok w najbliższy ekran komputera. Analiza wydawała mu się całkiem logiczna, ale znał szefa. Barnaby miał zwyczaj rozkładania wszystkiego na czynniki pierwsze, znajdowania słabego punktu i podsuwania ci go z powrotem pod nos, niczym procy gotowej do strzału.

—Dobrze.

—Tak jest, proszę pana — Troy ostrożnie przyjął pochwałę. Już to nieraz przechodził. Najpierw coś miłego, potem ukłucie, niczym kolcem skorpiona. Na przykład: „Dobrze... jak na kogoś z trzema procentami komórki mózgowej martwej ameby”.

—Chociaż...

No i zaczyna się.

— Myśl, że to — Barnaby pomachał kartką — jest pierwszy krok do szantażu, chociaż niezwykle prawdopodobna, na tym etapie musi pozostać tylko przypuszczeniem. — Uśmiechnął się radośnie, pozostawiwszy za sobą wcześniejsze przygnębienie.

— Jeszcze ktoś? Tak, inspektorze Carter.

—Ten telefon, proszę pana. Może dzwonił ktoś, kto popchnął tę drugą osobę. Mógł wpaść w panikę. Żałować tego, co zrobił.

—Ratunek raczej nie byłby w jego interesie — odezwała się sierżant Brierley.  
— Mógłby zostać oskarżony o napaść. Albo jeszcze gorzej.

—Ktokolwiek to był, mógł wpaść do wody przez przypadek

— zasugerował Troy. — Na przykład podczas bójki.

—To nie daje podstaw do szantażu.

—Aha. Rozumiem. — Nie powiem już ani słowa w czasie tej odprawy. Ani jednego pieprzonego słowa.

—Dobrze — powiedział Barnaby. — Teraz chcę dostać taśmę z tym anonimowym telefonem, więc niech ktoś się wybierze do Kidlington. I jeszcze kopię raportu zespołu śledczego wysłanego nad rzekę. Potem obejdziemy jeszcze raz domy w Ferne Basset — omińcie Stare Probstwo, tam sam złożę wizytę — i w pozostałych dwóch okolicznych wioskach, Swan Myrren i Martyr Bunting. Pytajcie o wszelkie niepokojące wydarzenia zaobserwowane pomiędzy dwudziestą pierwszą a, powiedzmy, północą. Pamiętajcie, że to mogło być wszędzie, niekoniecznie w pobliżu rzeki. Klótnie się przenoszą. Podobnie jak coś unoszącego się na wodzie. Musimy więc rozesłać fakсы nie tylko do naszych posterunków, ale także do sąsiednich hrabstw: do Oxfordu, Wiltshire. I powiadomcie władze rzeczne. Jeżeli będziemy mieli szczęście, mogą nawet rozpocząć poszukiwania. I chcę, by brzeg rzeki został przeszukany od wioski aż do jazu. To tam Leathers wyprowadzał psa, więc wyobrażam sobie, że to stamtąd widział, jak ofiara zostaje wepchnięta. Szukajcie też w szpitalach i kostnicach w okolicy. Być może mają przypadki utonięć z ostatnich sześciu dni. Nie zapomnijcie o rejestrach pacjentów w przychodniach. Ofiara mogła sama się wydostać na brzeg lub zostać wyciągnięta i skorzystać z pomocy lekarskiej, a potem zostać odesłana do domu. Gdziekolwiek to jest.

—Czy pytamy konkretnie o młodą kobietę, proszę pana? — zapytał konstabl Phillips.

—Nie. Nie chcę tego zawęzić na tym etapie. Wciąż tylko zgadujemy. — Barnaby krótko pomachał swoją kartką A4 ze składającą się z czterech słów wiadomością i odłożył ją na biurko. — Chcę, żeby kopia tego znalazła się na tablicy. Niech ktoś weźmie odciski palców pani Pauline Grantham, w celu eliminacji, i Leathersa, w celu potwierdzenia. Macie też zdjąć odciski palców w budce telefo-

nicznej w Ferne Basset, chociaż przypuszczam, że po sześciu dniach będzie to tylko strata czasu.

Kiedy policjanci wychodzili, Barnaby odchylił się do tyłu na krześle i zamknął oczy, by wszystko powtórnie przemyśleć. Zdecydował się wystąpić o nakaz rewizji. To może być dobry pomysł, by przeszukać pokój dziewczyny, a wyobrażał sobie reakcję Lawrence'ów, gdyby pojawił się bez odpowiedniego zezwolenia. A na razie...

—Troy.

—Tak jest — sierżant szybko się poderwał.

—Batonik Mars.

Hetty Leathers chciała już wrócić do pracy. Była zaskoczona tym, jak bardzo brakuje jej towarzystwa, gdy Pauline wyjechała do męża i dzieci. Chociaż była ostatnią osobą, która sugerowałaby, że nieszczęśliwe małżeństwo jest lepsze niż żadne, nie wątpiła, że można się przyzwyczaić do obecności drugiego człowieka. Pauline dzwoniła co wieczór i miała przyjechać z całą rodziną na weekend, ale to nie było to samo.

Drugą przyczyną były pieniądze. Hetty znalazła się w bardzo kłopotliwym położeniu, gdyż nie było jej stać na pogrzeb męża. Z przerażeniem dowiedziała się, ile dokładnie to miało kosztować. Swe jedyne oszczędności, niewiele więcej niż dwieście funtów, z trudem odkładała przez lata z pieniędzy na utrzymanie. Czasem pod koniec tygodnia zostawał funt lub dwa. Najczęściej nie zostawało nic.

Candy nadal była bardzo nieszczęśliwa, gdy jej pani wychodziła z pokoju choćby na chwilę. Ann Lawrence zaproponowała więc, by Hetty brała psa ze sobą do pracy. Ann podjeżdżała na koniec alejki, a Hetty przynosiła owiniętego w koc pieska do samochodu. Potem spędzał dzień na starym fotelu przy kuchence.

I tam właśnie leżał, pogrążony w głębokim śnie, kiedy przyszli Barnaby i Troy. Nadinspektor zauważył, że garaż był pusty, i nie czuł z tego powodu wielkiego zawodu. Przypuszczalnie Jackson wiozł teraz dokądś wielebnego Lawrence'a w jego sprawach. A to oznaczało, że Ann Lawrence będzie sama.

Wspomnił ich pierwsze spotkanie. Jej szok i wzdrygnięcie się w chwili, gdy zrozumiała, kim są. Jej ostrożność podczas odpowiadania na pytania i wyraźną ochotę, by się ich pozbyć. Tym razem będzie miał o co pytać. I zapyta.

Ale to Hetty Leathers otworzyła drzwi i wyjaśniła, że oboje Lawrence'owie wyszli.

—Z panią także chcieliśmy porozmawiać, pani Leathers — Barnaby uśmiechnął się, będąc już w holu. — Jeśli można.

—No cóż — z niepokojem wpatrywała się w sierżanta Troya, który właśnie zamykał za sobą ciężkie wejściowe drzwi. — Pracuję.

—W kuchni, tak?

Troy na widok małego pieska wydał okrzyk radości.

—Lepiej się już czuje?

—Tak. Weterynarz powiedział...

Barnaby pozwolił im kontynuować przez chwilę. To zrelaksuje panią Leathers i może pomóc, kiedy przyjdzie jej odpowiadać na pytania. On sam tak naprawdę niezbyt interesował się zwierzętami, chyba że były nadziewane, najlepiej szalwią i cebulą, i miały chrupiącą skórkę.

— Napiją się panowie herbaty?

Obaj policjanci powiedzieli „tak” i usiedli przy długim zniszczonym stole z miękkiego drewna, by ją wypić. Stał tam też talerzyk z herbatnikami. Kobieta wyglądała na zaskoczoną i zaciekawioną. Przysunęła im cukiernicę. Troy nasyptał sobie kilka łyżeczek cukru, zamieszał, po czym dyskretnie wyjął notes z kieszeni marynarki i rozłożył go na kolanie.

—O co chodzi, nadinspektorze? Znowu o Charliego?

—Niezupełnie. Chciałbym, żeby powiedziała nam pani, jeśli może, o młodej dziewczynie, która do niedawna tu mieszkała.

—O Carlotcie?

—Słyszałem, że uciekła.

—I dzięki Bogu. Po pierwsze, taka dziewczyna jak ona nigdy nie powinna się tu znaleźć.

—Jak długo tu mieszkała? — zapytał sierżant.

—Zbyt długo. — A potem, gdy Barnaby uśmiechnął się zachęcająco, pani Leathers dodała: — Kilka miesięcy.

—Jaka to była osoba?

—Dwulicowa. Traktowała innych jak śmieci, chyba że wielebny był w pobliżu, wtedy była do rany przyłóż.

Takie zachowanie brzmiało znajomo. Barnaby zauważył związek i podążył za tym skojarzeniem:

—A co z Jaksem? Dwoje młodych ludzi, przypuszczam, że się lubili?

—Nie. — Hetty, z głęboką niechęcią, dodała: — To jedyna dobra rzecz, którą można o niej powiedzieć. Nie znosiła go.

—Chyba nie należy do pani ulubieńców? — zapytał sierżant.

—Na jego widok cierpie mi skóra. Pani Lawrence nie zgadza się, by wchodził do domu, i wcale się jej nie dziwię.

—Czy zawsze tak było?

—Słucham?

—Chodzi mi o to, czy stało się coś konkretnego, co spowodowało ten zakaz.

—Nie. Postawiła sprawę jasno od samego początku. I wyobraźcie sobie, że on i tak wszedł tutaj któregoś dnia, wydaje mi się, że w środę rano. Weszłam do jadalni, by posprzątać, a on tam stoi, opiera się o framugę, jakby był tu właścicielem. A biedna pani Lawrence drży jak listek. Zaraz go wyprosiłam, oczywiście.

Troy zapisał środową datę, kiedy zauważył spojrzenie szefa. Było pełne ciekawości.

—Czy powiedział, czego chce?

—Mówił coś o telefonie, że nie działa. Jakieś bzdury. Barnaby odczekał chwilę, ale gdy nic więcej nie miała już do powiedzenia na ten temat, wrócił do rozmowy o Carlocie.

—Czy wie pani coś o przeszłości dziewczyny? Może skąd się tu wzięła?

—Wzięła się stamtąd, skąd oni wszyscy. Z tego komitetu dobroczynnego, w którym działa pastor. — Hetty wypła trochę herbaty i przesunęła ciasteczka orzechowe w stronę sierżanta. — Gdyby mnie ktoś zapytał, to są pieniądze wyrzucane w błoto. Dlaczego nie mogą iść na porządne dzieciaki, które próbują radzić sobie w świecie?

—Ma pani całkowitą rację, pani Leathers — sierżant Troy połknął trzy ciasteczka.

—Rozumiem, że Carlotta zniknęła po kłótni — odezwał się Barnaby. — Czy wie pani, czego ta kłótnia dotyczyła?

—Nie wiem, a gdybym wiedziała, to i tak bym wam nie powiedziała. Nie obmawiam pani Lawrence za jej plecami.

—Nie oczekiwałbym...

—Ta kobieta to święta, gdy się pomyśli, przez co musi przechodzić.

Nastroszyła się. Nastąpiła chwila ciszy. Barnaby skinął głową przy ostatnim zdaniu, z wyrazem ogromnego ubolewania. Troy uśmiechnął się i puścił oko do psa, który właśnie się obudził. Candy ziewnęła w odpowiedzi. Nadinspektor z wahaniem zadał kolejne pytanie:

—Czy ktoś przychodził odwiedzać Carlottę? Przyjaciele albo krewni?

—O niczym takim nie wiem. Dostała dziwny list, pocztą lotniczą, z zagranicy. Nie powiem, co z nim zrobiła.

Obaj policjanci czekali cierpliwie.

—Poszedł wprost do ognia.

—Coś podobnego — zdziwił się Barnaby.

—Nigdy go nawet nie otworzyła. Mówiłam do niej któregoś dnia, że to mogło być coś ważnego. A jeśli ktoś umarł?

—I jak zareagowała?

— Kazała mi pilnować swoich spraw. — Hetty podniosła się szybko i zaczęła zbierać filiżanki. — Muszę się brać do roboty.

Mimo smutnego spojrzenia Troya włożyła resztę ciasteczek z powrotem do puszki, potem wstawiła czajniczek do zlewu. Barnaby domyślał się, że choć tak naprawdę powiedziała bardzo niewiele, martwi się, że zdradziła za dużo. Że była nielojalna. Zdecydował się na razie na tym poprzestać. Jeżeli postanowi jeszcze z nią rozmawiać, to na pewno u niej w domu, gdzie będzie mniej skrepowana. Troy odłożył swój notes i zaczął zapinać marynarkę.

— Czy wie pani, kiedy może wrócić pani Lawrence?

— Pewnie niedługo — odpowiedziała Hetty. Odkręciła krany prawie do końca i Barnaby nie usłyszał ostatnich słów: — Musiała iść do banku.

Począł, aż zakręciła wodę, i zapytał, czy może zajrzeć do pokoju Carlotty.

Nastąpiła długa, niezręczna cisza. Wreszcie Hetty, nie patrząc mu w oczy, powiedziała:

—Nie chcę być niegrzeczna, nadinspektorze, ale czy nie powinien pan mieć... tego...

—Będę miał nakaz jeszcze dziś, trochę później, pani Leathers, ale zaoszczędziłaby nam pani czasu, gdybyśmy mogli...

— Nie sądzę, by wielebnemu się to podobało.

I tak będzie musiał to przełknąć, pomyślał sierżant. Przez kilka chwil z przyjemnością wyobrażał sobie przelykającego Lionela.

—Nie będzie miał wyboru — ostrzegł Barnaby — kiedy wrócimy po lunchu.

—No dobrze... ale powinnam przy tym być — powiedziała i dodała szybko: — Bez urazy.



—Właśnie tego oczekujemy — zapewnił ją Troy. A Barnaby powiedział:

—Zaprowadzi nas pani?

Czekała ich długa wspinaczka na strych. Pierwsze dwa biegi poprowadzonych po łuku schodów miały szerokie i niskie stopnie, wyłożone granatowo-czerwonym dywanem z Axmin-ster o tureckich wzorach, miejscami tak wytartym, że widać było osnowę. Poręcze z twardego ciemnego dębu kończyły się ogromnymi ośmiokątnymi zwieńczeniami w kształcie latarni, z dużymi rzeźbionymi żołądziami na górze.

—Pani Lawrence kiedyś lubiła zjeżdżać po tych poręczach — powiedziała Hetty.

—Pani Lawrence? — Troy ze zdumieniem wpatrywał się w szerokie błyszczące belki.

— Kiedy była mała.

—Och! — sierżant poczuł się głupio i szybko chciał ukryć zakłopotanie: — Nie zdawałem sobie sprawy, że pracuje tu pani od tak dawna.

—Na końcu kładła poduszkę. Pewnego dnia jej ojciec ją zabrał i naprawdę nieźle się potłukła.

— Celowo?

Hetty nie odpowiedziała.

Zatrzymawszy się na pierwszym podeście dla złapania tchu, Barnaby powiedział:

— Musiała pani zacząć od razu po szkole.

— Zgadza się. Miałam piętnaście lat. Wszyscy moi przyjaciele uważali, że jestem głupia, że chcę tu pracować. Szukali pracy w Boots czy Woolies albo w jakimś biurze.

— Dlaczego nie zrobiła pani tak samo?

— Nie lubię takich wielkich budynków, z tłumem obcych ludzi, którzy plotkują i oczerniają cię za plecami. Marzyłam o spokojnej, regularnej pracy z miłą rodziną.

Barnaby znów zaczął piąć się po schodach. Hetty ruszyła za nim, a Troy zamykał grupę, rozglądając się dokoła. Był zdumiony ilością zgromadzonych tu staroci. Ciemne, posępne obrazy, jakie ogląda się w muzeach. Małe, rzeźbione, mosiężne stoliki. Wielki gong na stojaku i pałeczka z główką owiniętą płótnem. Plus wypchany krokodyl w szklanej gablocie, cały pokryty kwadratami błyszczącej popękanej skóry w kolorze karmelu. Bestia uśmiechała się, ukazując setki połyskujących zębów.

—Nie ociągajcie się, sierżancie.

—Przepraszam — Troy przebiegł przez drugi podest. Szef i Hetty właśnie mieli wejść na dużo bardziej strome schody, pokryte płowym chodnikiem z twardego sznurka. Zostało im już tylko około tuzina schodów prowadzących do pomalowanych na biało drzwi. Tanie, ze sklejkki, puste w środku, z oksydowaną klamką w srebrnym kolorze. Były zamknięte.

Kiedy Hetty sięgnęła do klamki, Barnaby dotknął jej ręki.

—Czy była pani tutaj od zniknięcia Carlotty?

—Nie. Pani Lawrence mi nie pozwoliła. Powiedziała, że sama się tym zajmie.

—Czy to nie jest niezwykle?

—Oczywiście, że jest — Hetty zachichotała lekko. — Muszę przyznać, że byłam dotknięta.

—I czy rzeczywiście to zrobiła? Zajęła się tym?

—Nic o tym nie wiem. Ale cóż, nie mieszkam tu, więc nie wiem o wszystkim, co robi. — Nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi. Stała, wpatrując się we wnętrze pokoju.

W końcu odezwała się.

— Coś podobnego! Nieraz już widziałam bałagan, ale jeszcze nigdy nie widziałam czegoś takiego. — Oddychała głęboko, oburzona. — Co za paskudne dziewczuszko.

Troy nigdy nie wymyślał nowych powiedzonek, jeśli pod ręką były stare i sprawdzone:

— Wygląda jakby wybuchła tu bomba.

Barnaby się nie odzywał. Wspominał, co Lawrence'owie mówili podczas pierwszej rozmowy. Pamiętał, że Lionel obwinił żonę o zniknięcie Carlotty. Było jakieś zamieszanie. Ona i dziewczyna „pokłóciły się”.

Jeszcze raz położył dłoń na ręce Hetty, kiedy chciała wejść do pokoju.

—Myślę, że im mniej ludzi będzie tu chodziło, tym lepiej, pani Leathers.

—Jeżeli pan sobie tego życzy, nadinspektorze — Hetty stanęła pewnie w drzwiach. Nie spuszczała oka z obu policjantów, kiedy kręcili się razem, a z Troya, gdy kierowali się w różne części pokoju. Nie wiedziała, czy ma być dumna, czy obrażona.

Gdyby Barnaby nie znał okoliczności, uznałby, że patrzy na pokój, w którym doszło do włamania. Panowała tu atmosfera dzikiego, gorączkowego przeszukiwania, ubrania były zerwane z wieszaków i porzucane po podłodze, pisma — „Minx”, „Su-gar”, „19” — podarte na strzępy, plakaty zerwane ze ścian i przedarte na pół. Podniósł kilka. Nazwy All Saints, Kavana, Puff Daddy nic mu nie mówiły. Od kiedy Cully wyprowadziła się przed kilkoma laty, przestał być na bieżąco.

Wszystkie szuflady z małej komódki zostały wyciągnięte i porzucane po pokoju, ich zawartość leżała tam, gdzie spadła. Kosmetyki, bielizna, luźne zwoje rajstop, różowa plastikowa suszarka do włosów. Szczotki, wałki, grzebienie. W pokoju unosiła się ostra woń taniego lakieru do włosów, nakładająca się na przyjemniejszy brzoskwiniowy zapach.

Troy, potrząsając róg kołdry w piękne kwiatowe wzorki, uwolnił chmurę brązowego proszku. Wtedy dostrzegł kilka kupek takiego proszku na łóżku i na podłodze. Jeśli to prochy, jeszcze takich nie widział. Schylił się i powąchał.

—Rzucała tu pudrem do twarzy, szefie.

—Niewiele jest tu rzeczy, którymi nie rzucała.

— Ta dziewczyna zawsze miała na sobie tapetę — rzekła Hetty. — Patrzcie, tutaj jest pudełko.

Barnaby podniósł pudełko, Honeybun marki Rimmel, i położył ostrożnie na nocnym stoliku. Widząc to, Troy poszedł w najdalszy kąt pokoju, podniósł należąca do jedynej tu fotela poduszkę i równie starannie położył ją na miejsce.

— Nie dotykaj niczego.

Troy nic nie odpowiedział. Przyglądał się szefowi, który stał przy małym okrągłym okienku i wydawał się pogrążony w myślach.

Ale Troy wiedział, co tak naprawdę robił nadinspektor. I był czas, przez kilka lat po przyjęciu do policji, kiedy usiłował robić to samo. Obserwować miejsce przestępstwa i, zauważając każdy najdrobniejszy szczegół, starać się przywołać do życia dramat, który miał tam kiedyś miejsce. Nadać cielesny kształt jego bohaterom.

Tak, Troy próbował tego wszystkiego. Ale tak rzadko udawało mu się coś odgadnąć, a tak często potężnie się mylił (raz aresztował domniemanego handlarza antyków pod zarzutem kradzieży ozdób z miejscowego kościoła, lecz okazało się, że to pastor), że szybko to zarzucił. Jak to ujął w rozmowie z Maureen, „po co samemu łowić ryby, skoro rybak je przyniesie?”.

Barnaby zastanawiał się, czy nie popełnił błędu, prosząc panią Leathers o pokazanie mu pokoju. Myślał o zbliżającej się rozmowie z Ann Lawrence i czuł, że może lepiej byłoby przyjść z nakazem rewizji i wejść tutaj razem z nią. Poznałby jej reakcję i mógłby obserwować wyraz jej twarzy, kiedy on chodzi dokoła. Ciepło, ciepłej, gorąco! Zimno, nie — lodowato, brr!

Zirytowany, odsunął od siebie to wyobrażenie. To tylko fantazja. Gdyby w ogóle chciała coś ukryć, miała mnóstwo czasu, by wysprzątać ten pokój. Ale może przez myśl jej nie przeszło, że policja będzie chciała zobaczyć miejsce zamieszkania Carlotty. Być może ich bardzo gwałtowne rozstanie sprawiło, że nie chciała albo nie potrafiła znów tu wejść. Tak, to było bardziej prawdopodobne.

Ciężkie westchnienie i znaczące chrząkanie dobiegające od strony drzwi przywróciło go do rzeczywistości.

—Pani Leathers — odezwał się — dziękuję, że była pani taka cierpliwa. — Skinął na Troya i obaj skierowali się do drzwi.

—Żaden kłopot, nadinspektorze. Tylko muszę już wracać do pracy.

Kiedy wyszli z domu, Troy, ojciec dziewczynki w wieku czterech lat, trzech miesięcy i dziewięciu dni, powiedział:

—Ma pan córkę, nadinspektorze. Czy jej pokój kiedykolwiek tak wyglądał?

—Prawie — odparł Barnaby. — Raz kotka powiła tam kocięta i nie znaleźliśmy ich przez trzy tygodnie.

—O rany. — Troy spojrział z boku na szefa. Wydawało się, że się uśmiecha, ale z nim nigdy nie wiadomo. — Przesadza pan, prawda?

— Tylko trochę.

Oddział banku Lloyd's w Causton, z którego korzystała Ann, miał mieszkającego na miejscu kierownika, dlatego był otwarty trzy godziny w co drugą sobotę. Richard Ainsley miał biuro z własną tabliczką na drzwiach. Druga, drewniana i wypolerowana, w kształcie pudełka czekoladek, z nazwiskiem wypisanym złotymi literami, stała na biurku. Ainsley znał Ann od dawna, podobnie jak wcześniej znał jej ojca. Spotkał także jej męża i nie bardzo go polubił. Zgodnie z oczekiwaniami Ann był gotów pożyczyć jej sumę, której potrzebowała, pod zastaw domu. Ale bardzo zaskoczył ją wysoki poziom odsetek.

— Podpisanie umowy nie potrwa długo. Gdyby mogła pani przyjść, powiedzmy, we wtorek, pani Lawrence...

— Muszę mieć pieniądze dziś! — Ann zdała sobie sprawę, że prawie krzyczy, pochylając się nad biurkiem. — Przepraszam, panie Ainsley. — Zaczerwieniona usiadła z powrotem na krześle. — Nie wiem, co... Przepraszam.

Takie emocjonalne wybuchy nie były panu Ainsleyowi obce. Życie większości ludzi obracało się wokół pieniędzy. Kiedy wydawało się, że wymykają im się z rąk, wpadali w panikę. To zrozumiałe. Ale sprawami finansowymi Ann La-

wrence zajmował się od śmierci jej ojca i teraz był nie tylko zaskoczony, ale wręcz zmartwiony jej trudną sytuacją. Naturalnie zastanawiał się, na co te pieniądze mogą być przeznaczone. Raczej nie na oranżerię czy nową kuchnię, dwie najczęstsze przyczyny występowania do banku o pożyczkę. Ani na wakacje na Bahamach, choć Bóg wie, że sądząc po jej wyglądzie, z pewnością dobrze by jej zrobiły. Żadna z tych możliwości nie wywołałaby aż takiej desperacji.

—To duża suma, Ann. — Zdecydował się nie wspominać o wypłacie, zaledwie przed kilkoma dniami, tysiąca funtów z jej osobistego konta. — W jakim czasie mogłabyś to spłacić?

—Och, bardzo szybko! — Ann patrzyła przez biurko na niskiego, okrągłego mężczyznę ze schludną fryzurą, schludnymi okularami w złotych oprawkach i schludnymi wąsami. Rozsadzało go poczucie własnej ważności. Nadęte, napuszone, głupie, ciepłe kluchy. I pomyśleć, że dawniej go raczej lubiła. Nawet była wdzięczna za jego uprzejmość. — Chodzi o to, że ktoś umarł. Trzeba pokryć koszty pogrzebu. Ale jestem w... hm... testamencie. To znaczy pamiętano o mnie. Nie będzie żadnych... problemów...

Richard Ainsley, choć zaniepokojony, postanowił położyć temu kres. Nie mógł słuchać, jak kłamie. zaproponował sześciomiesięczny okres spłaty, a gdy to zaakceptowała, wyjął formularz, szybko go wypełnił i poprosił, by podpisała. Następnie zadzwonił do głównego księgowego, by przelał kwotę pożyczki na konto Ann.

—Potrzebuję pieniędzy w gotówce, panie Ainsley.

—W gotówce?!

Ann pospiesznie oddalała się od banku z kopertą bezpiecznie spoczywającą na dnie torebki, kiedy zderzyła się z Louise Fainglight, która właśnie odwracała się od bankomatu.

Po automatycznych przeprosinach i zdawkowym przywitaniu żadna z kobiet nie wiedziała, co powiedzieć. Obie pomyślały o swoim ostatnim spotkaniu. Louise pamiętała, że Ann zaprosiła ją do siebie, a potem wcale jej tam nie chciała. Ann przypomniała sobie myśl, że to Louise mogła być szantażystą.



Teraz też tak pomyślała, trzymając torebkę blisko ciała. Czy to spotkanie naprawdę było przypadkiem? A może raczej celową próbą sprawdzenia, czy rzeczywiście postępuje zgodnie z instrukcjami? Poczwała nagły silny impuls. Szalone pragnienie, by skonfrontować się z Louise. Pomachać jej banknotami przed nosem. Krzyknąć: „Proszę bardzo! Tego chcesz? Tego?”.

Zatrwożona, odwróciła się, mamrocząc coś niejasno. Udając, że sama chce skorzystać z bankomatu, stanęła przed nim, a Louise odeszła. Kiedy zdała sobie sprawę, że ustawiło się za nią kilka osób, które dziwnie na nią patrzą, odsunęła się. Zaczerwieniona, na granicy płaczu, zaczęła udawać, że szuka czegoś w torebce.

Czuła, że traci rozum. Wydarzenia ostatnich dni nagle przytłoczyły ją kalejdoskopem przepelnionych lękiem, gwałtownych wyobrażeń. Zewsząd docierały do niej złośliwe szepty. Spoglądała podejrzliwie na mijających ją ludzi. Spokojnie odwracali się, odgrywając obojętność i to, że nie mają nic wspólnego z tymi szeptami, ale wiedziała, że w skrytości ducha wszyscy się z niej śmieją.

Wkrótce po osobliwym spotkaniu pod bankiem Louise, wyjeżdżając z Causton, zobaczyła, jak Ann dziwnie chwiejnym krokiem przechodzi przez jezdnię. W natychmiastowym odruchu chciała zaproponować, że ją podwiezie. Nawet zdjęła nogę z gazu i zaczęła hamować. Ale w wyglądzie Ann było coś niezwykłego. Jedną ręką ścisnęła klapy płaszcza, zbierając je razem, chociaż dzień był raczej ciepły. Druga unosiła się na wysokości ust jak trzepoczący się ptak. Mimo to Louise widziała, że Ann porusza ustami, marszczy brwi i trzęsie głową.

Pojechała dalej. Miała własne problemy, które nagle stały się całkiem poważne. Nie miała czasu, by zajmować się osobą nie tylko najwyraźniej szaloną, ale także — czego była pewna — niedarzącą jej sympatią.

Nie spodziewała się, że będzie musiała jechać do Causton, szczególnie w dzień targowy, by wypłacić pieniądze. Od początku nalegała, by dzielili się z bratem wszystkimi rachunkami i pokrywali koszty prowadzenia domu co drugi tydzień. Teraz była jej kolej. Musiała też dokupić kilka produktów, więc — jako że ostatnio jej stosunki z bratem ponownie bardzo się poprawiły — poprzedniego wieczoru poprosiła go o trochę pieniędzy, które pomogłyby jej przetrwać bez udawania się do miasta. Powiedział, że nie ma. Louise, szczerze zaskoczona, bez



zastanowienia wypaliła: „Ale przecież dopiero co byłeś w banku”. Pamiętała, że parę dni wcześniej podnosiła z podłogi w kuchni potwierdzenie wypłaty i wyrzuciła je do śmieci. Opiewało na czterysta funtów.

W jednej chwili atmosfera zgęstniała od złości i żalu.

— Mam tego po dziurki w nosie! — Valentine prawie wypluwał te słowa.

—Czego?

—*Ciebie*. I twojego ciągłego cholernego krytycyzmu.

—Nie chciałam...

—To twój tydzień płacenia za jedzenie. Zgadza się?

—Nie ma sprawy. Pojadę do miasta.

—Jeżeli nie chcesz płacić swojej części...

— To podłe, co mówisz — teraz ona podniosła głos. — Płacę swoją część, od kiedy tu zamieszkałam, dobrze o tym wiesz.

— Naprawdę?

— A jak myślisz, na co idą moje oszczędności? — wypowiadając te słowa, Louise nagle poczuła mdłości, gdyż uświadomiła sobie, na co poszło czterysta funtów Valentine'a. I wiedziała, że ta świadomość odmalowała się na jej twarzy.

Zapadła straszna cisza. Po chwili Valentine powiedział:

— Nie zniosę więcej tych ciągłych kłótni. Muszę pracować.

— Celowo odwrócił się do niej plecami, odchodząc w kierunku schodów. — Mówię poważnie, Lou. Naprawdę mam dosyć.

Louise, drżąc z rozżalenia i zdenerwowania, nie mogła pozostać w domu. Wyszła do ogrodu i usiadła przy basenie. Co miała teraz robić?

Złość wywołana niesprawiedliwością uwag ze strony brata już się ulotniła. Na jej miejsce napłynęły wspomnienia z dzieciństwa. Choć Valentine zawsze był ulubieńcem rodziców, rzadko to wykorzystywał. Już jako małe dziecko dostrzegł niesprawiedliwość tej sytuacji i nieustannie starał się zmienić ten krzywdzący

stan rzeczy, chwając rysunki, które przynosiła ze szkoły do domu, a na które matka ledwo spojrziała, pomagając jej w pracach domowych albo przekonując ojca, by pozwolił jej wlec się z tyłu, kiedy szli na ryby. Na jej piąte urodziny zrobił jej małe drewniane pudełeczko malowane w rozgwiazdy i foczki, które wciąż przechowywała. I, co było najmiłsze, zawsze potrafił ją rozśmieszyć.

Na to ostatnie wspomnienie Louise zaczęła płakać. Łkała gorzko, z otwartymi szeroko oczyma, nie ocierając łez, tak jak robią to dzieci. U jej stóp złote karpie, połyskujące w ciemnej, migotliwej tafli, pływały wolno w górę i w dół.

Obserwowanie ich działało hipnotyzujące. Stopniowo surowość ogrodu łagodziła jej emocje. Łkanie stało się przerywane, wreszcie zamieniło się w smutne pociąganie nosem. Bicie serca wyrównywało się. Siedziała tam jeszcze może pół godziny, uspokajając się coraz bardziej.

Co ma teraz zrobić? Valentine był wyraźnie nieszczęśliwy, co ją także unieszczęśliwiało. Skoro nie chce, by tu była, powinna odejść. Ale tak dziwnie gwałtowna zmiana usposobienia musi być tymczasowa — nie do pomyślenia jest, by mogło być inaczej — a kiedy się skończy, Valentine będzie całkiem samotny. Może mogłaby wyprowadzić się gdzieś niedaleko, do jednej z sąsiednich wiosek. Mogła sobie przecież pozwolić na wynajęcie małego domu lub mieszkania.

Ogarnęła ją złość na myśl o człowieku odpowiedzialnym za cały ten zamęt i żałosny stan jej brata. Zanim pojawił się Jax, byli zadowoleni, a ich życie — uporządkowane i przyjemne. Chwilę później złość odpłynęła, a Louise zaczęła się bać, tak jakby nad całym jej życiem nagle zawisła jakaś groźba.

Nadinspektor Barnaby i sierżant Troy jedli bardzo dobry lunch w Red Lion: pudding z wołowiny i cynaderek podany z puszystymi tłuczonymi ziemniakami i zielonym groszkiem. Do tego deser złożony z owocowej sałatki z puszek, biszkoptu i malinowego dżemu o dumnej nazwie Maliny i Brzoskwinie Pawiowej.

—Wiesz coś o Pawiowej? — zapytał nadinspektor, odsuwając brudną popielniczkę z ich stołu przy oknie.

—Wiem, że nie dostanie się zbyt wiele za trzy funciaki.

—Jedna z największych tancerek wszech czasów.

—Naprawdę? — Troy chwycił za sztucce i zabrał się do jedzenia.

—Słynna ze swojej interpretacji umierającego łabędzia.

—Ciekawe — odrzekł Troy uprzejmie.

—Mówi się, że ludzie, którzy to widzieli, już nigdy nie byli tacy sami. — Barnaby wypił trochę Russian Stout, który okazał się doskonały. — I tańczyła to do dnia swojej śmierci.

—Jak to jest — zapytał sierżant, delikatnie zmieniając temat — że nerki zawsze skrzypią, kiedy się je kroją?

Chociaż Barnaby nie przedstawił się przy barze i miał na sobie zwykły granatowy garnitur, dyskretny krawat i wypolerowane czarne półbuty, zdawał sobie sprawę, że wiedzą tu, iż jest gliną. I nie tylko dlatego, że widywano go już we wsi, jak rozmawia z ludźmi.

Czasem Barnaby myślał, że jest jakoś naznaczony, że nosi coś jakby znamię Kaina. Niewidoczne dla niego, lecz krzyczące dla reszty świata: ten facet jest gliną! Nie przesadzał. Kiedyś jedli z Joyce obiad w restauracji, do której nigdy wcześniej nie zachodzili. Kiedy byli w połowie homara Armoricaine, podszedł do nich kierownik, powiedział, że mają drobny problem z pijanym gościem, który nie chce zapłacić rachunku, i zapytał Barnaby'ego o radę.

Tutaj, w pubie, nie dostrzegano ich, jak czasem „nie dostrzega się” sławnej osoby, która znajdzie się w zasięgu wzroku. Wcale nie jesteśmy pod wrażeniem, w ogóle nas nie interesujecie. Mamy ważniejsze tematy.

— Szybko idą im te rozmowy z mieszkańcami — sierżant Troy, który właśnie rozpoczął biszkopt z malinami, skinął głową w stronę drzwi, uśmiechając się szeroko. — Nasze bystrzaki.

Dwaj umundurowani konstable z zespołu Barnaby'ego weszli do pubu i zaczęli rozmawiać z właścicielem i kilkoma miejscowymi przy barze. Troy z rozgoryczeniem zauważył, że właściciel proponuje im drinka. Odmówili. I słusznie.

— Też kiedyś tak pracowałeś.

Troy, skrobiąc talerzyk, nie odpowiedział. Wolał zapomnieć o tym mało chwalebny okresie w swojej błyskotliwej karierze. Usłyszawszy: „Pij”, opróż-

nił kufel z nudnym bezalkoholowym piwem i narzucił swą elegancką, lekką marynarkę.

Kierując się do drzwi, zauważył przy barze dwie bardzo atrakcyjne kobiety. Stali przy nich policjanci, wszyscy śmiali się i żartowali. Jeden z policjantów spojrzał na sierżanta. Ten lekko poruszył głową, by wskazać, kto idzie za nim. Jedno skonsternowane spojrzenie pełne niedowierzania i mundurowi poderwali się na równe nogi, głośno podziękowali właścicielowi za jego pomoc i ruszyli do wyjścia.

— Co tak krztuchoczesz?\*<sup>6</sup>

Krztuchoczesz. Skąd on bierze takie słowa? Troy postanowił zajrzeć do słownika Talisy Leanne, kiedy wróci do domu. Im dłużej się je powtarzało, tym dziwniej brzmiało.

— Zamierza pan teraz kontynuować rozmowę z panią Lawrence?

Barnaby wymruczał coś niewyraźnie. Kipiał złością, i to skierowaną przeciwko sobie. Przez cały lunch nabierał przekonania, że myśl, która pojawiła się podczas wizyty w pokoju Carlotty — że być może powinien był poczekać, aż pani Lawrence wróci, by obejrzeć go razem z nią — była słuszna.

Wiedział już, że powinien czekać, choćby to potrwało nawet cały dzień. I porozmawiać z nią, zanim usłyszy od Hetty Leathers, dlaczego przyszli. Teraz stracił jedną z najważniejszych broni w rymsztunku śledczego — zaskoczenie.

Tymczasem, jak to bywa, mylił się. Tuż przed dwunastą Evadne Pleat zabrała Hetty i Candy do weterynarza. Ann wróciła pół godziny później, nie wiedziała zatem nic o ich wcześniejszej wizycie. Mimo to szczęście i tak odwróciło się od nadinspektora, lecz z zupełnie innego powodu.

Humber hawk stał na podjeździe, a w mieszkaniu nad garażem paliło się światło. Ale Barnaby postanowił najpierw zająć się Lawrence'ami, czując, że

---

<sup>6</sup> \* Słowo z wiersza *Jabberwocky* Lewisa Carrolla w przekł. R. Stillera (przyp. tłum).

prędzej dowie się od nich czegoś, co przyda się w rozmowie z Jacksonem, niż odwrotnie.

Jeszcze raz Troy pociągnął za staromodny dzwonek. Wydawało się, że farba na drzwiach jeszcze bardziej się łuszczy. Tuż nad progiem jeden zwinięty płat całkowicie odchodził od drewna.

Drzwi otworzył Lionel Lawrence. Wpatrywał się w nich ze zdumieniem, jakby był pewien, że już gdzieś ich widział, ale nie przypominał sobie gdzie. Jego białe włosy ułożone były nieco porządniej niż ostatnim razem, ale kompensował to narzuconym na szyję niezwykle barwnym, bardzo długim, robionym na drutach szalem, postrzępionym nie tylko na końcach, ale także wzdłuż jednej strony.

—Nadinspektor detektyw Barnaby.

—Sierżant Troy.

—Hm — mruknął Lionel, odwracając się i krocząc z powrotem w głąb korytarza. Jego długi do ziemi, tweedowy płaszcz, rozcięty z tyłu od wysokości talii w dół, łopotał za nim energicznie, pobłyskując podszewką w szkocką kratę.

Ponieważ drzwi pozostały otwarte, policjanci ruszyli za nim do jego gabinetu. Ann Lawrence siedziała przy oknie w jasnoniebieskim fotelu z zagłówkiem. Bardzo sztywno i nieruchomo. Nienaturalnie sztywno, pomyślał Barnaby. Zauważył, że marszczy brwi i stara się przypomnieć sobie, kim są. Przez chwilę myślał, że jest pijana.

— Czy już coś wiecie? — zapytał Lionel Lawrence. — Są jakieś wieści o Carolcie?

Ten facet ma problemy z ustalaniem ważności. Sierżant Troy wygrzebał swój notes i wpatrywał się z powagą w trochę niechlujnie wyglądającego duchownego. Mamy tu sprawę morderstwa. Potem przypomniał sobie, że może mają dwa morderstwa, jeżeli dziewczyna utonęła, i jego niecierpliwość nieco złagodniała.

Barnaby powiedział:

—Możliwe.

—Och! Słyszałaś, kochanie? — Lionel uśmiechnął się promiennie do żony, która ostrożnie obróciła głowę w ich stronę. — Są wiadomości o Carolcie.

—O Carlocie. Wspaniale — mówiła wolno, nienaturalnie oddzielając słowa. Po dłuższej przerwie powtórzyła: — Wspaniale.

Ann wkładała niezwykle wysiłek w to, by jakoś koncentrować wzrok na trzech postaciach stojących w pokoju. Chociaż same w sobie były wystarczająco materialne, wydawały się poruszać w jakiś niezrozumiały sposób. Majaczyły, przybliżały się i cofały, jak ludzie widziani we śnie. Ich głosy odbijały się echem.

Wcześniej podsłuchiwała, jak doktor ostrzegał Lionela, że początkowo jego żona może się czuć nieco dezorientowana. Dał jej zastrzyk i zapisał jakieś tabletki do zażywania trzy razy dziennie. Były to środki uspokajające — z pewnością odniosły skutek. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak spokojna. Tak spokojna, że z radością przeszłaby w stan braku świadomości i nigdy się już nie ocknęła.

To Jax zauważył żonę swojego pracodawcy, kiedy wiozł go do domu. Ann chodziła dookoła postojów taksówek przy bibliotece w Causton, jej głowa kiwała się jak u zepsutej lalki. Lionel wyskoczył z auta i podbiegł do niej. Ann rzuciła się na niego, zacisnęła ramiona na jego szyi i zaczęła krzyczeć. Jax pomógł mu ją wciągnąć do samochodu i pojechali prosto do lekarza.

—Czy pańska żona źle się czuje, panie Lawrence? — zapytał Barnaby.

—Ann? — upewnił się Lionel, jak gdyby była jedną z wielu. — Jest tylko trochę wyczerpana. Proszę mi powiedzieć...

—Miałem nadzieję, że porozmawiam z nią o dniu, kiedy zaginęła Carlotta.

*Carlotta...* Coś wypłynęło na powierzchnię umysłu Ann. Smukły biały kształt. Ludzka ręka. Unosiła się w górę, jak błyszczący w ciemnościach półksiężyc, potem utonęła bez śladu.

— Pani Lawrence, czy pamięta pani, co się wydarzyło, zanim wyszła? Czy doszło do jakiejś sprzeczki?

Bez szans. Cokolwiek dostała, miało silne działanie. Barnaby pomyślał, że zdarzyło się to w samą porę, by powstrzymać ją od rozmawiania z nim, ale potem powiedział sobie, że musi przestać tak myśleć. Nikt w Starym Probstwie nie mógł wiedzieć o policyjnej rekonstrukcji listu z szantażem. Ani o nowym kierunku, jaki przybrało śledztwo. Skierował uwagę na Lionela Lawrence'a.



— Może pan opowie mi o szczegółach?

— Obawiam się, że nie. Tej nocy, kiedy to się stało, byłem do późna na spotkaniu. Gdy przyjechałem do domu, Ann już spała. Jak mogła tak po prostu iść spać, gdy to biedne dziecko... — Lionel potrząsnął głową na myśl o tym smutnym zaniedbaniu przez żonę jej obowiązków. — Lisy mają nory i ptaki podniebne...

— Ale z pewnością rozmawialiście o tym następnego dnia.

Twarz Lionela zeszywniała w niezwykłym uporze. Nadinspektor po prostu uniósł swoją inkwizytorską brew i czekał. Troy, który siedział z notesem przy karcianym stoliku z żółto-drzewu, z przyjemnością wdychał dojrzałą naturalną woń pszczelego wosku. I patrzył.

Stary potrafił czekać. Kiedyś czekał tak przez prawie dziesięć minut. Troy, który był niecierpliwy jak dwulatek, zapytał go, jak to robi. Barnaby wyjaśnił, że po prostu odpływa gdzieś myślami. Naturalnie należy utrzymać kontakt wzrokowy i zachować zdecydowaną, nawet nieco groźną postawę ciała, lecz jeśli spełni się te warunki, umysł może robić, co mu się tylko podoba. Jedną z najbardziej użytecznych technik, jak się przekonał, jest planowanie prac w ogrodzie na weekend.

Biedny stary Lawrence nie był na to przygotowany. Nie wytrzymał nawet dziesięciu sekund.

—Ann myślała, że Carlotta pożyczyła jakieś kolczyki. Pytała ją o to, chyba bardzo nietaktownie. Naturalnie dziewczyna się przestraszyła...

—Nie rozumiem dlaczego — odezwał się sierżant Troy. — Skoro nie...

—Pan *nie rozumie!* — wykrzyknął wielebny Lawrence. — Dla kogoś z jej przeszłością niesłuszne oskarżenie jest bardzo bolesne...

—A pan wierzy, że to było niesłuszne oskarżenie, panie Lawrence?

—Wiem, że niesłuszne — brzmiał nie po chrześcijańsku, zadowolony z siebie i przekonany o swej nieomyślności. —Ann jest bardzo nieuważna. Tacy są ludzie, którym nigdy niczego nie brakowało.



—Jednak takie rzeczy się zdarzają — rzekł Troy, współczując załamanej pani Lawrence. W odpowiedzi uzyskał niedowierzające spojrzenie, które dawało mu maksymalną liczbę punktów za wrażliwość oraz premię za czułą troskę.

—Czy mógłby pan powiedzieć nam coś o jej przeszłości, panie Lawrence? — zapytał nadinspektor.

—Wszystko jest w aktach Caritasu.

—Tak, będziemy z nimi rozmawiać. Ale teraz rozmawiamy z panem.

Wielebnego najwyraźniej zbił z tropu nagle surowy głos detektywa.

—Nie rozumiem, jak grzebanie w przeszłości dziewczyny może pomóc ją odnaleźć. — Zamrugnął powiekami. — Tutaj każdy ma czyste konto.

—Podobno często otrzymywała listy pocztą lotniczą.

—Och, wątpię w to — Lawrence uśmiechnął się pobłaźliwie.

—I ponoć wyrzucała je, nawet ich nie otwierając — dodał sierżant.

—Kto, na litość boską, wam to opowiedział? — Nie zajęło mu wiele czasu, by przeliczyć w myślach potencjalnych podejrzanych. — Jestem zaskoczony, że słucha pan plotek służących, nadinspektorze.

Słowa te wywołały reakcję z niebieskiego fotela. Ann Lawrence wydała stłumiony okrzyk i starała się usiąść. Próbowała coś powiedzieć, ale jej język, wielki kawał bezwładnego ciała w jej ustach, ledwie się ruszał.

—Hett... nie... nie...służą...

—No, i zobaczcie, co narobiliście! — Pastor pochylił się nad żoną, kierowany bardziej rozdrażnieniem jej zachowaniem niż troską o jej stan. — Musimy iść na górę, Ann. — Popatrzył gniewnie na policjantów, którzy odpowiedzieli mu niewzruszonym spojrzeniem. —Jeżeli jeszcze raz będziecie chcieli porozmawiać ze mną lub z moją żoną, musicie się umówić, tak jak trzeba.

—Niestety, nie tak to się odbywa, proszę pana — odparł nadinspektor. — I muszę pana poinformować, że jeśli nie będzie pan współpracował, następne przesłuchania mogą równie dobrze odbywać się na komisariacie.

—Musimy tu być bardzo ostrożni, szefie — powiedział Troy z tłumionym śmiechem w głosie, kiedy przechodzili przez żwirowy podjazd. — Ma kontakty.

Barnaby krótko skomentował masońskie powiązania wielebnego Lawrence'a, korzystając ze swojego daru zwięzłego obrazowania i błyskotliwej riposty, który powodował, że jego podwładni tak bardzo obawiali się wezwań do gabinetu szefa.

Troy nieźle się uśmieł i kilka razy powtórzył ten komentarz w myślach, by móc zaprezentować go w kantine. Gdy dobrze wszystko zapamiętał, stali już pod drzwiami do mieszkania nad garażem.

Tym razem Jax widział, że nadchodzą. Zauważył samochód, dostrzegł, że wchodzi do głównego budynku. Będzie dobrze przygotowany. Barnaby, pamiętając, jak Lawrence przerwał mu ostatnią rozmowę z Jacksonem, ufał, że tym razem pastor spędzi najbliższe dwadzieścia minut na ganieniu żony.

Myśli sierżanta Troya bieły dokładnie w tym samym kierunku. Jeszcze jeden wywołujący mdłości pokaz zasmarkanej hipokryzji, a szofer zobaczy, jak Maliny i Brzoskwinie Pawiowej nagle tworzą smakowitą mozaikę na eleganckim kremowym dywanie. I policjant nie będzie tego sprzątał.

Drzwi były otwarte. Jackson stał przy nich w srebrnej tweedowej marynarce i czarnym bawełnianym golfie. Na jego twarzy malował się wyraz szczerości.

—I pomyśleć, że kiedy powiedział pan, że tu wróćcie, nadinspektorze, myślałem, że po prostu mnie nabieracie.

—Panie Jackson...

—Dla panów Terry — odsunął się uprzejmie na bok i wszyscy weszli na górę.

Mieszkanie wyglądało prawie tak samo jak ostatnim razem, kiedy tu byli, z wyjątkiem nowej deski do prasowania opartej o ścianę przy kuchni. Drzwi do kuchni i do łazienki były szeroko otwarte, tak jakby pokazywały, że nie ma nic do ukrycia. Na stoliku leżał egzemplarz wczorajszego „Daily Star” stroną tytułową do góry.

Jackson usiadł na sofie. Sprawiał wrażenie spokojnego i uprzejmego. Ale twarz miał skoncentrowaną i Barnaby zauważył, że siedział, pochylając się do przodu z rękoma opartymi lekko na kolanach i zaciśniętymi palcami.

— Czy zawsze wozisz pana Lawrence'a, Terry?

Jackson wyglądał na zaskoczonego, na jego twarzy pojawiła się czujność. Z pewnością nie było to pytanie, którego oczekiwał.

— Tak. Ja lub jego żona. On nigdy nie zabrał się za naukę jazdy.

— Powiedz, co się dziś wydarzyło.

— Co ma pan na myśli?

— Z panią Lawrence. Jackson zawahał się:

— Nie wiem, czy pastorowi by się to spodobało.

— Albo dowiemy się tego tutaj, albo na komisariacie — powiedział Barnaby.  
— Sam zdecyduj.

Tak więc Terry Jackson opowiedział im, jak wioził Lionela ze spotkania w ratuszu w Causton, na którym omawiano zmiany w szkoleniu urzędników. Kiedy jechali wzdłuż High Street, zauważyli panią Lawrence, która chodziła w kółko w bardzo dziwnym stanie. Lionel próbował ją skłonić, by wsiadła do samochodu, ale zaczęła coś krzyczeć i wymachiwać rękami.

— Co wykrzykiwała?

— Nic, co miałoby jakikolwiek sens.

— Niemożliwe. Musiało to mieć jakiś sens.

— Nie, naprawdę. To nawet nie były wyraźne słowa. Później, kiedy wysiadłem, żeby pomóc, jeszcze bardziej się zdenerwowała.

— A to niespodzianka — mruknął do siebie sierżant.

— Na początku Lionel poprosił, żebym jechał do domu, ale potem zmienił zdanie. Ich lekarz mieszka w Swan Myrren, więc pojechaliśmy prosto do niego. Od razu ją przyjął. Musiał dać jej coś mocnego. Kiedy wyszła, zachowywała się jak zombie.

—A później?

—Zatrzymaliśmy się przy aptece, żeby wykupić lekarstwa, i przyjechaliśmy tutaj.

—Wiesz, po co pojechała do Causton?

—Nie.

Lekkie zawahanie. Wiedział i nie chciał im powiedzieć. Dobrze. Śladowy postęp. Barnaby przerwał, zastanawiając się, czy jakoś to wykorzystać, czy odłożyć na później. Postanowił poczekać, zauważając z pewną satysfakcją, że czoło Jacksona pokrywały teraz drobne kropelki potu.

Zupełnie zmieniając temat, powiedział:

—Do niedawna mieszkała tu młoda dziewczyna.

—Zgadza się.

—Jaka była?

—Carlotta? Zarozumiała dziwka.

—Więc nie kumpłowaliście się? — zapytał Troy.

—Uważała się za kogoś lepszego ode mnie. A przecież była nikim! Przeszła przez system, tak samo jak ja.

—Odrzuciła cię, tak? — zasugerował Barnaby.

—Nie miała na to najmniejszej szansy!

—To cię złości.

Obserwowali, jak Jackson, najwyraźniej odpowiedziawszy na kpinę bez zastanowienia, teraz się wycofywał. Powiedział ostrożnie:

—Nigdy jej nie podrywałem. Mówiłem wam. Nie była w moim typie.

—Wiesz, dlaczego uciekła?

—Nie.

—Lawrence nigdy z tobą o tym nie rozmawiał?

—To nie mój interes, prawda?

—A pani Lawrence?

—Dajcie spokój!

—Ach, oczywiście — Troy strzelił palcami w udawanym geście nagłego przypomnienia. — Nie chciała, żebyś wchodził do domu, prawda?

—Bzdury — Jackson nagle odwrócił się do nich plecami i zaczął przygryzać policzek.

—Istnieje możliwość, że ona w ogóle nie uciekła — odezwał się Barnaby.

— Co?

Sierżant Troy podjął opowieść:

—Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy miała uciec, otrzymaliśmy meldunek, że ktoś wpadł do rzeki.

—To nie mogła być Carlotta — Jackson po raz pierwszy się roześmiał. — Jest na to za sprytna. Potrafi o siebie zadbać.

I kto to mówi, pomyślał Troy.

—Wpadł — powtórzył, po czym dodał: — Lub został wepchnięty.

—No cóż, ja tego nie zrobiłem. Tamtej nocy byłem w Causton. Czekałem, żeby zabrać Lionela po spotkaniu.

—Naprawdę?

—Jestem czysty jak kryształ.

Barnaby przypomniał sobie, jak jego matka tak mówiła, kiedy był mały. Czysty jak kryształ. Nie zmartwiło go zbytnio to, co powiedział Jackson. Miał sporo czasu, a Ferne Basset było najwyżej o dwadzieścia minut drogi od Causton. Nawet mniej, jeżeli się mocniej naciśnie na gaz. I nie miał alibi na czas pewnej zbrodni. Morderstwa Charliego Leathersa.

Barnaby wstał, a Troy, raczej rozczarowany, zrobił to samo. Będąc już prawie przy drzwiach, nadinspektor odwrócił się z jednym z tych swoich zagajeń w rodzaju „och, prawie byłbym zapomniał” albo „a przy okazji”. Troy zawsze denerwował się przy tym małym numerku szefa. Absolutny kit, na który nie nabrałoby się nawet dziecko.

— A przy okazji...

— Nie wychodzicie? — zapytał Jackson. — Właśnie miałem nastawić czajnik — zaśmiał się złośliwie.

— Jeszcze coś na temat Charliego Leathersa — naciskał Barnaby.

— Charliego? — Jackson zamyślił się. Wydawało się, że jest o mile stąd. — Jeszcze nikogo w to nie wrobiliście, nadinspektorze?

Trzeba przyznać, pomyślał sierżant Troy, że ten sukinsyn jest bardziej bezczelny, niż można się było spodziewać.

— Tak naprawdę, zacząłem ciebie widzieć w tej roli, Te-rence.

— *Mnie?!*

— On cię szantażował, prawda?

To jedno słowo całkowicie odmieniło atmosferę. Patrzyli, jak Jackson dokonuje wielkiego wysiłku, by zebrać się w sobie i wyostrzyć koncentrację. Wysiłku przejawiającego się pulsowaniem nerwu na skroni i sztywną linią szczęki.

— To kłamstwo.

— Mamy podstawy, by sądzić, że to prawda.

— Ach, oczywiście. Takie podstawy, że jako jedyny tutaj jestem notowany. Jedyny, którego twarz pasuje. Jedyny, którego możecie zamknąć i nad nim popracować, bo jest bezbronny — Jackson szybko się pozbierał. Wyglądał równie bezbrinnie jak żmija sykliwa. Niespiesznie oddalił się do kuchni, wołając przez ramię: — Wróćcie, jak będziecie wiedzieli, o co wam, do diabła, chodzi.

Barnaby położył rękę na ramieniu Troya i w połowie pomógł mu wyjść, a w połowie wyciągnął go z mieszkania. Kiedy przechodzili przez podjazd, dostrzegł w oknie jadalni zaskoczoną twarz wielebnego Lawrence'a i wydłużył krok.

— Mogę coś powiedzieć, proszę pana?

— Oczywiście, że możesz „coś powiedzieć”, Troy. Czy ja jestem Stasi?

— Nie chcę krytykować...

— OK. Chcesz krytykować. Myślę, że jakoś to wytrzymam.

— Zastanawiam się, czy to był dobry pomysł, by powiedzieć Jacksonowi, że wiemy o szantażu. Chodzi mi o to, że jest teraz ostrożny, ale wciąż nie możemy go za nic wsadzić.

— Chciałem mu to powiedzieć, zanim dowiedziałyby się od kogoś innego. Aby zobaczyć jego reakcję.

— I dało to coś?

— Oczywiście. Nie wiem dokładnie, co tu się dzieje, ale powiedziałbym, że siedzi w tym po samą brudną szyję.

Prawie zmierzchało, gdy szli z powrotem na parking przed Red Lion. W połowie drogi przez skwer stało się coś niezwykłego. Barnaby zatrzymał się i wbił wzrok w perłową wczesnowieczorną mgłę.

— Co to, u licha?

— Nie widzę... — Troy zmrużył oczy i zmarszczył brwi. — A niech to!

Przed nimi majaczyło coś, cofało się i poruszało naprzód, unosząc się w powietrzu w pewnej odległości od nich. Wydawało przenikliwe okrzyki i sprawiało wrażenie, że jest osadzone na falach spiętrzanej piany. Stopniowo całe to tajemnicze zjawisko zbliżało się do nich.

— Gdybyśmy byli na pustyni — odezwał się nadinspektor — byłby to Omar Sharif.

Zbliżała się do nich kobieta. Tęga, w średnim wieku, miała na sobie luźne zielone spodnie, pąsowe poncho i filcowy kapelusz z pawimi piórami na rondzie. Piana okazała się kilkoma kremowymi pekińczykami, które nadal kłębiły się bezładnie, kiedy kobieta się przedstawiała.



—Evadne Pleat, dobry wieczór. Czy to pan jest tym nadinspektorem od Hetty Leathers?

—Dobry wieczór — odpowiedział Barnaby i także się przedstawił.

—A ja jestem sierżant Troy — powiedział sierżant Troy, już zakochany w pieskach, choć wyglądały na strasznie niemądre.

—Słyszałam, że się tu kręcicie. Chciałam tylko powiedzieć, że jeśli jest coś, cokolwiek, w czym mogłabym pomóc, musicie do mnie wpaść. — Jej okrągła, różowa twarz jaśniała zapalem. Miała słodki uśmiech. Daleki od uśmieszku wymienianego na ulicy czy przez parkan ogrodu przy codziennych powitaniach, który ledwo dochodzi do ust, nie mówiąc już o oczach. Uśmiechała się jak dziecko, entuzjastycznie, zupełnie bez wyrachowania, pewna przyjacielskiej reakcji. — Do Mulberry Cottage. Tam przy Probostwie.

—Rozumiem — Barnaby zerknął na mały, ładny domek. — Czy nikt jeszcze do pani nie zaszedł?

—O tak. Bardzo kompetentny młody człowiek, może tylko trochę przeczułony na punkcie swego ubioru. — Pamiętała, jak konstabl Phillips stał bez końca przy jej furtce i ze zmarszczonymi ze złości brwiami zbierał kule jasnego puchu ze spodni munduru. — Przekazałam mu swoje pomysły, choć nie jestem pewna, czy w pełni docenił szeroki zakres mojej wiedzy i doświadczenia.

—Czy dotyczy ona jakieś szczególnej dziedziny? — zapytał sierżant uprzejmie.

—Związków międzyludzkich — odparła Evadne, obdarzając ich obu szerokim uśmiechem. — Przyływów i odpływów emocji w ludzkim sercu. I tak naprawdę, czyż nie tego dotyczą w efekcie wszystkie wasze śledztwa?

Podczas tej rozmowy pekińczyki kręciły się dokoła i Evadne kręciła się z nimi, starając się jak najlepiej przytrzymać swój kapelusz.

—Oczywiście będę o tym pamiętał, panno Pleat — wymruczał Barnaby. —A teraz, jeśli to wszystko...

—Tak, w tej chwili tak. Ale jeśli jest coś konkretnego, z czym potrzebujecie pomocy, wystarczy poprosić. Powiedzcie do widzenia miłym policjantom — poinstruowała pieski.

Chociaż nie przestały szczebrać, od kiedy tylko rozmowa się zaczęła, teraz podwoiły wysiłki, ujadając, skacząc, turlając się dookoła i płacząc smycze.

—Jak się wabią? — sierżant Troy ociągał się z odejściem i usłyszał chrząknięcie poirytowania gdzieś w okolicach lewego ucha.

—Pierś, Dido, Blossom, Mazeppa... nie rób tego, skarbie. Potem jest Nero, a ten z tyłu to Kenneth — wskazała na malutkiego pieska przypominającego chryzantemę, skaczącego jak piłka.

Troy musiał gonić prawie przez cały skwer, by złapać szefa.

—Jest pan szybki, szefie.

—Tak, kiedy chcę od czegoś uciec — Barnaby zbliżał się do samochodu z uczuciem ulgi. — Czy ona w ogóle słyszy swoje myśli?

— One w ten sposób okazywały przyjazne nastawienie. Barnaby rzucił mu spojrzenie, które skwasiłoby mleko.

Wsiedli do samochodu. Troy przekreślił kluczyk i starał się wymyślić jakąś pojednawczą uwagę, która umiliłaby ich drogę do domu.

— Dziwnie się nazywa: Evadne Pleat.

— Tak myślisz? — Barnaby mógł sobie pozwolić na ton wyższości. Przed kilkoma laty wraz z Joyce odwiedzili jej brata w Ameryce. Colin wynajmował mieszkanie, którego właścicielką była Zorrest Milchmain. Naprawdę dużo trzeba, żeby to pobić.

Joyce nakrywała do stołu. Piękny niebiesko-żółty prowan-salski obrus, wiciokrzew w wysokim kryształowym wazonie, smukłe kieliszki do wina.

Wszystko poza zupą (z marchewki i kolendry) było tego wieczoru chłodne. W drodze na stację Marylebone Joyce skoczyła do Fortnum's i wybrała wędzonego dzikiego łososia, stek, kasztanowe ciasto, karczochy i sałatkę grecką.

Lunch zjadła dziś w Londynie, w Teatrze Narodowym. Ni-co miał przesłuchanie o wpół do dwunastej. Joyce i Cully spotkały się z nim w foyer Lyttelton. Siedzieli tam przez chwilę, słuchając tria, złożonego z fletu, fortepianu i altówki, grającego romanse Faure. Potem poszli do restauracji Olivier, gdzie Joyce zarezerwowała stolik.

Wypili po lampce szampana, ponieważ był to wspaniały i ekscytujący dzień, chociaż Nicolas miał poznać wyniki przesłuchania nie wcześniej niż za tydzień. Nico ubiegał się o rolę u Trevora Nunn w sztuce *Jean Brodie* i był w siódmym niebie, bo znalazł się w tym samym miejscu i chodził po tych samych deskach co największe gwiazdy teatru tego wieku: Scofield i McKellan, Gielgud, Judi Dench i Maggie Smith. To było miejsce, gdzie Ian Holm grał króla Leara... Czy Joyce widziała tego Leara? Brawurowy popis wręcz zapierał dech w piersiach... och... rozdzierał serce... po prostu niewiarygodny...

Joyce uśmiechała się, z radością pozwalała mu mówić. To była jedna z zalet przebywania z aktorami. Byli tacy swobodni. Nigdy nie brakowało im tematów do rozmowy.

Patrzyła, jak Cully całuje męża w policzek, podnosi kieliszek, szczęśliwa i podniecona. Ale mając córkę w tym zawodzie, Joyce zyskała wyraźną świadomość, jak kapryśna jest kariera artysty. Na szczycie w jednej chwili, na dnie w następnej. Znała też Nicolasa na tyle dobrze, by rozumieć, że do wieczora wątpliwości stopniowo wyprą tę radosną żywiołowość. Nawet teraz, powiedziawszy, że wydawało się, iż Trevor Nunn naprawdę go zachęca, dodał:

— Oczywiście, tak mi się *wydawało*...

Joyce spojrzała przez okno na połyskujące w rzece słońce, na wielkie stalowe mosty Londynu i westchnęła z przyjemności. Miała dar zauważania wspaniałych chwil, już wtedy kiedy je przeżywała, nie tylko we wspomnieniu, jak to się zdarza u wielu ludzi. Tak miło będzie opowiedzieć o tym Tomowi. Kiedy wszedł do kuchni, wciąż pogrążona była w zadumie.

—O rany! — Wpatrywał się w zastawiony stół. — Nieźle to wygląda. Co to? — wskazał na wspaniały pudding.

—Gruszkowa Charlotte. Możesz zjeść same gruszki.

—Skąd to wszystko masz?

—Z Fortnum's. — Potem, widząc zaskoczenie męża, dodała: — Byłam w Londynie.

—A po co?

—Tom, naprawdę.

—Nie mów mi!

—Nie mam zamiaru.

—W holu mamy jeszcze trochę chardonnay, które będzie świetnie pasować do tej uczy. Przyniesiesz, kochanie?

Kiedy Joyce wróciła z butelką Glen Carlou w ręce, Barnaby powiedział:

—Przesłuchanie Nico.

—Spojrzałeś w kalendarz.

—Dostał rolę.

—Opowiem ci o tym przy kolacji. — Otworzyła wino. — A tak przy okazji, Gavestonowie odwołali wizytę.

—To świetnie. Zatem... — pomachał ręką w kierunku kryształ, kwiatów i kieliszków. — Po co to wszystko?

—Dla nas — Joyce podała mu kieliszek i pocałowała lekko w policzek.

—Hm — Barnaby wypił duży haust. — Bardzo dobre. Ostre wino z podskórnym ciepłym smaczkiem, ale strasznie mocne. Coś mi to przypomina. — Zaczął cicho, na wdechu śpiewać *The Air That I Breathe*. To była ich piosenka, przed laty zagrana na ich ślubie. — „Miałbym kłopot, gdybym miał wypowiedzieć jakieś życzenie...”

Joyce podała mu serwetkę.

—Pamiętasz to, kochanie? — spytał.

—Co? — Zaczęła już jeść.

—Piosenkę The Hollies.

—Hm. Jak przez mgłę.

TLR

## Rozdział ósmy

---

Była już prawie dziesiąta następnego ranka, kiedy Ann Lawrence odzyskała świadomość. Absolutnie nie można by tego nazwać zwykłym „obudzeniem się”. Odkurzacz na podeście pod jej pokojem brzęczał najpierw cicho, nie głośniej niż pszczoła. Stopniowo dźwięk nasilał się. Słysząc było uderzenia szczotki w listwę przypodłogową.

Ann czuła się tak, jakby wynurzała się z głębin oceanu. Płynęła i płynęła, przedzierając się przez ciemne warstwy błotnistego bagna umysłu, aż w końcu uniosła opuchnięte powieki. Przez chwilę, leżąc na poduszce, wpatrywała się w niewyraźny zarys ciężkich mebli. Wszystkie wyglądały zupełnie obco. Potem zrobiła błąd, próbując podnieść głowę.

— Och... — Poczowała ostry ból. Szok sprawił, że gwałtownie złapała oddech, zamknęła oczy i czekała, aż męka minie. Potem, sztywno trzymając głowę i opierając się na materacu, dźwignęła się i oparła na wezglowiu. Odpoczywała tak przez chwilę, zupełnie bez ruchu.

Odkurzacz został wyłączony. Ann usłyszała delikatne pukanie. Hetty Leathers wsunęła głowę przez drzwi, po czym weszła ostrożnie do pokoju.

—Dzięki Bogu. Myślałam, że nigdy się pani nie obudzi. — Podeszła do okna i rozsunęła zasłony. Do pokoju wlała się ponura szarość dnia.

—Nie zapalaj światła!

—Nie zamierzałam. — Siadła na brzegu łóżka i wzięła Ann za rękę. — Dobrze nieba, pani Lawrence, co się pani stało?

—Ja... ja nie wiem.

—Wiedziałam, że nie powinna pani dostać dwóch tabletek. Mówiłam mu.

—Co?

—Wczoraj wieczorem. Kiedy szła pani spać.

—Ale... ciebie tutaj... —Ann westchnęła głęboko, próbowała dokończyć zdanie, ale nie zdołała.

—Wieczorem? Zgadza się. Ale zadzwonił o dziewiątej i chciał wiedzieć, co ma zrobić z kolacją — w głosie Hetty wciąż pobrzmiwała irytacja, którą wtedy czuła. Tak jakby mężczyzna nie mógł otworzyć puszki z zupą i zrobić sobie kanapki. — Więc pomyślałam, że lepiej przyjdę rano, bo inaczej nie będzie pani miała co jeść przez cały dzień.

—Kto dzwonił?

—Kto? — Hetty spojrzała na nią zdumiona. — No, pan Lawrence, oczywiście.

—Aha.

—Musiałam poprosić sąsiadkę, żeby posiedziała z Candy. Nie przyszedłabym, gdyby nie powiedział, że jest pani chora.

—Tak. — Policzki Ann zapłonęły, kiedy pewne żywe sceny, chaotyczne i z pozoru całkiem ze sobą niepowiązane, zaczęły nerwowo przebiegać przez jej głowę. Zrozpaczona kobieta, schwytna i wciśnięta wbrew jej woli do samochodu. Ta sama kobieta, z płaczem odpychająca mężczyznę, który stara się ją uspokoić, potem walcząca z inną kobietą, w pielęgniarzkim fartuchu, która próbuje trzymać ją za ramię. Potem wszystko staje się wyraźniejsze, ale odleglejsze, jakby widziane z drugiej strony teleskopu. W końcu zostaje posadzona w otoczeniu, które wydaje się trochę znajome, lecz także nieokreślone, jak pokój ze snu. Miejsce to zapchane było ciężkimi, lecz dziwnie niematerialnymi meblami. Przyciskała do ust filiżankę z herbatą, rozlewając ją dookoła.

—Nie mogę tu zostać! — Nagły ruch i ogarnęły ją mdłości. Ann zakryła usta dłonią.

—Co pani mówi, pani Lawrence? Dokąd pani pójdzie?

—No... nie wiem.

—Proszę odpoczywać. Na dole wszystko jest w porządku, nie musi się pani o nic martwić. — Hetty podniosła się z łóżka. — A może zrobię pani coś gorącego do picia.



—Niedobrze mi.

— Proszę posłuchać — Hetty zawahała się. — Może to nie moja sprawa, ale te środki uspokajające niektórym nie służą. Na pani miejscu cisnęłabym wszystkie przez okno.

Ann powoli położyła się z powrotem i oparła na poduszce. Leżała płasko na wznak, wpatrując się w jeden punkt na suficie. Mdłości powoli ustępowały. Poczowała się trochę silniejsza. Ale tylko fizycznie.

Jej umysł wciąż był jak szmaciany worek pełen bezładnych dźwięków, obrazów i wrażeń, które wydawały się całkowicie bez znaczenia. Potem pojedynczy promień światła przebił się przez tę płataninę i Ann zrozumiała, że to ona była kobietą z tego dziwnego, onirycznego ciągu wydarzeń.

Chociaż to odkrycie było alarmujące — naprawdę zrobiła z siebie widowisko, wepchnięta do samochodu męża i zmuszona poddać się badaniu w gabinecie lekarskim — przyniosło też uspokojenie. Pamięć jej nie zawiodła i z jej umysłem nie stało się nic złego.

Ale jak znalazła się w tym stanie? Ann starała się skoncentrować. Zanim ją znaleźli, spotkała kogoś — Louise Forbes! I były jakieś nieprzyjemności — nie, to *ona* była nieprzyjemna. Louise zachowywała się normalnie i przyjaźnie. Jednak Ann uważała ją za jakieś zagrożenie. Dlaczego?

Ann delikatnie potrząsnęła głową. Miała wrażenie, że wypełnia ją zwinięty drut kolczasty. Uderzyła się w czoło wierzchem dłoni i stęknęła z frustracji. Causton. Rynek. Louise przy bankomacie. A ona sama wychodzi z budynku. Co ona robiła w...

O Boże! Wszystko wróciło w postaci strumienia cuchnącej cieczy zalewającego jej świadomość. Usiadła pośpiesznie. Oddychała szybko, prawie nie mogąc złapać tchu z emocji i lęku, spuściła nogi na podłogę i sięgnęła po torbę. Brązowa koperta wciąż tam była. Otworzyła ją, wyciągnęła owinięty gumką plik banknotów. *Tym razem pięć kawałków morderczyni to samo miejsce ta sama pora jutro.*

O północy („ta sama pora”) leżała nieprzytomna w wywołanym lekami śnie. Ale on o tym nie wiedział. Pomyślał pewnie, że mu się przeciwstawia. Co zrobi?

Wyśle jeszcze jeden list? Zadzzwoni z groźbami? Może powinna zanieść dziś pieniądze do Lasu Cartera i zostawić je w pojemniku na śmieci?

A jeśli on dzisiaj nie przyjdzie? Każdy będzie mógł je zabrać. Albo pojemnik zostanie opróżniony, a pieniądze znajdą się na wysypisku. Ann przypomniała sobie upokarzającą rozmowę z kierownikiem banku. Nie zniosłaby tego ponownie.

Z drugiej strony pokoju, na starej orzechowej komodzie stała duża fotografia jej ojca oprawiona w srebrną ramę. Z całego serca chciała, by wciąż żył. On nie układałby się z szantażystą. Widziała go, jak wyrusza, by się z nim policzyć, kimkolwiek jest, wymachuje swoją ciężką jesionową laską i klnie soczyście z gniewu.

Ann musiała przyznać, że to byłoby głupie. Tu nie chodziło o żadnego włóczęgę czy wałkonia, którego mógłby poskromić czyjś autorytet. Ten, z kim miała do czynienia, posiadał mroczną siłę, której nie da się tak łatwo pokonać. Ann nie mogła nic zrobić.

Kiedy tak powoli uświadamiała sobie swą bezradność, poczuła pierwsze fale rozżalenia, po których pojawiły się rozgrzewające iskierki złości.

Co mogła zrobić? Tylko siedzieć potulnie i czekać na instrukcje, jak jakaś żalosna wiktoriańska służąca. Biec i wypełniać je natychmiast, kiedy zostaną wydane. Sprzedawać coraz więcej cennych rzeczy, aby zaspokoić nienasyconą chciwość nieznanego prześladowcy. Nie może tego znieść. *I nie zniesie.*

Ale czy miała inny wybór? Po raz pierwszy zaczęła rozważać, nie chaotycznie, w zabarwionej paniką gorączce, ale ze spokojną powagą, co mogłoby się stać, gdyby nie zapłaciła.

Szantażysta powiadomi policję. Anonimowy cynk, bez żadnego ryzyka. Przyjdą i będą zadawać pytania. Nie mogła kłamać i zachowywać się, jak gdyby nic się nie stało. To było wbrew jej charakterowi i wszystkiemu, w co nauczono ją wierzyć. Więc powiedziałyby im prawdę.

Jakie byłyby tego konsekwencje? Czy zostałaby aresztowana? Prawdopodobnie. Przesłuchiwana? Na pewno. Lionel byłby zdruzgotany, a wioska miałaby naprawdę ciekawy materiał do plotek. Ale to kiedyś by minęło. Ann z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że wcale nie martwi jej sytuacja, w której znalazłby się

Lionel. Przecież przez tyle lat zajmował się ludźmi w kłopotach, że powinien poradzić sobie też z własnym problemem.

Jakby już była przesłuchiwana, Ann cofnęła się w myślach do tamtego wieczoru. Zgubione kolczyki, dzika reakcja Carlot-ty i jej ucieczka, szarpanina na moście. Straszna chwila, kiedy dziewczyna spadła. Szaleńczy bieg, poszukiwania wzdłuż brzegu rzeki. Telefon na numer alarmowy.

Z pewnością policja zauważy, że nie jest osobą, która umyślnie zrobiłaby komuś krzywdę. A Carlotta... Już samo imię wywołało w niej dreszcz. Carlotty nie znaleziono. Być może wydostała się na brzeg już w chwili, kiedy Ann tak rozpaczliwie ją wołała. Chociaż księżyc świecił jasno, to jednak było tam kilka zacienionych miejsc, które mogły dać jej schronienie.

To był wypadek. Taka jest prawda i oni muszą jej uwierzyć. Zwróci pieniądze do banku, a jej nieznany prześladowca niech robi, co chce.

Louise, z ciężkim sercem, zmęczona brakiem snu, ubierała się. Nie widziała brata od ich kłótni w piątkowy wieczór. Następnego dnia wyszedł, zanim wstała. Zostawił liścik, w którym napisał po prostu, że jedzie do Londynu. Nie mogła zasnąć i około trzeciej nad ranem usłyszała, że wraca. Zazwyczaj czekałaby na niego i pytała, jak minął mu dzień, ale wczoraj zawahała się z obawy, że tylko go rozzłości.

Zawiązując pasek pierwszej sukienki, jaka wpadła jej w ręce, nagle znieruchomiała, wstrząśnięta niewiarygodną nowością tej myśli. Nigdy wcześniej nie obawiała się brata. Oszołomienie ustąpiło wkrótce złości. Wstała i przemaszerowała do ściany wychodzącej na ulicę. Przyciskając ręce do szyby, wpatrywała się w ogród Starego Probostwa i mieszkanie nad garażem. Czuła, jak jej wściekłość zmienia się w nienawiść.

Dlaczego to Jax nie znalazł się na miejscu Charliego Leathersa? Nieszczęsny, niezbyt miły stary człowiek żyłby do teraz, a odrażający i młody, na samym początku swojego siejącego spustoszenie życia, zostałby zniszczony. „Mogłabym sama to zrobić” — pomyślała Louise, szczerze wierząc w tej chwili, że jest zdolna do morderstwa. Nie własnymi rękami, oczywiście — nie byłaby w stanie go dotknąć. Ale gdyby było takie urządzenie przypominające pilot, w którym wy-

starczy nacisnąć guzik. No cóż, wtedy sprawa przedstawiałaby się zupełnie inaczej.

Cofnęła ręce, przyglądając się niewyraźnym śladom pozostawionym przez dłonie i palce, potem szybko przejechała po szybie przedramieniem, ścierając wszystko. Gdybyż mogła zrobić to właśnie tak, nie martwiąc się bardziej niż wtedy, kiedy miażdży się mszycę na liściu róży.

—O czym myślisz?

—Ach! — Louise odskoczyła od okna, potem pospiesznie się do niego cofnęła. Stała, zasłaniając sobą zamazane odciski palców, tak jakby przez nie widoczna była jej wrogość. — Przestraszyłeś mnie... Nie słyszałam, jak wchodzisz.

—Idę pod prysznic. — Valentine miał na sobie swój strój do jazdy na rowerze. Czarne spodenki do kolan z lycry i żółtą koszulkę, teraz mokre od potu, przyklejone do potężnych ramion i muskularnych ud. Patrzył na nią bez wyrazu. — Nastaw kawę, Lou.

Czekając w kuchni, aż zejdzie, Louise oddychała równo i głęboko. Postanowiła, że nie da się wciągnąć w kłótnię, zachowa spokój i nie będzie go krytykować. To było jego życie. Tylko, modliła się bezgłośnie, obym mogła w nim pozostać.

Na stole stała kawa i słodka bułeczka z masłem i szwajcarskim czereśniowym dżemem. Valentine wszedł i od razu usiadł, nie patrząc na siostrę, nalał sobie kawę. Louise wiedziała, co nastąpi.

—Przepraszam za wczoraj.

—Nie szkodzi. Każdy ma...

—Byłem niesprawiedliwy. Zawsze robiłaś więcej, niż tylko płaciłaś za siebie.

—W porządku, Val. Oboje byliśmy zdenerwowani.

—Ale — Valentine odstawił filiżankę — musimy porozmawiać.

—Tak — powiedziała Louise, a podłoga zaczęła usuwać się jej spod nóg. — Rozumiem.

—Kiedy sugerowałem, że powinnaś się wyprowadzić, mówiłem w złości. Ale myślałem o tym i, wiesz, nadal uważam, że to może być dobry pomysł.

—Tak — rzekła Louise jeszcze raz, zaciskając usta. —Ja... eee... tak naprawdę, też tak myślę. Przecież sprowadziłam się tutaj tylko na jakiś czas, żeby, jak to się mówi, wylizać rany. I czuję się już dużo lepiej. Czas, abym powróciła do rzeczy wistości, zanim skostnieję. Myślałam, by wynająć coś bliżej Londynu, i rozjrzeć się za czymś na stałe. Pewnie potrzebuję kilku dni, aby to zorganizować. Tak będzie dobrze?

—Och, Lou — Valentine odstawił filiżankę i wziął siostrę za rękę. — Nie płacz.

—Pamiętam, kiedy zacząłeś nazywać mnie Lou. — Miała wtedy dwanaście lat i była na zabój zakochana w pięknym młodzieńcu, który przebywał w domu jej rodziców. W swej niewinności Louise wierzyła, że to był po prostu przyjaciel brata. — To było wtedy, kiedy Carey Foster...

—Proszę, tylko nie graj w „czy pamiętasz”.

—Przepraszam. Poniżej pasa?

—Trochę.

—Będę mogła cię odwiedzać? — głos Louise brzmiał dziecinnie, nawet dla niej samej. — I dzwonić?

—Oczywiście, że możesz zadzwonić, wariatko. I będziemy się spotykać w mieście, tak jak zawsze. Pójdziemy na lunch, do teatru.

W mieście. Zatem zostanie banitką. Louise piła prawie zimną kawę, która wydawała się jej kwaśna, i zaczęła już czuć ból rozstania. Każda komórka w jej ciele bolała.

— Tak, to wspaniale.

Po spokojnej niedzieli, spędzonej w ogrodzie na wykopywaniu i układaniu na zimę cebulek tulipanów i lili, dzieleniu i przesadzaniu odpornych bylin i przycinaniu kwitnących w lecie krzewów, Barnaby przygotowywał się do porannej od-

prawy. Był wypoczęty i w dobrym nastroju. Zauważył, że w terminarzu biurkowym zapisane ma na dziesiątą spotkanie w Caritasie.

Troy, który czekał przy drzwiach i starał się wyglądać na opanowanego, żuł Twiksa. Stosował je jako substytut papierosów. Okazały się całkiem skuteczne, poza tym, że wciąż palił.

Kiedy Barnaby starannie ułożył papiery na biurku i wsunął je do brązowej papierowej teczki, zmarszczył brwi na widok poruszających się szczęk swojego sierżanta.

— Czy ty nigdy nie przestajesz jeść? — To był jego czuły punkt. Niezależnie od tego, ile Troy jadł, nigdy nie przybierał na wadze, nawet o kilogram.

— Oczywiście, że przestaję — Troy czuł się urażony. Jak nie jedno, to drugie. Każdego ranka. A jaki musi być ten stary palant o osiemnastej?

— Nie wyobrażam sobie kiedy.

— Kiedy śpię. I kiedy...

— Oszczędźcie mi makabrycznych szczegółów swojego życia intymnego, sierżancie.

Troy milczał z godnością. Zamierzał powiedzieć: „Kiedy czytam Talisie Leanne”. Zwinął opakowanie od batonika w kulkę i wrzucił je do kosza.

Myśl o córce przypomniła mu o krztuchotaniu. Sprawdził to słowo w jej słowniku i dowiedział się, że to coś pomiędzy krztuszeniem się a chichotem. Głupie, uznał Troy. Dlaczego nie odwrotnie? Hej, brawa dla chichuszących.

Wszyscy w pokoju 419 siedzieli z otwartymi notatnikami i wydrukami i wyglądali na przygotowanych. Tylko inspektor Carter wydawał się niewypoczęty, tak jakby nie spał w nocy. Był też przygnębiony. Przekornie, Barnaby postanowił zacząć właśnie od niego.

— Dokładnie nic — odpowiedział Carter na pytanie, co mają. — Przepytaliśmy dokładnie wszystkich mieszkańców w trzech wioskach, wracaliśmy nawet wieczorami, żeby złapać tych, którzy byli w pracy w ciągu dnia.

— A tych, którzy byli w pubie?



—Och, tak. Zdaje się, że nikt nie słyszał niczego niezwykłego niedzielnego wieczoru. Wszyscy siedzieli w domach przy zasłoniętych oknach i oglądali telewizję. Jedna osoba, pan... hm... Gerry Lovatt, wyprowadzał na spacer swojego charta, Constanzę, o kilka metrów od jazu, ale on też nic nie słyszał.

—To zaskakujące — powiedział Barnaby.

—Była jeszcze kobieta...

—Tak, właśnie miałem cię zapytać, Phillips. Dziękuję bardzo.

—Przepraszam, nadinspektorze.

—Mów dalej.

Grdyka konstabla Phillipsa zadrżała nerwowo. Zaczerwienił się. Sierżant Brierley posłała mu miły, zachęcający uśmiech. Troy, oczarowany tym, że przebywa w jednym pokoju z dziewczyną, która strasznie mu się podoba, sam uśmiechnął się do niej ponad blatami biurka. Nazwał kotkę swojej córki Audrey dla samej przyjemności ciągłego powtarzania tego imienia. Ona też go ignorowała. Może powinien przechrzcić ją na Constanza.

—Panna Pleat — zaczął konstabl Phillips.

—Spotkałem pannę Pleat — rzekł Barnaby. — Nie chcesz chyba powiedzieć, że muszę się z nią spotkać po raz drugi?

—Niekoniecznie, proszę pana.

—Dzięki Bogu.

Tu i owdzie rozległy się nerwowe śmiechy, do których konstabl Phillips z ociąganiem dołączył.

—Myślę tylko, że może coś wiedzieć. Nie o faktach, obawiam się, tylko raczej o uczuciach.

—Nie mów mi, że o przyływach i odpływach ludzkiego serca.

—Coś w tym rodzaju, proszę pana. Cóż, ona myśli, że Valentine Fainlight, właściciel tego niezwykłego...

—Wiem, kim jest Fainlight.



—Przepraszam. Że on kocha się w dziewczynie, która uciekła, w Carolocie.

—Valentine Fainlight jest homoseksualistą, konstablu Phillips.

—Och. Nie wiedziałem. Prze...

—Na czym panna Pleat opiera to niezwykle przypuszczenie?

—Codziennie w nocy idzie pod Stare Probstwo i patrzy w jej okno.

Obecni wymienili rozbawione spojrzenia, zachowując jednak ostrożność, powstrzymywali się od jakiegokolwiek głośnej ekspresji rozbawienia. Obserwowali szefa i starali się rozeznąć, w którą stronę wieje wiatr.

Przez chwilę wydawał się pogrążony w myślach, po czym znowu się odezwał:

—To wszystko?

—Tak, proszę pana — odparł konstabl Phillips, modląc się, by rzeczywiście było to wszystko.

—Dobrze. Co dalej?

Zaczęli analizować wydruki. Barnaby dowiedział się, że według danych ze szpitali i policji w ciągu ostatniego tygodnia nie znaleziono żadnej osoby odpowiadającej opisowi Carolotty Ryan, w wodzie czy poza nią, zmarłej przypadkowo lub w wyniku zamierzonych działań.

Przeszukiwania brzegu rzeki także okazały się prawie bezowocne. Jedynie w kępie ciernistych krzewów znaleziono kilka paczek chipsów i puszek coca-coli, starą oponę, używaną kiedyś jako huśtawka, i ramę dziecięcego wózka. Emerytowany brygadier, przewodniczący Towarzystwa Ochrony Ferne Basset, wyjaśnił policjantom, że przeszukiwane wykroty są używane jako śmietnik przez mieszkańców domów komunalnych. Co tydzień członkowie towarzystwa oczyszczają je, a one natychmiast zostają od nowa zapaskudzone. Uprzejme prośby porzucenia tego zwyczaju są ignorowane. Nalegał, by zanotować to w policyjnym raporcie. W grę wchodziła duma wioski.

Wciąż analizowano odpowiedzi na telewizyjny apel. Odsiewano tych, którzy po prostu chcieli zwrócić na siebie uwagę. Zostało niewiele.

Sierżant Jimmy Agnew i policjantka Muldoon, sprawdzając przeszłość Lionela Lawrence'a, znaleźli z pewnością naj-nudniejszy życiorys, jaki można sobie wyobrazić. Urodzony w 1941 roku w Uttoxeter, egzamin gimnazjalny z pięciu przedmiotów, w tym z religii. Dyplom teologii na Uniwersytecie Otwartym. Nie było tam nawet podejrzanej pasji do skautingu.

Nadinspektor Harris, który miał zdobyć nagranie anonimowego telefonu z tej nocy, kiedy zaginęła Carlotta, wyjaśnił, że posterunek Kidlington się spóźnia, bo zawsze w niedziele mają za mało personelu, ale na pewno dostarczą taśmę jeszcze dziś.

Zgodnie z obawami Barnaby'ego zdejmowanie odcisków palców w budce telefonicznej w Ferne Basset dowiodło, że cała ta procedura była bezcelową stratą bezcennego czasu techników kryminalistycznych.

Barnaby wyczekiwał na spotkanie z panią Vivienne Calthrop z zarządu Caritasu, zajmującego się resocjalizacją młodych przestępców. Miał zatem rozmawiać z osobą, która nie tylko znała Carlottę, ale także mogła opisać dziewczynę raczej obiektywnie.

Lionel Lawrence, zezujący i mrugający zza swoich różowych okularów, był mniej niż bezużyteczny. Jax — pełen złośliwości, ponieważ Carlotta go odrzuciła. Pani Leathers okazała niezadowolenie z obecności dziewczyny w imieniu swojej praco-dawczyni, a ta była do tej pory nieosiągalna.

Przyjechali dziesięć minut przed czasem, co Troy wykorzystał, by wysiąść z samochodu i trochę rozprostować kości. Był rozdrażniony z powodu tych cholerynych fajek. Do tej pory Maureen nie wiedziała, że znów zaczął palić. Jakimś cudem udawało mu się nie robić tego w domu. Szybki spacer przed snem oznaczał trzy intensywne dymki, potem musiał wytrzymać aż do wyjścia z domu rano. Wydawało się, że używanie płynu do płukania ust, zawzięte szorowanie zębów i zucie pietruszki do tej pory ukrywało jego ciemne sprawki. Nieustanny smród papierosów na jego ubraniu dawał się bez trudu wyjaśnić codziennymi wizytami w toaletach na posterunku.

— Chodź!

Troy zgasił papierosa i podążył za szefem.

— Czy to jest miejsce godne zaufania?

Wspinali się na mocno poplamione betonowe stopnie, potem precyzyjnie przeszli przez metalowe wahadłowe drzwi pomalowane na kolor khaki. Farba odpryskiwała w wielu miejscach, a prawe skrzydło było wygięte na dole, jakby ktoś nieźle je kopnął.

— O tak. Sprawdziliśmy ich. W ich radzie jest pewien sędzia, znany ze swojego zainteresowania resocjalizacją, dwóch członków Ligi Howarda oraz nasz Lionel. Finansowani są z kilku poważnych źródeł, a czasem też niewielkie sumy daje im rząd.

Na końcu ponurego korytarza napis na dużej białej kartce wskazywał recepcję. Litery napisane były bardzo starannie, tu i ówdzie z zamaszystymi zawijacami, a całość okalała ramka w kolorowe kwiaty. Kartka włożona była w przezroczysty woreczek.

W środku zobaczyli malutką, chudą dziewczynę. Wyglądała na zbyt młodą, by wychodzić samotnie na dwór, nie mówiąc o obsłudze centrali telefonicznej. Miała włosy w kanarkowym kolorze, srebrne kółka w brwiach i mówiła świergotliwie cockneyem.

— Dzień dobry.

—Dzień dobry — odpowiedział Barnaby, zastanawiając się, co to oznacza, że recepcjonistki wydają mu się coraz młodsze. — Przyszliśmy...

—Do panny Calthrop, na dziesiątą?

—Zgadza się — powiedział sierżant. Zastanawiał się, czy to ona zrobiła kartkę na drzwiach. —A pani jest...?

—Cheryl. Zaprowadzę panów.

Zignorowała telefon, który właśnie zaczął dzwonić, i wyprowadziła ich z budynku. Potem przeszli przez asfaltowy parking w stronę starego baraku postawionego na pustakach.

—Nie wygląda pan na policjanta — powiedziała Cheryl, drepcząc w absurdalnych małych bucikach na dziesięciocentymetrowych obcasach, z wyłogami z lamparciej skóry. Dała sierżantowi przyjacielskiego kuksańca.

—Więc jak powinienem wyglądać?

—Jak on — skinęła miękkimi lokami w kolorze cytryny w stronę nadinspektora, człapiącego ciężko za nimi.

—Spotkajmy się za dwadzieścia lat — roześmiał się Troy.

—O, nie — stwierdziła Cheryl. — Nigdy nie będzie pan tyle ważył. Pan jest inny.

Wspięli się po trzech chwiejnych drewnianych stopniach. Cheryl zastukała w źle osadzone drzwi. Natychmiast dotarł do nich cudowny brzęczący dźwięk, jak bogate wibracje wioli, i drżał jeszcze przez chwilę nad ich głowami.

—Co to było? — zapytał Barnaby.

—Po prostu powiedziała: wejść — Cheryl ruszyła z powrotem i dodała przez ramię: — Głęboki wdech i wchodźcie.

Policjanci weszli do środka.

O rany — pomyślał Troy, głęboko wciągając w płuca prawdziwy stuprocentowy zaduch. Cudowna zastała i gnijąca atmosfera, skoncentrowana esencja papierosów, która mówi nałogowcowi, że jest w domu. Z tym, że dom nie mógłby pachnieć tak dobrze. Troy usłyszał za sobą stłumiony jęk protestu.

Barnaby, żałując, że rzeczywiście nie wziął przed wejściem głębokiego wdechu, rozejrzał się dokoła. Nie widać tu było żadnych prób zakrycia czy udekorowania ścian. Metalowe ramy i śruby utrzymywały panele z szarego płaskiego materiału, podejrzanie podobnego do azbestu. Stały tam staroświeckie metalowe segregatory, mimo że za stertami teczek na zagraconym biurku widoczny był zakurzony komputer. Elektryczny wentylator, umieszczony na jednym z paneli, terkotał i kasłał. Za biurkiem widniała niezła przeróbka znaku zakazu palenia: narysowany odręcznie jarzący się papieros przekreślony dużym czarnym ptaszkiem, oznaczającym akceptację.

Ktoś próbował tę zatechłą atmosferę uczynić mniej odrażającą, obficie spryskując otoczenie mdlącym, słodkim odświeżaczem powietrza. Ten mieszał się jeszcze z zapachem glutaminianu sodu, dochodzącym z leżących w koszu na

śmieci opakowań po daniach na wynos, oraz z odważnymi, zmysłowymi perfumami kobiety siedzącej za biurkiem.

Vivienne Calthrop nie próbowała wstać, kiedy policjanci prezentowali swe legitymacje, zerknęła tylko na nie i machnęła, by je schowali. Zresztą nie byłoby jej łatwo, gdyż była bardzo otyła. Mówiąc prawdę, była jedną z największych kobiet, jakie Barnaby kiedykolwiek widział.

—Jeśli chcecie kawę, ustrojstwo jest tutaj — wskazała biały, raczej brudny laminowany stół, a potem parę zniszczonych foteli.

—Nie... hm... naprawdę... — Jeżeli Barnaby był zakłopotany, to nie z powodu wyglądu kobiety, ale jej naprawdę niezwykłego głosu/Bardzo chropawy, ogromnie melodyjny, bujny i ciepły, wibrujący żywotnością. Mój Boże, pomyślał nadinspektor, tonąc w jednym z foteli, co dałaby moja córka, by tak brzmieć.

—Proszę, nie załujcie sobie — rzekła panna Calthrop, jednocześnie wytrząsnęła gitane'a z owiniętej w celofan paczki i go zapaliła.

—Dziękuję — odparł sierżant i już sięgał do kieszeni marynarki, kiedy zauważył spojrzenie szefa i zmienił zamiar.

—Więc o co chodzi z tą Carlottą?

—Nie wiem, co pani powiedziano, panno Calthrop...

—Prawie nic. Tylko, że policja poszukuje informacji o jej przeszłości. Co zmalowała tym razem?

—Uciekła — wyjaśnił sierżant.

—Och, dajcie spokój. Przychodzi tu nadinspektor, a ona tylko *uciekła*"?

—Rzeczywiście chodzi o trochę więcej.

—Jasne jak słońce.

—Tam, gdzie przebywała, doszło do kłótni...

—Stare Probostwo, Ferne Basset — wielkim jak parówka białym palcem, z kilkoma pięknymi pierścieniami, postukała w teczkę na biurku. — Jeden z dobrych uczynków drogiego Lionela.

—Została oskarżona o zabranie pary kolczyków z brylantami — Barnaby podjął historię. — Wybiegła z domu najwyraźniej zdenerwowana. Krótco po tym otrzymaliśmy anonimową informację, że ktoś wpadł do rzeki.

—Lub wskoczył.

—Nigdy by nie skoczyła — skomentowała panna Calthrop. — Za bardzo lubiła siebie.

Barnaby'ego zdziwiło, że to, co powiedziała, było tak podobne do tego, co usłyszeli od Jacksona. Dotąd zakładał, że mężczyzna przedstawiał Carlottę tak, by pasowało mu to do historii, którą sobie wymyślił.

— Proszę mi o niej opowiedzieć — odezwał się nadinspektor, siadając swobodnie w fotelu i ciesząc się na kilka nadchodzących minut, z zastrzeżeniem, że będzie musiał płytko oddychać. Zawsze lubił zdobywać nowe informacje.

Troy wyciągnął swój notes i także starał się zrelaksować w fotelu. Ale ponieważ sprężyna wbijała mu się w pośladek, nie było to takie łatwe. Nadal nadąsany z powodu niemożności zapalenia, wyjął długopis i ku rozdrażnieniu Barnaby'ego zaczął nim pstrykać.

— W wypadku niektórych młodych osób, które siedziały tu, gdzie teraz pan siedzi, nadinspektorze... — zaczęła panna Calthrop — cudem jest nie to, że wyrosli na młodocianych przestępców, ale że w ogóle zdołali wyrosnąć. Lektura ich akt pozwala rozumieć biedę, okrucieństwo i całkowity brak miłości, który stał się ich losem od dnia narodzin, i wprawić w rozpacz z powodu natury ludzkiej.

Barnaby ani przez moment nie kwestionował słów panny Calthrop. On także słyszał w sądzie wiele przerażających historii z przeszłości oskarżonych. Ale, chociaż niepozbawiony współczucia, był zmuszony zachowywać emocjonalny dystans. Próby pomocy i uzdrawiania rozszczepionej osobowości nie należały do jego obowiązków. Było to zadanie opieki społecznej, kuratorów sądowych i psychiatrów więziennych. I nie zazdrościł im.

— Ale Carlotta Ryan — ciągnęła Vivienne Calthrop — nie ma takiego wytłumaczenia. Wychowała się w rodzinie z klasy średniej i z tego, co wiem, jej dzieciństwo było stosunkowo szczęśliwe do chwili rozstania się jej rodziców, gdy miała trzynaście lat. Matka ponownie wyszła za mąż i Carlotta mieszkała z



nią, ale była bardzo nieszczęśliwa i wielokrotnie uciekała. Naturalnie, człowiek zastanawia się, czy ojczym jej nie molestował...

*Naturalnie?* — pomyślał Barnaby. Boże, w jakim świecie my żyjemy.

Troy czuł się lepiej, mając coś do roboty, więc z radością gryzmolił. Zauważył też puszkę z ciastkami Amaretti i zastanawiał się, czy nie udałoby się sprawić, by jakoś do niego trafiły.

—Ale Carlotta zapewniała mnie, że tak nie było. Jej ojciec pracował w Bejrucie, a to nie jest najbezpieczniejsze miejsce, by zabierać tam dziecko. Zdecydowała jednak, że chce być z nim. Matka się zgodziła, więc dziewczyna ruszyła w drogę. Była bardzo zbuntowana, a jak pewnie wiecie, Liban to nie jest kraj, gdzie kobiety, nawet z zagranicy, mogą zachowywać się tak jak tutaj. — Pociągnęła za kędzierzawe kosmyki na czole, podobne do rubinowych glonów. — Jej ojciec bardzo się bał, że córka wpadnie w poważne kłopoty, więc wspólnie z matką zdecydowali, że najlepszym rozwiązaniem będzie posłać ją do szkoły z internatem.

—Ile wtedy miała lat? — zapytał Barnaby.

—Okolo czternastu. Carlotta prosiła, by wysłali ją gdzieś, gdzie kładą nacisk na edukację aktorską, ale rodzice obawiali się, że standardy kształcenia nie będą tam zbyt wysokie, więc umieścili ją w szkole w pobliżu Ambleside. — Panna Calthrop przerwała, by zaciągnąć się papierosem, tak głęboko, że jej oczy prawie skrzyżowały się z zaskoczenia i przyjemności. Grube policzki nawet się jednak nie zapadły.

—Dlaczego szkoła aktorska? — zapytał Troy, także oddychając głęboko. — Czy chciała być aktorką albo kimś takim?

—Tak, bardzo ją to interesowało. Odnoszę wrażenie, że gdyby pozwolili jej się kształcić w tym kierunku, nie wykoleiłaby się tak bardzo.

Zawsze jakieś usprawiedliwienie. Sierżant Troy pospiesznie zapisywał wszystkie szczegóły. Starał się przy tym myśleć tak, jak jego zdaniem myślał szef. Ożywić dziewczynę w swojej wyobraźni, zobaczyć ją wzburzoną, kłócącą się, zdeterminowaną, by postawić na swoim. Taką, jaką jego babcia nazwałaby „zbuntowaną młodą damą”.



Tak naprawdę był w błędzie. Mimo dobrych chęci Barnaby z trudem utrzymywał uwagę na tym, co mówiła Vivienne Calthrop. Oczarowany niezwykle pięknym jej głosem i wyjątkowym, egzotycznym dostojnością jej wyglądu, zastanawiał się, jaka to pokrętna ścieżka doprowadziła ją do tej obskurnej nory.

Obserwował, jak gasi papierosa w popielniczce wypełnionej po brzegi szkarłatnymi petami i poprawia różowo-turkusowy jedwabny namiot udrapowany wokół własnej sylwetki. Galaretowane drzenie ciała wprowadziło jej kolczyki w dziki taniec. Były to długie, sięgające prawie do ramion, delikatne grona cekinowych krążków, emaliowanych kwiatów i malutkich kamieni księżycowych, poruszających się na wachlarzu złotego drutu.

Barnaby zdał sobie sprawę, że jest bacznie obserwowany:

—Słucham?

—Mam nadzieję, że nie opowiadam tego wszystkiego na darmo, nadinspektorze?

—Oczywiście, że nie, panno Calthrop. Właśnie rozmyślałem nad ostatnią kwestią, o której pani wspomniała. To stwarza interesującą...

Vivienne Calthrop prychnęła:

—Zatem wrócił już pan do nas?

—Jasne.

—Potem uciekła po raz trzeci i tym razem nie sprowadzili jej z powrotem.

Troya bolała już ręka i dałby się pokroić za filiżankę herbaty oraz nieco tych interesująco nazywających się ciastek. Niektórym to dobrze, nie mają nic do roboty, tylko rozwalają się w fotelu, który nie ma sterzących sprężyn, i gapią się przez okno. Miło choć raz zobaczyć, jak go ktoś skarcił.

— Nasze akta — kobieta podniosła teczkę z chwiejnej sterty na biurku — obejmują czas, od kiedy zainteresowała się nią opieka społeczna, do chwili gdy zamieszkała u Lawrence'ów. Są tutaj fakty, a także oświadczenia Carlotty, które mogą być prawdą, fantazją albo mieszanką jednego i drugiego.

—Co pani o niej myśli? — zapytał Barnaby.

—Trudno powiedzieć. Lubiła... jak to ująć... eksponować siebie. Nigdy nie weszłaby po prostu do pokoju, nie siadła i zwyczajnie zaczęła rozmawiać. Za każdym razem musiała to być inna Carlotta. Skrzywdzona, nieszczęśliwa córka. Utalentowana dziewczyna pozbawiona szansy na sławę. Raz opowiedziała historię o tym, że na Bond Street zatrzymał ją łowca talentów z agencji modelek. Dał jej wizytówkę, chciał zobaczyć teczkę z fotografiami. Wszystko wysane z palca. Była dużo za niska do tej pracy.

—A co ma na koncie?

—Wielokrotne kradzieże w sklepach. Nie wiem, od jak dawna to robiła, kiedy ją złapano. Przysięgała, że to pierwszy raz. Jak oni wszyscy. Dostała ostrzeżenie, potem złapano ją jeszcze raz po kilku tygodniach z torbą pełną rajstop i koszulek od Armaniego. Zaraz potem została zarejestrowana przez kamerę, jak zabiera suknię wieczorową marki Ghost ze sklepu Liberty. Dzień wcześniej była tam kobieta, mierzyła ją bardzo długo, próbowała stargować cenę, uznano więc, że Carlotta kradnie na zamówienie. Dużo poważniejsza sprawa niż przypadkowe, impulsywne zwędzenie czegoś. Kiedy policjanci przyszli po nią do domu, znaleźli pokój pełen samych markowych rzeczy. Molton Brown, Donna Karan, Butler i Wilson.

Troy pozwolił długopisowi odpocząć. Nie widział sensu zapisywania tych wszystkich nazwisk, które były dla niego chińszczyzną. Nic dziwnego, że pani Lawrence podejrzewała dziewczynę, kiedy jej kolczyki zginęły. Miała szczęście, że w ogóle miała jeszcze co na grzbiet włożyć.

—Czy to jej ostatni adres?

—Tak. Blisko Stepney Green. — Przepisała go na karteczkę. — Mam nadzieję, że ją znajdziecie. Żywą.

—Ja też — powiedział Barnaby. Kiedy panna Calthrop wręczała mu karteczkę, skoncentrowany zapach perfum, które nie śmiały wypowiadać swojej nazwy, dotarł do nozdrzy nadinspektora. Bordello Nights, pomyślał Barnaby, albo ten, co wymyślił ich nazwę, minął się z powołaniem. Doszedłszy do siebie, zapytał, czy mogą wziąć ze sobą akta Carlotty, by wydobyć z nich wszystkie informacje, które mogą okazać się pożyteczne.

— Oczywiście, że nie — odparła panna Calthrop. — Przekazałam panom wszystko, co ważne dla waszego dochodzenia. Nasi klienci, być może, należą do najniższych warstw społecznych, ale mają prawo do pewnej prywatności.

Barnaby nie drażył tematu. Zawsze będzie mógł przygotować nakaz, jeżeli uzna to za konieczne. Uśmiechnął się do panny Calthrop tak ciepło, jakby w pełni z nimi współpracowała, i zmienił taktykę.

—Czy wysłała pani wielu... klientów do Starego Probostwa, panno Calthrop?

—Przez ostatnie dziesięć lat, tak, było ich sporo. Niestety, nie wszyscy wykorzystali tę szansę. Kilkoro nadużyło zaufania Lawrence'ów.

—Nie, naprawdę? — wtrącił sierżant Troy na wdechu. Pomyślał, że mógłby pociągnąć tę scenę udawanego zdumienia jeszcze trochę, ale przypomniał sobie zarządzenie szefa na temat zrażania rozmówców.

— Trudno to zrozumieć, wiem — rzekła Vivienne Calthrop.

— Człowiek oczekuje, że będą tak wdzięczni, iż chwycą się każdej możliwości dokonania zmiany w swoim życiu. Ale obawiam się, że zdarza się to rzadko.

—To bardzo smutne — powiedział Barnaby. I naprawdę tak uważał.

—Są jak zwierzęta, które nigdy nie poznały niczego poza okrucieństwem i zaniedbaniem. Okazane im serce przyjmują z niedowierzaniem lub podejrzliwością. A nawet pogardą. Oczywiście — uśmiechnęła się — mamy swoje sukcesy.

—Na przykład młoda Cheryl? — zapytał Barnaby. Potem w ciszy, jaka zapadła, dodał: — Przepraszam. To poufne?

—Właśnie tak, nadinspektorze.

—A co z Terryem Jacksonem?

—To nikt z naszych.

Barnaby wyglądał na zaskoczonego.

—Lionel zasiada przynajmniej w dwóch radach do spraw resocjalizacji. Mógł poznać tego młodego człowieka w ten sposób.

—Oni wszyscy są młodzi, prawda? — zapytał sierżant Troy.

— Ci, których bierze do siebie pan Lawrence?

Panna Calthrop obróciła się i wpatrzyła się w niego:

— Czy za tym pytaniem kryje się jakaś sugestia?

— To tylko pytanie. — Troy pamiętał, że kilka dni temu szef zadał mu takie samo. — Bez obrazy.

— Lionel Lawrence to święty człowiek. — Zwaliste ciało panny Calthrop zaczęło się poruszać, kołysać i drzeć, jak góra wprawiona w ruch. Jej wspaniały głos przeszedł w wulkaniczny pomruk. — Niemożność posiadania dzieci przez jego żonę to tragedia. Zastanawia się pan, czy w ten sposób realizuje swój instynkt ojcowski?

— Tak. Cóż, myślę, że... — odezwał się Barnaby, podnosząc się z fotela, ale mu przerwała:

— A teraz, kiedy są starzy...

— Starzy? — zdziwił się sierżant Troy. — Pani Lawrence nie jest stara. Trzydzieści kilka lat najwyżej.

— Trzydzieści...

— I jest ładna. — W drodze do drzwi Troy zatrzymał się przy tandetnym małym stoliku i zerknął do puszki po ciastkach Amaretti. Była pełna gumek recepturek. — Szczupła blondynka. Bardzo ładna...

— Otwórz drzwi, Troy.

Ciało panny Calthrop wciąż wibrowało na pełnych obrotach, kiedy nadinspektor podziękował jej za pomoc i mężczyźni wyszli.

Gdy wsiadali do samochodu, sierżant powiedział:

— Dobrze zbudowana. Założę się, że jedna jej noga waży więcej niż ogrodowa taczka — Potem, nie doczekawszy się reakcji szefa, dodał: — Naprawdę nieźle numery dzisiaj spotykamy.

— Spotykamy je przez cały czas. Twój problem polega na tym, że nie masz zrozumienia dla ekscentryków.

—Jeśli pan tak mówi.

Zrozumienia, dobre sobie. Co tu rozumieć. Dla sierżanta Troya „ekscentryk” to po prostu pedziowate określenie dziwaka. Lubił ludzi, którzy żyli w przewidywalny sposób. Inni wszystko psują i tylko utrudniają życie takim jak on. Włożył kluczyk do stacyjki, obrócił go mocno z ostentacyjną i całkiem niepotrzebną werwą i zapytał, czy jadą prosto pod adres Carlotty Ryan, który właśnie dostali.

—Możemy, rzeczywiście.

—Dobrze. Lubię jeździć po Londynie. To prawdziwe wyzwanie.

Barnaby skrzywił się. Potem, kiedy odjechali, wrócił myślami do Vivienne Calthrop. Jej pięknej twarzy: niebieskich oczu, doskonałego małego nosa i miękkich różowych ust zagubionych w otaczającym je morzu rozdygotanego tłuszczu i wielu podbródków. Wspaniałe, potraktowane henną włosy, kłębiące się nad jej ramionami, i brwi pofarbowane dokładnie tak, by do nich pasowały. Barnaby był poruszony. Było coś wzruszającego w wysiłku, jaki włożyła w swój wygląd.

—Chciałbym usłyszeć, jak śpiewa.

—Wspaniale — Troy odezwał się, nieobecny myślami. Patrzył w lusterko, dawał sygnał, wyprzedzał. — Kto?

—Kto? Nie słyszałeś głosu tej kobiety? Był po prostu operowy.

—Ja i opera, szefie — westchnął Troy, po czym pokręcił głową, udając rozczarowanie w wyniku tego wzajemnego braku oczarowania.

—Nie wiesz, co to „filister”, prawda Troy?

—Oczywiście, że wiem — szybko odpowiedział sierżant, tym razem z całkowitą pewnością. — Moja ciocia Doli bierze to na ciśnienie.

Lomax Road skręcała w lewo w połowie Whitechapel, zaraz za szpitalem. Pod wskazanym adresem znaleźli wysoki wąski budynek, który wyglądał na tak paskudny w środku, jak był na zewnątrz. W oknie na parterze rozpięty był koc, piętro wyżej zwisały smętnie brudne firanki.

—Byłoby śmiesznie, gdyby tu była, co nie? Nogi w górze, gapi się w telewizor, popijając browar.

—Nic by mnie bardziej nie ucieszyło. — Barnaby przyglądał się przyciskom dzwonek. Drewniana podkładka w połowie odstawała od ściany, druty były zarzewiałe. Benson i Ducane (Chas). Walker. Ryan. Naciskał na wszystkie. Kilka minut później otworzyło się małe pionowe okienko i wyrzała przez nie młoda dziewczyna.

—Czego?

—Policja — poinformował sierżant Troy.

—Żadnej policji. Przykro mi.

—Szukamy Carlotty Ryan.

—Wyjechała.

— Mogłaby pani poświęcić nam kilka minut? — zapytał Barnaby.

— Zara — okno zamknęło się z trzaskiem. Troy mruknął:

— Co za śmietnik. Proszę spojrzeć na to. — Otoczony betonem frontowy ogródek pełen był podartych worków na śmieci, gnijących odpadków i śladów bytności psów. — Założę się, że szczury stoją w kolejce, żeby tu poużywać.

Słyszeli, jak schodzi na dół, stuku puk, stuku puk, jak mały kucyk. Co oznaczało albo kamienne schody, albo stare linoleum, czyli dokładnie to, czego oczekuje się w takiej norze.

Stanęła przed nimi wysoka, szczupła dziewczyna. Ubrana była w pokryte farbami w sprayu skórzane biodrówki i niegdyś biały sweter, kończący się wysoko nad talią. Włosy miała ufarbowane na brzoskwiniowo, z brązowymi końcówkami, obcięte nierówno na pudła. Policzki i powieki połyskiwały brokatem. W pępku miała kolczyk, z którego zwisał bardzo duży, błyszczący kamień. Do tego brudne dłonie i poobgryzane paznokcie.

Troy przedstawił się i zapytał, czy mogą na chwilę wejść. Rozejrzała się po ulicy, jak gospodyni domowa z przedmieść, zakłopotana, że u jej drzwi stawiła się policja. Podobieństwo rozwiało się po jej pierwszych słowach.

— Tutaj trzeba dbać o swój tyłek — zamknęła za nimi drzwi. — Jak zobaczą, że bratasz się z glinami...



Schody były kamienne, a ściany pokrywał brudny wypukły ornament. Były malowane tak wiele razy, że oryginalny wzór wijących się piórek był już prawie zatarty, w tej chwili przez nieprzyjemną żółtobrazową emalię.

To nie był duży dom — na parterze znajdowało się dwoje drzwi, podobnie jak na piętrze — ale był wysoki, a schody bardzo strome. Kiedy wspinali się za dziewczyną, Barnaby, trzymając się poręczy, sapał i dyszał. Troy podziwiał widok z tyłu na skórzane spodnie. W połowie drogi na górę minęli coś, co wyglądało na bardzo paskudną łazienkę i toaletę. Okno, przez które dziewczyna wyglądała wcześniej, było wciąż otwarte.

— Gdzie... gdzie jest mieszkanie panny Ryan? — wyrzeźził nadinspektor.

— Dobrze się pan czuje? Dyszenie.

— Lepiej by pan usiadł, zanim pan spadnie.

— Nic mi nie jest. Dziękuję. — Barnaby nie znosił okazywać żadnej fizycznej słabości i celowo chodził po pokoju dziewczyny przez kilka minut, zanim rzeczywiście usadowił się na obitej materiałem w zebnę, starej, rozłazącej się kanapie.

— Czy możesz podać nam swoje imię? — Sierżant Troy ostrożnie usiadł na różowym stołku, obitym futrem, z fioletowym wykończeniem krótkimi frędzlami z cekinów. Czuł się jak pozer w drogim nocnym lokalu obsypany zgryźliwymi obelgami typu „zabieraj swój sprzęt, marynarzu” albo „och, popatrzcie — mała, cienka kiełbaska”.

— Tanya.

— Bardzo egzotycznie — uśmiechnął się do niej. — Z rosyjska.

— Taa... Jakby mamcia umiała powiedzieć „nie” Smirnoffowi, nie byłoby mnie dziś tutaj.

Barnaby roześmiał się, a Troy odwrócił głowę z zaskoczeniem i żalem. Miał tyle dowcipnych powiedzonek, szlifował je i od czasu do czasu wypowiadał w obecności szefa, by złagodzić nudę codziennej harówki. Kiedy otrzymywał w zamian choćby półuśmiech, uważał, że wygrał los na loterii. Teraz nie mógł nawet pocieszyć się myślą, że nadinspektor nie miał poczucia humoru.



—A nazwisko?

—Walker. — Wpatrywała się w obu policjantów. — Co tym razem przeszkrobała?

—Jak dobrze ją znasz? — zapytał Barnaby, pochylając się do przodu w typowy dla siebie, przyjacielski sposób.

—Miałyśmy dobre stosunki, mimo wszystko.

—Mimo co?

—Różnego pochodzenia i takich tam. Ja chodziłam do państwowej średniej Bethnal Green, ona do jakiejś super szkoły w Lake District. Opisywała ją tak, jakby lepiej było sprzedawać się na Pentomdille Road, niż tam chodzić.

—Czy kiedykolwiek przyszło ci do głowy, że mogła to wszystko zmyślać?

—Pewnie. Łgała jak z nut, tylko że ona nazywała to wyobraźnią. „Możesz wyobrazić sobie, że jesteś kim tylko zechcesz, Tan”, mawiała. A ja mówiłam: „Zejdź na ziemię, Lottie”. Bo kiedy skończysz coś sobie wyobrażać i tak tkwisz w prawdziwym świecie, nie?

—Zgadza się — przytaknął sierżant i znów się uśmiechnął. Nie mógł nic na to poradzić. Mimo zwariowanego upstrzonego makijażu i bardzo seksownego stroju było w niej coś nieomal niewinnego. Jej nażelowane włosy sterczały na całej głowie małymi kosmykami jak miękkie igły małego jeżozwierza.

—Dostaliśmy pewne informacje z biura Caritasu.

—Co?

—To organizacja, która pomaga młodym przestępcom. — Barnaby odczytał główne punkty z notatek. — Czy możesz coś dodać?

—Chyba nie. Wiem, że kradła już nie wiadomo jak długo, kiedy ją złapali. A potem od razu do tego wróciła. Chyba myślała, że jest niewidzialna. Tak jak mówiłam, żyła w wymyślonym świecie.

—Czy Carlotta mówiła dużo o teatrze? — Barnaby machnął ręką w geście uogólnienia. — Granie, te sprawy.

—Miała na tym punkcie świra. Przeglądała gazetę z ogłoszeniami o pracy w...

—„The Stage”?

—Czyta pan w myślach, co nie?

—Moja córka pracuje w tej branży.

—Odpowiadała na ogłoszenia, ale nigdy nie dostała żadnej roli. Uważała, że trzeba mieć specjalną kartę.

—Związku zawodowego — Barnaby przypomniał sobie podniecenie i zachwyty, gdy Cully dostała swoją.

—Wydawała wszystkie pieniądze na kursy. Tańca, pracy nad głosem. Komu to teraz potrzebne?

—Wiesz może, gdzie pobierała te lekcje?

—Gdzieś na Weście. Ale wciąż mi nie powiedzieliście, co jest grane. Czy Lotcie nic się nie stało?

—Nie wiemy — powiedział Troy. — Zniknęła.

—Nie dziwota. Nudziła się na śmierć w tym Ferne czy jak mu tam. Gówno do roboty. Ten stary ciągle prawił kazania, a jego żona traktowała ją jak śmiecia.

Barnaby pomyślał, że to niepodobne do Ann Lawrence.

—Rozmawiałaś z nią więc?

—Czasem dzwoni.

Barnaby rozejrzył się po małym zagraconym pokoju.

—W holu jest automat.

—I nie przyjeżdżała tutaj? Tanya potrząsnęła głową.

—Słyszałabym, gdyby była w swoim pokoju.

—Może byłaś w pracy.

— Pracuję tylko wieczorami. Taniec erotyczny w klubie przy Wardour Street.  
— Tanya zauważyła, jak zmienia się wyraz twarzy Troya, i dodała: — Żadnych takich. Nawet nie wolno im mnie dotykać.

—A co z gośćmi? Czy ktoś odwiedzał Carlottę?

—Chodzi pewno o facetów?

—Niekoniecznie. Szukamy kontaktu ze wszystkimi, którzy ją znali.

—No więc nie. Często wychodziła, ale nikt jej tutaj nie odwiedzał.

— Kto tu teraz mieszka?

— Nikt. Trzeba zapłacić za trzy miesiące z góry, więc umowa jeszcze nie wygasła.

— Masz zapasowy klucz?

Jeszcze raz zaprzeczyła ruchem głowy.

— Mogę wam dać numer do właściciela.

Kiedy Troy zapisywał numer, Barnaby podszedł do okna. Widok na tył domu był tylko trochę mniej przygnębiający niż od frontu. Małeńkie betonowe dziedzińce lub kwadraty ubitej ziemi, prawie niewidoczne pod porzuconymi domowymi gratami. Były tam schody przeciwpożarowe, tak zardzewiałe, że nie zaryzykowałby zejścia nimi w dół. Odwrócił się w stronę pokoju i zapytał Tanyę o ludzi mieszkających na niższym piętrze.

—Benson jest rastafarianinem, spędza większość czasu w Peckham ze swoją dziewczyną i dzieckiem. Charlie jest bagażowym w Seven Dials. Ale obaj wprowadzili się po wyjeździe Carlotty, więc nie będą nic wiedzieli.

—Podobno otrzymała w Probstwie kilka listów wysłanych pocztą lotniczą.

— Pewnie od ojca. Z Bahrajnu.

— Słyszeliśmy — powiedział sierżant Troy — że wyrzucała je bez otwierania.

— Niech to! — na twarzy dziewczyny pojawiło się napięcie i tęsknota. — Ja bym nigdy nie wyrzuciła listów od ojca. Gdybym wiedziała, kim jest.

— Gdyby przyszło ci do głowy coś jeszcze, Tanyu, zadzwoń do mnie — Barnaby podał jej swoją wizytówkę. — I oczywiście, gdyby pojawiła się Carlotta. O każdej porze dnia i nocy — zostawiam włączoną sekretarkę.

Po wyjściu z pokoju Troy zapisał numer automatu telefonicznego. Po chwili obaj policjanci znowu wyszli na słabe jesienne słońce.

Sierżant Troy myślał o swojej rodzinie: rodzicach, dziadkach, babciach, ciotkach, wujkach. Chociaż zawsze przynajmniej połowa tych krewnych doprowadzała go do szału, nie mógł wyobrazić sobie bez nich życia.

—Biedne dziecko. Nie najlepszy start, co nie? Nie wiedzieć nawet, kim jest twój ojciec?

—Próbujesz mnie zmiękczyć, czy co?

Tanya stała w oknie i patrzyła, jak odchodzą. Opuściła firankę i usłyszała ciche kliknięcie otwierającej się w sypialni szafy. Potem ktoś się tam poruszył.

— W porządku — zawołała przez ramię. — Możesz wyjść. Już poszli.

»Kiedy Barnaby i Troy jechali City Road w stronę Camden Town, Ann Lawrence w kuchni Starego Probostwa smarowała baranią nogę gałązkami rozmarynu maczanymi w oliwie z oliwek. Hetty Leathers siedziała naprzeciw niej przy stole i łuskała groch. Candy kręciła się na poduszce, a wreszcie się z niej sturlała i teraz kuśtykała w ich stronę.

—Czuje mięso — Ann uśmiechnęła się do pieska.

—Obawiam się, że jest jeszcze trochę zakrecona — rzekła Hetty i z kieszeni kwiecistego fartucha wyjęła ciasteczko. Kiedy Candy chwyciła je w zęby, jej pani spojrzała na Ann z niemalą troską. — Jest pani pewna, że już może pani wstawać? Ma pani takie wypieki.

—Wszystko w porządku. Czuję się już dużo lepiej, naprawdę.

Rzeczywiście tak się czuła, i to więcej niż z jednego powodu. Po pierwsze, jej postanowienie, że powie prawdę i zawstydydzi szantażystę, nie zachwiało się przez

cały wczorajszy dzień i kiedy obudziła się tego ranka, było równie mocne. Po drugie, chociaż nigdy nie mogłaby przyznać się do tego przed Hetty, jej rumieńce świadczyły tak naprawdę o emocjonalnym stanie po kłótni z mężem.

—To takie wspaniałomyślne ze strony Wielebnego, że zgodził się poprowadzić pogrzeb Charliego — powiedziała Hetty, zadziwiająco wpasowując się w bieg jej myśli. — Przecież jest na emeryturze i w ogóle.

—Był naprawdę szczęśliwy, że może to zrobić.

To niezupełnie zgadzało się z prawdą. Lionel poważnie się zdenerwował, kiedy Ann wyraziła taką sugestię. Twierdził, że jego publiczne pokazanie się w szatach liturgicznych, kiedy przez ostatnie dziesięć lat uważany był przez wioskę za osobę świecką, wprowadzi zamieszanie. Powiedziała, żeby nie był śmieszny i, ku przerażeniu Lionela, a zaskoczeniu i rosnącej radości Ann, doszło między nimi do swobodnej i szczerej wymiany poglądów.

—Przez tyle lat pracował w Starym Probostwie.

—Zdaję sobie z tego sprawę, moja droga.

—To by wiele znaczyło dla Hetty. Ten dzień będzie wystarczająco bolesny, nawet bez obcego człowieka przemawiającego ze stopni ołtarza. Poza tym, jak do tej pory nie przykładałeś się za bardzo do pracy duszpasterskiej.

—Co masz na myśli, Ann?

—Mam na myśli pomoc, Lionelu. Troskliwą opiekę, słuchanie o problemach i stałe wspieranie. Myślałam, że to twoja specjalność.

—Obawiam się, że niewiele zyskamy, kontynuując tę rozmowę.

—Niewątpliwie gdyby Hetty miała osiemnaście lat, była ładna i oskarżona o sprzedaż narkotyków, dostałaby to wszystko plus kieszonkowe, miłe mieszkanie i nową deskę do prasowania.

—Ty krzyczysz.

—Jeżeli myślisz, że teraz krzyczę, to nadal idź w stronę drzwi.

—Nie rozumiem, co w ciebie wstąpiło.

Ann stała bez ruchu i ogarnęło ją jakieś dziwne uczucie. Uświadomiła sobie, że to nie było coś, co w nią wstąpiło, ale raczej, co już w niej było i miało właśnie się ujawnić. Po chwili jej myśli, ostatnio tak wzburzone i chaotyczne, wyklarowały się. Do głosu doszło rozzalenie i pragnienia, z których do tej pory nie zdawała sobie nawet sprawy.

Nagle jej spokojne, uporządkowane życie wydało jej się szare i sterylne. Była taka tchórzliwa! Przez lata próbowała dostosować się do stylu życia męża. Postrzegała go jeżeli nie jako dobrego człowieka, to z pewnością jako dużo lepszego od niej samej. Teraz to narzucone sobie męczeństwo miało się skończyć.

Lionel zatrzymał się. Przysiadł na skraju najbliższego krzesła i zaczął uspokajająco poklepywać podłokietnik, jakby mebel mógł jako następny zwrócić się przeciwko niemu.

Ann patrzyła na niego beznamytnie, co ją dość zaniepokoiło. Lionel tak długo podążał swoją drogą bez przeszkód, że zapomniał, jak reagować, kiedy ktoś mu się sprzeciwia. Nadąsany wydał usta i wysunął miękką i wilgotną dolną wargę, okazując naburmuszenie, co mogłoby być urocze u malutkiego dziecka, lecz u pięćdziesięcioośmioletniego mężczyzny było po prostu śmieszne.

—Nie iribżemy tak tego ciągnąć.

—Czego ciągnąć? — szczerze zdziwiony, wpatrywał się w żonę. — Co się z tobą dzieje, Ann?

—Nie winię cię...

—Mam nadzieję, że nie — Lionel był szczerze oburzony. — Nic nie zrobiłem.

—Jeśli ktoś jest winny, to ja sama. Pozostawiłam sprawy własnemu biegowi, po części z lenistwa, a po części dlatego, że chciałam, byśmy byli szczęśliwi.

—Ależ *jesteśmy* szczęśliwi.

— Od lat nie jestem szczęśliwa — stwierdziła Ann. Lionel przełknął ślinę.

— Zatem myślę, że najwyższy czas, abyś zaczęła liczyć błogosławieństwa, których doświadczasz, moja droga. — Podniósł się i z niepokojem zerknął w stronę drzwi. — Może powinnaś zażyć jeden ze swoich środków uspokajających.

— Wrzuciłam je do toalety.

— Czy to było rozsądne? — Kiedy żona nie odpowiedziała, Lionel ostrożnie zrobił kilka kroków w bok. — A teraz naprawdę muszę już iść. O wpół do jedenastej mam być w sądzie dla nieletnich.

—Dlaczego kłopoty innych ludzi zawsze są dla ciebie ważniejsze niż twoje własne?

—To szczególny przypadek.

—Ja jestem szczególnym przypadkiem.

—Powinienem być dość szybko z powrotem.

—Zadzwoń do nich. Powiedz, że masz kłopoty rodzinne.

—Nie mogę tego zrobić.

—Więc ja to zrobię.

—Nie.

Lionel mówił tak szybko i z takim pośpiechem usiadł z powrotem, że Ann domyśliła się, iż sprawa w sądzie była kłamstwem. Poczula pierwsze iskierki żalu nad sobą, ale ani przez chwilę nie pomyślała, by dać za wygraną. Za dużo miała do stracenia. Wzięła głęboki oddech, by się uspokoić. Jej serce przepełniały silne uczucia, ale zastanawiała się, czy znajdzie słowa, aby je precyzyjnie opisać. Przede wszystkim musiała pamiętać, że nie ma odwrotu. Ani drogi naprzód, jeśli miałyby to być stara, rozjeżdżona i raniąca duszę ścieżka.

— Lionel, podjęłam decyzję już jakiś czas temu. Jest kilka rzeczy, które muszę ci powiedzieć, i mam nadzieję, że mnie wysłuchasz.

Mężczyzna postanowił wziąć wzór z Hioba. Cierpiący bez słowa skargi, cierpliwy, z oczami zamglonymi brakiem uwagi, wystukujący palcami dziwny rytm na kościstych kolanach.

—Po pierwsze, nie zgodzę się dłużej na to, by w domu przebywali obcy.

—No cóż, to mnie nie zaskakuje — jego ton był protekcyjny i, w założeniu, jowialny. Najwyraźniej planował ją udobruchać. — To, jak traktujesz...



—Poza tym prowadzenie dziewięciopokojowego domu i bardzo dużego ogrodu przekracza moje możliwości.

—Pomoc na wsi nic nie kosztuje...

—Dom się rozsypuje. Nie mogę sobie pozwolić na jego utrzymanie. — Zdecydowanie nie chciała używać zaimka „my”. Lionel finansowo nie dokładał się do ich małżeńskiego budżetu, od kiedy zrzekł się pensji duchownego, i Ann nie zamierzała udawać, że jest inaczej. — I nie ma powodu, dla którego powinnam to robić.

—Mamy pewną pozycję we wsi...

—Co ty wiesz o wsi? — Ann spojrzała przez okno na cedr, który był częścią jej życia od dnia, kiedy się urodziła, i jej odwaga osłabła. Ale są przecież inne drzewa, a wolności nigdy nie można zdobyć bez wyrzeczeń. — Trzeba będzie sprzedać Probostwo.

—Nie możesz tego zrobić!

—Dlaczego? Należy do mnie. — Dzięki Bogu. I dzięki Bogu nigdy nie pozwoliła mu się zbliżyć do swojego funduszu powierniczego. Jakie to straszne, pomyślała Ann. Oto jedyne życie, jakie kiedykolwiek znałam, rozpada się na kawałki, a myślę jedynie o tym, czy będę miała jakieś pieniądze. Ale po prostu, doznała nagłego smutnego olśnienia, tu nie ma żadnej miłości.

—A gdzie będziemy mieszkać? Czy nie poświęciłaś tej trywialnej kwestii ani jednej myśli?

—Mam nadzieję, że znajdę pracę. Mogę na przykład uczyć czegoś.

—W twoim wieku?

—Mam tylko trzydzieści osiem lat.

—Teraz ludzie idą na emeryturę, kiedy kończą czterdziestkę — zaśmiał się gorzko, z sarkazmem. — Łatwo dostrzec, że nigdy nie musiałaś mierzyć się z realnym światem.

Ann wyczuła w tych słowach autentyczną złośliwość. To zrozumiała. Nie tylko jej świat chwiał się dzisiaj w posadach. Mimo to z pewnym zdumieniem zdała

sobie sprawę, że człowiek, któremu poświęciła prawie pół życia, nawet jej nie lubił.

—W każdym razie — ciągnął Lionel chmurnie — nie odpowiedziałas na moje pytanie. Od razu mogę ci powiedzieć, że nie wyprowadzę się z tej okolicy. Muszę kontynuować swoją pracę, nawet jeżeli nie będę w stanie zapewnić schronienia tym, którzy są w potrzebie.

—Czemu nie?! — oparła Ann, doprowadzona do obcesowej szczerości przez jego niefrasobliwe założenie, że nadal będą radośnie iść w podwójnej uprzęży. — Musisz tylko znaleźć dość duże lokum.

—Znaleźć... dość...

—Z pokojem gościnnym.

—Co? — Na twarzy Lionela odmalowało się bezgraniczne zdumienie, które stopniowo przeszło w zatrwożone zrozumienie. — Nie masz chyba na myśli...

— Czy ty mnie w ogóle nie słuchasz? Minęły całe dwie minuty, od kiedy powiedziałam ci, że od lat nie jestem szczęśliwa.

Długa przerwa.

— No cóż, będziemy po prostu musieli coś z tym zrobić, prawda? — powiedział Lionel, dodając bardzo niezdarnie i niepewnie: — Moja droga.

Ann wzdrygnęła się, usłyszawszy tę drażniącą uprzejmość.

— Za późno.

— Rozumiem. — Lionel stopniowo stawał się tak napompowany oburzeniem, że zdawało się, iż za chwilę wzniesie się w powietrze i zawisnie pod sufitem. — Więc to jest nagroda, którą dostaję za lata oddanej służby?

Wzrok Ann prześlizgnął się na hebanowo-mosiężny zegar na kominku. Ujrzała siebie, jak idzie przez pokój, podnosi zegar i wręcza Lionelowi z życzeniami szczęśliwej emerytury. Skrzywiła usta i musiała mocno zagryźć dolną wargę. Zakrywając twarz dłonią, odwróciła się.

—Cieszę się, widząc, że nadal masz jakieś przyzwoite uczucia, Ann. — Lionel, teraz znów bezpiecznie na ziemi, ruszył z wyrazem zranionej dumy w kierunku drzwi.

—Jeszcze jedno — powiedziała Ann, kiedy usłyszała poruszenie klamką. — Chcę, żeby ten mężczyzna wyprowadził się z mieszkania nad garażem.

—Nie mogę nigdzie dojechać bez Jaksy — stwierdził Lionel stanowczo. Po chwili, z lekkim wyrazem triumfu, dodał:

— Ty będziesz musiała prowadzić samochód.

— Nie będzie żadnego samochodu, Lionelu.

Kemel Mahoud, z którym skontaktowali się przez komórkę Barnaby'ego, podał swój adres biurowy — Kelly Street 14 A, zaraz przy Kentish Town Road.

Był to żyłasty niski mężczyzna z gładką śniadą skórą, prawie łysy, lecz szcycący się zbójckimi wąsami — dwoma jedwabistymi, granatowoczarnymi kosmykami włosów, nawoskowanymi na końcach w wywinięte przecinki. Był słuźalczo

— nawet podejrzenie, według Troya — gotowy do pomocy.

—Lokatorka pierwsza klasa, ta panna Ryan. Prima sort. Żadnych kłopotów. Czynnś opłacony. Gotówką.

—Była złodziejką, panie Mahoud — odezwał się Troy. — Policja znalazła kiedyś w jej mieszkaniu pełno kradzionych rzeczy.

—Och! — wydał stłumiony okrzyk, jak się wydawało prawdziwego zdumienia. — Nie mogę uwierzyć. Taka miła dziewczyna.

—Znał ją pan?

—Nie, mój Boże. Widziałem ją tylko raz. Daje depozyt, trzymiesięczny czynsz, ja daję klucz. Trzy minuty, po wszystkim.

—No cóż, teraz ja chciałbym dostać od pana klucz — rzekł Barnaby. — Musimy wejść do mieszkania.

—Ona was nie wpuści?

—Ona zniknęła — wyjaśnił sierżant Troy.

—Ale czynsz jest zapłacony, jeszcze dwa tygodnie.

—To nas nie obchodzi. Dostanie pan klucz z powrotem, proszę się nie martwić.

—Nie ma problemu. — Gospodarz przeszedł do najdalszej ściany, w trzech czwartych pokrytej wielkimi tablicami, na których wisiało mnóstwo starannie oznaczonych kluczy. — Zawsze chętnie pomogę.

—Oślizgły gnojek — skomentował sierżant, pakując się do astry i wciskając kluczyk do stacyjki. — Ci obcokrajowcy praktycznie wszystko już przejęli.

—Uważaj na tego vana z kwaciarni.

Kiedy wlekli się wzdłuż Whitechapel i mijali bangladeskie stragany z warzywami o dziwnym wyglądzie, dojrzałymi owocami mango, połyskującymi sari i garnkami, Barnaby zaczął rozglądać się za miejscem, gdzie mogliby zjeść lunch.

—O, proszę popatrzeć szefie! A może tutaj?

—Patrz na drogę.

—To jest Blind Beggar\*<sup>7</sup>. Tu to się kiedyś ponoć działo!

—To było trzydzieści lat temu.

—A nie moglibyśmy? Mimo to?

Entuzjazm Troya był ogromny... i także jego rozczarowanie. Wygodny, jasny, czysty pub z ładnym, grubym dywanem i umeblowaniem, jakiego się w takim miejscu oczekuje. Był tam nawet wyłożony płytami ogródek z markizą z jednej strony, wypełniony po brzegi stolikami. Ponieważ dzień był przyjemny, właśnie tutaj zamówili ogromne kanapki z wołowiną i po pół litra ciemnego piwa.

—Ale masz minę — roześmiał się Barnaby.

---

<sup>7</sup> \* Blind Beggar - londyński pub, w latach sześćdziesiątych XX wieku miejsce spotkań gangsterów, takich jak bliźniacy Krayowie i „Szalony” Frankie Fraser (przyp. red.).

—Co?

— Jak dziecko na Boże Narodzenie, które znalazło pustą skarpetę. Czego oczekiwałaś, krwi na podłodze?

— Może trocin.

— Słuchaj, jeden Kray wykitował, drugi dostał dożywocie, a Frankie Fraser robi kasę w telewizji. To inny świat.

Troy rozsmarował chrzan na swojej kanapce i spojrzał na zewnątrz na zatłoczone chodniki i ryczące samochody. Rozluźnił się i od razu zrobiło mu się lepiej.

— Szczerze mówiąc, szefie, myślałem o ubieganiu się o przeniesienie do policji londyńskiej.

—Co?!

—Dlaczego nie?

— Bo w dwie minuty przeżują cię na miazgę i wyplują kości, dlatego nie.

— Nie może być tak źle.

— Nie może? — Barnaby znów się roześmiał. — Skąd w ogóle w twojej głowie ten dziwaczny pomysł?

—Oni dostają na patrole porsche 968 Club Sport.

—Bzdura.

—To prawda. Inspektor Carter mówił mi o tym w kantynie.

—Weź drugi kredyt i kup sobie własnego porsche.

—Maureen by mnie zabiła.

—Ale to i tak bezpieczniejsza opcja.

Kiedy o trzeciej po południu wrócili pod numer siedemnasty przy Lomax Road, dom wydawał się opuszczony. Zanim weszli, Barnaby nacisnął dzwonek opi-

sany jako Benson i Du-cane (Chas), ale bez rezultatu. Troy zapukał do drzwi Tani z podobnym efektem.

Nadinspektor zawahał się przez chwilę, zanim otworzył drzwi pokoju Caroloty. Przez lata nauczył się rozkoszować takimi chwilami, ich czystą nieprzewidywalnością. Obracasz klucz w zamku, otwierasz pudełko i znajdujesz... co? Dobre wieści, które mogą nieoczekiwanie wywrócić do góry nogami znajdującą się w martwym punkcie, niedającą się ugryźć sprawę; złe wieści, przez które cała wykonana dotąd praca okaże się stratą czasu. Lub zupełnie nic.

—O rany — odezwał się sierżant, który wszedł pierwszy. — Przeszła tędy szarańcza.

—Na to wygląda — zgodził się Barnaby.

W pokojach nie było nic prócz mebli. Drewniany stół z rozkładanymi skrzydłami, dwa krzesła o twardych oparciach, zniszczony fotel i porysowana komoda bez dwóch uchwytów. W narożniku pokoju znajdował się zlew, mała kuchenka i malutka lodówka. Na metalowej suszarce stało kilka wyszczerbionych kubków i spodeczków oraz obtłuczona patelnia. Za wyglądającą na zatuszczoną zasłoną z koralików znajdował się drugi, bardzo mały pokoik z pojedynczym łóżkiem, toaletką, w rodzaju tych, które przeszły do lamusa w rozkołysanych latach sześćdziesiątych, oraz wąska szafa.

— Zastanawiam się, ile ten obleśny gnojek brał od niej za tę norę.

Barnaby wzruszył ramionami.

—Sto. Sto dwadzieścia.

—Rozbój w biały dzień. — Troy podszedł do komody i wysunął jedną z szuflad.

—Przez chusteczkę!

—Racja, szefie. — Sierżant okręcił chusteczkę wokół palców i pociągnął za uchwyt. — Myśli pan, że mamy tu podejrzaną?

—Nie wiem, co myślę. — Barnaby chodził dookoła, przyglądając się ścianom. Pełno śladów kleju do plakatów. Plakatów nie było.

—Dlaczego ktoś miałby ogołacać mieszkanie, gdyby jeszcze się nie wyprowadzał i miał zapłacony czynsz jeszcze za jakiś czas?

—Skąd mam wiedzieć?

—Nawet pościel zniknęła.

—Może Tanya ją pożyczyła?

—Nie ma klucza, zapomniałeś?

Troy usiadł w fotelu. Natychmiast uznał, że fotel z zepsutą sprężyną w biurze Vivienne Calthrop był jak puchowa poduszka.

—Może myślała, że wyprowadza się na zawsze — zasugerował.

—Tak. Być może. I jest jeszcze coś. — Barnaby wciągnął powietrze do nosa, potem jeszcze raz, mocniej, kiedy zatrzymał się przy oknie. — Jak długo Carlotta mieszkała w Probostwie?

— Dwa miesiące.

— Niemożliwe, żeby to mieszkanie stało zamknięte przez tyle czasu. Powietrze jest świeże. To okno było otwierane dziś albo bardzo niedawno.

— O rety! — zawołał sierżant.

— Natychmiast jedziemy na komisariat Bethnal Green. Zobaczmy, czy zrobią nam przysługę i zbiorą odciski palców. I opieczętują to miejsce.

Do czasu kiedy zespół zebrał się na popołudniową odprawę, Barnaby wiedział już, że technicy kryminalistyczni z policji londyńskiej nie mogli pomóc w kwestii mieszkania Carlotty.

—Zapytałem, czy zbiorą odciski palców, ale odpowiedzieli, że mają za dużo roboty, więc będziemy musieli jak najszybciej wysłać tam naszych. Wtedy będzie można porównać to, co znajdą, z odciskami właściciela oraz wszystkich, którzy mają dostęp do kluczy. I, oczywiście, pozostałych mieszkańców domu.

—Czy mamy odciski dziewczyny, proszę pana? — zapytała sierżant Brierley.

— Jutro o tej porze powinniśmy już je mieć.



Barnaby niecierpliwie oczekiwał chwili, kiedy powie Lionelowi Lawrence'owi, że dwóch techników kryminalistycznych w ciągu następnych dwudziestu czterech godzin wejdzie do Probostwa, z jego zgodą lub bez niej, i pokryje aluminiowym proszkiem wszystkie możliwe powierzchnie pokoju na strychu.

Po skończonej odprawie oddalił się do swojego biura i zadzwonił do Probostwa. Gdy wzburzone brednie na temat nękania przez policję niewinnych obywateli sięgnęły zenitu, Barnaby przerwał z mocą:

— Jestem zaskoczony, słysząc, że przyjmuje pan taką postawę, panie Lawrence. Myślałem, że będzie pan w stu procentach popierał wszystkie działania, które mogą pomóc w ustaleniu miejsca pobytu i stanu zdrowia panny Ryan.

Nastąpiła dość długa pauza, podczas której Barnaby uśmiechał się do siebie pod nosem. Zbicie z pantafelki kogoś tak napuszonego było drobną przyjemnością, ale bywają dni, gdy człowiek potrzebuje choćby drobnych przyjemności.

Lionel wydał dziwny dźwięk, który brzmiał, jakby płukał gardło wyjątkowo odrażającą substancją.

—Cóż, naturalnie...

—Zatem jesteśmy umówieni — Barnaby radośnie podkreślił to zdanie.

—Czy sprzątną wszystko przed wyjściem?

—Nie.

—Och.

—Muszę też porozmawiać z pańską żoną. Mam nadzieję, że już wróciła do zdrowia.

—Oczywiście, że tak.

Barnaby zauważył tę szybką, nieprzemyślaną odpowiedź, wypowiedzianą z irytacją i żalem, i zastanawiał się, skąd się one wzięły. Być może dowie się jutro. Przy odrobinie szczęścia może to być efekt konfliktu na temat Jacksona. Dźwignia do podważenia wieczka tej szczególnej puszki Pandory.

—Może zatem ustalimy czas, kiedy pani Lawrence na pewno będzie w domu.

—Liga Matek spotyka się wpół do szóstej, więc będzie tu co najmniej o piątej, by przygotować naczynia i pozostałe rzeczy. Nigdy o tym nie zapomina. A przez większość dnia będzie w Causton w interesach.

Ani razu nie wymienił jej imienia, pomyślał nadinspektor. Można by pomyśleć, że ta biedna kobieta w ogóle go nie ma.

—Gdyby był pan uprzejmy powiedzieć jej...

—Proszę samemu jej powiedzieć. Właśnie idzie.

Chwilę później Ann Lawrence wzięła słuchawkę, spokojnym głosem stwierdziła, że siedemnasta to dobra pora i że czeka na tę rozmowę.

Barnaby rozłączył się i założył płaszcz. Spoglądając przez zakurzone kremowe żaluzje, zauważył lekką mżawkę wypełniającą wieczorne powietrze. Ale ani trochę nie zepsuło mu to nastroju. Za pół godziny będzie w domu, usiądzie w swoim ulubionym fotelu przy kominku, z kieliszkiem wina i dzisiejszą gazetą, a ukochana żona będzie wyżywać się w kuchni. Tak, cóż, to może w takim wypadku, z dwoma kieliszkami wina.

Ogólnie to był dobry dzień. Dużo dowiedział się o Carlot-cie. Spotkał dwoje ludzi, którzy ją znali, widział, gdzie mieszkała. A jutro porozmawia z osobą, która dokładnie wiedziała, co stało się tej nocy, kiedy zniknęła.

# Rozdział dziewiąty

---

Czterdzieści osiem godzin po podjęciu doniosłej decyzji Ann przygotowywała się do drogi do Causton. Lionel, nadąsany, siedział w gabinecie. Wcześniej Ann zapukała z informacją, że lunch jest gotowy, ale nie odpowiedział. Kiedyś zanosłaby mu tacę, ale teraz sama zjadła swój posiłek, a jego zostawiła na stole, nie przejmując się tym, że wystygnie.

Wyszła cztery godziny przed przybyciem policji. Chociaż jej postanowienie, by im wszystko powiedzieć, nie osłabło, nie chciała na nich czekać i zastanawiać się nad możliwymi scenariuszami rozmowy. Ani nad swoimi późniejszymi losami.

Miała wiele do zrobienia. Najpierw pójdzie do banku i wpłaci z powrotem te pięć tysięcy funtów (uprzedziła już o tym telefonicznie pana Ainsleya i poprosiła, by anulował jej umowę o pożyczkę). Potem przejdzie się po agencjach nieruchomości. Było ich kilka w Causton i miała nadzieję odwiedzić je wszystkie. Albo przynajmniej tyle, by wypełniło jej to czas do wpół do piątej.

Przebrała się w swojej sypialni w kwiecistą sukienkę i żakiet, a potem podeszła do okna, zachwycona pięknem dnia. Zauważyła, że na wysypanym żwirze podjeździe, ledwie po tygodniu od czasu, kiedy Charlie Leathers go wygrał, już pojawiły się chwasty. Wspaniałe było to, że nie będzie musiała wychodzić i wszystkich ich wyrywać. Nikt nie będzie musiał tego robić. Kiedy Ann cieszyła się tą myślą, słońce skryło się za chmurą. Niezwykły zbieg okoliczności, bo właśnie wtedy Ann ujrzała Jaksę. To znaczy, jego dolną połowę. Resztę skrywała maska humbera, który w połowie był w garażu, w połowie na zewnątrz. Ann potrzebowała samochodu, by dojechać do miasta.

Na myśl o tym, że ma podejść do tego mężczyzny, popatrzeć w jego zimne błyszczące oczy, narazić się na dźwięk jego sugestywnego, złowrogiego głosu, jej odwaga, tak dotąd niezłomna, osłabła. A co jeśli Lionel już powiedział mu o jej żądaniu, by odszedł? Co Jax mógłby wtedy powiedzieć?

Jaka szkoda, że pani Leathers już wyszła. Poszłaby do niego, powiedziała, że potrzebny jest samochód i żeby lepiej tego dopilnował.

Może, pomyślała Ann, mogłabym po prostu otworzyć okno i zawołać.

Potem, zdenerwowana i poruszona, przypomniała sobie o telefonie. Linia miała przedłużenie z głównego budynku do jego mieszkania. Jeżeli przećwiczycie to, co ma powiedzieć, nie będzie potrzeby angażowania się w żadną rozmowę. Wyrażaj się zwięźle, poinstruowała sama siebie, podnosząc słuchawkę i naciskając na odpowiedni guzik. Obserwowała, jak Jax przerywa swoje zajęcie, wyciera ręce w ściereczkę i znika w pomalowanych na niebiesko drzwiach. I instrukcja poskutkowała. Po całym tym mdlącym niepokojem rozmowa była bardzo prosta.

Ann powiedziała:

— Tu pani Lawrence. Będę potrzebowała samochodu za pięć minut. Czy będzie gotowy?

A on odparł:

— Żaden problem, pani Lawrence.

Nadpłynęła śmiesznie obezwładniająca fala ulgi (przecież co właściwie mógł zrobić?) i kobieta poczuła się spokojniejsza. Umyła twarz i ręce, wyszczotkowała włosy, odgarnęła je z twarzy i związała czarną jedwabną wstążką. Wzięła torebkę, sprawdzając, czy pieniądze wciąż tam są. Zawahała się, czy wziąć płaszcz — właśnie znów pojawiło się słońce — i uznała, że nie trzeba.

Wyszła z domu i szła, jak miała nadzieję, spokojnym krokiem w kierunku garażu. Nie było tam śladu Jaksy. Wnętrze samochodu było ciężkie od zapachu pasty, orzechowa skóra błyszczała. Powtarzając sobie, że ogląda za wiele filmów, Ann nie mogła powstrzymać się od sprawdzenia tyłu samochodu.

Obróciła nawet podróźny koc, który leżał na wyłożonej wykładziną podłodze, by upewnić się, że było tam pusto.

Kiedy wyjechała z bramy i skręciła w lewo w stronę drogi do Causton, wydawało się, że wszystko dookoła niej uległo przemianie. Cały świat wydawał się jej rozświetlony, przestronny i wolny od trosk. Taki był świat — beztroski.

— Jestem beztroska — powiedziała Ann głośno. I zaczęła śpiewać *Penny Lane*, piosenkę, którą kochała jej matka i którą pamiętała trochę z dzieciństwa. „Penny Lane jest w moich uszach i moich oczach... tam pod niebieskim, podmiejskim niebem...”

I w miarę jak odległość od Starego Probostwa rosła, nasilało się jej poczucie radosnego podniecenia, od którego kręciło jej się w głowie. Wrywała się na wolność. Oddalała się od egocentrycznego, kwękającego mężczyzny, wokół którego przez tak wiele lat kręciło się jej życie, i od wielkiego kamienia młyńskiego na szyi w postaci popadającego w ruinę domu — źródła kłopotów finansowych, od kiedy pamiętała. Parafrazując tytuł z ogromnej kolekcji na półce z poradnikami Lionela, był to pierwszy dzień reszty jej życia.

Przejechała kilka ostatnich mil do przedmieść Causton, rozmyślając o spotkaniach z agentami handlu nieruchomościami. Zastanawiała się, kiedy będą mogli przyjść i wycenić dom. Była pewna, że zechcą wykorzystać tę okazję. Dom w Martyr Bunting, tej samej wielkości co jej, choć w dużo lepszym stanie, został w poprzednim tygodniu sprzedany za trzysta tysięcy funtów.

Zbliżając się do ronda, Ann zaczęła koncentrować się na drodze. Jechała wokół pomnika upamiętniającego ofiary wojny na głównym rynku i w dół High Street obok Boots, Woolworths i Minnie's Pantry. Postanowiła wybrać się tam na podwieczorek około czwartej, by nie musiała już nic jeść po powrocie. Zdecydowała się pozostać poza domem prawie do ostatniej minuty, kiedy miała zjawić się policja. Miała nadzieję, że będzie to ten duży, przysadzisty detektyw, który przyszedł po śmierci Charliego Leathersa. Polubiła go i to nie tylko dlatego, że niecierpliwiło go zachowanie Lionela. Ann wyczuwała w nim człowieka niebawiącego się w sentymenty, ale niepozbawionego dobroci. Solidny, zamknięty w sobie, a jednak szczerze zainteresowany tym, co dzieje się wokół niego.

Skreśliła w lewo przy ratuszu, za którym stal nowy, trzy poziomowy parking. Został zbudowany zaledwie po dwóch latach zażartych protestów. Causton, liczące według ostatniego spisu dwadzieścia siedem tysięcy osiemdziesiąt trzy osoby w wieku wyborczym, nie chciało publicznego parkingu. Kiedy trwały dys-

kusje na ten temat, aktywiści Middle England\*<sup>8</sup> wylegli na ulice z transparentami i zasypywali „Causton Echo” obraźliwymi lub mocno ironicznymi listami w rodzaju „dlaczego, ach dlaczego?”. W ratuszu odbywał się strajk okupacyjny, a kiedy wydział planowania miasta odważnie zorganizował publiczne spotkanie, skończyło się ono zamieszkami. Gdy pojawiły się koparki, kilkoro ludzi położyło się na miejscu budowy. W końcu parking i tak został zbudowany i w chwili jego otwarcia władze miejskie zadbały o to, by w centrum i na pobliskich ulicach pojawił się zakaz parkowania, tak więc ludzie nie mieli innego wyboru i musieli z niego korzystać.

O trzeciej po południu w dzień powszedni parking był prawie pełny. Ann powoli objechała pierwszy i drugi poziom, ale nie znalazła ani jednego wolnego miejsca. Na trzecim zauważyła jedno, pomiędzy land roverem a robinem felian-tem, kilometry od wyjścia.

Ann nie lubiła korzystać z tego parkingu, poza parterem, gdzie dochodziło dużo dziennego światła i widziała przechodzących w pobliżu ludzi. W pozostałej części budynku zainstalowane były lampy, ale często nie działały. Czasami wynikało to ze złej dbałości o budynek, lecz częściej z wandalizmu.

Podobnie jak każda przestrzeń publiczna z łatwym dostępem, brakiem nadzoru i możliwością schowania się, parking przyciągał tych, którzy mieli coś do ukrycia. Zaledwie tydzień wcześniej złapano tu kilku mężczyzn, którzy zorganizowali sprzedaż z bagażnika swego samochodu, wymieniając małe woreczki nielegalnego proszku na duże torby używanych banknotów. Nie zdawali sobie sprawy, że kilka metrów dalej na siedzeniu innego samochodu znajdowało się dwoje kochanków. Namiętna para, po zaspokojeniu żądzy, zapamiętała numer rejestracyjny dealerów i przezornie schowała głowy.

Ann czytała o tym w gazecie. Kiedy wysiadła i zamknęła wszystkie czworo drzwi, myśl o schwytaniu handlarzy narkotyków sprawiła, że poczuła się trochę pewniej, tak jak czują się pasażerowie samolotów podróżujący zaraz po głośnej

---

<sup>8</sup> \* Middle England in Revolt — organizacja dążąca do zachowania angielskiej prowincji w jej dotychczasowym kształcie (przyp. red.).



katastrofie, świadomi nie tylko minimalnego prawdopodobieństwa drugiej katastrofy tak szybko po pierwszej, ale i tego, że cała załoga stara się jak może, by nic złego się nie stało.

Dużą przestrzeń dzielącą ją od windy wypełniały samochody, lecz najwyraźniej nie było tam żywej duszy. Ann ruszyła przed siebie, rozglądając się dookoła. Jaki brzydki ten beton. Ponure, szare ściany pokrywały ciemne zacieki, wyglądające jak czarne ślady łez.

Zauważyła, że liczy pojazdy. Dwa, trzy, cztery... Na siedem — szczęśliwa liczba siedem — rozległ się za nią jakiś dźwięk. Skrzypnięcie, jakby ktoś otwierał drzwi. Odwróciła się gwałtownie. Nic. Czy ktoś wysiadł z tych, jak się wydawało, pustych samochodów? Czy czołgał się teraz za nią, próbując dotrzymać jej kroku? Lub schylił się i próbował ją dogonić?

Potrząsnęła głową, zirytowana własną bojaźliwością. Gdzie podziała się cała odwaga, wypełniająca jej serce i umysł, gdy śpiewała w drodze zaledwie pół godziny temu? Wzięła głęboki oddech, podniosła brodę i wydłużyła krok. Jedenaście, dwanaście, trzynaście — była już prawie w połowie drogi.

Musiał mieć na sobie miękkie buty lub być boso. Nie usłyszała zupełnie nic, ale kątem oka zauważyła nagły gwałtowny skok. Potem był już na niej. Poczowała jego ciężar i gorący oddech. Tak mocno zaciskał ramię na jej szyi, że nawet tak przerażona, nie mogła krzyknąć.

Pociągnął ją do najbliższego samochodu. Potem, zanim zrozumiała, co się dzieje, chwycił ją za włosy, zbierając je ciasno w swojej pięści, i pociągnął jej głowę do tyłu, a następnie ze straszną siłą szarpnął do przodu, uderzając nią w skraj maski.

Valentine Fainlight pracował. To znaczy, stwarzał pozory, że pracuje. W końcu nadeszły próbne wydruki książki *Barley Roscoe gra w klasy*, więc Val z roz-targnieniem przewracał kartki, uznając, że wszystko wygląda w porządku. Dawno, dawno temu, czasem wydawało się, że w innym życiu, zauważyłby, że marginesy na więcej niż jednej stronie nie były całkiem równe i że magiczna czapka Barleya stała się o ton za ciemna w scenie, gdzie przemienił kwadraty do gry w klasy w bryłki miodowych krówek. (Barwa czapki, delikatnie błękitna, kiedy



Barley po prostu zajmował się swoimi codziennymi sprawami, pogłębiała się w zależności od poziomu katastrof wywoływanych przez jego przemiany).

Valentine nie zauważył niczego. Widział tylko twarz Jaksy: okrutną, piękną, zagadkową. Wczoraj złapał się na tym, że zastanawia się, jak osobie zupełnie nieinteligentnej udaje się wyglądać na zagadkową, i zawstydził się. Już kiedyś miewał takie myśli, a wtedy natychmiast ganił się za to, że jest snobistyczny i niesprawiedliwy. Poza tym myśli te niczego nie mogły zmienić. No bo kto kiedykolwiek wyleczył się z gorączki dzięki obojętnym analizom?

Źle się czuł z powodu Louise. Kochał siostrę i wiedział, że odrzucając ją tak wyraźnie, wyrządził jej krzywdę. Na swoją obronę miał jedynie przekonanie, że gdyby nadal z nim mieszkała, to cierpiałaby dużo, dużo bardziej.

Czasem, w chwilach takich jak ta, kiedy przyznawał, że słowo związek było bez znaczenia i że to, czym się zaraził, jest śmiertelną chorobą, wspominał Bruna. Val miał to szczęście, że kiedyś przez siedem lat żył ze skomplikowanym, utalentowanym, trudnym, zabawnym, dobrym i całkowicie lojalnym mężczyzną. Seks był wspaniały, kłótnie nigdy zawzięte. Kiedy Bruno zmarł, Valentine poczuł, że wpadł w bezdenną przepaść rozpacz.

Rodzice jego partnera, jeden czy dwoje bardzo bliskich przyjaciół, ale przede wszystkim Louise przywrócili go do życia. Teraz, kiedy siostra starała się pozbierać po własnej tragedii, on ją odrzucał. Miesiąc wcześniej nie pomyślałby, że jest do tego zdolny. Dziś rano, kiedy płakała w kuchni, czuł się tak strasznie, że prawie zmienił decyzję. Ale potem przyszła mu do głowy cudowna myśl. Przed tygodniem, gdy siostra pojechała na dzień do Londynu, zaprosił Jaksę, by zobaczyć dom. Było ciepło, więc zjedli kanapki i wypili wino w ogrodzie. Jax pokochał Fainlights i z ociąganiem opuszczał to miejsce. Jeżeli Louise się wyprowadzi, mógłby nie tylko wpadać tu z wizytą, mógłby naprawdę wprowadzić się i zostać.

Zadzwonił telefon. Valentine chwycił za słuchawkę i zawołał:

—Tak, słucham?

—Cześć, Val.

— Jax! Co ty... — przerwał, wciągnął trochę powietrza. — Chciałem powiedzieć, jak leci? Jak się masz?

— Właśnie idę pod prysznic.

O Boże, jeżeli to tylko droczenie się, pójdę tam i go zabiję.

—Należysz do zielonych?

—Co?

—No wiesz, oszczędzaj wodę, bierz prysznic z przyjacielem.

—Chcesz powiedzieć, że chciałbyś...

—Tylko jeśli ty chcesz.

Louise widziała, jak odchodził. Wcześniej usłyszała, że zadzwonił telefon. Tylko raz. Teraz patrzyła jak brat, jej ukochany, inteligentny brat, podskakuje w podnieceniu, mocuje się z frontową bramką i pędzi na ulicę. Tańczy na końcu smyczy tego ohydneho mężczyzny, jak jakiś smutny cyrkowy niedźwiedź.

Kiedy Valentine wbiegł przez niebieskie drzwi i wspinał się po schodach, zdał sobie sprawę z faktu, że nie ma przy sobie pieniędzy. Ale jakoś to załatwi. Wyjaśni.

Drzwi mieszkania były lekko uchylone. Słyszał szum wody pod prysznicem. Czy Jax już tam był? Czy też stąpał cicho za nim po kremowym dywanie, czając się do skoku? By chwycić go za szyję, jak zrobił to już kiedyś. Podniecony, Val celowo nie odwracał głowy.

Ale wtedy Jax wyszedł z sypialni, ubrany w luźno zawiązany frotowy szlafrok. Podeszedł prosto do Vaia i włożył koniec paska w jego dłoń. Potem chwycił obiema rękami poły koszuli Vaia i rozerwał ją, wysyłając guziki w powietrze.

Hetty Leathers potwierdziła datę i godzinę pogrzebu męża, zapraszając jednocześnie Evadne do kościoła i potem na lekki lunch w domu.

Evadne ubierała się więc w czerń. Nie był to jej ulubiony kolor — w konsekwencji nie miała teraz wielkiego wyboru. Jednak wychowana do przestrzegania

tradycyjnych form, nie potrafiła wziąć udziału w takiej uroczystości w barwnym stroju.

Wiele zależało od pogody. Dzień pod koniec sierpnia mógł być niezwykle ciepły lub nieoczekiwanie chłodny. Evadne wyjęła z szafy porządny płaszcz i spódnicę i dobrze je strzepnęła. Płaszcz pachniał kulkami na mole, później poczuła też lekki zapach Coco, jej ulubionych perfum. Potem wybrała antra-cytową aksamitną tunikę z długimi rękawami i pasujące do niej spodnie, i przyjrzała się im z namysłem. Były dość ciemne, by można je było zaakceptować, oraz bardzo eleganckie. Jednak jej matka wzdychałaby z przerażenia na myśl, że kobieta ma mieć na sobie spodnie w kościele. Świadoma tego, że dobroduszne, lecz surowe uwagi jej rodziców mogą przypomnieć się jej w każdej chwili bez ostrzeżenia, Evadne odłożyła komplet.

Kapelusz nie stanowił problemu. Właściwie to stanowił i nie stanowił. To znaczy, miała kapelusz w odpowiednim kolorze, lecz trudno byłoby go nazwać odpowiednim na pogrzeb. Kupiła to organdyne cacko rok temu, na wesele ulubionej siostrzenicy. Miało wysokie denko i szerokie opadające rondo, a wykończyły je ciemne zwisające peonie z błyszczącego jedwabiu. Skoro jednak kobiecie nie wypada wejść do kościoła w męskim stroju, a tym bardziej bez kapelusza, to ten musi wystarczyć

Evadne zaniosiła ubrania na dół i powiesiła je w kuchni przy otwartym oknie, by je przewietrzyć. Potem zabrała się za przygotowanie filiżanki cytrynowo-werbenowej herbaty, którą lubiła popijać przy lekturze porannej gazety.

Wkrótce usłyszała drapanie do frontowych drzwi. Otworzyła je, by wpuścić Mazepę, niosącą w koszyku „The Times”. Zastępowała Piersa, który dzisiaj dłużej sobie poleżał.

Mazepa była dobrą suczką, nawet sławną — jeden z jej szczeniaków wygrał na wystawie w Crufts — nigdy jednak nie nauczyła się nosić gazety w pyszczku. Głęboko przeżywała ten brak umiejętności i wstydziła się, kiedy pani wysyłała ją z koszykiem. Evadne nigdy nie przyszło do głowy, by wyjaśnić jej, że Pierś nosił w pysku tylko lokalną gazetę. Nawet on wymagał trochę pomocy przy noszeniu cięższych pism.

Teraz Mazeppa, chcąc ze wszystkich sił zaimponować pani, położyła koszyk przechylając go na bok, wyciągnęła część gazety i ściskając ją w zębach, przeciągnęła do kuchni i delikatnie położyła na podłodze.

— A co ci mówiłam? — Evadne podniosła dziennik, przebijając palec przez najbardziej rozmiękły skrawek papieru, i pogroziła psu. — Jak mam to teraz przeczytać?

Mazeppa, zachwycona poświęcaną jej uwagą, biła mocno swym pierzastym, przypominającym lilię ogonem w nogę stołu. Sapała i wzdychała radośnie.

— Teraz pewnie myślisz, że dostaniesz ciasteczko.

Łomot zwolnił, suczka straciła pewność siebie. Jej mordkę, i tak już zgniecioną przez naturę w pejzaż ściśniętych fałd, zakładek i zmarszczek, ścisnął niepokój. Evadne poklepała psa, rzuciła mu czekoladowe ciastko i zabrała herbatę do salonu. Otworzyła to, co zostało z gazety, wybierając część poświęconą sztuce.

W muzeum V&A trwała wystawa wczesnych angielskich mezzotint i uwielbianych przez Evadne akwarel. Zastanawiała się, czy do muzeum będzie można wprowadzić pieski. Pani Craven wzięła swego pudła, marudnego małego pozera, na wystawę ogrodnictwa na St Vincent Square. W porównaniu z nim pekińczyki były jak złoto. Być może da się je zostawić na krótko u szatniarza? Postanowiła, że następnego dnia zadzwoni w tej sprawie.

Już teraz pochłonięta radością oczekiwania, Evadne przejrzała recenzje teatralne — kto, u licha, potrzebuje teatru, gdy dookoła rozgrywają się dramaty codziennego życia? — i odnalazła strony poświęcone książkom.

Przy krześle zawsze trzymała notes i automatyczny ołówek do spisywania nowych tytułów, które wydawały się jej interesujące. Chociaż nie mogła sobie na wiele spośród nich pozwolić, to jednak bibliotece w Causton, pomimo nędznego stanu finansowego, zazwyczaj udawało się kupić lub wypożyczyć skądś egzemplarz.

Dzisiaj tematem całej strony, podzielonej na ramki zgodnie z wiekiem potencjalnych czytelników, stała się literatura dziecięca. Znalazły się tam także ilustracje z omawianych pozycji, niektóre zabawne, inne czarujące, a kilka tak przerażających, że Evadne zastanawiała się, jacy rodzice chcieliby mieć je w domu. Ża-

łowała, że nie ma małego przyjaciela bądź krewnego, który wdrapałby się jej na kolana, by posłuchać *Piotrusia Królika* lub *Słonia Babara*. Może siostrzenica, która właśnie wyszła za mąż, w końcu poczuje się zobowiązana.

W sekcji o książkach dla dzieci w wieku od siedmiu do dziewięciu lat znalazła nowy tytuł z serii o Barleyu Roscoe. Wiedziała o Barleyu wszystko. Valentine Fainlight przeznaczył podpisany egzemplarz przygód swego bohatera na wsparcie festynu kościelnego, a Evadne wygrała go na loterii fantowej. Barley był uroczym dzieckiem, często popadał w kłopoty, jednak zawsze zaczynał od nowa z najlepszymi intencjami. Przypominał jej Williama Browna, choć pozbawiony był typowej dla niego zdumiewającej niefrasobliwości, przejawiającej się podejmowaniem pełnych wiary w siebie prób przydania się na coś.

Evadne odłożyła gazetę, teraz raczej niezadowolona z tego, że w ogóle ją otworzyła. Tak bardzo się przecież starała wyprzeć ze świadomości nazwisko Fainlight. Próbowwała nie zatrzymywać się nad smutnym faktem zaginięcia Carlotty. Jej serce wypełniło współczucie dla Valentine'a. Kiedy miły młody konstabl zapytał, czy znała dziewczynę lub czy mogłaby udzielić jakichkolwiek informacji o jej zniknięciu, Evadne wspomniała o jej usychającym z miłości absztyfikancie. Później, w obawie, że sugeruje jakieś zaangażowanie ze strony Valentine'a, popieszczyła wyjaśnić, że to tylko kwestia czystej obserwacji, a nie rzeczywista wiedza.

A ta jego biedna siostra. O Boże! Evadne aż głośno westchnęła. W piątek słyszała, jak Louise łkała w ogrodzie ich domu. Evadne przysłała w imieniu Christian Aid i niepewnie kręciła się przez kilka minut, rozdarta między naturalnym pragnieniem, by zaoferować ukojenie, a lękiem, że wtrącając się, może wywołać zakłopotanie lub zniecierpliwienie. Louise zawsze wydawała się jej osobą, która niezmiernie sobie ceni prywatność. W końcu Evadne cichutko odeszła. Tyle nieszczęścia. Podniosła „The Times” z nadzieją, że przywoła miły nastrój sprzed kilku minut. Wróciła do stron poświęconych muzyce. W dużej mierze zajmowały je dziś słowa uznania pod adresem młodego, utalentowanego jazzmana, który niedawno popełnił samobójstwo.

Evadne jeszcze raz westchnęła, tym razem głośniej. Mazepa wskoczyła jej na kolana i, wpatrując się w jej oczy, wydała z siebie długi pomruk współczucia.

Dokładnie kwadrans po siedemnastej, kiedy Louise cichutko wypłakiwała złamane serce, a jej brat klęczał w pełnej uwielbienia ekstazie na wykafelkowanej podłodze prysznic, kiedy Hetty Leathers i jej córka opróżniały butelkę guinnessa, by uczcić uzbieranie połowy sumy na pokrycie kosztów pogrzebu Charliego (a to dzięki zrzutce do butelki w Red Lion), a członkinie Ligi Matek przygotowywały serca i umysły na swe nobliwe, filantropijne wysiłki, detektyw nadinspektor Tom Barnaby i sierżant Gavin Troy stawili się na kruszejących schodkach Starego Probostwa.

Lionel Lawrence ledwie dosłyszał dzwonek, a w każdym razie był tak roztrzęsiony wewnątrz, że całkiem zapomniał o swojej rozmowie telefonicznej z policją, którą odbył poprzedniego dnia. Czuł się jak człowiek, który przez lata miał kotka, o którego dbał z oddaniem, choć nieco nieuważnie, tylko po to, by później podopieczny zamienił się za jego plecami w panterę i odgryzł mu rękę.

Oczywiście Ann się uspokoi. Będzie musiał wykazać cierpliwość, rozmawiać z nią, może nawet trochę jej wysłuchać. Czuła pewnie jakieś uzasadnione żale, choć Lionel nie mógł sobie zupełnie wyobrazić, czego mogły one dotyczyć. Ale złoży wszelkie obietnice, jakich ona zapragnie, i nawet zrobi wszystko, by ich dotrzymać. Inne rozwiązanie nie wchodziło w grę. Zostać odciętym od wszystkiego, bezdomnym, bez grosza w takim wieku. Co miałby począć? Dokąd pójść? Po latach zaangażowania i współczucia wobec wyrzutków społeczeństwa Lionel zdał sobie sprawę, że teraz, kiedy on sam potrzebuje jakiegoś miejsca dla siebie, nie ma nikogo, do kogo mógłby się zwrócić. Wściekły na żonę za to, że postawiła go w takim położeniu, a jednocześnie wiedząc, że nie może sobie pozwolić na okazanie tego uczucia, postanowił, że jej wybaczy, tak jak powinien to zrobić chrześcijanin, i postara się ze wszystkich sił o pojednanie między nimi.

Jeszcze raz rozległ się dzwonek i tym razem został zauważony. Lionel nadal pograżony w niepokojących wizjach własnej przyszłości, przedryfował przez wykładany czarnymi i białymi kaflami hol i otworzył drzwi.

Ku swojej irytacji zobaczył w nich tego samego policjanta, który był tak bezczelny przed kilkoma dniami. Nie zdobył się na odwagę, by go objechać, a młodszy funkcjonariusz już wścibsko zaglądał mu przez ramię do domu, więc Lionel wbił surowe spojrzenie w dzielącą ich przestrzeń.



—Przykro mi, że przeszkadzamy — odezwał się Barnaby, wyglądając na człowieka, któremu ani trochę nie jest przykro — ale wydaje mi się, że pan nas oczekuje.

—Absolutnie nie — odparł Lionel. — To raczej mnie oczekują — wyjął kieszonkowy zegarek z kieszeni kamizelki i wpatrywał się w niego jak zauroczony — za około dwadzieścia minut na comiesięcznym spotkaniu Ligi Matek z Ferne Basset.

—Rozmawialiśmy wczoraj przez telefon — mówiąc to, Barnaby zrobił krok do przodu i Lionel, zaskoczony tym nagłym ruchem, przesunął się pospiesznie na prawo, uznając w myślach takie wślizgnięcie się do domu za karygodne naruszenie wolności osobistej.

—Umawialiśmy się na rozmowę z panią Lawrence — wyjaśnił sierżant Troy, teraz także już w holu. — Mniej więcej na piątą.

—Ach. — Lionel nie zamknął drzwi. — No cóż, nie ma jej tutaj.

—Ale zaraz będzie? — zasugerował nadinspektor. — Powiedział pan, że zawsze przychodzi na spotkania.

—W rzeczy samej. To jeden z ważniejszych punktów w jej miesięcznym kalendarzu.

Mój ty smutku, pomyślał sierżant Troy. Co za życie. Próbował wyobrazić sobie matkę Talisy Leanne wstępującą do Ligi. Biedaczki nie wiedziałyby, co się dzieje. Maureen zagadałaby je na śmierć, wmawiałaby, że czarne jest białe. Człowiek by jej uwierzył nawet w to, że może latać i, jeśli miałby odrobinę rozsądku, to właśnie to by zrobił, dokładnie w chwili, kiedy by ją zobaczył.

Lionel odszedł, zostawiając ich w holu. Chociaż nie zostali poproszeni ani o to, by poczekali, ani o to, by czuli się jak u siebie w domu, Barnaby i Troy usiedli na dwóch żeliwnych krzesłach, stojących po dwóch stronach wielkiej miedzianej wazy. Krzesła były bardzo niewygodne.

Troy, natychmiast znudzony, zerkał przez kompozycję bukowych liści i wrotycza. Dostrzegł, że szef był już w jednym z typowych dla siebie nastrojów — „proszę nie przeszkadzać”.



Ale myśli Barnaby'ego nie były żadną miarą tak spokojne, jak sugerowałoby to jego nieprzeniknione oblicze. Myślał o czekającym ich spotkaniu z Ann Lawrence. Do trzech razy sztuka, powiedział do siebie z przekonaniem w drodze do tego miejsca. Przy pierwszym spotkaniu nie wiedział nawet, że zaginiona dziewczyna będzie ważna dla sprawy o morderstwo. W sobotę pani Leathers była tak nafaszerowana środkami odurzającymi, że zadawanie jakichkolwiek pytań miało się z celem. Teraz miała już całą sobotę i niedzielę na to, by wydobrzyć. Kiedy rozmawiał z nią wczoraj, odpowiadała spokojnie i wcale nie była zaniepokojona. Przypomniał sobie jej słowa: „Tak, nadinspektorze. Ja również chcę z panem porozmawiać. Tak, naprawdę bardzo na to czekam”.

Wymruczał ostatnie zdanie na głos i Troy szybko powiedział:

— Słucham?

— Powiedziała: „Bardzo na to czekam”, na nasze spotkanie. Jak to rozumiesz?

— Coś jej chodziło po głowie. Chciała to obgadać. — Troy popatrzył na zegarek. — Straci możliwość, jeśli się nie pośpieszy. Zaraz pojawi się tu wielka chmara matek.

— Nie podoba mi się to.

— Mnie też się to nie podoba — odpowiedział sierżant. — Mógłbym bez tego żyć.

— Bądźże cicho! — Barnaby poczuł lekkie mdłości. Zimny uścisk napięcia w głębi żołądka. Jak w momencie przeblysku strasznego zrozumienia na widok bujającego się łańcucha spłuczki w toalecie, gdy jest się pewnym, że jest się w domu samemu. — Idzie już ktoś?

Troy wstał, rozciągając nogi, i podszedł do wąskiego okna z boku drzwi frontowych. Na podjeździe ujrzał kilka kobiet, kroczących energicznie i zdecydowanie w stronę Probostwa. Nie były to ciężkie matrony, jakich się spodziewał, otulone w tweedy i z tynkiem na twarzach. Niektóre miały na sobie jasne spodnie i marynarki. Jedna zaś coś, co wyglądało jak zielony męski kapelusz, długi fioletowy moherowy sweter i wełniane podkolanówki w stylu „Czy mnie widzisz?”. Nawet Ray Charles by je zobaczył.

Troy otworzył drzwi, przesunął się na bok i pozwolił, by kobiety wlały się tłumnie do środka. Nie zatrzymały się ani na chwilę. Poszły dalej, do środka, skąd zaczęły dochodzić ich głośne rozmowy z Lionelem. Wśród dalekiej wrzawy słychać też było szczęk porcelany i łyżeczek.

— Przeprowadź Lawrence'a.

Troy wyruszył na poszukiwania. Lionel był w kuchni, udawał, że pomaga, a wszystkie jego mało entuzjastyczne, niezdarne wysiłki były wyśmiewane z miłą pobłażliwością. Kiedy zrozumiano, że Ann jest nieobecna, pani w kapeluszu zaoferowała, że zrobi mu kilka jajek na bekonie. Kobiety kręciły się wszędzie. Któraś powiedziała do sierżanta Troya: „Ach, tutaj jesteś” i zapytała, czy weźmie tacę z filiżankami do salonu.

—Panie Lawrence! Zechce pan... — Troy zrobił szybki unik w tył, aby przepuścić pokrojone ciasto z wiśniami. — Nadinspektor chciałby zamienić z panem słowo.

—Co? — krzyknął Lionel, zdejmując folię do żywności z talerza kanapek z ogórkiem i wciskając dwie do ust.

—W holu, proszę pana, jeśli można. — Troy obszedł sosnowy stół i chwycił, delikatnie acz zdecydowanie, łokieć gospodarza. Błąd.

—Czy kiedykolwiek spotkał się pan z wyrażeniem „swobody obywatelskie”, sierżancie?

— Tak, panie Lawrence.

— No cóż, jeśli zatem nie chce pan zostać wzywany do sądu za napaść, to sugeruję, by cofnął pan rękę.

Troy zdjął dłoń z jego łokcia.

—Powinien pan zdawać sobie sprawę, że odmowa pomagania policji w sprawie o zabójstwo to czyn karalny.

—Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. — Lionel, chociaż wciąż żuł, energicznie ruszył w stronę wyjścia. — Po prostu każdy człowiek ma prawo się bronić.

Weszli do holu, wpadając na nadinspektora, który szedł właśnie ich szukać.

—Gdzieście byli, do diabła?

—Przepraszam pana. Trwają tu gorączkowe...

— Tam — Barnaby obrócił się do najbliższego pokoju. Było to niewielkie ośmioboczne pomieszczenie z kilkoma fotelami o twardych oparciach, paroma stosikami nut, sprzętem hi—fi i starym fortepianem Bechsteina. Troy podszedł do instrumentu, wyjął notatnik, tak na wszelki wypadek, i położył go na ciężkiej, wykonanej z orzechowego drewna klapie.

Niedaleko znajdowała się oprawiona w srebrną ramkę fotografia groźnego starszego mężczyzny w koloratce. Chociaż był prawie łysy, siwe włosy wystawały mu obficie z uszu i nosa.

Szczyił się też parą bokobrodów. Patrzył prosto w obiektyw. Jego pies, bull-terier ze świńskimi oczkami, podniósł swą chropawą wargę i odsłonił zęby, prawdopodobnie po to, by kogoś nieźle uszczypnąć. Wydawało się, że są dla siebie stworzeni.

— Zatem, panie Lawrence, kiedy ostatni raz widział pan żonę?

—Co, na litość...

—Odpowiedz na pytanie, człowieku.

— Rano — Lionel połknął resztę słów z pewnym przerażeniem. — Około jedenastej.

— Czy mówiła, jakie ma plany na później?

— Przejazdźka do Causton. Przypuszczam, że chciała iść na zakupy. Nie powiedziała.

— Czy się pokłóciliście?

—Jak... Ma pan moje słowo, że nasza... nasza wczorajsza dyskusja nie ma nic wspólnego z dochodzeniem, które obecnie panowie prowadzą.

—Chodzi o to, proszę pana — odezwał się sierżant, który właśnie zaczął coś gryzmolić — że to może pomóc nam dowiedzieć się, w jakim była nastroju.

—Dlaczego? — gospodarz wyglądał na zdumionego. — Jak to „pomóc”?

—Z tego, co pan mówił, zrozumiałem, że pani Lawrence nigdy nie opuściła spotkania Ligi Matek.

—Kiedyś musi być ten pierwszy raz.

—Nie martwi się pan?

Teraz Lionel wyglądał nie tylko na zdumionego, ale też zaniepokojonego. A Barnaby, zdawszy sobie sprawę, że podniósł głos, opamiętał się. Jeszcze jeden czy dwa decybele i już by krzyczał.

Szczerze zdziwienie Lionela uspokoiło go. Zrozumiał, jak musiało wyglądać jego zachowanie. Tak naprawdę nie miał żadnych logicznych powodów, by uważać, że coś złego przydarzyło się Ann Lawrence. Mogła spotkać przyjaciółkę, wybierać książki w bibliotece, przymierzać ciuchy... Żadnych logicznych powodów. Tylko ten sopel powoli mieszający w jego bebeczach.

Starał się mówić spokojniej:

— Czy może nam pan powiedzieć, o której godzinie wyszła?

— Obawiam się, że nie. Byłem w moim gabinecie. Dziś nie jedliśmy lunchu razem.

Aha, musiała być całkiem niezła ta dyskusja, pomyślał Troy. Sam zadał teraz pytanie i choć znał odpowiedź, miał nadzieję dla dobrego efektu wprowadzić nieco zamieszania:

—Czy pani Lawrence sama jechała do miasta? Czy może pan Jackson ją tam zawiózł?

—Nie — niestety Lionel nie uniósł głosu. — Lubi sama prowadzić. Chociaż...

— Nagle przestał być pomocny. Stało się jasne, że chce się ich pozbyć. — Jax może panom powiedzieć, o której wyjechała. Zdaje się, że tuż przed lunchem pracował przy humberze.

—Rozmawiali z tobą? — zapytał Jax. — Policja.

—Tak. To znaczy przyszli. — Valentine siedział na skraju sofy. Mocowanie się i walka były za nim, więc krew wracała do jego powykręcanych kończyn i nadwyreżonych mięśni, pozostał tylko ból i zmieszanie. Ale szczęście także lśniło gdzieś w ciemności.

—O Charliem?

—Zgadza się.

—A co chcieli wiedzieć?

—To Louise się z nimi widziała. Ja się zmyłem.

—I tak cię dopadną.

—Ledwie go znaleźliśmy.

—To bez różnicy. — Jax przeszedł się po pokoju i wcisnął się w pomarańczowy fotel przy kominku. Rozłożył nogi i odchylił się do tyłu z szerokim uśmiechem. — Chyba będzie lepiej, jak coś na siebie włożę.

—Nie! — zawołał Val z pośpiechem. — Proszę, nie rób tego.

—Gotów na coś więcej?

—To nie to. Po prostu lubię na ciebie patrzeć. — Wstał z sofy i krzywiąc się z bólu, sięgnął w dół, by podnieść swoje bokserki.

—Znam ten sklep.

—Słucham?

—Sułka. Na West Endzie, prawda?

—Tak. Na Bond Street.

—Spotkałem kiedyś faceta, który kupował tam szlafroki.

—Naprawdę? — Valentine poczuł zupełnie inny ból na myśl o nieznanym mężczyźnie. — Jeżeli chcesz, zabiorę cię tam. Jak będziesz miał wolne.

—Nie, dzięki. To gówna. Wolę coś stylowego. Tak jak ta kurtka, którą mi dałeś.

—Jax... — Val zawahał się, szukają odpowiednich słów, za nic w świecie nie chcąc go obrazić. — Na jakich warunkach tutaj mieszkasz? Chodzi mi o to, czy na określony czas...

—Czas pracy na rzecz społeczności lokalnej? — słowa Jaksa ociekały pogardliwym obrzydzeniem.

—To byłoby straszne, gdybym pojawił się tu któregoś dnia i cię nie znalazł.

—Nie opuściłbym cię, Val, chłopcze.

—Nie mów tego, jeżeli naprawdę tak nie czujesz. — Val czekał, ale upragnione zapewnienie nie nadchodziło. I cóż byłoby warte, gdyby się pojawiło? — Chodzi o to, że moja siostra...

—Ona mnie nie lubi.

—Louise się wyprowadza. Wkrótce zacznie znów pracować i chce być bliżej miasta. Więc jeśli będziesz potrzebował miejsca do mieszkania...

—Może się przydać.

—Z radością cię przyjmę. — Wciskając się w swoje drelichowe spodnie w kolorze khaki, Valentine starał się nadać głosowi niedbały ton, chociaż jego wyobraźnię wypełniły obrazy nieodpartego szczęścia. Gotowałyby wspaniałe potrawy dla siebie i Jaksa. Puszczałby mu Mozarta. I Palestrinę. Czytałby mu — Austina lub Balzaka. W nocy leżeliby wtuleni w siebie, żółte gwiazdy świeciłyby oślepiająco przez szklany dach.

Jax odezwał się:

—W sytuacji kryzysowej.

—Oczywiście. — Valentine zapinał koszulę sztywnymi, niezdarnymi palcami. — To właśnie miałem na myśli. — Starał się nie patrzeć na kochanka, który przebiegał koniuszkiem wskazującego palca po miękkiej, opalonej na złoto skórze wewnątrz swoich ud, marszcząc ją delikatnie, najpierw w jedną stronę, później w drugą. W górę i w dół, w górę i w dół.

—Cudownie było cię usłyszeć — Val był zadowolony i zaskoczony, że jego głos zabrzmiał tak gładko. Oczekiwał, że *ra*<sup>^</sup> czej coś wychrypi. — Tak nieoczekiwanie.

—Teżknę do tego czasem, Val. To dziwne uczucie. I zawsze wtedy muszę to mieć — wiesz, co mam na myśli?

—Chryste Panie, tak.

—Dziś właśnie był jeden z takich dni.

—Czy jest coś, co cię szczególnie kręci?

—Jest. Zawsze to samo.

—A nie chciałbyś... Jeżeli wiedziałbym, co to jest, to może...

—Pewnego dnia, Val, chłopcze. — Jax się podniósł, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. I nagle zaczął się śmiać.

—Proszę popatrzeć — sierżant Troy wskazał głową w poprzek podjazdu, kiedy Barnaby zamykał drzwi Probostwa.

—Garaż, tak. Widziałem już niejeden garaż.

—Nie, wyżej.

Barnaby podniósł wzrok. Terry Jackson stał przy oknie swego mieszkania. Albo był kompletnie nagi, albo nosił najniższą parę biodrówek, od kiedy Randolph Scott\*<sup>9</sup> odwiesił swoje ostrogi.

—Szkoda — stwierdził Troy. — Jeszcze kilka cali i moglibyśmy go wsadzić za obnażanie się.

—Sukinsyn. I jeszcze się śmieje — powiedział Barnaby. Szofer się z nich śmiał. Nadinspektor zwolnił kroku i wręcz się włókł, by dać mężczyźnie czas na

---

<sup>9</sup> \* Randolph Scott (1898—1987) — aktor amerykański, grający przede wszystkim w westernach (przyp. red.).



narzucenie na siebie jakichś szmat. — Nie zdziwiłbym się, gdyby otworzył drzwi goły i wesoły.

— Mam nadzieję, że tak się nie stanie — odparł Troy. — Mamy dziś na obiad kiełbaski zapiekane w cieście.

Jax otworzył okno nad ich głowami i zawołał:

— Nie jest zamknięte.

Po raz trzeci Barnaby wchodził po elegancko wyłożonych chodnikami schodach. Wspominał pierwszą wizytę, która skończyła się mdlącym popisem płaszczenia się i płaczem Jacksona, kiedy przyszedł jego opiekun. I drugą, trzy dni temu, gdy szofer był pytany o Carlottę Ryan i prawie wyskoczył ze skóry na słowo „szantaż”, wprowadzone do rozmowy przez Barnaby'ego.

Zatem, co ich dzisiaj czeka? Barnaby, żarliwy obrońca konieczności zachowania otwartego umysłu przez całe swoje zawodowe życie, nigdy nie miał z tym takich trudności, jak w tej chwili. Tak naprawdę, w przypadku Terry'ego Jacksona nawet przestał próbować. Nie mając właściwie żadnych dowodów, uważał, że mężczyzna ten zabił Charliego Leathersa i był wplątany, aż po uszy, w zniknięcie Carlotty Ryan.

Nie pukając, otworzył drzwi do mieszkania i wszedł. Jackson znów opierał się o parapet, tym razem z twarzą zwróconą do pokoju. Wydawał się spokojny i zadowolony z siebie. Błyszczący i syty, jak jakieś dobrze oporządzone, świeżo obzarte zwierzę. Miał na sobie francuski dżersejowy sweter i ciasne białe dżinsy. Do tego gołe stopy i wilgotne włosy, przylegające do głowy małąkami, sprężystymi loczkami.

Farbowane i po trwałej, pomyślał Barnaby, przypominając sobie ciemne, tłuste motki na wcześniejszym policyjnym zdjęciu. To dało mu moment drobnej satysfakcji. Potem Jackson uśmiechnął się do niego, uśmiechem jak sierpowy Tysona, i satysfakcja osłabła, a potem zniknęła.

— Pan się na mnie wziął, nadinspektorze — stwierdził Jackson. — Wiem, że tak. Niech się pan przyzna.

—W porządku, mogę się przyznać, Terry. — Ponieważ w pokoju był ktoś jeszcze, Barnaby wypowiedział to zdanie na poły żartobliwie. — Dzień dobry, panie Fainlight.

Valentine Fainlight wymruczał coś w kierunku nadinspektora. Był zakłopotany, ale także arogancki i trochę rozdrażniony. Nie musieli pytać, w czym im przeszkadzili. Całe mieszkanie śmierdziało seksem.

—Dobrze, Jax. Będę...

—Proszę nie odchodzić — rzekł Barnaby. — Jeszcze nie udało nam się porozmawiać z panem o zniknięciu Carlotty Ryan. Jeden z naszych funkcjonariuszy odwiedził państwa jeszcze raz w niedzielę.

—Byłem w Londynie przez cały dzień.

—No cóż, teraz jest pan tutaj — wtrącił sierżant. Usiadł w pomarańczowym fotelu i wyciągnął notatnik. W żaden sposób nie mógł wykrzesać z siebie uprzejmego powitania, nie mówiąc już o uśmiechu. Jeżeli kimś naprawdę pogardzał, to właśnie nimi — cholernymi pedałami.

—Dwie pieczenie przy jednym ogniu, no nie, Val? — rzucił Terry Jackson.

—Doprawdy nie rozumiem, dlaczego mielibyście pytać właśnie mnie. Zamieniłem z tą dziewczyną ledwie parę słów.

—Pytamy każdego, proszę pana — wyjaśnił Troy.

—Zniknęła — kontynuował Barnaby — dwie noce przed zamordowaniem Charliego Leathersa. Wybiegła ze Starego Probostwa i sądzymy, że wpadła lub, co bardziej prawdopodobne, została wepchnięta do rzeki.

—Wielkie nieba — Valentine w wielkim zdumieniu gapił się przez pokój. — Wiedziałeś o tym, Jax?

—O tak — Jackson mrugnął do Barnaby'ego. — Informowali mnie na bieżąco.

—Więc zastanawiamy się — odezwał się znowu Troy — czy widział pan lub słyszał coś późno tego wieczoru, co mogłoby nam pomóc.

—A to było...?

—Niedziela, szesnastego sierpnia.

—Oboje byliśmy w domu, ale szczerze... nie, poczekajcie. To był wieczór, kiedy widzieliśmy Charliego i jego psa. Pamiętam, bo w telewizji była *Betty Blue*. Ale nie wiem, jak mogłoby wam to pomóc w sprawie Carlotty.

—Nie w tym rzecz — rzekł Jackson. — Musisz zostać skreślony z ich listy, rozumiesz? Żeby wszystko było miło i porządnie.

—Mamy też kilka pytań do ciebie — powiedział sierżant, obracając się do Jacksona.

—Zauważcie, że nie dostałem żadnego „proszę pana”.

—Na przykład, czy wiesz, o której pani Lawrence wyruszyła do Causton dziś po południu?

—A coś się święci?

—Wiesz czy nie wiesz? — warknął Barnaby.

—Zadzwoniła tutaj tuż po lunchu, koło drugiej. Powiedziała, że chce samochód. Odjechała gdzieś dziesięć... może piętnaście minut później.

—Czy zauważyłeś, co miała na sobie? Jackson wzruszył ramionami zaskoczony.

—Coś w kwiaty.

—Czy powiedziała, po co jedzie do miasta?

—Nie jesteśmy ze sobą na tyle blisko.

Barnaby wiedział o tym i zdawał sobie sprawę, że to pytanie było tylko stratą czasu. Zdarza się jednak, że płochliwe osoby, takie jak Ann Lawrence, które się źle czują w towarzystwie silniejszych osobowości, przekazują informacje, o które nie są pytane, bezowocnie starając się rozbroić rozmówcę.

—To wszystko? — spytał Jackson. — Nie warto było zdzierać opon.

—Gdzie byłeś dziś po południu?

—Tutaj. Pracowałem w ogrodzie. Głównie z tyłu domu. Teraz, kiedy nie ma Charliego, robi się tam dżungla.

—A o której pan tu przyszedł?

—Och, ja nie... — Nagle policzki Valentine'a nabiegły purpurą. — Może około wpół do czwartej.

—Bliżej trzeciej — powiedział Jackson. Uśmiechnął się jasno przez cały pokój do Fainlighta, bezwstydnie wykorzystując swoją władzę. Potem odwrócił się z powrotem do nadinspektora: — Ale tak w ogóle, to co wam do tego?

Barnaby miał nadzieję, że się okaże, iż nic im do tego. Miał na to większą nadzieję niż na cokolwiek od bardzo dawna. Kiedy Troy wkładał kluczyk do stacyjki, on wciskał klawisze swojej komórki.

—Dokąd, szefie?

—Poczekaj chwilę. — Kiedy Barnaby czekał, coś z jego niepokoju udzieliło się sierżantowi.

—Czy myśli pan, że coś się jej stało?

—Halo! Dyżurny? Detektyw nadinspektor Barnaby. Czy zgłaszano wam jakieś ofiary dziś po południu? — Przerwa. — Tak, kobieta. Przed czterdziestką. Prawdopodobnie miała na sobie sukienkę w kwiaty.

Dużo dłuższa przerwa. Sierżant Troy patrzył na profil Barnaby'ego. Zobaczył, jak kości nagle stają się bardziej wydatne, zmarszczki na czole pogłębiają się, a krzaczaste brwi ściągają się tak blisko razem, że zlewają się w grubą szaroczną linię.

— Obawiam się, że tak, Andy. Możesz powiedzieć mi coś więcej? — Nadinspektor słuchał przez kilka chwil, potem się rozłączył. — Jedź do szpitala Stoke Mandeville.

—Co się stało?

—Szybko.

Troy mocno nacisnął gaz. Bez syreny, ale i tak pędził. Jeszcze raz zapytał, co się stało.

— Znaleźli kobietę na wielopoziomowym parkingu w Causton. Tuż przed trzecią. Straciła przytomność w wyniku silnego uderzenia w głowę. Została obrabowana, więc nie można ustalić jej tożsamości.

—Jeśli to Ann Lawrence...

—To jest Ann Lawrence, z całą pewnością. Do ataku doszło tuż przed jej znalezieniem. Gdyby nie to, ten sukinsyn na pewno by ją wykończył.

—Cholera.

—Ktoś wjeżdżał na najwyższy poziom prawie w tej samej chwili, gdy się to działo. Napastnik usłyszał nadjeżdżający samochód i uciekł.

—Co? Schodami?

—Nie, wezwał windę, a czekając piłował sobie paznokcie i opowiadał żarciki. Cholera, oczywiście, że schodami.

—Przepraszam.

—Kierowca zobaczył ją i zadzwonił po pogotowie. Ann jest na intensywnej opiece medycznej.

—To straszny przypadek, szefie.

—Tak sądzisz?

—Chyba cięży nad nami jakaś klątwa. Przepraszam, nie dosłyszałem?

—Złodzieje torebek kradną i spływają. Nie zostają, by zatłuc swą ofiarę.

—Myśli pan, że to ma związek ze sprawą Charliego Leathersa?

—To jasne jak słońce — odpowiedział Barnaby, podkradając bezwstydnie powiedzonko budzącej respekt panny Calthrop.

Trudno uwierzyć, pomyślał nadinspektor, patrząc na nieruchomą, śmiertelnie bladą Ann Lawrence, że ona wciąż żyje.

Sierzant uważnie obserwował Barnaby'ego, wpatrującego się w leżącą na łóżku postać. Jakieś uczucie, którego Troy nie potrafił rozszyfrować, odmalowało się na jego twarzy, po czym zniknęło, pozostawiając ją bez wyrazu. Nagle nadinspektor obrócił się i odezwał do pielęgniarki, która ich przyjmowała.

—Z kim mogę o niej porozmawiać?

—Z doktorem Millerem. Zobaczę, gdzie jest.

Czekali w milczeniu. Barnaby patrzył na coś za oknem. Troy także odwrócił oczy od białego metalowego łóżka. Nienawidził szpitali równie mocno jak cmentarzy. Nie chodziło o to, że miał coś przeciwko zmarłym czy umierającym. Po prostu nie miał z nimi nic wspólnego. Jednak ten rok przyniósł jego trzydzieste urodziny i śmierć babci. Te dwa wydarzenia, tak bliskie sobie w czasie, dały mu do myślenia. Oczywiście miał jeszcze mnóstwo przed sobą — jego rodzice mieli zaledwie po pięćdziesiąt lat — a mimo to nieśmiertelność, praktycznie murowana jeszcze pięć lat temu, teraz wydawała się bardziej niepewna. Właśnie pomyślał o tym, by poczekać na korytarzu, kiedy siostra wróciła z wyglądającym na zestresowanego mężczyzną w okularach w stalowej oprawie. Miał wielką szopę bardzo jasnych włosów i był ubrany w biały pognieciony fartuch.

Podczas gdy Barnaby mówił, doktor Miller wyprowadził mężczyzn z pokoju, tłumacząc, że, przynajmniej jego zdaniem, teoria, jakoby nieprzytomni nic nie słyszą i nie rozumieją, jest bezpodstawna.

— Zatem jakie są jej szanse? — zapytał nadinspektor.

— Za wcześnie, by coś powiedzieć. — Lekarz kołysał się na stopach, jak każdy zabiegany i gotowy do odejścia człowiek. — Ma głębokie rozcięcie na głowie i ogromny siniak, który może oznaczać uraz mózgu. Dowiemy się więcej, kiedy zrobimy tomografię. Na razie ustabilizowaliśmy jej stan, a to pierwszy krok.

— Rozumiem.

—Wielkim zagrożeniem jest krwiak podtwardówkowy. To oznacza, że krew przedostaje się między oponę twardą a powierzchnię mózgu. Zawsze wiąże się z tym duże ryzyko

—Tak — Barnaby, któremu żołądek podszedł do gardła, głośno przełknął ślinę. — Dziękuję, doktorze. Tak przy okazji, wiemy, kim ona jest.

—Świetnie — lekarz już ruszał przed siebie. — Zgłóście to w administracji w drodze do wyjścia.

Wokół wielopoziomowego parkingu kręciło się wielu zdenerwowanych kierowców. Czekali na swoje pojazdy, podczas gdy umundurowani policjanci spisywali wszystkie rejestracje.

Policjanci obecni byli także na najwyższym poziomie parkingu, a ich pracami kierował inspektor Colin Willoughby. Barnaby nie lubił go. Sztywniak. Wazelinarz i snob bez wyobraźni, wrażliwości i krztyny ludzkiego zrozumienia. W opinii nadinspektora, ostatni człowiek, który mógłby być dobrym policjantem.

—Niech mnie! — powiedział Willoughby, kiedy podeszli. Wydawał się tak zdumiony, jakby byli gośćmi z innej planety. — Co tu robicie?

—Kobieta, która została napadnięta, jest powiązana ze sprawą, którą się obecnie zajmuję. Morderstwo Charliego Leathersa.

—Już zidentyfikowana? — w jego głosie pobrzmiwało więcej żalu niż ulgi.

—Ann Lawrence — odezwał się sierżant Troy. — Stare Probstwo. Ferne Basset.

—Hm.

—Wracam właśnie ze Stoke Mandeville — dodał Barnaby.

—Wyciągnęła kopyta, co? Barnaby zacisnął z niesmakiem usta.

—Macie dokładny czas napadu?

—Ten facet znalazł ją za pięć trzecia.

—Dobra — Barnaby rozejrzał się dokoła. — Zatem na jakim etapie tu jesteście?

—Och, robimy wszystko jak trzeba. Nie ma się co martwić, proszę pana.

—Nie martwię się. Zadaję tylko proste pytanie.



—Notujemy wszystkie numery rejestracyjne. I...

—Kto wpuścił tutaj tych ludzi? — Barnaby ze złością wskazał głową w kierunku kobiety i mężczyzny, wychodzących właśnie z windy. — Nie wiesz, jak zabezpieczyć miejsce zbrodni?

—Zjedźcie na dół — zawołał nadinspektor Willoughby najgłośniejszym głosem, jak potrafił. Gniewnie pomachał rękami, patrząc na parę przybyszy. — Zjeżdżajcie! Natychmiast!

Wycofali się chyłkiem do windy.

— Ten dojazd, cały ten poziom powinien być oklejony taśmą. I schody, którymi uciekł. Co tu, u diabła, robisz, człowieku?

—Wszystko to właśnie robimy, proszę pana.

—No to robicie to za wolno!

— Jej samochód to humber hawk, tak przy okazji — wtrącił sierżant Troy. — Bardzo stary.

Willoughby rzucił sierżantowi gniewne spojrzenie. Nie lubił, kiedy mu przerywano, nawet gdy robił to ktoś równy mu rangą. A już ten ubrany po cywilnemu parweniusz...

— Jest tam — wskazał głową Troy z jeszcze większą bezczelnością.

— Mam oczy, sierżancie. Dziękuję.

— Chcę, żebyście go odgradzili — rzekł Barnaby. — I żeby obejrżeli go technicy. Każdy cał.

— Co?

Może i ma oczy, pomyślał sierżant Troy, ale jego uszy nie na wiele się przydają.

— Nie mam zwyczaju powtarzać dwa razy, Willoughby. Po prostu proszę tego dopilnować.

—Tak jest.

—Gdzie ją znaleziono?

— Tutaj — Willoughby poprowadził ich do szkarłatnego renault megane. — Leżała przed samochodem. Powiedziałbym o metr, półtora od osłony chłodnicy.

Barnaby przyjrzał się bliżej samochodowi. Dostrzegł niewielkie, lecz wyraźne wgniecenie na skraju maski. W myślach zobaczył, jak z olbrzymią siłą ląduje na niej głowa Ann Lawrence, i znów poczuł mdłości. Potem nakazał sobie nie przesadzać z takimi żywymi fantazjami. Mogła zostać uderzona czymkolwiek. Ale w takim razie, dlaczego przestępca ciągnąłby ją do samochodu? Poza tym rana była wysoko, z przodu czaszki. Jak często złoczyńcy podchodzą do ofiary, patrzą jej w oczy i uderzają? Raczej skradają się, przemykają i podchodzą chyłkiem. Skradają się cicho z tyłu i wtedy atakują. Barnaby rozejrzał się.

— Doszła aż tutaj. — Stał w pewnej odległości, w przejściu między samochodami. — Prawdopodobnie kierowała się do windy. On szedł za nią i skoczył, potem ciągnął ją do renault. Tutaj, obok tej plamy oleju, widać ślady obcasów. I tutaj, bliżej samochodu, też.

— To już zauważyłem, proszę pana.

— To dobrze, Willoughby — powiedział nadinspektor z niedowierzaniem, które lepilo się do jego słów niczym toffi. — Teraz musimy obejrzeć megankę, dobrze ją przebadać.

— Oczywiście.

Nastąpiła cudowna pauza, którą Barnaby z rozkoszą przeciągał. Było oczywiste, że Willoughby nie wiedział dokładnie, dlaczego czerwony samochód ma zostać przebadany. Lęk przed tym, że będą go uważać za głupca, powstrzymywał go przed zadaniem pytania. Ale jeżeli tego nie zrobi, to gdy technicy zapytają go, czy szukają czegoś konkretnego, nie będzie wiedział.

To dzięki takim chwilom, westchnął nadinspektor z zadowoleniem, nasza praca przynosi radość. Sierżant Troy powiedział:

— Spójrzcie tutaj.

—Co? — Nadinspektor Willoughby przepchnął się do samochodu, odsuwając Troya na bok.

—Jak można zrobić sobie takie wgniecenie w takim miejscu? — Sierżant po kiwał głową nad maską i mówił przez ramię do swojego szefa. — Nie podczas kolizji, to pewne.

—Racja — uśmiechnął się Barnaby. — Trafne spostrzeżenie, sierżancie.

Willoughby, wściekle zazdrosny i rozdrażniony, wpatrywał się w samochód płonącymi oczyma.

Spali lakier, jeśli nie przestanie, pomyślał Barnaby.

— Dopilnuj, żeby technicy dostali wszystko, co miała na sobie.

— Naturalnie, nadinspektorze.

—I chcę mieć kasetę z przesłuchaniem człowieka, który ją znalazł. Dobra — obrócił się w tył. — To chyba wszystko. Na razie.

—Sprawdzę bilet parkingowy w humberze, proszę pana. To da nam dokładny czas przybycia pani Lawrence.

— Bez wątpienia jesteś dzisiaj w formie, Troy.

Troy dumnym krokiem i z płonącymi z przyjemności uszami skierował się w stronę humbera.

Gdy obaj mężczyźni wychodzili z budynku, zadzwonił telefon Barnaby'ego. Była to sierżant Brierley z informacją, że w końcu przyszła kasetka z nagraniem anonimowego zgłoszenia z nocy, podczas której zaginęła Carlotta Ryan.

Kiedy sierżant skończyła mówić, nadinspektor zapytał, czy zajęłaby się jeszcze jedną sprawą. Troy słuchał z pewnym zdumieniem. Nie poprosił o wyjaśnienie, miał swą dumę. I tak usłyszałby pewnie: „Domyśl się”, a potem, kiedy to by się mu nie udało, czułby się dwa razy gorzej niż teraz, kiedy w ogóle nie zapytał. Ale jakie *rowery*”!

Już w pół godziny po opuszczeniu szpitala przez Barnaby'ego i Troya wieść o napaści na Ann Lawrence obiegła wieś. Niedługo później, poprzez Connie Dale, naczelnik poczty, której córka była pielęgniarzką na oddziale geriatrycznym, dotarły do mieszkańców straszne szczegóły.

Tym razem reakcja Ferne Basset bardzo się różniła od reakcji na śmierć Charliego Leathersa. Niezdrowe zadowolenie zastąpił autentyczny ból, ponieważ większość mieszkańców znała Ann od czasów, gdy była małą dziewczynką. Była lubiana za łagodne i skromne zachowanie oraz dyskretną życzliwość. Padło wiele uwag w rodzaju: „Dzięki Bogu, że jej ojca już tu z nami nie ma” i „Jej biedna matka musi przewracać się w grobie”. Zastanawiano się głośno, jak, na litość boską, wielebny sobie poradzi.

Trudno byłoby dokładnie wskazać, kiedy sytuacja w Starym Probostwie stała się tajemnicą poliszynela. Może wtedy, gdy komuś zatrzaśnięto przed nosem drzwi. Albo kiedy czyjeś zatroskane telefony spotkały się z dziwnym i głęboko niezadowolającym przyjęciem. Jednej czy dwóm osobom rzucono słuchawką. Komuś innemu odpowiedział obcy głos. Obiecał poprosić do telefonu pana Lawrence'a, po czym nikt nie podchodził, choć było słyhać męskie głosy i głośny śmiech. Później odkryto, że wielebny nawet nie wybrał się do szpitala, gdzie jego żona leżała na granicy śmierci.

Na wieść o tym wszystkim Hetty Leathers głęboko się zmartwiła. Bardzo chciała tam być, choćby tylko po to, by pani Lawrence wiedziała, że jest przynajmniej jedna osoba, która się o nią troszczy. Mąż Pauline, Alan, już miał ją zawieźć do Stoke Mandeville, ale siostra oddziałowa, kiedy się dowiedziała, że Hetty nie jest bliską krewną, powiedziała, że biorąc pod uwagę stan chorej, nie ma to wielkiego sensu. Zatem Hetty zrobiła wielki bukiet z kwiatów i gałęzi z jesiennymi liśćmi, które pani Lawrence tak kochała, a Alan zawiózł go do szpitala i zostawił w recepcji z kartką od nich wszystkich.

Tego wieczoru Evadne nakarmiła pekińczyki, dała im pić, poczytała im do snu (*Laka — drewniany wilk*) i, zatroskana, udała się do domu Hetty.

Wieczór był zimny i w piecyku palił się ogień, zamieniając kuchnię w przytulną, małą jaskinię. Candy, już bez plastikowego kołnierza i bandaża, lecz wciąż w gipsie, przykuśtykała do niej chwiejnie, lecz radośnie. Polizała jej dłoń i zaszczekała.

— Jak tam nasz mały cud? — zapytała Evadne, siadając w fotelu na biegunach i biorąc szklankę napoju energetyzującego.

—O wiele lepiej — odrzekła gospodyni i zajęła zniszczony fotel naprzeciwko przyjaciółki. — Cudownie jest patrzeć, jak stopniowo nabiera pewności siebie. Chociaż jeszcze nie byliśmy na prawdziwym spacerze.

—To będzie sprawdzian. Niewątpliwie.

Siedziały tak przez kilka chwil w przyjaznej, przeciągającej się ciszy, która im była dłuższa, tym bardziej zmniejszała szanse, że któraś się odezwie. Bo był tylko jeden możliwy temat rozmowy, a kto by chciał o tym rozmawiać? Ale nie można też było milczeć w nieskończoność. Nagle Hetty wybuchła:

—To Charlie! Od kiedy go... to właśnie wtedy się zaczęło. Co się dzieje, Evadne? Co się za tym wszystkim kryje?

—Kochana, sama chciałabym wiedzieć.

—Najpierw on, teraz biedna pani Lawrence. Nigdy nie słyszałam, żeby ta kobieta powiedziała o kimś złe słowo. A teraz jest...

—Tak, Hetty — Evadne chwyciła dłoń przyjaciółki. — Musimy modlić się o kolejny cud.

—Ale to takie przerażające. Co się jeszcze wydarzy? Czuję, że stopniowo coś popycha nas do krawędzi wielkiej czarnej dziury.

Evadne nie mogłaby wyrazić tego lepiej lub — biorąc pod uwagę zatrważającą słuszność tego wyobrażenia — straszniej. Dokładnie wiedziała, co Hetty ma na myśli.

Podobnie jak większość mieszkańców Ferne Basset, była przekonana, że zamordowanie męża Hetty było przypadkowym aktem przemocy, być może popełnionym przez jakiegoś obłąkańca, omyłkowo wypuszczonego przed czasem ze szpitala psychiatrycznego. Może ten człowiek spał w Lesie Cartera. Charlie potknął się o niego, a ten, rozwścieczony i przerażony, poderwał się, zabił go i uciekł. Byłoby to zrozumiałe, na tyle, na ile w ogóle można zrozumieć szaleństwo. Taka była powszechna teoria, którą wszyscy skwapliwie i z niemalą ulgą zaakceptowali.

A teraz to. Być może jednak atak na Ann Lawrence był również przypadkowy? Ktoś zasugerował, że mogła to być robota złodzieja torebek. Poza tym stało

się to daleko od Ferne Basset. Czyż nie był to zatem kolejny dowód, że mieszkańcy wioski są poza podejrzeniami?

Evadne zdała sobie sprawę, że myśli o tym miejscu, gdzie była tak szczęśliwa, prawie jak bohaterka jakiejś powieści. Z początku był to czysty, rozświetlony słońcem raj, piękny o wszystkich porach roku, dający siłę i bezpieczny; potem, w miarę jak opowieść staje się coraz bardziej niejasna, poplątana i niepokojąca, wioska także przekształca się w dzicz pełną nieznanymi niebezpieczeństw. Wreszcie wszyscy budzą się w ciemnym lesie, nie mogąc odnaleźć właściwej drogi.

— Co mówisz, Evadne?

— Och... — nie zdawała sobie sprawy, że mruczy na głos. — To linijka wiersza, który chyba podsumowuje naszą trudną sytuację.

Hetty wzięła głęboki oddech.

— Jest coś, o czym ci nie powiedziałam — rzekła.

— Co takiego?

— Pauline wie, ale policja chyba tego nie nagłaśniała, więc...

— Wiesz, że ja nigdy niczego nie powtarzam.

— Charlie chciał kogoś zaszantażować.

— Och! — Evadne bardzo zbladła. — I oni myślą, że to był motyw?

— Tak.

— Zatem to był ktoś, kogo on znał?

— Nie tylko on, Evadne... — Hetty drżała, trzęsła się od stóp do głów, a Candy dygotała współczująco. — Nie rozumiesz? To musi być ktoś, kogo wszyscy znamy.

Wiadomość o Ann Lawrence dotarła do Fainlightów w chwili, gdy starali się ze wszystkich sił nie wywoływać kłótni.



Mniej więcej godzinę wcześniej Valentine wrócił z mieszkania Jacksona i zniknął w swoim pokoju, aby popracować. Louise siedziała i nerwowo czekała, aż wyjdzie, i przyrzekła sobie, że będzie mu okazywać tylko wspierającą, pełną miłości, bezkrytyczną życzliwość. Do chwili, gdy opuści ten dom. I już zawsze. Ona i Val nie będą rozdzieleni. On ich nie Rozdział.

Poza tym, wszystko mija. Louise wzięła sobie to surowe pocieszenie do serca i przez następne pół godziny to przeżywała udręki, to znów się uspokajała, wyobrażając sobie, jak ten nieszczęsny związek mógłby się zakończyć.

Być może Jax po prostu się znudzi. Nie, była całkiem pewna, że ani zainteresowanie, ani nuda nie były dla Jaksy w tym związku istotne. Mógłby zanudzić się na śmierć, ale związek przetrwa tak długo, jak długo będzie można dzięki niemu coś zyskać. Choć Valentine mógł mieć nadzieję, że jest dla Jaksy kimś wyjątkowym, to jednak Louise była przekonana, że wielkie, zimne serce tego chłopaka jest nie do zdobycia. Jediną wyjątkową osobą w życiu Jaksy był on sam.

Nie potrafiła też wyobrazić sobie, że Val znudzi się Jak-sem. Nie można zmęczyć się obsesją. Albo sama się wypali, albo wypali ciebie. Z tej samej przyczyny trudno wyobrazić sobie, że Val zakochuje się w innej osobie.

Louise przelotnie pomyślała, jak szczęśliwy był jej brat z Bruno Magellanem. Potem, po jego śmierci, był tak zrozpaczony, tak bardzo rozpamiętywał wszystkie wcześniejsze radości i przyjemności i popadał w coraz głębszą depresję, że straciła nadzieję, iż kiedykolwiek odnajdzie w sobie wolę, energię i odwagę, by budować nowy związek. A teraz, po miesiącach powolnego powracania do światła, wpada w szpony namiętności tak jałowej i niebezpiecznej, że zdającej się ponownie strącać go w głębiny desperacji. Łamało to jej serce.

Czy to on? Louise siedziała przy oknie i gwałtownie odwróciła głowę w stronę schodów. Uderzyło ją, że od tygodni zajmuje się tylko tym. Albo stale obserwuje brata, albo nasłuchuje jego obecności.

Wyczekiwała jego powrotów i wypatrywała oznak, że wychodzi. Słuchała, jak rozmawia przez telefon, i próbowała zgadnąć, kim był rozmówca. Słuchała jego głosu, gdy rozmawiał, i próbowała przewidzieć huśtawkę jego uczuć, zanim jeszcze rozkołysze się przeciwko niej. Ze wstydem przeglądała nawet jego kore-



spondencję, w której odkryła potwierdzenie zapłaty kartą w Simpsonie na Piccadilly ośmiuset pięćdziesięciu funtów za skórzaną kurtkę.

Teraz Louise po raz pierwszy pomyślała o tym, jak może wyglądać jej zachowanie w oczach brata. Dotychczas zakładała, zaślepiona podobnie jak on swym szaleńczym zaangażowaniem, że nigdy nie zauważył tak ścisłego nadzoru. A jeśli było inaczej? Jak się z tym czuł? Osaczony. Właśnie tak. Szpiegowany. Niezdolny do ucieczki, jak więzień w celi z małym wizjerem. Bezradnie poddający się obserwacjom strażnika w dowolnie przez niego wybranych momentach. Nic dziwnego, pomyślała Louise w nagłym, oślepiającym przeblysku intuicji, że chce, abym się wyprowadziła.

Nie mogła przestać go obserwować, ponieważ nie mogła przestać się o niego troszczyć. Bo to by oznaczało, że przestała go kochać. Raczej umrę, niż do tego dopuszczę — przysięgła sobie cicho.

Jej wzrok przyciągnął jakiś ruch na drodze. Niebieski samochód skręcał na podjazd Starego Probostwa i zatrzymał się przy frontowych drzwiach. Poznała dwóch wysiadających mężczyzn — byli to ci sami policjanci, którzy przyszli rozmawiać z nią i Valem. Zastanawiała się, czego chcieli. Zauważyła, że nie zadzwonili do głównego domu, tylko przeszli do mieszkania nad garażem.

Louise zmieniła wyraz twarzy, wypróbowała kilka różnych powitalnych tekstów i siłą woli przybrała ton miłej bez troski. Wcześniej usłyszała kroki brata, który powoli schodził ze schodów. Nie tak dawno temu zeskakiwałby po dwa stopnie.

Kiedy w polu widzenia pojawiła się jego pochylona głowa, powiedziała:

—Cześć.

—Czekasz? Zignorowała drwinę.

—Miałam właśnie robić herbatę. Chcesz trochę?

—Wolałbym drinka.

—OK.

—OK. — Val z ogromną precyzją wychwycił jej ostrożną bierność. — Czyżby za wcześnie na drinka?

—Nie. Jeśli o mnie chodzi, możesz polewać Jackiem Daniel'sem swoje płatki śniadaniowe i wymiotować, ile dusza zapagnie.

—To mi się bardziej podoba. Przez chwilę zastanawiałem się, gdzie się podziała prawdziwa Louise.

—Zatem — podeszła do stolika z alkoholami — czego się napijesz?

—Wszystko jedno. Byle mocne.

—Jameson's?

—Świetnie. — Patrzył, jak pogrękuje wiaderkiem z lodem. Obserwował jej przygnębioną twarz, zauważył lekkie pogrubienie pod brodą, zapadnięte policzki i zmarszczki zmęczenia, których nie dostrzegał nigdy przedtem, znaczące delikatną skórę pod oczyma. Biedna Lou. Nie zasłużyła sobie na to wszystko. — Więc, skoro bawimy się dziś w dom, co pani dziś robiła, pani Forbes?

—No cóż — Louise głęboko zaczerpnęła powietrza, jak dziecko, które ma recytować przed dorosłymi. — Pracowałam w ogrodzie. Wykonałam kilka telefonów w sprawie pracy. Po południu pojechałam do Causton i poszłam do fryzjera podciąć końcówki.

—Źle to brzmi.

—Potem dają ci kawę.

—Ja potrzebowałbym najpierw znieczulenia.

—A co u ciebie?

—Nie pracowałam w ogrodzie. Nie wykonałam żadnych telefonów. A moje końcówki są absolutnie do niczego.

—No dobra, Val. Coś przecież musiałeś zrobić.

—Przejrzałem wydruki próbne do książki. Potem trochę się objąłem. Koło trzeciej zadzwonił Jax i poszedłem do niego.

—Aha — Louise wzięła głęboki oddech. — Zatem jak tam... Jax?

—Doskonale.

—A więc miło spędziliście czas.

—Cudownie.

—Dobrze. Tak naprawdę kiedy byłam w Causton...

—Dopóki nie przyszła ta cholerna policja.

—Co? Czego chcieli?

—Tego, co zawsze. Dręczyć go niezliczonymi pytaniami. Jeśli choć raz popełnisz błąd w tym kraju, jesteś skończona, Lou, jesteś skończona. Wszelkie usiłowania poprawy to tylko strata czasu. Kiedyś miałem inne zdanie. Myślałem, że to tylko kryminaliści, wiesz, narzekają. Ale taka jest prawda.

—Jaka szkoda, że to się dalej dzieje — Louise zakrztusiła się przy tych słowach, ale jakoś zdołała je z siebie wydusić. — Przebywanie tutaj, z dala od ludzi, przez których wpadł w kłopoty, mogłoby mu zapewnić zupełnie nowy start.

—Dokładnie! — Valentine jednym haustem opróżnił pół szklaneczki whisky. — Nie bardzo lubię Lionela, jak wiesz, ale pomysł azylu dla młodych borykających się z problemami jest naprawdę świetny.

Młodych? Ten facet nigdy nie był młody.

—Chyba do ciebie dołączę — Louise swobodnie odwróciła się, by nalać sobie drinka. Wiedziała, że błędem byłoby pokazać po sobie, jak wielką przyjemność sprawił jej kierunek ich rozmowy. Jeszcze większym błędem byłoby jej kontynuowanie. — Mam na dzisiaj kuropatwę.

—Wspaniale — Val opróżnił szklanekę i podszedł. — Możesz odświeżyć mojego drinka.

—Nie masz już drinka — kobieta roześmiała się z ulgą, zadowolona, że przełamali pierwsze lody.

—Zatem moje kostki lodu.

Valentine przeszedł z ponownie napełnioną szklaneczką przez pokój, umościł się na dużej jasnej sofie i oparł wysoko nogi. Wyglądał już na trochę mniej zmęczonego. Twarz mu się wygładzała. Kiedy prostował nogi i poruszał palcami, jego siostra zauważyła, że wraca mu energia. Czyżby kilka oczywistych kłamstw z

jej strony mogło spowodować taką przemianę? Kłamstw, które w innej sytuacji by przejrzał?

Tak się wydawało. Och, dlaczego przez całe miesiące nie zdawała sobie sprawy z tego, jak trudne do zniesienia były dla niego jej strach i niechęć do Jaksy. Nawet ludzie ogarnięci obsesją miewają chwile jasności umysłu. Valowi musiało się wydawać, że wycofała swą miłość i wsparcie wtedy, kiedy ich najbardziej potrzebował. Gdybyż tylko wzięła pod uwagę jego stan — braku racjonalności. Słuchała z większym współczuciem. Poczekwała na właściwy czas. Ale, ponieważ nigdy wobec siebie nie udawali, nic takiego po prostu się nie zdarzyło. Aż do tej chwili, kiedy było już za późno.

— Przepraszam, Val.

Jej brat mruknął coś niezrozumiale. Potem powiedział:

—Przerwałem ci wcześniej. Coś się zdarzyło w Causton?

—Atak. Nigdy nie zgadniesz, kto...

Ale wtedy zadzwonił telefon. A po tym telefonie trudno było kontynuować tę czy jakąkolwiek inną rozmowę. Okropne wieści odjęły Louise mowę i były tak druzgocące, że jej serce prawie zamarło.

—Dobrze się czujesz, Lionelu?

—Co?

—Jak się czujesz? Mam na myśli... tak *naprawdę*.

—Nie jestem pewien.

To było dobre pytanie. Bardzo wnikliwe. Jak naprawdę się czuł? Wiedział, jak powinien się czuć. I być może, gdyby Ann nie była dla niego tak okrutna, rzeczywiście tak by się czuł. Szalenie zmartwiony, modliłby się do Boga o jej wyzdrowienie, obawiając się ataku serca, który następuje często po utracie ukochanego małżonka.

A on ją kochał. Przez wszystkie te lata był dobrym i wiernym mężem. Kłopot polegał na tym, że, jak pokazała brzydka scena z wczorajszego dnia, ona nie ko-

chała jego. Zatem trudno go winić za to, że jego reakcja na straszną wieść, którą właśnie otrzymał, była trochę stłumiona.

— Powinienem tam pojechać, prawda?

— Lionel, prawda jest taka, że nawet nie będzie wiedziała, czy tam jesteś.

— To prawda.

— Jeśli odzyska przytomność, cóż...

— Wtedy oczywiście.

— Naturalnie. I, jeśli mogę, chciałbym powiedzieć, że głęboko ci współczuję.

— Wiem, Jax. Wiele dla mnie znaczy to, że tu jesteś.

— Z jakichś nieznanych przyczyn pani Lawrence nigdy mnie nie polubiła.

— Była... jest bardzo nerwowa.

— Ale ja nie z tych, którzy by się obrażali. I mogę tylko się modlić, by Bóg był po naszej stronie w tych trudnych chwilach.

— Dziękuję.

Mniej więcej godzinę wcześniej głos w słuchawce wyjaśnił, co się stało, a Lionel słuchał w grobowej ciszy. Potem stał przez długą chwilę z telefonem przyklejonym do ucha, wpatrując się w wypłowiałą tapetę.

Później, gdy minął szok, czuł się dziwnie pusty. Usiadł i czekał na rozwój wypadków. Stwierdził, że musi się z kimś podzielić tą informacją. I każda sugestia, że był to tylko normalny ludzki odruch po otrzymaniu strasznych lub ekscytujących wiadomości, rozwścieczyłaby go. Lionel wiedział, że po prostu potrzebuje, by ktoś go pocieszył i udzielił wsparcia. Ale gdzie je znaleźć?

Jedyną osobą, która przychodziła mu do głowy, była droga Vivienne z zarządu Caritasu. Okazywała mu duże współczucie w coraz częściej zdarzających się momentach, gdy czuł potrzebę zrzucenia ciężaru z serca.

Wybrał numer i był zadowolony, widząc, że ręka mu nie drży. Ale Vivienne przerwała mu, ledwie zaczął mówić. Właśnie z kimś rozmawiała, a w kolejce

czekał jeszcze ktoś. Kiedy zaproponował, że zadzwoni później, odpowiedziała, że to ona zadzwoni, ale żeby za bardzo na nią nie liczył.

Zdumiony, odłożył słuchawkę. Kto mu jeszcze pozostał? Minęła chwila lub dwie, zanim pomyślał o Jaksie, a to dlatego, że w jego rozumieniu ich relacji to on zdecydowanie pełnił rolę pocieszyciela. Ale nic nie straci, jeżeli zapyta. Jax może nawet chętnie przyjąć możliwość odpłacenia za dobroć, którą mu okazano.

Tak też się stało. Jax przybiegł w ciągu kilku minut i przyniósł butelkę. Lionel był tak wdzięczny, że nie sprzeciwił się, kiedy chłopak od razu otworzył czerwone wino i nalegał, by trochę wypił. A Jax, „ponieważ to raczej niezwykła okazja”, zgodził się do niego dołączyć. Teraz butelka była prawie pusta.

—Jest naprawdę pyszne — gospodarz wypił trzeci kieliszek, nie zauważając, że wino Jaksa pozostaje niemal nietknięte. — I jakby trochę zmniejsza ból.

—Dał mi je pan Fainlight — rzekł Jax. — Wykonałem dla niego drobną robotkę.

Lionel spojrzał na zegarek:

—Sądzisz...

—Może nie najlepszy rocznik, ale...

—Może powinienem zadzwonić.

—Powiedzieli, że się z tobą skontaktują, jeżeli zajdzie jakaś zmiana.

Lionel nie przypominał sobie tego. Ze zdziwieniem rozglądał się po pokoju, marszcząc brwi. Jax podszedł, z kieliszkiem w rękę, i usiadł na sofie obok swego dobroczyńcy.

—Widzę, że teraz to ja się będę tobą opiekował.

—Och, Jax.

—Tylko do czasu, gdy pani Lawrence poczuje się lepiej. — Jackson zawahał się. — Może powinienem zostać tu dziś na noc?

—Och, zostałbyś? Czasem czuję się taki samotny.

—Zauważyłem to, Lionelu. I wiele razy chciałem zrobić pierwszy krok do przyjaźni, wierz mi. Tylko bałem się przekroczyć granicę.

—Nie wiem, jak wyrazić moją wdzięczność.

Jackson pogratulował sobie wyczucia czasu. Kiedyś nadejdzie dobry moment, by zasugerować, jak Lionel mógłby najlepiej wyrazić wdzięczność, ale jeszcze nie teraz; zbyt mało czasu upłynęło od tego smutnego zdarzenia, a wielebny był trochę wstawiony. A Jacksonowi nie chodziło o pijackie obietnice, którym rzadko udawało się przejść próbę ostrej analizy następnego ranka. Celem, do którego zmierzał, była wdzięczność odczuwana w trzeźwości i spokoju.

Ponieważ kieliszek Lionela był znów pusty, Jackson zaproponował, że wymieni go na swój. Posunął się nawet do tego, że umieścił go w dłoni Lionela. Ten owinął wiotkie palce wokół nóżki, a oczy błyszczały mu zachętą i aprobatą.

Rozległ się dzwonek przy drzwiach. Gospodarz mocno podskoczył, a jego wino rozlało się dookoła. Jackson cofnął się z wyrazem kontrolowanej wściekłości i wyszedł z pokoju.

Nawet w obecnym stanie Lionel rozpoznał dwóch mężczyzn, którzy po chwili weszli z Jaksem. Usiłował wstać, wydając z siebie niezrozumiałe bulgot oburzenia. Podparł się jedną ręką, by nie upaść.

—Pan Lawrence? — Barnaby wpatrywał się w niego ze zdumieniem.

—On tu mieszka — odezwał się Jackson.

Barnaby, który zadzwonił do głównego budynku dopiero wtedy, gdy nie znalazł nikogo w mieszkaniu nad garażem, zapytał:

—Dlaczego nie jest pan w szpitalu?

—Co... Co?

—Nie miał pan wieści ze Stoke Mandeville?

—Tak... to znaczy... — odwrócił się do Jacksona.

—Powiedzieli, że pani Lawrence jest nieprzytomna — Jackson zwrócił się bezpośrednio do nadinspektora. — I że zadzwonią, jeżeli nastąpi jakaś zmiana. A gdy nastąpi, naturalnie zaraz tam pojedzie.



Protekcjonalna pogarda, z jaką mówił, była bardzo niepokojąca. Podobnie jak postawa gospodarza. Niechlujnego, rozdygotanego, całego w plamach, które wyglądały odrażająco, jak krew. Siedział i patrzył rozpromieniony na Jacksona, przytakując obojętnie wszystkiemu, co ten mówił.

—No cóż — Barnaby nie starał się ukryć niechęci — to właśnie z tobą chcę się zobaczyć, Jackson.

—Dla pana wszystko, inspektorze. Wystarczy, że pan poprosi.

— Jak jeździsz na rowerze?

—Nigdy nie próbowałem. Przesiadłem się z deskorolki na kradzione samochody. Coś jeszcze?

—Tak — rzekł sierżant Troy. — Chcemy zobaczyć twoje ubranie. Wierzchnie, bieliznę, skarpety, buty. Zawartość kieszeni. Wszystko.

— To się nazywa fetyszym.

—Po prostu rób, co ci każemy — wydawało się, że cierpliwość Barnaby'ego nie ma końca.

—Ma pan na myśli — Jackson dotknął pięknej skórzanej kurtki — te ubrania?

—Jeżeli miałeś je na sobie o trzeciej po południu — wyjaśnił Barnaby — to tak.

—Mówiłem wam wcześniej, po południu pracowałem w ogrodzie. Nie sądzicie chyba, że zakładam takie ciuchy do brudnej roboty.

—Zatem weźmiemy ciuchy, w których pracowałeś — odezwał się Troy. Brał przykład z szefa i mówił spokojnie i cicho. Tak naprawdę miał ochotę dopaść tego gnojka i zacisnąć ręce na jego szyi, aż z niebieskich ocząt popłyną mu rześiste jak deszcz łzy.

— Są w mieszkaniu, inspektorze.

—Więc je przynieś — rzekł Barnaby. — I przestań nazywać mnie inspektorem.

—Nie ma problemu — powiedział Jackson, kierując się do drzwi. — Do tej pory cykl powinien się skończyć.

— Co takiego?

— Cykl prania. Po skończonej pracy włożyłem wszystko do pralki. Jak mówiłem, to była brudna robota.

Barnaby spóźnił się dwadzieścia minut na swoją odprawę o dziewiętnastej. Pojawił się zaczerwieniony z rozdrażnienia po zatargu z ludźmi od pieniędzy na najwyższym piętrze. W centrum operacyjnym panowało spore ożywienie. Po pierwsze, śledztwo, które, jak się wydawało, za chwilę znajdzie się w martwym punkcie, teraz przyjęło całkowicie nieoczekiwany i dramatyczny obrót. Po drugie, dostarczono taśmę. Już wszyscy ją słyszeli, z wyjątkiem szefa i jego pomocnika. Inspektor Carter czekał, aż usiądą, przewinał taśmę i nacisnął start. Już po pierwszych słowach Barnaby wiedział, kto to jest.

— ...pomocy... musicie pomóc... ja... ktoś wpadł do rzeki... zniknęła tak szybko... po prostu poleciała... Biegałam w tę i z powrotem... całą drogę do jazu... Co? Och, Ferne Basset... Nie wiem, pół godziny, może mniej... Na litość boską! Czy to ważne kiedy? Po prostu przyjeździe... musicie teraz przyjechać...

Zapytana ó nazwisko, kobieta wstrzymała oddech. Nastąpiła chwila absolutnej ciszy, potem słuchawka spadła. Słyszeli, jak obija się i stuka o bok budki. Potem kobieta zaczęła płakać. Mniej więcej minutę później słuchawka została delikatnie odłożona na widełki.

Barnaby siedział nieruchomo, z zamkniętymi oczyma. Nie było sensu załamywać rąk nad tragicznymi zwrotami akcji w tej sprawie, w wyniku których nie zdążył na czas zająć się Ann Lawrence. Słowa „gdyby tylko” nie należały do jego słownika. Mimo wszystko jednak było mu cholernie ciężko.

W pokoju panowała cisza. Ktoś wyłączył magnetofon. Troy, walcząc z głębokim niepokojem, spojrział w bok na ponurą postać pod lampą. Była raczej oklapnięta niż rozluźniona, z błękitnymi żyłami na dłoniach (dlaczego nie zauważył ich wcześniej?) i obwisłymi fałdami nad powiekami.

Oczywiście szef często wyglądał na wykończonego, to nie było nic nowego. Sierżant Troy wielokrotnie widywał go zmęczonego i zawiedzionego. Oszukanego. Nawet zdradzonego. Ale nie pokonanego tak jak teraz. I nigdy starego.

Barnaby podniósł głowę, najpierw ciężko, jakby to była kamienna kula, potem swobodniej. Jego krzepkie ramiona, uwolnione od napięcia, wróciły do swojej normalnej pozycji.

— Cóż — powiedział i uśmiechnął się, wracając na ich oczach do życia. — To dopiero.

Pokój także odżył, jak na filmie zwolnionym ze stopklatki. Wszyscy zaczęli się ruszać, gestykulować, rozmawiać. Ktoś się nawet zaśmiał. Był to sierżant Troy. Częściowo z nerwów, częściowo z ogromnej ulgi.

— To ją wiąże z całą tą sprawą, prawda, proszę pana? — odezwała się Audrey Brierley. — Panią Lawrence.

Słysząc były pomruki zgody. Teraz to wydawało się tak jasne, jak słońce na niebie. Zaginiona dziewczyna mieszkała w jej domu, podobnie jak główny podejrzany. Zamordowany mężczyzna dla niej pracował. Wszystko zaczynało do siebie świetnie pasować.

— Oczywiście — powiedział Barnaby — teraz wiemy, że widziała, co się stało, kiedy dziewczyna wpadła do wody. Ale to wszystko, co wiemy na tym etapie.

Znowu trochę pomruków zgody, tym razem z większym ociąganiem.

— Nie ekscytujmy się za bardzo — kontynuował nadinspektor. — Ona po prostu mogła być świadkiem.

— I to prawdopodobnie ukrytym — zasugerował inspektor Carter — bo inaczej ktoś by ją uciszył dużo wcześniej.

— Ale jeżeli tak nie było — Barnaby gładko przeszedł dalej

— i pani Lawrence była jedyną osobą w to zaangażowaną, to Leathers musiał szantażować właśnie ją.

Ta sugestia, która odwróciła do góry nogami wszystkie panujące do tej pory przekonania i teorie w dochodzeniu w sprawie o morderstwo, została zaprezen-

towana z zaskakującym spokojem. Wszyscy zgromadzeni, idąc za przykładem z góry, kiwali głowami.

— Jutro najpierw sprawdzimy bank. I jeśli podejmowała duże sumy pieniędzy... — Barnaby wzruszył ramionami, pozwalając, by resztę zdania każdy dopowiedział sobie sam.

Troyowi podobało się to zaproszenie do dialogu. Powiedział:

—Zatem nasze założenia, że ofiara szantażu zamordowała Leathersa... — i także wzruszył ramionami, pozwalając, by resztę zdania każdy dopowiedział sobie sam.

—Tak? — odezwał się Barnaby.

—Hm — pauza.

—Pospiesz się. Nie mamy całego dnia.

—Sądzę, że Gavin myśli — rzekła sierżant Brierley — że bardzo trudno obrazić sobie panią Lawrence, która dusi kogoś za pomocą drutu.

— Rzeczywiście bardzo trudno — zgodził się nadinspektor.

— Chociaż nie jest to niemożliwe.

— Ale ona sama została zaatakowana — odezwał się kon-stabl Phillips. — Może więc będzie to sprawa dwóch morderstw?

Barnaby nie odpowiedział. Siedział, rozglądając się po sali. Tylko dziesięć minut spotkania i współczucie dla Ann Lawrence zniknęło. Nadinspektor nie był zdziwiony. O ile mu było wiadomo, nikt z obecnych, z wyjątkiem Troya, jej nie spotkał. Oczywiście nie widzieli też, jak leży nieprzytomna, z każdym delikatnym oddechem walcząc o życie, w samotnym szpitalnym łóżku.

—To gdzie pasuje tu Jackson, szefie? — zapytał Troy. — Czy uważa pan, że jest wplątany w napad na panią Lawrence?

—Ja nie uważam, ja wiem.

—Ale dlaczego?

—Być może dlatego, że mieliśmy się z nią spotkać dziś po południu.

—Ale czy on mógł o tym wiedzieć? — zapytał inspektor Carter. — Biorąc pod uwagę całkowity brak komunikacji między nimi.

—Mógł to podsłuchać. Między jego mieszkaniem a domem jest połączenie telefoniczne. Albo dowiedzieć się tego od Lionela, który w jego rękach jest miękki jak wosk.

Troy prychnął z obrzydzeniem. Nie użyłby tu słowa wosk. Coś miękkiego, tak. Coś plastycznego, tak. Coś, na co możesz nadepnąć, co zostawia ślad na podszwie. Ale nie wosk. Prychnął jeszcze raz, by podkreślić swoje całkowite i absolutne lekceważenie.

—Obojętnie — rzekł Barnaby. — W każdym razie jestem przekonany, że te dwie sprawy są ze sobą ściśle powiązane. Wyjaśnić jedną to wyjaśnić je obie.

—Z całym szacunkiem, proszę pana...

—Bez czołobitności, proszę, Phillips. Każdy w moim zespole może mówić, co myśli.

Tylko miej go panie w opiece, pomyśleli wszyscy, jeśli szef nie ma humoru.

— Chodzi tylko o to — kontynuował Phillips drżącym głosem — że skoro ciało dziewczyny nie zostało znalezione, to skąd w ogóle wiemy, że mamy tu do czynienia z poważną zbrodnią?

—Bo cokolwiek widział Leathers, dało mu to prawdziwy powód do szantażu. A kiedy zaszantażował, został zabity.

—Ach tak, proszę pana — konstabl Phillips, niewielkiej postury nawet wtedy, gdy wszystko szło świetnie, skurczył się jeszcze na krześle, aż prawie zniknął. — Dziękuję.

—Zawsze do usług — rzekł Barnaby.

—Czy nie mogła po prostu przepłynąć na drugą stronę, wyjść na brzeg i uciec? — zapytał sierżant Griggs.

—Raczej nie — odparł inspektor Carter. — Czytałeś kartotekę Jacksona. Czy myślisz, że mógłby zrobić taki błąd?

—Nie, jeśli pominąć atak na panią Lawrence — zgodził się sierżant Agnew. Odwrócił się do Barnaby'ego: —Jak, pańskim zdaniem, udało mu się to zrobić?

—Właśnie — dodała Audrey. — Na przykład, skąd mógł wiedzieć z góry, gdzie ona zaparkuje?

—Przyjechał z nią — odparł Barnaby. — Chociaż oczywiście bez jej wiedzy.

—To prawda — przytaknął Troy. — Nigdy nie wsiadłaby z nim do zatłoczonego piętrowego autobusu, nie mówiąc już o samochodzie.

—Nie zaryzykowałyby też ukrywania się na tylnym siedzeniu, to na pewno.

—Nie, nie, wykorzystał bagażnik — wyjaśnił nadinspektor. — Wgramolił się tam w ostatnim momencie, zamknął klapę...

I proszę bardzo, jest na miejscu, kiedy ona wysiada.

—Niestety w pobliżu nie ma nikogo — zauważył inspektor Carter.

—To by po prostu opóźniło usiłowanie zabójstwa — powiedział nadinspektor. — Dopadłby ją później: podczas czekania na światłach, marszu zbyt blisko krawężnika. Jedno popchnięcie, kiedy nadjeżdża autobus, i po niej.

—Poza tym mógł coś mieć przy sobie — dodał Troy. — Był karany za użycie noża.

—Cudownie — mruknęła Audrey Brierley.

—I to wszystko dlatego, że wiedziała dokładnie, co stało się tej nocy, kiedy Carlotta zaginęła?

—Jestem tego pewien — potwierdził Barnaby.

—Musi być zdesperowany.

—Tak — rzekł nadinspektor. — Przez co jest podwójnie niebezpieczny.

—Tym razem musimy go dorwać, proszę pana. W świetle dnia ktoś musiał go widzieć.

—Może — powiedział Barnaby. — Ale myślę, że to technicy znajdą, co trzeba.

—Pracują nad humberem — dodał sierżant Troy. — I mają jego ubrania. Chociaż już je wyprał.

—To go zdradza, moim zdaniem — powiedziała konstabl Peggy Marlin, tęga, pogodna kobieta pod czterdziestkę, matka kilku synów. — Nie znam faceta w tym wieku, który kiedykolwiek sam prałby swoje ciuchy, a co dopiero natychmiast po zdjęciu ich z siebie. Walają się na podłodze przez następne trzy tygodnie.

—Być może będziemy mieli więcej szczęścia z jego butami — rzekł Barnaby. — Mamy wszystkie, które były w mieszkaniu, plus tenisówki, które miał na sobie.

— Zmarzną mu nogi — roześmiała się policjantka Marlin.

—Będzie miał więcej kłopotów niż zmarzniete nogi, kiedy go dopadnę.

—Panią Lawrence przeciągnięto przez płamę oleju — wyjaśnił sierżant Troy. — Najmniejszy ślad na jego bucie i mamy go.

— Zauważył pan jakiś? — zapytała sierżant Brierley. Barnaby zawahał się:

— Nie gołym okiem. Ale to oczywiście nie oznacza, że nie znajdą go w laboratorium.

Nastąpiła dłuższa przerwa. Rozglądając się, nadinspektor wyczuł, że ich podniecenie opada. Gdyby facet wszedł w płamę, dowód byłby wystarczający. Widział, że jego słowa zmniejszyły ich entuzjazm, nawet rozczarowały. No cóż, to nie była jego wina. Nie mógł dać im czegoś, czego nie miał.

—Na pewno ten oślizgły sukinsyn załatwił sobie alibi — powiedział sierżant Griggs.

—Według jego słów przez cały czas pielil ogród z tyłu Probostwa.

— Ktoś go widział? — chciał wiedzieć inspektor Carter.

—Na szczęście nie. — Mała owacja. Barnaby zaczął wyjaśniać, jak po pół godzinie wlewania czarnej kawy w Lionela w końcu uzyskali potrzebne informacje.



—Jak się wydaje, Lionel pracował w swoim gabinecie nad mową pogrzebową dla Charliego Leathersa. Ponieważ wyszedł z wprawy, sądzi, że zajęło mu to półtorej godziny. Gabinet mieści się we frontowej części domu.

Rozległy się ciche gwizdy, widać było uniesione brwi i niedowierzające spojrzenia. Inspektor Carter ujął w słowa ogólnie panujące uczucie:

—Jackson uprawia tu niezłą ekwilibrystykę. A co, gdyby staruszek poszedł go szukać?

—Och, wstawiłby jakąś bajeczkę o tym, że zasnął lub robił zakupy we wsi. Lawrence wierzy w każde jego słowo.

—Łatwo dał się mu owinąć koło palca, co?

—Delikatnie rzecz ujmując.

—Więc kiedy Jackson był z powrotem?

—Na pewno po wpół do czwartej. Zaprosił Valentine'a Fainlighta do siebie.

Na to w sali dało się słyszeć szydercze „och”, pojawiło się kilka prymitywnych i niezbyt śmiesznych gestów oraz jedna prośba do Boga, by „te dwa ośliżgłe zboki” zniknęły nawzajem w swoich tyłkach.

—Nie zdawałem sobie sprawy, że Jackson jest gejem — powiedział konstabl Phillips.

—Nie jest gejem — powiedział sierżant Troy głosem tak nabrzmiałym pogardą, że wydawało się, iż zaraz się zakrztusi. — Po prostu sprzedaje się temu, kto daje najwięcej.

—To stawia romantyczne wnioski Evadne Pleat w całkiem innym świetle — rzekł Barnaby. — Pamiętacie, że widziała Fainlighta, który w nocy kręcił się w ogrodzie Lawrence'ów?

—I myślała, że chodzi mu o Carlottę — przypomniała Audrey Brierley. — Musi być niezłe zadurzony.

—Tak — przyznał nadinspektor. — Miejmy nadzieję, że nie na tyle, by kłamać.

—Ma pan na myśli ochranianie Jacksona?

—Pojawiła się już rozbieżność dotycząca czasu. Fainlight myślał, że przyszedł do mieszkania nad garażem o wpół do czwartej. Jackson powiedział, że to było bliżej trzeciej.

—No cóż, typowe dla niego, prawda? — konstabl Phillips, stopniowo prostując się na krześle, zerkał na zewnątrz ze swojej muszli.

—Czy ten Fainlight wie, o co chodzi? — zapytał sierżant Griggs.

Barnaby pokręcił przecząco głową.

— To się zmieni — odezwała się policjantka Marlin. — Poczekajmy, aż się dowie, na co daje alibi.

—A to prowadzi nas do najważniejszej kwestii — powiedział Barnaby. — Od której wszystko, *ale to wszystko* będzie zależało.

—Jak wrócił? — podsunął sierżant Troy. I nagle zrozumiał sens prośby przekazanej przez telefon komórkowy z parkingu.

—Dokładnie.

W pokoju rozgorzała powszechna dyskusja. Każdy mówił, przedstawiał swoje pomysły i sugestie. Skrzypiały krzesła, kiedy policjanci obracali się, by się z czymś zgodzić lub nie.

—Nie wzięłyby taksówki, to pewne.

—Nikt nie jest tak głupi.

—Czy zaryzykowałby złapanie okazji?

Okrzyki: „Och, proszę” i „Przecież powiedziałeś, że nie był głupi”, a następnie „Kierowca by go pamiętał”.

—Musiałby wysiąść na skraju wioski.

—No cóż, z czegoś musiał skorzystać. Nie przejdzie się dziewiętnastu kilometrów w pół godziny.

—Oczywiście skorzystał z roweru — rzekł sierżant Troy, wcinając się w ogólny gwar z uśmiechkiem samozadowolenia. — Już sprawdzamy kradzieże rowerów, prawda, proszę pana?

Barnaby wyłowił kartkę A4 z bałaganu na swoim biurku. Pomachał nią z lekkim wyrazem satysfakcji, podobnie jak kucharze telewizyjni wyjmują z piekarnika potrawę, którą przygotowali wcześniej.

— Dzisiaj ukradziono w Causton trzy. Dziecięcy rower górski, rozklekotany gruchot, który jakiś biedny emeryt wziął na swoją działkę, i peugeot Leader Sprint, pozostawiony na zewnątrz kawiarni Soft Shoe. Te rowery są naprawdę lekkie. Można na nich nieźle pędzić. Uważam, że to jest to, czego szukamy.

Kilku policjantów było raczej niezadowolonych z tej magicznej sztuczki. Jeżeli szef już to opracował i sprawdził, dlaczego nie mógł po prostu tego powiedzieć? Barnaby uśmiechnął się, nic sobie nie robiąc z ich konsternacji. Jeżeli czas na to pozwalał, zawsze wolał, by zespół sam połapał się w sprawie.

—Trochę ryzykowne, proszę pana — odezwała się sierżant Brierley. — A co jeśli nie znalazłby żadnego roweru?

—Musiał znaleźć. Zawsze jest kilka, na przykład przed Hal-ford. Pewnie kierował się właśnie tam, kiedy wpadł mu w ręce ten peugeot.

—To jest świetny pomysł — wtrącił sierżant Griggs — Można przejechać dużą odległość, łatwo się go pozbyć i bez trudu z niego zeskoczyć, by się ukryć, gdy trzeba.

—No właśnie — zgodził się Barnaby. — Rower nie może być daleko. Zaraz rano zarządę poszukiwania.

—Czy do tego czasu nie wyskoczy z mieszkania i nie pozbędzie się go?

—Mam nadzieję, że spróbuje. Postawiłem już tam jednego z naszych. Od teraz towarzyszymy Jacksonowi, gdziekolwiek by nie poszedł. — Nie było sensu opowiadać o problemach, jakie miał z uzyskaniem tymczasowego nadzoru. Dla władz, które trzymały kasę, jego przekonanie było zwykłym podejrzeniem, niepopartym przez żadne dowody. Kiedy wreszcie przyznano ten nadzór, usłyszał, że sytuacja będzie sprawdzana co dwadzieścia cztery godziny. Jutro o tej porze

Jackson znów może być wolny, jak wzbijający się w niebo skowronek. Jeżeli tak się stanie, pomyślał Barnaby, postawię tam kogoś z mojego zespołu i będę cicho.

—Więc idziemy go jeszcze trochę pomęczyć, proszę pana? — zapytał Jimmy Agnew.

—Nie, bo by uciekł. Na razie nic na niego nie mamy. — Barnaby patrzył ponuro na swój zespół, a w końcu jego wzrok zatrzymał się z tyłu sali na kilku ohydnych fotografiach pokazujących zmasakrowane szczątki Charliego Leathera. — Kiedy go dorwiemy, to na dobre.

Louise przygotowywała się do pójścia spać. Zajął jej to już godzinę i równie dobrze mogło zająć drugą, gdyż cała ta procedura była zupełnie bezcelowa. Bo i tak nie zaśnie. Owinięta w kremowy aksamitny szlafrok mogła pozostać skulona w głębokim pustym środku skózanego fotela. Fotel był idealnie owalny, bez podłokietników czy nóżek, zawieszony na przezroczystych linach zwisających ze szklanej belki na dachu domu.

Delikatne bujanie się w przód i w tył często pomagało jej się zrelaksować, czasem nawet prowadziło do przyjemnej senności. Ale nie dziś wieczorem. Dzisiaj, aby ukoić jej umęczoną świadomość, potrzeba by genialnego farmaceuty lub jeszcze nieodkrytego opiatu.

Wieści o Ann były straszne. Słuchanie ich, wyobrażanie sobie jej bólu i przeżenienia, świadomość, że znalazła się na krawędzi śmierci, to też było straszne. Niemniej...

Kiedy Val po raz pierwszy usłyszał wiadomość, był głęboko zaszokowany i było mu naprawdę przykro. Ale później tego wieczoru, po telefonie z Probstwa, wszystkie jego uczucia ustąpiły miejsca rozdrażnieniu graniczącemu z wściekłością.

—Dobry Boże! Kiedy dadzą spokój temu biedakowi?

—O czym ty mówisz?

—Ci piekielni policjanci. Będą go tak bez końca prześladować, aż w końcu nie wytrzyma.

—Kto? — oczywiście wiedziała.

—I wtedy wybuchnie z czystej desperacji. Ponownie popełni wykroczenie. A oni będą zacierali te swoje paskudne łapy i znów go zapuszczają. —Valentine twardo wpatrywał się w siostrę, a czysta desperacja pojawiła się także na jego twarzy.

—Biedny Jax — powiedziała Louise szybko. Prawie zapomniała o roli, jaką tak niedawno zaczęła grać. — Co tym razem?

—To, co zwykle. Próbują zarzucić mu coś, czego żadną siłą nie mógł zrobić.

—Chyba nie... — Louise sięgnęła za siebie, szukając oparcia i machając rękami, zanim na pół usiadła, na pół opadła na siedzenie.

—Tak, atak na Ann Lawrence. Nawet wzięli ubrania, które miał na sobie, kiedy to się stało.

—O nie. — Ogarnęły ją zawroty głowy. — Val, to nie może być prawda.

—Oczywiście, że to nieprawda. Był na Probostwie przez cały dzień. Ale spróbuj im to powiedzieć. — W końcu zauważył upiorną bladość siostry. — Przepraszam, Lou. Jestem samolubnym skurczybykiem. Ona była twoją przyjaciółką, prawda?

—Tak — Louise była tego całkiem pewna. Ann była jej przyjaciółką. Jak mogła kiedykolwiek sądzić inaczej?

—Zaraz dam ci trochę brandy.

Louise przypomniała sobie teraz, że wypła brandy. Połknęła ją jak wodę i z takim samym efektem. Kiedy szok minął na tyle, że mogła wstać, przeprosiła i poszła na górę. Wzięła kąpiel, owinęła swoje wciąż drżące kończyny w kremowy szlafrok i bujała się bez końca, pogrążona w samotności i beznadziejnym smutku.

Powtarzała sobie, że mogła się mylić. Minał ją tak szybko. Rowerzysta, cały w czerni. Obcisłe legginsy, sweter z długimi rękawami, rękawiczki i robiona na drutach czapka, naciągnięta tak, że przykrywała jego włosy i czoło. Zaparkowała tylko na minutę za podwójną żółtą linią na zewnątrz banku. Właśnie miała wysiadać, nawet lekko otworzyła drzwi, dobrze widziała drogę za sobą. I zobaczyła go w bocznym lusterku. Daleko, potem blisko, potem już go nie było. Ledwie

kilka sekund. Ale, ponieważ widziała go w lusterku, zobaczyła jego twarz. I rozpoznała ją.

Przynajmniej tak myślała. Ale teraz Val powiedział, że Jax był przez cały dzień na Probostwie. Że on sam był z Jaksem wtedy, gdy Ann została napadnięta. Więc musiała się mylić. W rozpacz Louise, która przestała wierzyć we Wszechmogącego jeszcze zanim przestała wierzyć w Świętego Mikołaja, zaczęła się modlić. Niezręcznie i z zakłopotaniem, ale żarliwie i namiętnie, niezupełnie wiedząc, co powiedzieć.

— Proszę, Boże — mamrotała — niech to nie będzie on. — Potem, czując, że to zbyt nieokreślone, zmusiła się do podania szczegółów. Nawet wypowiedziała jego imię, z obrzydzeniem, jakby to była przykucnięta na jej języku ropucha. — To znaczy niech mężczyzna, którego widziałam dzisiaj na rowerze w Causton, nie będzie Jaksem.

W ustach poczuła zimną pustkę. Wiedziała, że słowa były jałowe. Nie miały sensu. Wygrzebała się z fotela i stała, wpatrując się przez dach w prawie czarne niebo, usiane iskrzącymi się punkcikami zimnego światła. Jak to możliwe, by coś czy ktoś tam kiedykolwiek istniał, nie mówiąc już o tym, by interesował się jej pełnym udręki błaganiem?

Mimo to, choć rozumiała, że cała ta procedura była bezcelową, beznadziejną stratą czasu, nie mogła powstrzymać się przed jeszcze jedną, ostatnią prośbą:

— I proszę Boże, *proszę*, opiekuj się Valem.

Kiedy Barnaby skręcił w Arbury Crescent, czuł się jak Syzyf, który w końcu puszcza głaz. Staje z boku, patrzy, jak ten zsuwa się, odbijając się i obracając, wzdłuż zbocza, a on, z lekkim sercem, rusza w stronę szczytu.

Ta chwila w centrum operacyjnym, kiedy puszczone taśmę z nagraniem telefonu Ann Lawrence na 999, kiedy stało się jasne, że prawdopodobnie przez całe śledztwo obszcze kiwał niewłaściwe drzewo, całkiem zbiła go z pantałyku. Udawał, że szybko doszedł do siebie. Był w tym dobry i, co ważne, powinien być w tym dobry. Zniechęcenie to infekcja, która rozprzestrzenia się jak ogień. Ale tak naprawdę czuł się bardzo zniechęcony.



Groziło mu też osobiste zaangażowanie. Zdarzało mu się to czasem, choć przestrzegano go przed tym. Kiedy w grę wchodziło okrutne znęcanie się lub morderstwo dziecka, niewielu policjantów było stać na całkowitą bezstronność. Ale to nie była śmierć dziecka. To śmierć bardzo nieprzyjemnego starszego mężczyzny, który usiłował kogoś szantażować.

Skąd więc ta nienawiść? Barnaby ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że to było właściwe słowo. Zaczął nienawidzić Terry'ego Jacksona. Nienawidzić jego wesołego uśmiechu i bezwstydných póz, rozmów z nim, które przypominały taniec: złośliwy cios — udawany atak, robiący z rozmówcy durnia, po którym przychodził prawdziwy atak. Silne uderzenie, szybkie i ciężkie, w splot słoneczny.

Iskrzył nienawiścią także na myśl o wyglądzie tego człowieka. Był szczupły, o twardych mięśniach i granatowych oczach z dziwnymi złotawymi źrenicami. Barnaby dostrzegał tylko jedną fizyczną wadę w tej apollińskiej perfekcji: zęby, o które nikt nigdy dobrze nie zadbał. Nie miał jednak wątpliwości, że gdyby tylko zwrócono uwagę Fainlighta na tę potrzebę kosmetycznej stomatologii, przeczenie zostałoby szybko naprawione.

Barnaby nie myślał jednak o tym zbyt długo. Ponieważ to się nigdy nie stanie. W Scrubs nie ma drogich dentystów, robiących koronki, wybielających i prostujących zęby. Ani w Albany czy Strangeways, ani w żadnym innym więzieniu. A tam skończy Jackson.

— I lepiej w to uwierz, ty kupo gnijących odpadków — zdawszy sobie sprawę, że wypowiedział to na głos, a teraz trzyma kierownicę tak, jakby od tego zależało jego życie, Barnaby prawie zahamował. To nie było dobre uczucie. Nienawiść może zaślepić, przysłonić dowody, które ma się przed nosem. Nie mówiąc już o niebezpiecznym podniesieniu ciśnienia krwi.

Pamiętał, co Joyce powiedziała mu któregoś ranka, że kiedy już prowadzi jakieś śledztwo, jest jak pies, który wbił się zębami w kość, niespokojny, pilnujący, by żaden inny pies jej nie posmakował. Wtedy był zły. Teraz znów się zastanowił, czy to prawda, i stwierdził, że tak. Przynajmniej częściowo. Barnaby miał silne poczucie własnej wartości, inaczej nie doszedłby do swojego obecnego stanowiska, ale wierzył, że potrafi też słuchać. Chociaż nie był w tym względzie



wyjatkim, to jednak należał zdecydowanie do mniejszości. Skreślił na podjazd domu numer siedemnaście. I wtedy, jak zawsze, wszystko zaczęło iść lepiej. Bez względu na to, w jakim paskudztwie babrał się w godzinach pracy, tutaj zaczynało się ono oddalać. To był dziwny proces, nie zapominanie, ale raczej psychiczne oczyszczanie się, i nigdy tego do końca nie rozumiał.

Może to ta zielona słodycz ogrodu (nawet zimą było tam zawsze coś nieodparcie pięknego, co przyciągało jego wzrok), a może znajome ciepło solidnego budynku z czerwonej cegły, w którym z zadowoleniem mieszkał od ponad dwudziestu lat. Ponad wszystko, oczywiście, była to Joyce. Gdziekolwiek była, tam szczęśliwy był i on.

Barnaby nigdy nie uważał tego szczęścia za coś oczywistego. Nie robi się tego, mając taką pracę. Przecież samozadowolenie to magnes dla katastrofy. Słowa: „Nigdy nie myślałem, że to zdarzy się mnie” słyszał chyba częściej niż jakiegokolwiek inne. Nigdy ich nie wypowie. Ani nie uwierzy, że niewyrządzenie nikomu i nigdy żadnej krzywdy jest talizmanem chroniącym przed nieszczęściem. Wyciągnął rękę i odpukał w deskę rozdzielczą z orzechowego drewna, a potem wysiadł.

Samochód Cully, żółto-zielony citroen dyane, z wielkim słonecznikiem namalowanym na bagażniku, stał pod złotokapem. Krok Barnaby'ego, i tak już odczy, jeszcze przyspieszył. Ledwie włożył klucz do zamka, kiedy otworzyła drzwi.

— Tato! Stało się coś wspaniałego! — Chwyciła go za rękę. — Chodź.

—Pozwól mi wziąć...

—Nie. Musisz przyjść teraz.

Drzwi do kuchni były szeroko otwarte. Widział uśmiechającą się Joyce, niezwykle dumnego Nicolasa, okręcone złotą folią butelki i kieliszki do szampa. Wspólna radość. Spojrzał na lśniącą twarz swojej córki i wiedział, co chce mu powiedzieć. Objął ją ramieniem i poczuł słodki zapach jej włosów. Jego mała dziewczynka.

—Cully, kochanie, cóż mogę powiedzieć? — Barnaby zdał sobie sprawę, że szczypią go oczy. I co z tego? Nie każdego dnia zostaje się dziadkiem. — Gratuluję.

—To nie mnie głuptasie masz gratulować. To Nico.

—Nico? — Barnaby szybko zmienił wyraz twarzy, ale jego serca dosięgło rozczarowanie. Weszli razem do kuchni.

—Dostałem się do Narodowego, Tom — Nicolas się roześmiał, podnosząc kieliszek, najwyraźniej nie pierwszy raz. — Czy to nie cudowne?

—Cudowne — wycedził Barnaby sztywnymi ustami. I powiedział jeszcze raz: — Gratuluję.

Cully naląła mu szklanę Veuve Clicquot i uśmiechnęła się do matki:

—Tata myślał, że dostałam reklamę szamponu.

—Naprawdę? — spytała Joyce i złapała spojrzenie męża. Ale nie musiała.

—Pluję na reklamy szamponów! — zawołał Nico i zaczął się znowu śmiać, wychylając wino i rzucając kieliszek w powietrze.

—Czy wiesz, kogo będziesz grał? — zapytał Barnaby, który już dawno nauczył się odpowiednich reakcji do wszelkich wieści natury teatralnej.

—Jestem w zespole. Ale to może oznaczać wszystko, wszystko. Grają Pintera, *Antoniusza i Kleopatę*, *Piotrusia Pana!* — wołał Nico.

—I nową komedię Terry'ego Johnsona o Sidzie Jamesie — dodała Cully.

—Mógłbyś zagrać Barbarę Windsor\*. — Posłała ukochanemu całusa.

—Tak. Wyglądałbym świetnie w damskim przebraniu.

—Jeden ze sposobów, by zostać zauważonym — powiedziała Joyce z ironią; choć wiedziała, że ta zarozumiałość była jedynie na pokaz, to jednak Nico czasem grał jej na nerwach. — Weź trochę więcej wina, kochanie. — Wyciągnęła rękę po kieliszek męża, a on uchwycił jej dłoń.

—Wolałbym kanapkę.

—Kanapkę? — Nicolas próbował naśladować lady Bracknell\*<sup>10</sup>, brzmiał jednak bardziej jak Tim Brooke-Taylor niż Edith Evans\*<sup>11</sup>, choć wyglądał lepiej niż każde z nich. Zresztą, kto nie wygląda. — Pluję na wasze kanapki! Wychodzimy, by to uczcić.

—Dokąd?

—Do River Cafe.

—Co!

—Uspokój się, tato.

—Jeśli sądzicie... — Barnaby zamilkł. Gdyby Cully była w ciąży, mogliby przeprowadzić się do River Cafe ze wszystkim i jeść tam śniadania, lunchy i kolacje przez miesiąc. — Słyszałem o tym miejscu. Nie można tam przyjść tak po prostu...

—Nico zdobył miejsca, bo ktoś zrezygnował.

—To nasza specjalna okazja — powiedział Nico, a brzmiał trochę zadziornie. — Sprzedałem wczoraj tego mojego starego rzecha.

—Zdecydowaliśmy, że to głupie mieć dwa samochody. Zwłaszcza w Londynie.

—Zatem to najlepszy sposób, by wyrzucić trzysta funtów?

—Ależ Tom — odezwała się Joyce, obserwując reakcję męża — uspokój się.

—To nie wchodzi w rachubę. Zresztą jestem na diecie kapuścianej.

—On nie słyszał — rzekł Nicolas, mrugając do żony.

—Nie słyszał czego? — zapytał Barnaby.

---

<sup>10</sup> \* Lady Bracknell — jedna z bohaterek sztuki *Bądźmy poważni na serio* Oscara Wilde'a (przyp. red.).

<sup>11</sup> \* Tim Brooke-Taylor (ur. 1940) i Edith Evans (1888-1976) — aktorzy angielscy (przyp. red.).

—Oni z tego słyną — powiedziała Cully, rzucając matce porozumiewawcze spojrzenie.

—To prawda, Tom — wyjaśniła Joyce. — Czytałam o tym niedawno. W River Cafe robią najlepszy kapuśniak na świecie.

TLR

# Rozdział dziesiąty

---

Następnego ranka Barnaby siedział przy swoim biurku, usiłując zaplanować dzień i ułożyć kilka notatek na odprawę o ósmej trzydzieści. Bardzo trudno było mu się skoncentrować. Gdyby wczoraj o tej porze ktoś mu powiedział, że wieczorem poświęci swojemu obecnemu przypadkowi ledwie jedną myśl, uznałby go za szalonego. A jednak tak właśnie się stało.

Dostali stolik przy oknie wychodzącym na gładki pas trawy, który był zakończony płytami chodnikowymi graniczącymi z niskim murkiem tuż przy Tamizie. Powierzchnia wody połyskiwała w zachodzącym słońcu, a wzdłuż chodnika świeciły lampy.

River Cafe była niezwykle przestronna, widna i wypełniona rozradowanymi gośćmi. Rozmawiali, śmiali się, jedli, pili. W którejś chwili jakaś kobieta zaintonowała piosenkę (*Vissi d'Arte*) i wydawało się, że nikt nie ma jej tego za złe.

Obsługa była doskonała. Przyjacielska, ale nie nadskakująca, pojawiała się zawsze i tylko wtedy, gdy była potrzebna. Sugestie przedstawiano taktownie i nie obrażano się, kiedy je ignorowano. Nikt bez końca nie napełniał ci kieliszka, jakbyś był berbeciem w wysokim krzeselku. Niczego z menu nie brakowało, a to, co się w nim znajdowało, było po prostu niebiańskie.

Gotowanie odbywało się za długą stalową ladą, gdzie wiele szczupłych osób w długich białych fartuchach przygotowywało takie dania, które grubszych doprowadzają na krawędź rozpaczy.

Barnaby jadł tagliatelle ze szparagami, ziołami i parmezanem. Potem podano turbota, którego mięso rozpływało się już na widelcu. Była też zielona sałata z odrobiną rukoli i kilka pięknych ziemniaków. I żadnej kapusty. Wszyscy czworo próbowali nawzajem swoich potraw, a kiedy zostało to zauważone, znikąd pojawiły się dodatkowe widelce. Na deser Barnaby wybrał pudding Czekoladowa Nemezis, któremu ledwie dał radę. Pili Torre del Falco z Sycylii. Nico podarował Cully książkę kucharską ze wspaniałą dedykacją, taką samą sprezentował Joyce. Barnaby był pełen obaw.

— Nie martw się — powiedziała Cully do taty, kiedy szli w pewnej odległości za pozostałą dwójką do taksówki. — Mama sobie poradzi. Nikt nie może przypalić makaronu.

Barnaby milczał. Jego zdaniem kobieta, która może przypalić sałatkę, może przypalić wszystko.

— Wygląda pan dziś rano na trochę weselszego, szefie — sierżant Troy prze-rwał tę zadumę. Sam wyglądał na trochę mniej wesołego. Był blady i wymizero-wany.

— Świętowaliśmy wczoraj wieczorem — wyjaśnił Barnaby. — Mój zięć za-brał nas wszystkich do Smoke na kolację. Do River Cafe.

— Słyszałem o tym miejscu. Nad rzeką.

— Właśnie tam.

— Maureen widziała je w telewizji.

— Nico właśnie dostał się do Narodowego.

— Wspaniale — zachwycił się Troy. Narodowego? Narodowego czego?

Barnaby spiął papiery spinaczem, a potem naprawdę dostrzegł swojego sier-żanta po raz pierwszy tego dnia.

— W porządku, Troy?

— Słucham?

— Kiepsko coś wyglądasz.

Sierżant Troy miał tej nocy zły i bardzo niepokojący sen. Śniło mu się, że się obudził, próbował wstać, ale mógł tylko ciężko kręcić głową z boku na bok. Miał też bardzo dziwne uczucie w kończynach — były płaskie i puste jak u szmacia-nej lalki, którą zapomniano wypchać. Potem zobaczył na podłodze przy łóżku uporządkowaną kupkę kości i wiedział, że to jego własne. Makabryczne. Troy przypisywał swój koszmar wizycie w szpitalu. A cmentarz obok Probostwa też się do tego przyczynił.

— Wszystko w porządku, szefie. — Takie dziwaczne urojenia lepiej zachować dla siebie. Policja nie jest bandą neurotyków. Sierżant Troy powiesił swój trencz na staromodnym wieszaku, radując się, że czuje ciepłe ciało na żywych kościach.

— Kontaktował się pan ze szpitalem? — zapytał.

— Tak. Zrobili tomografię i znaleźli zakrzep. Dziś rano operują.

— Jakież wieści od naszego człowieka w Probstwie?

— Nic się nie dzieje — odparł Barnaby. — Nikt nie wchodził i nikt nie wychodził. Nawet listonosza nie było. Prawdopodobnie Jackson jest w głównym budynku i „opiekuje się Lionelem”.

— Chore. Prawdziwa dekadencja. — Troy był zadowolony, że posłużył się słowem „dekadencja”. Dawno temu znalazł je w tekście na okładce filmu *Kabaret*. Zaskakujące, że tak trudno było je zastosować w rozmowie, biorąc pod uwagę, jak wielu zjawisk dotyczyło.

— Moglibyśmy przygotować ogłoszenie do mediów — rzekł Barnaby. — Po prostu opisać ukradziony rower, określić czas, kiedy został zwędzony, i zasugerować, w jakim kierunku udał się złodziej. Ktoś musiał go widzieć.

— Moglibyśmy powiedzieć, co miał na sobie.

— Na litość boską! Po pierwsze, nie wiemy, co miał na sobie. Po drugie, musimy powstrzymać się od wszelkich sugestii na temat Jacksona, nawet zawołanych. Kiedy już go przygwoździmy, nie chcę, by na rozprawie wstępnej pomogły mu oskarżenia o policyjne uprzedzenia. Albo jakaś demonstracja na rzecz swobód obywatelskich.

— Ale prasa się do tego przyczepi. Nikt nie uwierzy w policyjne ogłoszenie z powodu skradzionego roweru.

— Więc będziemy unikać odpowiedzi. Nie pierwszy raz. — Barnaby włożył swoje notatki do teczki, wziął marynarkę z oparcia krzesła i założył ją. Troy przytrzymał mu drzwi i nadinspektor wyszedł ze swojego biura. Dzień pracy zaczął się na dobre.



Tego samego ranka Hetty Leathers pojawiła się w Starym Probostwie jak zwykle o dziewiątej, ale bez Candy. Suczka dawała już sobie radę sama, a ponieważ pani Lawrence była nieobecna, Hetty czuła, że powinna zapytać wielebnego, czy może zabierać psa do pracy.

Weszła przez frontowe drzwi, kierując się prosto do kuchni. Tu znalazła Jacksona, który miał na sobie parę poplamionych dżinsów oraz koszulkę bez rękawów i rozsmarowywał Marmite na spalonym toście. Siedział, opierając stopy o stół. Nie było śladu Lionela.

Hetty odwróciła się i wyszła. Z kuchni, potem z domu. Kiedy szła wzdłuż podjazdu, jej wzrok zatrzymał jakiś ruch w bibliotece. Podeszła do okna, oparła ręce na parapecie i zajrzała do środka. Potem powtarzała Pauline, że nie chciała szpiegować, i była to prawdopodobnie prawda. Podobnie jak to, że żałowała później, iż nie poszła dalej.

Wielebny kucał przy biurku pani Lawrence. Wszędzie walały się listy. Kiedy Hetty patrzyła, on praktycznie rozerwał kolejną kopertę, już otwartą w pośpiechu, by wyrwać jej zawartość. Potem wpatrywał się ze złością w kawałek papieru, który zaraz lądował obok innych na podłodze. Przerwał, dyszał przez chwilę, po czym zaczął z furią szarpać małą szufladkę w biurku, która nie chciała się otworzyć.

Hetty patrzyła zaszokowana i zdumiona. Twarz pastora, czerwona z wysiłku i zniekształcona przepełnioną strachem chciwością, była trudna do rozpoznania. Zaparł się nogą o biurko i posługując się tym razem obiema rękami, pociągnął szufladę z całych sił. Hetty uciekła.

W tej samej chwili Jackson powoli wszedł do biblioteki. Oparł się o framugę, ciemnoniebieskie oczy świeciły podnieceniem, uśmiech zadowolenia ledwie poruszył jego wargi.

— Przykro mi cię widzieć w takim stanie, Lionelu. Wydawało się, że Lionel, jęczący z wściekłości, zaraz eksploduje.

— Poczekaj — Jackson przeszedł pokój i uspokajająco położył dłoń na rękę gospodarza. — Jeżeli musisz włamywać się do cudzej własności...

— Nie rozumiesz! — krzyknął Lionel.

Jackson odwrócił twarz od smrodliwego podmuchu kwaśnego wina i cuchnącej, niemytej skóry. Bardzo go drażniły takie rzeczy.

— Przestań krzyczeć. Zaraz pół wsi wylegnie na ulice.

— Dla ciebie to nic nie znaczy — Lionel próbował złagodzić swój głos, ale bez większego skutku. — Co się ze mną stanie? Dokąd pójdę?

— Nawet nie wiesz, czy pani Lawrence zostawiła testament. — Uścisk Jacksona nieco się wzmocnił. — Jeśli nie, jako jej prawna lepsza połowa, będziesz usatysfakcjonowany.

Lionel wydał z siebie przeszywający szloch:

— Myślałem, że będę tu bezpieczny.

— Daj spokój — rzekł Jackson. Zachowywał się cierpliwie, nie był niemyły, raczej po prostu znużony, jak rodzic, który ma dość napadów złości ukochanego dziecka. — Ja to zrobię.

Lionel przestał szarpać szufladę i stał z luźno opuszczonymi rękami. Jackson z kieszeni dzinsów wyjął nóż. Wystarczyło kliknięcie i wyskoczyło błyszczące krótkie i wąskie ostrze. Włożył je w zamek, ostro przekręcił i szuflada otworzyła się, ukazując mnóstwo papierów.

Lionel chwycił je i zaczął czytać. Jackson widział nagłówek Friends Provident, dwa słowa przedzielone błękitną różą. W kilka minut Lionel przerzucił wszystkie kartki i rzucił je także na podłogę.

— To wszystko ma związek z jej funduszem powierniczym.

— Był bardzo bliski łez i walczył o oddech. — Zawsze bardzo o to dbała. Chciałem, by kupiła małe mieszkanie, dała tymczasowy dom młodemu, którzy starają się zacząć życie od nowa. Ludziom takim jak ty. Ale była niewzruszona. Tyle jest egoizmu w świecie, podłości, nie uważasz?

— Nie podoba mi się, że jesteś nielojalny, Lionelu. Zawsze uważałem, że pani Lawrence jest bardzo serdeczną osobą. — Jej testament jest prawdopodobnie u jej prawnika albo w banku.

— Myślę, że powinieneś zjeść śniadanie. To trochę poprawi ci nastrój.

—Nie jestem głodny.

—I umyć się, i wyszorować zęby. Dzisiaj ze szpitala usłyszałem „bez zmian”, ale wszystko może się zmienić do obiadu. A co, jeśli wolno ci będzie odwiedzić ją dzisiaj po południu? Nie możesz iść, wyglądając tak jak teraz. Chodź. — Chwycił wilgotną i niestawiającą oporu rękę gospodarza. — Jax zrobi ci dobrego tosta.

—Jesteś dla mnie taki dobry.

—Według mnie bardzo na to zasługujesz.

—Nie odejdziesz?

—Możesz na mnie liczyć.

Barnaby był umówiony z Richardem Ainsleyem na dziesiątą. Wprowadzono ich prosto do biura i zaproponowano herbatę, lecz Barnaby odmówił. Twarz kierownika banku była poważna, jak na temat rozmowy przystało.

— Straszna sprawa. Wciąż trudno mi w to uwierzyć. — Jego zdenerwowanie było najwyraźniej szczere. Wyjaśniły to jego następne słowa: — Znam tę rodzinę od trzydziestu lat. Ann, pani Lawrence, miała siedem lat, kiedy po raz pierwszy zająłem się sprawami jej ojca.

Barnaby nie wiedział o tym, lecz uradowały go te informacje. Nigdy nie wiadomo, co może się przydać w śledztwie.

—Zatem jestem pewien, że tym bardziej zechce nam pan pomóc.

—Oczywiście, że tak. Ale jak to możliwe. Przypadkowa, brutalna napaść...

—Nie mamy pewności, czy była przypadkowa.

—Och! — Wyraz twarzy Ainsleya zmienił się. Stał się ogromnie ostrożny, a nawet pełen obaw. Pociągnął nosem i wpatrywał się w swoich gości, jakby wokół nich mogły się wciąż unosić eteryczne ślady zbrodni.

Taka reakcja ludzi nie była niczym niezwykłym. Barnaby uśmiechnął się zachęcająco i powiedział:

—Mogę pana zapewnić, że cała ta rozmowa pozostanie absolutnie poufna.

—Ach! — Richard Ainsley spojrział nieufnie na Troya siedzącego przy drzwiach z notesem balansującym dyskretnie na jego kolanach. — No cóż...

Barnaby skoczył na głęboką wodę:

—Mamy powody, by sądzić, że pani Lawrence była szantażowana.

—Więc to...

—Więc co?

Lecz Ainsley wycofał się natychmiast, jak ślimak do swojej muszli.

—Musi pan zrozumieć, nadinspektorze, sprawy finansowe mojej klientki...

—W chwili gdy tu siedzimy, pani Lawrence przechodzi operację. Nie wiadomo, czy się uda. Mogę iść do sądu i uzyskać stosowny papier, i przyjść jeszcze raz po informacje, których pan nie ujawnia. Ale czas gra tu olbrzymią rolę. Namawiam pana do współpracy.

—Tak. Rozumiem. Och, to wszystko jest takie straszne. — Przez chwilę wykręcał dłonie, potem otworzył kalendarz na biurku, sprawdził datę i zaczął mówić. — Ann przyszła zobaczyć się ze mną w sobotę rano. Dwudziestego drugiego sierpnia. Potrzebowała pożyczki w wysokości pięciu tysięcy funtów pod zastaw domu. To, oczywiście, było możliwe do zaakceptowania. Stare Probostwo jest sporo warte. Jednak jej dochody są skromne i obawiałem się o jej zdolność regularnego spłacania rat. Kiedy o tym wspomniałem, zachowała się niemal histerycznie, co naturalnie sprawiło, że zmartwiłem się bardziej niż kiedykolwiek. Wcześniej wybrała już tysiąc funtów z rachunku bieżącego.

—Kiedy to było?

Richard Ainsley prawie zapomniał o sierżancie Troyu, który spokojnie notował. Jeszcze raz zajrzał do kalendarza i odparł:

—We wtorek, osiemnastego. — Potem, obracając się do Barnaby'ego, dodał: — Zanotowałem tę datę na wypadek, gdyby ta kwestia pojawiła się w trakcie spotkania z nią.

—Więc razem to było sześć tysięcy?

—Zgadza się. I w obu przypadkach nalegała, by otrzymać te sumy w gotówce. Bardzo niepokojące. Poczulem taką ulgę, kiedy wczoraj usłyszałem, że przyniesie wszystko z powrotem.

—Co?

—Zadzwoniła rano, około dziesiątej trzydzieści — Ainsley uśmiechnął się, zadowolony, że może wywołać taką konsternację, nawet w tak przykrych okolicznościach. W końcu był tylko człowiekiem. — Miałem anulować pożyczkę, a ona przywieźć gotówkę tamtego popołudnia. Och!

Rzeczywiście, och, pomyślał Barnaby, patrząc, jak na twarzy rozmówcy pojawia się szok wywołany nagłym odkryciem.

— Czy osoba, która ją zaatakowała...?

—Obawiam się, że tak — powiedział nadinspektor. — Kiedy powiedziała „wszystko”, zrozumiał pan, że to oznaczało wszystko, co pożyczyła, czy też tylko te pięć tysięcy?

—Ojej. Co za sytuacja. Nigdy tego nie odzyskamy. Co powie centrala?

—Panie Ainsley?

—Tak?

—Pięć czy sześć tysięcy?

—Nie wiem. Och, to okropne, okropne.

Oszczędne posługiwanie się prawdą było integralną częścią życia Louise od tak dawna, że minęły lata, zanim zdała sobie sprawę, iż tak jest. Kłamstwo wypełniało znaczną część jej dnia pracy, choć wcale tak o tym nie myślała. Zresztą kto w świecie finansów tak nie postępuje? Brokerzy, analitycy, doradcy finansowi — wszyscy przygotowani do ukrywania lub opacznego przedstawiania tego, co uważają za prawdziwy stan rzeczy, starający się jednocześnie przejrzeć fałszywe intencje innych. Zatem ta ostatnia mała nieprawda, powiedziana przez telefon do recepcjonistki szpitala Stoke Mandeville, w ogóle nie sprawiła jej kłopotu.

Teraz podeszła do recepcji i przedstawiła się.

—Pani Forbes?

—Zgadza się. Dzwoniłam wcześniej.

—Ach, tak. Pani siostra jest na trzecim piętrze. Proszę pojechać windą, dam im znać, że pani idzie. — Recepcjonistka, śliczna Azjatka, dodała: — Tak mi przykro. To okropne.

—Dziękuję.

Pielęgniarka, która przyjęła Louise, powiedziała mniej więcej to samo i poprowadziła ją wzdłuż długiego cichego korytarza. Otworzyła drzwi na końcu i weszły.

Louise stanęła jak wryta. Jej serce podskoczyło i zaczęło bić z szaleńczą prędkością. Nagle, bez żadnej przyczyny, się przestraszyła. Ann leżała bez ruchu na wąskim metalowym łóżku. Dokładnie pośrodku, zauważyła Louise. Tyle samo przestrzeni po obu stronach jej chudych ramion. Można tak zrobić, oczywiście, kiedy ktoś jest nieprzytomny. Zaspokoić ludzkie upodobanie do porządku i równowagi.

Pokój był pełen niebieskiego światła. Głośno szumiała aparatura. Na jednym z ekranów komputerowych widać było dobrze znaną z seriali o szpitalach drgającą zieloną linię, która rytmicznie osiągała maksymalną wartość, po czym opadała.

Obok łóżka stało pojedyncze krzesło, typowe raczej dla biura, ze sztruksowym siedziskiem i rurkowymi chromowanymi podłokietnikami, lecz Louise nie usiadła. Stanęła w nogach łóżka. Nie dostrzegała nic, co mogłaby nazwać oznakami życia. Nigdy nie widziała nikogo zmarłego, lecz była pewna, że właśnie tak wygląda osoba martwa. Skóra Ann była bez koloru, jej klatka piersiowa nie poruszała się. Napięte prześcieradło ze szpitalnym znaczkiem także się nie poruszało. Rurka z igły na ręce prowadziła do butelki zawieszanej na ramie. W ustach kobieta także miała rurkę, druga odchodziła od jej nosa.

Zaniepokojona Louise zwróciła się do siostry:

— Ona nie oddycha.

— Respirator robi to za nią. Rozmawiała pani z doktorem Millerem?

— Nie. — Louise poczuła ukłucie w sercu. — A powinnam?

— Niestety, tomografia wykazała zakrzep. Dziś będziemy operować.

— Jakie są szanse...

— Szanse są bardzo duże. Pani Lawrence jest w dobrych rękach.

Louise z niepokojem rozejrzała się po pokoju.

— Czy ktoś nie powinien tutaj być przez cały czas?

— Prawie zawsze ktoś tu jest. Proszę się nie martwić. Jest monitorowana. Najmniejsza zmiana w oddychaniu, biciu serca, pulsie czy ciśnieniu krwi i włącza się alarm.

Louise przyniosła trochę kwiatów z ogrodu Probostwa. Nie pytała o pozwolenie, po prostu weszła z sekatorem i ścięła naręcze tego, co Ann kochała najbardziej. Malwy, brzoskwiniowe i kremowe naparstnice, kilka ostatnich róż o mocnym, piżmowym zapachu. Prawie nie patrzyła na dom i nikt nie wyszedł, by ją powstrzymać.

Kiedy zadzwoniła do szpitala z pytaniem o stan Ann, powiedziano jej, że odwiedzać ją mogą tylko bliscy krewni. To oznaczało Lionela, mężczyznę, który żył we własnym egocentrycznym świecie i prawdopodobnie nigdy nie pomyślałby o tym, by zabrać dla żony kwiaty, nie mówiąc już o tym, by wybrać jej ulubione.

Teraz, patrząc na przyjaciółkę, Louise zrozumiała, jak absurdalny i głupi był jej odruch. Nie zdawała sobie do końca sprawy z tego, jak bardzo chora była Ann. Wyobrażała sobie, że odzyska przytomność podczas jej wizyty, że na widok kwiatów nagle odmieni się jej stan. Lub choć ciągle nieprzytomna, to jednak poczuje i rozpozna uderzającą woń róż, o które tak troskliwie dbała.

Głupia, głupia! — Louise zbesztła samą siebie, siadając przy łóżku. Ujęła rękę Ann, po czym prawie od razu ją upuściła. Taka zimna i bez życia. A jednak Ann wciąż była obecna. To, co znika wraz ze śmiercią człowieka, jego istota, wciąż tam było.

Louise czuła, że powinna się odezwać. Bo kto powiedział, że Ann nie słyszy? Wypróbowała w głowie kilka zdań, ale wszystkie brzmiały śmiesznie. Śmierć



odległa ledwie o szept, a ona nie mogła wymyślić nic innego niż banały, które słyszy się co dzień w telewizyjnych operach mydlanych. „Jestem tutaj, Ann. To ja, Louise. Słyszysz mnie? Wszyscy o tobie myślimy. Jest nam tak przykro. Wszyscy przesyłają ci pozdrowienia. Wszystko będzie dobrze”. (Ostatnie zdanie to, oczywiście, szczyt dziko nierealistycznego optymizmu).

W końcu Louise nic nie powiedziała. Pocałowała Ann w policzek, delikatnie uścisnęła jej rękę i próbowała nie wyobrazać sobie, co znajdowało się pod ciasno zawiniętymi bandażami.

Jax to zrobił. To fakt. Widziała, jak uciekał, a przynajmniej odjeżdżał. Ale Val powiedział, że to niemożliwe. Że był z Jaksem, kiedy doszło do zbrodni. To nie mogła być prawda. Ale chyba nie kłamałby, żeby kryć tego człowieka — nie w tak strasznej sprawie?

Czy to możliwe, żeby się pomyliła? Louise zamknęła oczy i przypomniała sobie chwilę, kiedy właśnie miała otworzyć drzwi samochodu, i znów zobaczyła ciemną postać, zbliżającą się i śmigającą obok. To był bardzo krótki moment, jak błyskawica. Jednak była tak pewna.

Być może w tym momencie myślała o Jaksie. To było prawdopodobne. W tych dniach nie myślała prawie o niczym innym. Czy mogła nałożyć jego twarz na twarz spieszącego się rowerzysty? Rozum płata figle, zwodzi i oszukuje. Wszyscy wierzymy w to, w co chcemy wierzyć.

Poczuła lekki podmuch powietrza, kiedy otwarto wahadłowe drzwi. Pielęgniarka uśmiechnęła się przeproszająco, wyjaśniając, że muszą zająć się panią Lawrence.

Louise odsunęła się i wskazała na kwiaty:

— Czy mógłby ktoś, proszę...

—Włożymy je do wody, proszę się nie martwić. — Po czym dodała z pewnym zakłopotaniem: — Poinformowaliśmy pana Lawrence o stanie jego żony. Zastanawiam się, czy przypadkiem, nie ma tam jakichś domowych... cóż... kłopotów.

—Słucham? — twarz Louise wyrażała bezgraniczne zdumienie.

—Problemów, przez które nie przyszedł jej odwiedzić. Ani nawet nie zadzwonił.

Przejeżdżając jeszcze raz przez Causton w drodze do Ferne Basset, Louise zdała sobie sprawę, że nie może wrócić do domu. Nie mogła spotkać się z Valem tak krótko po zobaczeniu Ann. Nie mogła z fałszywą miną wyrażać troski o losy mężczyzny, który rujnował życie ich obojga. I wątpiła, czy może skutecznie ukryć złość z powodu zaniedbania Ann przez jej męża.

Ponieważ była już trzynasta, postanowiła zjeść lunch w mieście. Instynktownie unikając wielopoziomowego parkingu, Louise zatrzymała swoje jasnożółte seicento na bocznej uliczce, ryzykując, że dostanie mandat za parkowanie w nieodpowiednim miejscu.

W Causton nie było wielu miejsc, gdzie można by zjeść. Minnie's Pantry było zbyt tłoczne. W Soft Shoe z kolei serwowano tanie, pływające w tłuszczu dania. Louise zdecydowała się zatem na Spread Eagle, który był opisany w *Przewodniku po dobrych pubach* i miał całkiem przyzwoite jedzenie. Nie był to dzień targowy i sala była wypełniona tylko w połowie.

Zdjęła z wieszaka „Guardiana”. Popijając guinnessa w oczekiwaniu na pudding z wołowiny i cynaderek, duszoną kapustę i krokiety z ziemniaków, usiłowała czytać strony poświęcone sztuce. Trudno było jej skupić uwagę na recenzjach teatralnych i muzycznych. Ten świat, który tak niedawno był częścią jej życia, teraz wydawał się daleki jak Mars.

Po drugiej stronie baru stał przenośny telewizor, nastawiony na niewielką głośność. Kiedy zaczęły się wiadomości lokalne, Louise odłożyła gazetę, wzięła swoje piwo i podeszła, by popatrzeć. Kobieta w cywilnym stroju, przedstawiona jako rzecznik policji, apelowała o informacje dotyczące incydentu w Causton z poprzedniego dnia. Około piętnastej z Denton Street skradziony został rower marki Peugeot. Uważa się, że rowerzysta jechał w kierunku Great Missenden. Możliwe, że ta kradzież miała związek z poważniejszym zdarzeniem. Podano numer telefonu, a Louise go zapisała.

Reakcje na apel telewizyjny były zaskakująco szybkie. Do czternastej trzydzieści, kiedy Barnaby i sierżant Troy wrócili z kantyny do centrum operacyjne-

go, otrzymano kilka telefonów. Wciąż mając w pamięci niebiański i wysoce kaloryczny posiłek z poprzedniego wieczoru, Barnaby jadł dziś niewiele i w konsekwencji miał jasny umysł i wiele energii.

Siedział przy biurku w doskonałym nastroju, częściowo wywołanym potwierdzeniem informacji, że Ann Lawrence była osobą szantażowaną i przygotowaną do zapłacenia przynajmniej raz, a być może i dwa. Bo czyż nie wypłaciła pieniędzy, prawdopodobnie po to, by spełnić drugie żądanie?

Barnaby myślał o swojej krótkiej rozmowie telefonicznej z Ann w poniedziałek. Kobieta wydawała się bardzo spokojna, nawet wesoła. Powiedziała, że czeka na rozmowę z nim, co, gdy się to powiązało z zamiarem zwrócenia pieniędzy, świadczyło o podjęciu przez nią decyzji, by nie płacić. A także żeby powiedzieć policji dokładnie, co się wydarzyło.

Barnaby mruknął coś do siebie na temat kaprysów losu, patrząc jednocześnie na Troya, który przechodził przez salę z masą papierów w dłoni. Miał nieco ostrożny wyraz twarzy.

—Co chciałby pan usłyszeć? Dobrą wiadomość czy złą?

—Nie lubię — warknął Barnaby — głupich gier. Ani zużytych starych powiedzonek słuchanych od lat, które już za pierwszym razem uważałem za nieudane.

—OK. Dobra... — Gwałtowne burknięcie. — Przepraszam. Mieliśmy dziewięć telefonów. Powiedziałbym, że wszystkie prawdziwe, bo opisy rowerzysty prawie się nie różnią. Nawet mamy go na filmie...

—Mamy go na filmie? — Barnaby w podnieceniu rąbnął pięścią w biurko. — Więc mamy go naprawdę!

—Top Gear, sklep z modą męską obok Soft Shoe Cafe, ma parę ruchomych kamer bezpieczeństwa. Jedna ogarnia wnętrze sklepu, druga drzwi i maty kawałek chodnika. Facet został uchwycony, kiedy wprowadza rower na jezdnię i odjeżdża. — Troy obrócił ostatnią stronę i położył papiery na biurku. — Ktoś przyniesie tutaj nagranie.

—Co może popsuć tak dobrą wiadomość? — zapytał Barnaby.

—Mężczyzna miał ze sobą mały plecak i był cały w czerni, od stóp do głów. Rękawiczki, robiona na drutach czapka, legginsy, wszystko. — Troy patrzył jak szef to przyjmuje. Odchyła się do tyłu na krześle, nie może złapać tchu. Każdego by zatkało. — Więc to, co Jackson wyjął ze swojej pralki...

—Nad czym technicy — Barnaby sięgnął do telefonu i dziko naciskał na guziki — spędzili większą część doby...

—Jest zupełnie bez znaczenia. — Troy patrzył na szefa z pewnym współczuciem. — Dlaczego wmieszał w to pralkę, jak pan myśli? Dlaczego po prostu nie wyjął czegoś z szafy?

—Chciał się zabawić. Miał nadzieję, że pomyślimy: „Hej, to zostało tak przedko wyprane. Te dzinsy muszą być winne. I ta koszulka”.

Co też zrobiliśmy, pomyślał sierżant Troy.

—To bystry gnojek.

—Jackson nie jest bystry! — To był prawie krzyk. W ich stronę obróciło się wiele głów, klawiatury przestały stukać, wstrzymano rozmowy telefoniczne. Wszyscy skupili na nich uwagę, ale Barnaby gestem dłoni pokazał, by wracali do swoich spraw. — Jest chytry — powiedział nadinspektor ciszej. — Jest podły, pokrętny i okrutny. Ale nie jest bystry.

—Tak jest, proszę pana.

—Żaden człowiek, który spędził dwanaście z dwudziestu sześciu lat swojego życia w sądach dla nieletnich, izbach zatrzymań, poprawczakach i więzieniach, nie jest bystry. Zapamiętaj to.

—Tak jest — powiedział Troy z większym przekonaniem.

—Halo, Jim — rzekł Barnaby, kiedy usłyszał skrzek w słuchawce. — Słuchaj, przykro mi, ale ten materiał w sprawie Leathersa, który przysłaliśmy wczoraj...

Po południu następnego dnia po napadzie na Ann Lawrence w Ferne Basset wrzało. Poprzedniego wieczoru przybył do wsi nieznajomy w ciemnoniebieskim

fordzie escorcie, zaparkował na skraju skweru i siedział w samochodzie, czytając gazetę. Bardzo podejrzanie, mówiąc ogólnie. Był tam, kiedy zapadła noc.

Rano mieszkańcy doznali ulgi, ale — trzeba powiedzieć — także i zawodu, kiedy okazało się, że samochód zniknął. Potem zauważono go nieco dalej, w pobliżu kościoła. Tym razem kierowca pił coś z termosu i palił. Potem wysiadł i przeszedł się dokoła. Ani nikogo nie pozdrawiał, ani nie reagował na grzeczne przywitania ze strony mieszkańców inaczej niż zdawkowym skinieniem głowy.

Bardzo szybko przy ladzie w Brian's Emporium uzgodniono, że nowo przybyły przeprowadza złodziejski rekonesans. Włamania w okolicy, mimo wymyślonych i kosztownych środków ostrożności, były częste i skuteczne. Natychmiast podjęto więc decyzję, by zadzwonić do lokalnego policjanta.

Konstabl Colin Perrot obsługiwał cztery wsie. Miał więcej kłopotu z tą jedną niż z pozostałymi razem wziętymi. Jej mieszkańców określał mianem „wyższych sfer”. Nie akceptowali najmniejszego odstępstwa od tego, co uważali za społecznie akceptowalne normy. Kiedyś dostał wezwanie późno w nocy, bo ktoś wniósł skargę, że gdzieś się odbywa koncert rockowy. Jechał piętnaście kilometrów w rześnym deszczu, by się przekonać, że muzyka dochodzi z jednego z komunalnych domów i jest nastawiona dwa razy ciszej niż ta, którą słyszał codziennie wieczorem przez ściany własnego salonu.

—Nie wiedzą, że żyją — mruknął Colin do siebie, wyłączając silnik swojego bmw i stawiając motocykl na nóżki. Wszedł do sklepu, posłuchał, wyszedł i skierował się do obcego samochodu. Wszyscy klienci i pracownicy wyszli i obserwowali z podjazdu, jak konstabl Perrot stuka w okno, które się szybko otworzyło.

—I co się dzieje? — zapytał brygadier Dampier-Jeans, ważna lokalna osobistość i przewodniczący rady parafialnej, kiedy policjant wrócił.

—Inwentaryzacja z rozporządzenia władz hrabstwa — odparł Perrot. — Coś w związku z pomiarami gruntu.

—Prawdopodobne — stwierdził brygadier. — Widział pan jego papiery, prawda?

—Oczywiście — odpowiedział Perrot, nieco urażony. Nie lubił, jak mówiono mu, co ma robić. — Ma upoważnienie.

—Dlaczego więc ten facet nie wyjdzie i nie inwentaryzuje, tylko siedzi jak jakiś wypchany bizon?

—Musi ich być dwóch — wyjaśnił konstabl. — Drugi się spóźnia.

Kiedy rozmawiali, ustawiał już motocykl i wsiadał na niego. Nacisnął pedał i ruszył z kopyta, zanim ktokolwiek zdążył się do niego odezwać. Odjeżdżając, Perrot zastanawiał się, czy gliniarz w eskorcie będzie miał szczęście i ten facet w dużym domu będzie chciał uciec. Jednocześnie dziękował losowi, że to nie on tkwi w nieskończoność tam na murawie.

Później tego popołudnia Hetty wybrała się do Mulberry Cottage, na krótko, ponieważ zostawiła Candy śpiącą twardo w jej koszyku. Sącząc z filiżanki dziwnej (choć całkiem znośną) herbatę w kolorze siana, przyjęła drugi kawałek lukrowanego piernika.

—Słyszałam — powiedziała Hetty — że to ma coś wspólnego z rolnictwem.

—Tak myślę, kochana. Według moich informacji to pomiary do map. Granice gruntów, te sprawy.

I tak wyczerpały temat mężczyzny w samochodzie. Teraz przeszły do tematu, od którego zaczęły. Dużo bardziej interesującego niż zawód obcego mężczyzny i oczywiście bardziej niepokojącego. Co działo się w Starym Probstwie?

—Nie mogłam uwierzyć własnym oczom — powiedziała Hetty. Mówiła to już wcześniej, ale scena, w którą nie chciały uwierzyć jej oczy, była tak niezwykła, że Evadne ani przez chwilę nie wątpiła w jej słowa. — Nogi na kuchennym stole. A biedna pani Lawrence, która nawet nie chciała wpuszczać go do domu, leży na progu śmierci.

—Niewiarygodne — powiedziała Evadne. Była bardzo zdenerwowana. — Co Lionel sobie myśli?

—Coś złego zaszło między nimi — rzekła Hetty. — Nie zaniósła mu lunchu, zanim wyruszyła do Causton. To się nigdy wcześniej nie zdarzyło. On siedział w swoim gabinecie za zamkniętymi drzwiami. Wyjechała i tak go zostawiła.



—Musieli się pokłócić.

—Mam nadzieję.

—Hetty!

— Najwyższy czas, aby pani Lawrence stanęła w swojej obronie. On tam rządzi od lat. A przecież to wszystko należy do niej. On jest tylko pijawką.

Evadne pokiwała głową. Całe Ferne Basset wiedziało, że Probostwo żyje za pieniądze Ann.

— A kiedy wyszłam, on przeszukiwał jej papiery jak jakiś szaleniec. Darł je, rozrzucił. Czerwony jak indyk. Zapamiętaj moje słowa, ten mężczyzna prosi się o wylew.

To przypomniało Evadne, by zapytać, czy Hetty dzwoniła tego dnia do szpitala.

— Dziś rano. Powiedzieli „bez zmian”, ale jeśli nie jest się bliskim krewnym, to nie zawsze mówią. Powiedziałam im, że Jestem jej tak bliska jak nikt na świecie”. Ale to się na nic nie zdało. — Usta Hetty opadły i zadrżały. — Kiedy była mała, przychodziła do kuchni. Uczyłam ją robić ciasteczka. Nigdy nie używała foremek. Zawsze chciała projektować własne kształty. Kwiaty, koty, nawet małe domy. Myślałam, że kiedy dorośnie, zostanie artystką.

Evadne podeszła do przyjaciółki i objęła jej drżące ramiona. Hetty zawołała:

— Jak ktoś mógł być tak okrutny?

Evadne przez chwilę kołysała ją w przód i w tył.

—Hetty, chciałabyś się za nią pomodlić?

—Co?

—To może pomóc.

Hetty wydawała się nieprzekonana. I nic dziwnego, pomyślała Evadne. Jej życie też dało w kość.

—No cóż... jeśli naprawdę tak myślisz. — Hetty wykonała dziwny ruch, chciała wstać z fotela, ale Evadne powstrzymała ją.



—Nie, nie. Nie trzeba koniecznie klękać. Bogu na tym nie zależy, liczy się tylko szczere serce.

—Nie będę wiedziała, co powiedzieć.

—Można nic nie mówić. Po prostu wyobraź sobie Ann otoczoną przez boskie światło. I zatrzymaj to wyobrażenie.

Evadne zaczęła się modlić. Hetty starała się wyobrazić sobie Ann otoczoną przez boskie światło. W efekcie zobaczyła rodzaj aureoli, jak na ilustracjach biblijnych w jej szkółce niedzielnej przed laty. A jeśli chodzi o jasność, to najbardziej jaskrawym źródłem światła, jakie przychodziło jej do głowy, była halogenowa lampa w ogrodzie Starego Probostwa, co wydawało się w jakiś sposób odpowiednie.

Wokół nich siedziało lub leżało w zupełnej ciszy sześć figurek z jasnego futra. Bez jednego nawet drapnięcia czy ziewnięcia. Pekińczyki Evadne były przyzwyczajone do takich chwil i wiedziały dokładnie, czego się od nich oczekuje.

Do osiemnastej trzydzieści Barnaby był zamknięty w swoim biurze przez prawie dwie godziny. Centrum operacyjne, nawet kiedy niewiele się działo, było hałaśliwe i panował w nim pośpiech, a on potrzebował ciszy. Musiał pobyć sam i pomyśleć. Sierżant Troy przychodził od czasu do czasu z informacją albo z filiżanką mocnej, kolumbijskiej kawy.

Pół godziny wcześniej przyniósł bardzo satysfakcjonujący raport techników kryminalistycznych na temat humbera Lawrence'ow. Na kawałku wysłużonego dywanika wyścielającego bagażnik znaleziono fragment czarnego włókna, a także trochę żwiru. Pokryty był jakąś białą substancją, która przy dokładniejszym badaniu okazała się wapnem ogrodowym. Nic w tym dziwnego, zważywszy, że Ann Lawrence często woziła takie rzeczy z centrum ogrodniczego, lecz gdyby substancja odpowiadała dokładnie wapnu znalezionemu na butach rowerzysty, to by już coś mieli.

Niestety nie mieli tych butów. Ani stroju. Ani roweru. Poszukiwania jak dotąd były bezowocne. Jednak z analizy czasowej wynikało, że wszystko musiało zostać porzucone bardzo blisko wioski.

Kiedy tylko zaczęły wpływać raporty o ubranej na czarno postaci, do mieszkania Jacksona wysłano dwóch ludzi w poszukiwaniu stroju rowerzysty oraz torbki pani Lawrence. Nic nie znaleziono. Wkrótce po wyjściu policjantów zadzwonił Lionel Lawrence i raczej niespójnie narzekał na prześladowania ze strony policji.

Osiągnąwszy w swoich rozważaniach punkt „jeden krok naprzód, dwa kroki do tyłu”, nadinspektor ucieszył się, gdy otworzyły się drzwi i pojawił się w nich jego pomagier z kubkiem mocnej herbaty i paczką ciastek. Na szczęście były to ciastka Rich Tea, raczej nudne. Pozbawione smaku i kalorii.

—Wiesz, że uważam na kalorie.

—Tak, szefie. Ale na lunch zjadł pan tylko sałatkę. Myślałem...

Barnaby machnięciem dłoni pokazał, że nie chce kolorowej paczki, i zapytał, czy pojawiło się coś nowego.

—Raport naszego człowieka z Ferne Basset. Najwyraźniej Jackson nie wyściubił nosa z domu. Zmianę przejął sierżant Bennet. Jak długo panu na to pozwolą, szefie?

—Wyniki muszą być w ciągu trzydziestu sześciu godzin.

—Myśli pan, że Jackson go zauważył?

—Jak, przez mury Probostwa?

—Tę kanalię podejrzewam o wszystko. Aha, i przyszedł film ze sklepu Top Gear.

—Dlaczego nie powiedziałeś?

—Właśnie mówię.

Sierżant Troy przykleił się do drzwi, kiedy Barnaby z kubkiem w ręku popieszył na zewnątrz gabinetu. Nie było się czym ekscytować, chociaż Troy nie miał serca, by to powiedzieć. Już raz obejrzeni film na dole, ale okazało się, że jest kompletnie bezużyteczny. Mrugnięcie okiem i nie było gnojka.

—Zaczynamy. — Barnaby usiadł i niecierpliwie pochylił się do przodu, wpatrując się w ekran. Film ruszył. Szaroniebieskie postacie z torbami, apatycznie

powłóczące nogami wzdłuż chodnika. Dwie chichoczące dziewczyny. Jakiś maluch na ramionach ojca. Wydawało się, że nikt nie wie o istnieniu kamery. Potem przez ekran śmignęło coś czarnego.

—Co to było? — zapytał Barnaby.

—Ten, kogo szukamy — odparł Troy.

—O cholera. — Ramiona nadinspektora opadły gwałtownie. — Dobra, cofnij i zatrzymaj.

Patrzyli na szczupłą sylwetkę, chwytającą za kierownicę ukradzionego roweru. Jednym kołem stał już na jezdni, a rowerzysta przygotowywał się do wskoczenia na siodełko. Zbiór muskularnej energii, nawet w bezruchu i widziany tylko od tyłu, robił wrażenie.

—Tego samego wzrostu co Jackson, tej samej postury — powiedział inspektor Carter.

—Oczywiście, że jest tego samego wzrostu i postury!—Barnaby ze złością odsunął swoje krzesło. — To ten sam cholerny facet.

—Powiększymy zdjęcie, szefie? — zapytała sierżant Brierley.

—Możemy, chociaż nie wydaje mi się, aby cokolwiek z tego wynikło.

—Gdyby tylko patrzył w drugą stronę — rzekł sierżant Griggs. — Ten sukinyś ma diabelne szczęście.

—Jego szczęście wyczerpie się prędzej czy później — odezwał się Barnaby. — Jak szczęście każdego. Nawet diabła.

Louise nie wspomniała bratu o wizycie w szpitalu. Nie zamierzała celowo tego ukrywać, lecz pamiętała, jak w czasie poprzedniej rozmowy temat napadu na Ann doprowadził do wybuchu złości, po którym nastąpił atak na policję za ich stałe dręczenie Jaksy. Teraz czas, kiedy mogłaby naturalnie o tym wspomnieć (a wróciła do domu osiem godzin temu), już dawno minął.

Odpowiedziała na policyjny apel z wiadomości w porze lunchu. Zadzwoiła pod podany numer z budki przy poczcie na Market Square i opisała rowerzystę bez mówienia, że rozpoznała, kim był. Nie mogła się do tego zmusić, nawet w

anonimowym telefonie. I nie była przygotowana do tego, by go później identyfikować, częściowo ze strachu o własne bezpieczeństwo, ale głównie ze względu na ból, jaki sprawiłaby Valowi. Raczej wstydziła się z tego powodu, bo jej wspomnienia z oddziału intensywnej opieki medycznej były świeże i bolesne. Louise czuła, że gdyby Ann umarła, to ona złożyłaby zeznania bez względu na koszty. Ale oczywiście pragnęła, by przyjaciółka wyzdrowiała i mogła sama powiadzić policji, kto ją zaatakował.

Ta świadomość doprowadziła do kilku chwil niepokoju, kiedy Louise zastanawiała się, czy Jax nie wybierze się do szpitala, by sprawić, że Ann nie wyzdrowieje. Wydawało się, że nic go nie może powstrzymać. Nikt nie pilnował Ann, ani pod drzwiami, ani w pokoju. Pielęgniarka powiedziała wprawdzie, że prawie zawsze tam ktoś jest, ale potrzeba tylko chwili, by zerwać rurki lub wyjąć przewody z gniazdek. A ponieważ policja uważa, że Ann padła ofiarą przypadkowego ataku, nie widzi potrzeby chronienia jej. Louise powiedziała sobie, że jest melodramatyczna. Zbyt wiele filmów się naoglądała — przyszła jej na myśl scena z *Ojca chrzestnego*. Ale strach pozostał.

Zadzwoiła do szpitala. I tak zamierzała to zrobić, by się dowiedzieć, jak poszła operacja. To, co usłyszała, wcale jej nie uspokoiło. Operacja była prosta. Pani Lawrence jeszcze nie wybudziła się po narkozie. Nie było odwiedzających.

Nagły chłód, bardziej niż jakikolwiek dźwięk, oznajmił, że frontowe drzwi zostały otwarte, a potem zamknięte. Jej brat powoli wszedł do pokoju. Milcząco skinął głową i opadł na szkarłatny aksamitny fotel, uformowany na kształt ogromnej muszli.

Louise widywała go już, jak wracał z mieszkania nad garażem z wyrazem mieszaniny radości i bólu i chodził tak, jakby pogruchotano mu połowę kości. Ulżyło jej, gdy zobaczyła, że wygląda po prostu normalnie. Czy też na tyle normalnie, na ile wyglądał w ostatnich dniach.

— Co tam sływać?

— Jax tymczasowo przeniósł się do Probostwa. — Rozczarowanie było duże. Nie mógł nawet dotknąć chłopaka. — Opiekuje się Lionelem.

Louise poczuła nagle, głębokie ukłucie lęku. Wiedziała, że powinna się tu zatrzymać. Powiedzieć „Jak miło” i nie starać się sięgać głębiej. Ale kierowała nią

straszna ciekawość. Chciała się dowiedzieć, dlaczego Lionel nie odwiedził żony. Ani nawet nie skontaktował się ze szpitalem.

—Musi być bardzo zmartwiony. Mam na myśli Lionela.

—Zrozpaczony, biedak. Nie wie nawet, jak się nazywa.

—Wybrał się, by ją odwiedzić?

—O tak. Byli dziś rano.

—Byli?!

—Co się stało?

— Przepraszam. Po prostu myślałam... Ann jest tak... zazwyczaj więcej niż jeden odwiedzający...

Kiedy tak plątała się w słowach, jej serce przyspieszyło. Zadając pytanie, na które znała odpowiedź, zrobiła krok od uczciwości do oszustwa. Wpatrywała się w brata z konsternacją. Nigdy tak z sobą nie grali. Odpowiedział jej spojrzeniem, najpierw z zastanowieniem, potem z narastającą podejrzliwością.

— Ktoś musi wozić Lionela. To miałem na myśli, mówiąc „byli”.

—Ach tak, przepraszam. Nie pomyślałam.

—O co chodzi?

—O nic. Po prostu rozmawiam.

— Nie, nieprawda. — Był na progu złości. Louise zaczęła myśleć, jak najlepiej się wyplątać. Może gdyby powiedziała, że jest zmęczona i idzie spać, po prostu wzruszyłby ramionami i puścił sprawę w niepamięć. Z dawnym Valem nie byłoby problemu. Ale ten nowy, zraniony Val był taki zmienny, gotowy bić na oślep, kiedy tylko usłyszy rzeczywistą lub wyimaginowaną zniewagę. A tym razem miał rację. Nie była z nim szczerą i podejrzenia były słuszne. Czy nie byłoby lepiej po prostu powiedzieć mu prawdę?

—Pojechałam dziś odwiedzić Ann.

—Co?

—Mniej więcej w czasie lunchu.

—Dlaczego mi nie powiedziałaś?

— Nie mogłam. To było takie straszne, Val. Rurki, kroplówki, cała ta maszyneria... i biedna Ann, prawie nieobecna.

— O Boże, Lou.

—Ona umiera, wiem, że tak. — Louise wybuchła potokiem łez. Val wygramolił się z fotela i objął siostrę, tak jak robił to wtedy, gdy była małą dziewczynką. Przez moment Louise pozwoliła sobie na uspokajające złudzenie, że wszystko jest znów tak, jak kiedyś. Ale potem wzięło górę dążenie do prawdy, do tego, by zapanowała między nimi absolutna szczerść.

—Mówili... — płakała tak bardzo, że ledwie mogła wypowiadać słowa — że on w ogóle do niej nie przyszedł...

—Kto?

—Lionel.

—To śmieszne.

—Ani nawet nie zadzwonił.

— Rozmawiałaś z niewłaściwą osobą. W tych dużych instytucjach recepcjonistki stale się zmieniają.

— To była pielęgniarka na intensywnej opiece.

Wtedy Val się wycofał. Najpierw fizycznie, ciepłe muskularne ręce sztywniały, aż Louise poczuła, że obejmują ją dwie wygięte deski. Potem wycofał swoje emocje.

— Myślałem, że już z tym wszystkim skończyłaś — powiedział chłodno. Wstał i zrobił kilka kroków.

—Val, nie odchodź!

—Myślałem, że się zmienisz. Że zaczniesz rozumieć.

—Rozumiem! — zawołała Louise.



— Teraz nazywasz go kłamcą. — Patrzył na nią z dystansem, a jednak nie bez współczucia. — Zaprosiłem Jaksę, by tu zamieszkał, Louise. Niezależnie od tego, czy się wyprowadzisz, czy nie. Po prostu będziesz musiała to zaakceptować.

— Jak mogę zaakceptować coś, co cię tak unieszczęśliwia?

— Tu nie chodzi o szczęście. Raczej o zadowolenie, że się żyje.

Kiedy jego siostra poszła do łóżka, a potem płakała tak długo, aż zasnęła, Val usiadł przy oknie w swoim pokoju, wpatrując się w cedr na podjeździe domu naprzeciwko. Louise łkała tak gwałtownie i tak długo, że myślał, iż się rozchoruje. Jednak nie poszedł do niej, po prostu nie mógł powiedzieć tego, co chciała usłyszeć, i wiedział, że jego obecność może jej przysporzyć więcej cierpienia.

To, co powiedział o zadowoleniu, było prawdą. Podobnie jak to, że teraz przez większość czasu doświadczał bólu i strachu. Ale chwila, kiedy mógł zawrócić i odejść, dawno minęła. Teraz to już nie była kwestia porównywania cierpienia i satysfakcji, którą dostawał w zamian. Już nie było miejsca na decyzję, czy gra jest warta świeczki.

Dante miał rację. I von Aschenbach. Patrz, pożądaj, kochaj i uwielbiaj młodość i piękno. Ale nie dotykaj. Tylko co z tym „napięciem poniżej bioder”, jak przeczytał kiedyś we wbijającym się w pamięć opisie seksualnego pragnienia. Valowi wydawało się, że im częściej zaspokajał swą tęsknotę do Jaksę, tym była ona silniejsza. Dziś wieczorem, siedząc niezręcznie w zabałaganionym salonie Starego Probostwa i pytając o zdrowie żony Lawrence'a, Val czuł, że płonie.

Jax i Lionel siedzieli naprzeciwko niego na pokrytej czerwonymi plamami sofie. Jax pił colę, jego język wsuwał się i wysuwał ze szklanki jak ryba. Za każdym razem, kiedy sięgał po szklanekę, wałka na jego tatuażu przechodziła przez snop światła ze stojącej lampy i, opalizując, ożywała. Lionel zdawał się śnić na jawie: spokojny, uśmiechnięty, nie patrzył na nic ani na nikogo konkretnego.

Val nie został długo. Nie potrafił znieść tego, że mając Jaksę w zasięgu ręki, nie może go dotknąć. Płonące niebieskie oczy chłopaka świeciły erotycznym zaproszeniem. Drgający język rozpalał zmysły Vaia i doprowadzał go do szaleństwa. Modlił się, by Jax odprowadził go do drzwi, może wyszedł nawet na ze-



wnętrz i postać z nim chwilę w ciemnościach. Ale Jax się nie poruszył. Uniósł tylko ironicznie szklanę na do widzenia.

Val nie miał złudzeń co do tego, jak będzie wyglądało jego życie, kiedy chłopak się wprowadzi. Jego miłość do Jaksa, tak potężna, była też bezsilna. Dawałby bez końca, aż do bólu. Do chwili, gdy nie tylko jego rachunek bankowy, ale także jego serce popadłoby w ruinę. Jax brałby fizycznie, emocjonalnie i finansowo, tyle, ile by chciał, i tak długo, jak by mu to pasowało. Potem by zniknął. Nie zacząłby kochać Mozarta ani Palestriny. Nigdy nie dałby się też namówić na przeczytanie gazety, nie mówiąc już o Austen czy Balzaku. Takie pigmalionowe tęsknoty Val uznał teraz za beznadziejnie głupie. Jednak nie były niemoralne i nie mógł się z nich śmiać, co pewnie by łatwo uczynił, gdyby odczuwał je ktoś inny.

To czarnowidztwo, nieprzynoszące ani jednego promyka światła czy odrobiny ukojenia, nie przygnębiło Vaia nadmiernie. Lubił myśl, że jest przygotowany na wszystko, i wierzył, że da sobie radę, kiedy nadejdzie koniec, chociaż napełniało go to rozpaczą.

Nie było nikogo, z kim mógłby o tym porozmawiać. Val miał kilkoro dobrych przyjaciół, heteroseksualnych i gejów, ale nikt spośród nich nie mógłby go zrozumieć. Bruno tak, być może, ale był teraz tylko chmurą pyłu gnaną wiatrem przez Quan-tocks, gdzie lubili chodzić. A Val, który rozsypując prochy, myślał, że zaraz umrze rozdarty przez samotność, tęsknił teraz do kogoś innego.

Podniósł się sztywno — Louise już w końcu ucichła — i po-masował łydki. Obudził się tego ranka z oślepiającym bólem głowy i nie jeździł dziś ani na drodze, ani w garażu. Pierwszy raz od miesiąca zrezygnował z jazdy i jego mięśnie to czuły.

W ogrodzie Probostwa zapaliło się halogenowe światło. Szykretowy kot z Red Lion przeszedł przez trawnik, potem zatrzymał się i przyczaił, całkiem bez ruchu. Val miał się już odwrócić, kiedy zauważył, że niebieskie drzwi są tylko w połowie widoczne. Ciemny, wysoki cień wypełniał brakującą część. Drzwi stały otworem.

Z sercem przepelnionym nagłą radością, Val wybiegł z domu, przebiegł oświetloną księżycową poświatą drogę i ruszył w górę wyłożonych dywanem schodów. Do najmroczniejszych chwil swego życia.

TLR

# Rozdział jedenasty

---

Detektyw nadinspektor Barnaby wymieszał krojone banany i musli. Westchnął głęboko i odłożył łyżkę.

— Czy jest jeszcze kawa?

— Nie wygląda na to — odparła Joyce, kierując wzrok na pusty dzbanek. — I nie zrobię więcej. Pijesz tego za dużo. Ograniczyłeś już kawę w pracy?

— Tak.

— Obiecałeś.

— *Tak.* — Barnaby odsunął miseczkę na bok. — Na litość boską.

— Co się działo w nocy?

— Nie mogłem spać.

Miał urywane sny, żywe, krótkie, ale intensywne, wszystkie odnoszące się do tego, co tak przytłaczająco panowało w jego myślach, ale zestawione w śmieszne kombinacje, bez najmniejszego sensu. Valentine Fainlight pedałowal wściekle na wiejskim skwerze w Ferne Basset, ale bez ruszania się z miejsca, a Vivienne Calthrop unosiła się ponad ziemią tuż za nim, jak pokryty cekinami wielki balon. Louise Forbes w stroju do nurkowania z krokodylej skóry, płacząc się w wodoro-  
stach rwącej rzeki, polowała na ryby tasakiem i łapała je ramą starego wózka. Ann Lawrence, młoda i piękna, w kwiecistej sukni, wsiadała do otwartego czerwonego samochodu. Po chwili spadał na nią przezroczysty parawan obwieszony słoiczkami i rurkami i samochód przekształcał się w szpitalne łóżko. Lionel Lawrence w pokoju podobnym, a jednak niepodobnym do pokoju Carlotty, rozrzucał bibeloty i książki, darł plakaty, a Tanya, tym razem prawdziwy anioł z ogromnymi pierzastymi skrzydłami, przysiadła na regale i, z palcami w geście „odwal się”, uśmiechała się szeroko.

W końcu z podświadomości Barnaby'ego wyłonił się Jackson, niczym monstrualna wańka-wstańka w marynarskim mundurze. Śmiał się mechanicznie, a im bardziej się go popychało, tym bardziej się śmiał i kołysał. Kolejnym uderzeniem

i popchnięciom towarzyszy! coraz głośniejszy śmiech, który w końcu przekształcił się w jeden długi krzyk. Właśnie wtedy Barnaby się obudził i zorientował się, że to on sam krzyczał.

Joyce sięgnęła przez stół i wzięła go za rękę.

—Musisz nabrać do tego dystansu, Tom.

—Nie mogę.

—Zawsze mówisz...

—Wiem, co zawsze mówię. Ten przypadek jest inny.

—Przypominasz mi tego człowieka z wielorybem.

—Zgadza się. Nazywaj mnie Ahab.

—To się jakoś rozwiąże prędzej czy później.

—Tak.

—Spróbuj...

—Joycey, przepraszam. Spóźnię się.

Miał jeszcze co najmniej dwadzieścia minut. Joyce poszła za mężem do holu, pomogła mu założyć płaszcz i wyjęła szalik.

— Nie chcę szalika.

— Po prostu weź go ze sobą. Jest naprawdę chłodno. W ogrodzie jest mgła.

Przez okno w holu patrzyła, jak wsiada do samochodu. Usłyszała ryk silnika i ujrzała, jak odjeżdża, zbyt wcześnie i zbyt szybko. Potem od okna oderwał ją telefon.

Coś strasznego przydarzyło się Valowi. Louise przywykła do tego, że brat wstaje pierwszy. Kiedy więc obudziła się w zupełnie cichym domu, po prostu założyła, że udał się na swoją codzienną rowerową przejażdżkę.

Wskoczyła w jakieś ciepłe spodnie i sweter, zrobiła herbatę i zabrała ją na zewnątrz. Barnaby'emu ogród u Fainlightów wydawał się zbyt sztywny i surowy.

Ale to właśnie ta formalność otoczenia przemawiała do Louise. Granice posiadłości były proste, niskie cisowe barierki precyzyjnie ustawione pod kątem, krzewy elegancko ukształtowane przez umiejętne przycinanie, a ciemna woda w basenie pozostawała nieporuszona. Nawet przy słyszalnym teraz turkocie i ryku śmieciarki sceneria była bardzo spokojna.

Louise chodziła leniwie dokoła, popijając herbatę. Zatrzymała się przy rzeźbie zająca, pogłaskała jego uszy. Rozgniotła w dłoniach pachnący liść. Podchodząc do tylnego muru, zauważyła, że w ogrodowych drzwiach brakuje klucza. Był to duży żelazny klucz, zawsze przekreślony, by nie wszedł nikt nieproszony, ale nigdy niewyjmowany. Val uważał, że jeśli Louise zacznie trzymać go w bezpiecznym miejscu, to wkrótce się zgubi.

Louise przekręciła gałkę i wyszła na zewnątrz, na wąski pas trawy graniczący z rowem. Po drugiej stronie rowu długie pole rżyska ograniczone było żywopłotem, ciągnącym się aż do głównej drogi. W zamku z drugiej strony furtki klucza też nie było. Poszuka go po śniadaniu, a jeżeli go nie znajdzie, kupi w Causton zasuwę i kłódkę.

Zostawiając ogród za sobą, podeszła do garażu. Były tam wszystkie rowery, brakowało jednak samochodu, alvisa. Potem, ku swojemu zdziwieniu, Louise zauważyła, że auto stoi porządnie zaparkowane blisko krawężnika. Podjechała śmieciarka. Mężczyzna wziął kubek na kółkach Fainlightów i przyczepił go do mechanizmu unoszącego. Rozległ się głośny łomot, a potem kubek znalazł się znów na chodniku. Louise popchnęła go do garażu.

Wróciwszy do domu, zawołała brata, a kiedy nie uzyskała żadnej odpowiedzi, weszła do jego pokoju. Val siedział na niskim krzeselku, bardzo blisko okna wychodzącego na wiejską ulicę i podjazd. Na jego kolanach leżała lornetka polowa z czasów, gdy zajmował się obserwowaniem ptaków. Palcami tak mocno obejmował skórzany pasek, że wydawało się, iż białe kłykcie zaraz przebiją skórę. Klucze od samochodu leżały na podłodze przy jego stopach.

— Val! — Przestraszył ją jego całkowity bezruch. — Co to? Co się dzieje?

Wydawało się, że nie usłyszał. Nawet nie odwrócił głowy. Zakołysał się tylko tak, jakby zapadał w sen, potem nagle się wyprostował. Wciąż miał na sobie ubrania z wczorajszego dnia.

—Byłeś tu całą noc?

—Nic.

Louise wpatrywała się w niego zdumiona, po czym zdała sobie sprawę, że odpowiedział na jej pierwsze pytanie.

— Czy jesteś chory? Val! — Wyciągnęła rękę i dotknęła go, lecz zaraz cofnęła dłoń. Jego ręka była zimna i ciężka jak kamień. — Zmarzłeś. Przyniosę ci coś ciepłego do picia.

—Dobrze się czuję.

—Od jak dawna tu siedzisz?

— Odejdź, Lou. Nie, poczekaj! Muszę zrobić siku. — Wręczył jej lornetkę. — Nie spuszczaaj oczu z domu.

Louise czekała aż wróci, nie obserwując żadnego domu, czy to z lornetką, czy bez. Kiedy wrócił, odwrócił się od niej, jeszcze raz wyglądając na zewnątrz z gorączkową koncentracją, zezując i przyglądając się czemuś przez szkła lornetki.

Poczekala kilka chwil, wyczuwając, że o niej zapomniał. Nie była pewna, co ma robić dalej. Zaparzenie herbaty, uniwersalnego angielskiego panaceum na wszystko, od bólu głowy po pożar, powodzie i zarazy, wydawało się pustym gestem. Ale on był tak zimny. I było to lepsze niż nierobienie niczego. Jednak gdy zaczęła się oddalać, Val przemówił.

— Nie radzę sobie... to znaczy, jeśli tylko... Radzę sobie... Będę w stanie... sobie poradzić... tylko jeśli muszę... więc powiedz mi... zapytaj go... zapytaj go... męczarnie... Nie mogę znieść... nie... nie...

Całe to bolesne mamrotanie przeplatane było świszczącym oddechem. Jakby miał atak astmy. Louise czekała, zdruzgotana, aż cała ta nawałnica przeminie. Niewielkim pocieszeniem było dla niej to, że nie kierował tego pod jej adresem. Zanim opuściła pokój, Val z lekkim okrzykiem szybko podniósł lornetkę do góry, potem równie szybko ją opuścił. Przygarbił się z rozczarowaniem.

Louise wycofała się do kuchni. Robiąc herbatę i zastanawiając się, do kogo, na litość boską, mogła się zwrócić ze swoim kłopotem, odkryła, że teraz, kiedy w wiosce nie było Ann, nie miała nikogo takiego. Mieszkając w Ferne Basset, ona i

Val zawsze byli samowystarczalni. Taka samowystarczalność jest bardzo dobra, dopóki jedno nie stanie się bezradne. Zastanawiała się, czy nie zadzwonić do ich lekarza, ale zaraz potem porzuciła tę myśl. Jaki by to miało sens? Lekarz raczej by nie przyszedł tylko dlatego, że pacjent jest całkiem zdruzgotany i bełkocze do siebie bez ładu i składu. A nawet gdyby to zrobił, jak mógłby zareagować Val? Wydawało się, że w obecnym stanie całkowitego braku równowagi zdolny będzie zrzucić lekarza ze schodów i ruszyć natychmiast jego śladem.

Co takiego mogło się wydarzyć od ich rozstania wieczorem, co doprowadziło go do tak żalosego stanu? Nie miała wątpliwości, że Jax maczał w tym palce. Zastanawiała się, czy zbierze się na odwagę, by zapytać o to Vaia, szybko postanowiła jednak tego nie robić. Nie dlatego, że bała się jego reakcji, lecz z obawy, że zdecyduje się powiedzieć jej prawdę.

Dopiero później, kiedy wróciła do jego pokoju z herbatą i Val odwrócił się do niej, z zamglonymi, strasznymi oczami, przypomniła sobie, że tego dnia był pogrzeb Charliego Leathersa.

W Red Lion ciągnięto słomki o to, kto na pogrzebie będzie reprezentował gospodę, w której Charlie spędził tyle nieszczęsnych godzin, odrywając innych klientów od ich piwa.

Oczywisty kandydat, gospodarz, nie chciał zostawić pubu i nikt go za to nie winił. Pozostawało więc pięciu stałych klientów, którzy w minutę po ogłoszeniu pomysłu z losowaniem z różnych przyczyn wciąż jeszcze byli na miejscu. Spośród nich jeden był w toalecie, a dwóch grało w bilard — dlatego nie słyszeli, o co chodzi. Czwarty, emerytowany aktor, zagadywał barmankę o imieniu Colleen, a ostatni, Harry (Ginger) Nuttings, od czasów wojny miał blaszaną nogę i nie zdążył na czas dojść do drzwi. To właśnie Harry wyciągnął najkrótszą słomkę.

Szczerze obiecał być przy kościele z wybiciem jedenastej w dniu pogrzebu, ale się nie pojawił. Później w czasie lunchu — po wypiciu podwójnej whisky postawionej mu za obecność na pogrzebie — wyjaśniał, że odpiął nogę, tak jak miał w zwyczaju, tuż przed drzemką po śniadaniu i kiedy się obudził, odkrył, że proteza wtoczyła się pod łóżko. Zanim udało mu się ją wyłowić, karawan dojeżdżał już do bram kościoła. Nie chciał przeszkadzać, pojawiając się za późno.



— Więc było mało ludzi — powiedział emerytowany aktor.

Louise też tak myślała, kiedy stała w dyskretnej odległości od żałobników i od skraju grobu. Nie miała na sobie czerni, choć jej garderoba była pełna ubrań w tym kolorze. Czuła jednak, że taki gest byłby głęboko niestosowny, biorąc pod uwagę jej niewielki związek ze zmarłym.

Żałowała, że przyszła. Czuła, że Hetty Leathers zaprosiła ją tylko z uprzejmości i teraz była zaskoczona na jej widok. Ona sama była tam z obowiązku. Louise martwiła się też, że zostawiła Valentine'a samego. Przechodząc przez bramę, spojrzała za siebie i widziała, jak patrzył nieruchomym wzrokiem przez szybę, samotny i opuszczony w swojej kryjówce, jak więzień w wysokiej wieży.

Rodzina zmarłego zносиła wszystko dzielnie. Pauline stała z lewej strony matki i trzymała ją za rękę. Mąż Pauline, przysadzisty mężczyzna z krótko przyciętymi rudymi włosami, podtrzymywał Hetty z drugiej strony. Nic nie wskazywało na to, by potrzebowała takiego wsparcia. Wyglądało raczej, że wszyscy troje dobrze ukrywają swój smutek. Evadne Pleat stała obok nich, jej twarz ginęła pod ogromną zwiewną bezą kapelusza. Chociaż wydawało się, że z grobową powagą spuszcza oczy, patrząc z szacunkiem na trumnę, tak naprawdę z pewnym zatroskaniem obserwowała Louise Forbes. Widziała tylko jej profil, lecz zauważyła usta, opuszczone w dół, jak w tragicznej masce. Kobieta miała na sobie mnóstwo makijażu. Mrużyła oczy i mrugała. Jak gdyby czuła, że jest obserwowana, potrząsnęła ciemnymi, połyskującymi włosami, zakrywając nimi w połowie swoją twarz.

Kiedy do Lionela Lawrence'a dotarło, że jego żona, nie będąc już w stanie rozstawiać go po kątach, nie może zmusić go do spełnienia kościelnego obowiązku wobec ich zmarłego pracownika, szybko porzucił cały pomysł. Wielebny Theo Lightdown, podobnie jak wszyscy inni zaszokowany strasznymi wieściami o pani Lawrence, zrozumiał od razu, że jej mąż nie może się ruszyć od jej szpitalnego łóżka, i pospiesznie przejął jego obowiązki.

Niestety nie wiedział nic o Charliem i musiał rozbudować kilka zaledwie uwag, jakie przekazał mu Lionel (raczej niejasnych, tak naprawdę, ale czyż można biedaka za to winić?). Zatem mowa była nie tylko krótka, ale też nieco nieodpowiednia. Wydawało się, że pastor Lightdown czuje tyle, ile pięcioro wpatro-

nych w niego żałobników o suchych i nieco oszołomionych oczach. Wielebny nawiązał do Adama, boskiego prekursora ogrodników, którego śladami Charlie tak szlachetnie kroczył. Wspomniął o jego miłości dla wszystkiego, co rośnie, i o tym, że miał „rękę do roślin”. O jego wesołych przyjaźniach. O nim, jako o kochającym ojcu i dziadku, teraz w spokoju oczekującym cierpliwie dnia, kiedy jego ukochana żona i towarzyszka wielu lat życia do niego dołączy. Na te słowa na obliczu wdowy Leathers pojawił się cień takiego przerażenia i zdenerwowania, że wielebny Lightdown zdecydował się zakończyć mowę.

Zamknął modlitewnik i przycisnął go z powagą do brzucha. Hetty patrzyła na powoli i równo opuszczaną trumnę. Jeżeli zbierało się jej na płacz, to raczej na widok pięknego wieńca, tak starannie wybranego przez Ann, z jej słodkim, raczej dziecięcym pismem na kartce z czarną obwódką. Był tam też dużo skromniejszy, raczej zwykły wieniec od rodziny oraz bukiet żółtych chryzantem od Fainlightów.

Liny naprężyły się i skrzypiały na lakierowanym drewnie, ale trumna nie przechyliła się ani trochę. Jakby cała ta troska miała jakiegokolwiek znaczenie, pomyślała Hetty. Jakby Charliemu zależało. Przecież nie zależałoby mu na tych kwiatach, jeśli już o to chodzi. Pauline uwolniła rękę matki i szepnęła jej coś do ucha.

Hetty schyliła się, by podnieść garść ziemi. Zaskoczył ją jej kolor i kruchość. Jak bożonarodzeniowego ciasta. Rzuciła ją do grobu. Spadła na wygrawerowaną mosiężną tabliczkę, prawie zakrywając imię i nazwisko jej męża. Zostało C...ar...i... Lea...

Hetty często widziała takie sceny w telewizyjnych dramatach i teraz sama poczuła się tak, jakby grała w jednym z nich. Oczywiście nie czuła szczerego smutku. Chciała tylko wrócić do domu i sprawdzić, czy wnuki i Candy mają się dobrze. I zacząć podawać lunch, składający się z pokrojonej szynki, sałatki, kanapek z łososiem z puszki i ogórkiem oraz ciasta, które Pauline i mała Jenny przygotowały wcześniej.

Niewielkie grono żałobników zaczęło się rozchodzić. Nastąpił dziwny moment, kiedy Louise wyciągnęła rękę do Hetty i powiedziała, jak bardzo jej przykro, a Hetty nie była pewna, co należy zrobić. Ale wkroczyła Pauline i po prostu

zaprosiła Louise do domu na filiżankę herbaty. Ta jednak powiedziała, że ma umówione spotkanie, pożegnała się i odeszła.

Evadne szła z radością do domu Hetty. Lubiła widzieć przyjaciółkę na łonie rodziny, a jej wnuki były zachwycające.

Kiedy już minęły bramę cmentarza, włożyła rękę przyjaciółki pod swoją i szły tak ulicą w jasnym jesiennym słońcu. Pauline i Alan podążali tuż za nimi.

Hetty wspomniała o swoim dziwnym braku żalu i smutku, a Evadne zasugerowała, że powinna pójść do lekarza. Po kilku dniach Hetty to zrobiła, a doktor Mahoney stwierdził odroczonego szok. Ostrzegł Hetty, że smutku nie można bez końca wypierać i że musi koniecznie przyjść do gabinetu, jeżeli będzie potrzebowała jakiegokolwiek pomocy. W końcu ostrzegł, że „smutek może przyjść jak powódź w najmniej spodziewanym momencie”.

Ale nigdy nie przyszedł.

Było wiele rzeczy, których Barnaby nie lubił w swojej pracy, choć na szczęście tych, które lubił, było więcej. Do szaleństwa doprowadzało go na przykład czekanie. Czekanie na informacje i na sporządzenie raportów. Czekanie na wyniki pracy techników kryminalistycznych i wyniki sekcji zwłok. Czekanie na spotkania z ludźmi, którzy, być może, mają informacje na temat śledztwa, które utknęło w martwym punkcie, a ich pierwszy wolny termin to piątek za tydzień. Czekanie na faksy będące odpowiedzią na twoje faksy. Czekanie na wywołanie fotografii. Czekanie na zwoje perforowanego papieru, aż wydostaną się z drukarki. Czekanie, aż cwaniak siedzący naprzeciwko ciebie za laminowanym stołem w pokoju przesłuchań otworzy usta i powie cokolwiek, choćby tylko „odpieprz się”.

Teraz Barnaby czekał na wyniki porównania odcisków palców z mieszkania Carlotty w Stepney z tymi, które zdjęto na strychu Starego Probstwa. Prawdopodobnie będą takie same, ale trzeba mieć pewność. W pokoju na strychu były jeszcze odciski dwóch innych osób, prawdopodobnie Ann i Lionela Lawrence'ów, gdyż Hetty Leathers przysięgała, że nie postawiła nogi w tym pokoju, od kiedy Carlotta się wprowadziła. Lawrence niechętnie zgodził się przyjść kiedyś na komisariat w celu pobrania od niego odcisków palców do eliminacji (znów

czekanie). Odciski Jacksona, znane policji, zostały już porównane, z negatywnym rezultatem.

Na biurku Barnaby'ego leżały powiększone zdjęcia z kamery w sklepie i nasmiewały się z niego. Mężczyzna w czerni, wsiadający na rower marki Peugeot, którego od tamtej pory nie odnaleziono. Zatem gdzie mógł zostać ukryty? Jeżeli chcesz ukryć książkę, wybierz bibliotekę. Ale rower? W Ferne Basset nie było sklepu, w którym można by wcisnąć jeden rower między wiele innych. Albo ubrania — nawet ważniejsze. Gdyby tylko mogli znaleźć spodenki z lycry, udowodnić, że z nich pochodziła nitka w bagażniku humbera, i jakoś połączyć to wszystko z Jacksonem. Ale jeżeli to się nie uda — a w miarę upływu czasu wydawało się to coraz bardziej prawdopodobne — trzeba będzie znaleźć jakiś inny sposób.

Kiedy starał się znaleźć ten inny sposób, ogarnął go nieodparty strach, że istnieje pytanie, które zadane właściwej osobie przyniosłoby mu to, czego brakuje w ogromie informacji, w których utknął. Mógłby wtedy znaleźć rozwiązanie zagadki. Może nawet już zadał to pytanie, ale niewłaściwej osobie. Jednak bardziej prawdopodobne było to, że nie wie jeszcze, jak ono brzmi.

Jakże wszystko byłoby łatwiejsze, gdyby wiedział, co może odrzucić. Doświadczenie mówiło mu, że użyteczny był tylko ułamek informacji, które zalewały go niczym powódź. Póki co jednak można było spokojnie pominąć tylko niewielki ich procent. W końcu (proszę Cię o to, Boże) pozna prawdę i stwierdzi, że to, czego szukał, to drobna wieść od techników, przejęzyczenie podczas przesłuchania, celowo wprowadzająca w błąd rozmowa, których znaczenie dopiero wtedy w pełni zrozumie.

Ale teraz mógł tylko czekać. Czekać aktywnie, bo nie mógł znieść bezczynności. Postanowił zacząć czytać wszystkie informacje związane ze sprawą. Dotąd nie było na to czasu, a czytanie fragmentaryczne w miarę pojawiania się informacji nigdy nie dawało spójnego obrazu sytuacji. Będzie czytał powoli, stawnie, z wyostrzoną uwagą. Spojrzał w kalendarz. Czwartek, dwudziesty siódmy sierpnia. Ponad dziesięć dni, od kiedy Carlotta uciekła. Osiem dni od śmierci Charliego Leathersa. Może dzisiaj będzie jego szczęśliwy dzień.

Sierżant Alee Bennet nudził się. Albo raczej coraz bardziej się nudził. Nudził się już wtedy, gdy zaczynał tę obserwację, bo nie ma nic bardziej nudnego niż świadomość, że będzie się siedziało godzinami w samochodzie i wpatrywało w dom, w próżnej nadziei, że wybiegnie z niego twój podejrzany, pojedzie w jakieś niezwykle efektowne miejsce i podejmie ekscytujące działania, wszystkie niezgodne z prawem.

Bennetowi przyszło do głowy, że Stare Probostwo mogło być lepiej położone. Z lewego lusterka wstecznego widział Red Lion i dużo by dał, żeby przeprowadzić obserwację właśnie stamtąd, jednocześnie rozprawiając się z grzankami z serem i marynowanymi warzywami i popijając to dużym piwem. Ale było inaczej.

Jego żołądek dał znać, że zbliża się trzynasta. Odwinął kanapkę z peklowaną wołowiną i piklami, odłożył na bok ciastko z dżemem, owinięte osobno w woskowany papier, i rozłożył na kolanach piękną papierową serwetkę w kwiatki. Julie bardzo pieczołowicie spełniała wszystkie małżeńskie obowiązki... no cóż, prawie wszystkie.

Nie przerywając obserwacji, odkręcił termos. Nagle wydało mu się, że sam jest obserwowany. Poczł mrowienie na skórze twarzy i szyi i nieprzyjemną wilgoć na dłoniach. Nie spojrzał do góry ani się nie rozejrzał. Po prostu pił herbatę.

Na murze otaczającym Probostwo zauważył dwie tańczące plamki cytrynowego słonecznego światła. Lornetka polowa. Wysiadł z samochodu, zrobił pokaz czegoś w rodzaju rozciągania mięśni, potem ruszył, tak jakby miał zamiar się przejść po skwerze.

Obserwator znajdował się w górnym oknie przedziwnego budynku, który nie przypominał mieszkania istot ludzkich, lecz raczej cieplarnię skrywającą mały las tropikalny. Siedział bez ruchu, ze spojrzeniem utkwionym w Probostwie. Zatem jest nas dwóch, pomyślał Bennet, idąc z powrotem i wsiadając do samochodu. Zastanawiał się, czy warto dzwonić w sprawie takiego drobiazgu, ale ponieważ facet był dość daleko, a on obawiał się reprimendy za zawracanie głowy głupstwami, postanowił tego nie robić.

Pojedzie zatem w inne miejsce skweru. Dzięki temu nadal będzie widział bramę Probostwa i wspaniałały srebrny samochód przed szklanym domem, a jed-

nocześnie Czterooki nie będzie go już miał w zasięgu wzroku. Ledwie jednak zakręcił termos w szkocką kratę, gdy duży, bardzo stary, czarny samochód wyjechał dość szybko z bramy, skręcił w lewo i skierował się do Causton.

Sierżant Bennet jedną ręką zrzucił serwetkę, ciastko z dżemem i termos na podłogę, a drugą przekręcił kluczyk. Wcześniej został pouczony, że jeżeli pojawi się samochód, to z pewnością będzie w nim obserwowany mężczyzna, bo nikt inny w domu nie potrafi prowadzić. Z oczyma wbitymi w drogę przed sobą, nie od razu zauważył, że po upływie kilku sekund jego śladem ruszył także błyszczący alvis.

Barnaby, po ponad godzinnej lekturze wszystkich rozmów związanych ze sprawą, gapił się na ścianę, kiedy sierżant Troy wsunął głowę przez drzwi.

—O Boże, czy już czas lunchu?

—Jackson właśnie wyruszył na lunch.

— Wspaniale. — Siegając po płaszcz, Barnaby wypowiedział ciche „dziękuję”. Jeszcze tylko cztery godziny i przełożeni kazaliby mu skończyć obserwację. — Miejmy nadzieję, że to nie jest wyprawa do Causton po butelkę czegoś mocniejszego.

— Bennet mówi, że jest na drodze do Beaconsfield.

—Brzmi obiecująco. — Zdecydowanym krokiem przeszli do windy. — Czy Bennet został zauważony?

—Twierdzi, że nie. W tej chwili jedzie trzy, cztery samochody za Jacksonem. Alvis Fainlighta też tam jest.

— Naprawdę?

—O tak. Bardzo szybka reakcja. Najwyraźniej patrzył z domu. Jego samochód jest bardziej z tyłu. Bennet ma wrażenie, że nie chce, by go zauważono.

—Jeżeli będziemy jechali gdzieś dalej, potrzebna nam będzie benzyna. Lepiej zatrzymajmy się na stacji Fali End.



W ciągu pół godziny stało się prawie pewne, że humber wyruszył do Londynu. Jackson całkiem minął Causton, jadąc prosto do Beaconsfield, potem wjechał na M40. Utrzymanie go w zasięgu wzroku miało być według sierżanta Benneta „bułką z masłem”.

— W tym starym karawanie nie mógłby wyprzedzić nawet pięciolatka na rolkach. Nie przekraczamy nawet setki. To wszystko, na co go stać.

—Gdzie Fainlight?

—Słucham?

—Alvis.

— Wciąż za mną. Stara się pozostać niewidoczny. Czy też na tyle niewidoczny, na ile to tylko możliwe, kiedy jedzie się bryką rodem z Bonda.

Bennet zaintonował *Żyj i pozwól umrzeć*, a Barnaby szybko wyłączył komórkę. Pokonawszy chwilową irytację, zaczął z zadowoleniem rozmyślać o tym, jak, dla odmiany, łaskawy jest teraz dla niego los. Bo **jeżeli** musisz śledzić kogoś za kierownicą, to jazda za nim po wewnętrznym pasie autostrady jest jednym z najbardziej dyskretnych i pewnych sposobów utrzymania go w zasięgu wzroku.

—Nigdy nie znaleźliśmy londyńskiego adresu Jacksona, prawda szefie?

—Nie. Pojechał do Lawrence'ów prawie prosto z więzienia. Mieszkał przez tydzień czy dwa w schronisku, żeby uporządkować swoje rzeczy. Przedtem nie miał stałego adresu.

—Nie chciałbym tak żyć.

—Tak jak mówiłem, nie jest bystry.

—Więc może jechać prawie wszędzie.

—Może. Ale pewnie ma jakiś plan.

Gdzieś pomiędzy Paddington i Regent's Park srebrny alvis wyprzedził escorta Benneta. Bennet nie zauważył, kiedy to się stało. Przez ostatnie pół godziny alvis jechał kilka samochodów z tyłu, na dobrą sprawę niewidoczny, i Bennet prawie o nim zapomniał. Nawet nie zauważył, że samochód zmienia pasy ruchu.



Policjant się tym nie zmartwił. Jeśli tylko miał na oku karawan (jak ochrzcił humbera), nie było istotne, kto jeszcze do nich dołączył. Nie musiał nawet zostawać specjalnie z tyłu, bo, jak stwierdził szef w czasie ostatniej rozmowy, dla Fainli-gha ciemnoniebieski escort to tylko jeszcze jeden samochód na drodze.

Kiedy tamte trzy samochody przejeżdżały po Blackfriars Bridge, Troy okrążył Hyde Park.

— Jesteś pewny, że dobrze jedziemy? I nie mów mi, że jedziemy malowniczą drogą. Mam oczy.

—Tak, proszę pana. — Troy pamiętał, że jeszcze kilka dni temu marzył o jeździe po Londynie. Uważał to za wyzwanie, co z pewnością było prawdą. Niewątpliwie mógł sobie z tym poradzić, tyle że jeśli nie zjedzie szybko na lewy pas, to będzie krążył bez przerwy wokół Marble Arch, aż zrobi mu się niedobrze, i niech wszyscy święci mają go w opiece, gdy się zatrzymają. Wrzucił migacz, skręcił gwałtownie i usłyszał z tyłu tak głośny dźwięk klaksonu, że serce podskoczyło mu do gardła.

—Skrót szefie. Omijam Blackfriars. Jest cholernie zatłoczony o tej porze.

Milczenie było gorsze niż reprimenda.

—Skoro już tędy jedziemy, przeskocz przez Waterloo Bridge. O, proszę, jesteśmy w Shoreditch.

—Wygląda mi to na Oxford Street.

Tak też było w istocie. Przedzierał się do przodu, wyprzedzając w ślimaczym tempie czerwone piętrowe autobusy, z których kilka miało z tyłu napis z podziękowaniem za to, że pozwoliło im się ruszyć z przystanku. Oczami wyobraźni Troy zobaczył, co by się stało, gdyby im się nie pozwoliło, a one i tak by ruszyły, i stwierdził, że w gruncie rzeczy najlepiej będzie nie stawać z nimi do walki o pierwszeństwo.

Jego uwadze nie mogła ujść niezwykle wroga postawa kierowców czarnych taksówek, których było tu bardzo dużo. Trąbiły, przeszkadzały mu w wyprzedzaniu, próbowały zajechać drogę. Jeden z kierowców postukał się w czoło i wrzasnął: „Idiota”.

—Słyszałem o londyńskich taksówkach — powiedział Troy. — Nie wiedziałem jednak, że jest aż tak źle.

—Nie powinienesz tędy jechać.

—Co?

—Pas dla autobusów i taksówek.

—Dlaczego o tym nie informują?

—Właśnie minęliśmy znak.

Wlekli się wokół Piccadilly Circus, gdzie schody otaczające Erosa zniknęły pod tłumem młodych ludzi, którzy jedli, pili i się obijali. Jakaś para podziwiała anatomię boga miłości.

Sunęli w dół Haymarket i dookoła Trafalgar Square, pełnego turystów w większości karmiących gołębie. Ptaki odpłacały się hojnie i Barnaby patrzył kwaśno na poplamioną maskę, kiedy w końcu skierowali się do Shoreditch. Sierżant Bennet połączył się przez komórkę i opisał swoją pozycję. Był przy stacji metra Whitechapel.

— Prawdopodobnie zaraz skręci w lewo, Bennet. Kieruje się na Lomax Road siedemnaście. Jeżeli wejdzie do domu, w porządku. Tylko trzymaj się blisko. Jeżeli będzie próbował wyjść, zatrzymaj go. Jesteśmy tylko jakieś pięć minut za tobą.

— Tak jest, proszę pana.

Kiedy Bennet się rozłączył, humber przejechał przez światła, a za nim około tuzina samochodów, w tym alvis. Escort utknął na czerwonym świetle, ale dogonienie ich nie powinno być trudne. Ruch uliczny był raczej płynny i policjant widział drogę daleko przed sobą. Patrzył, jak humber skręca w lewo, a po kilku chwilach to samo robi alvis.

Skრęcając, Bennet odkrył, że rzeczywiście znalazł się na Lomax Road. Ale wtedy coś się stało. Samochody poruszały się coraz wolniej, wreszcie się zatrzymały. Odezwały się klaksony. Kierowcy wystawiali głowy przez okna pojazdów i rzucali obraźliwe słowa w nieokreślonym kierunku. Sierżant Bennet wy-

siadł z samochodu, rozglądając się, przeszedł kilka kroków i starał się zlokalizować przyczynę korka. Zobaczył ją. I zaczął biec.

Na środku drogi stał alvis. Kierowca po prostu zatrzymał samochód, wysiadł i odszedł. Kilka metrów dalej Bennet zobaczył humbera, dziwnie wciśniętego w zbyt małą przestrzeń parkingową.

Bennet pospieszył wzdłuż chodnika. Nadinspektor wspomniał o numerze siedemnastym. Już z daleka słyszał dochodzące z budynku krzyki. W okolicy, gdzie mieszkał, w takiej sytuacji już by się gromadziła grupka podekscytowanych sąsiadów. Tutaj przechodnie po prostu mijali te hałasy obojętnie.

Drzwi wejściowe były uchylone. Bennet zawahał się. Miał tylko obserwować dom, ale zakłócenie porządku to zakłócenie porządku. A ponieważ alvis wstrzymywał ruch, kto wie, jak długo nadinspektor będzie tu jechał? Natężenie głosów, obu męskich, rosło. Jeden pełen był wściekłości, drugi bólu. Wkrótce zamieniły się w stękanie, warczenie i dyszenie.

Kiedy słowa przeszły w czyny, Bennet zdecydował się działać. Zastanawiał się, czy nie zadzwonić najpierw do nadinspektora, ale postanowił tego nie robić. Te pół sekundy zawahania miały się okazać fatalne w skutkach. Kiedy otworzył drzwi i spojrział w górę, zobaczył dwie postacie szamoczące się ze sobą na podeście. Jedna przewróciła się do tyłu na drewnianą balustradę schodów, która kompletnie się roztrzaskała. Bennet patrzył z przerażeniem, jak mężczyzna leci w dół i ląduje z olbrzymią siłą na kamiennej podłodze tuż przed nim.

Minęło trochę czasu, zanim Barnaby mógł przesłuchać ocalonego z tej strasznej konfrontacji. Miejscowa policja była na miejscu dobre pół godziny przed nadinspektorem, który pozostawił swojego sierżanta w korku naprzeciwko White Hart i na wpół szedł, na wpół biegł do domu na Lomax Road. Policjanci już wezwali lekarza sądowego, odciągnęli alvisa i starali się rozładować wciąż ryczący klaksonami korek.

Podjęto też starania, by kiedy tylko będzie można przejechać, zabrać mężczyznę, którego czaszka roztrzaskała się w wyniku upadku, z podłogi do kostnicy londyńskiego szpitala. Teraz był niewidoczny pod narzutą na łóżko przyniesioną z mieszkania, w którym zaczęła się kłótnia.

Sierżant Bennet usiadł na schodach, załamany ze wstydu. Kiedy przybył nadinspektor, sierżant wstał.

— Chryste, proszę pana, tak mi przykro. Nie wiem, co powiedzieć. Słyszałem ich, zanim to się stało, czułem agresję w ich głosach. Powinienem był wejść wcześniej. Tylko nie wiedziałem, czy... co... Tak mi przykro.

Barnaby kucnął, podniósł róg narzuty i starannie położył go z powrotem. Kiedy przechodził, lekko dotknął ramienia Benneta.

— Nie musi być ci przykro, sierżancie.

Po kilku godzinach Valentine Fainlight, któremu przedstawiono formalne oskarżenie, został oddany pod opiekę dwóch funkcjonariuszy z wydziału dochodzeniowego w Causton.

Na komisariacie umył się i przebrał w czystą koszulę i dzinsy, które przyniosła jego siostra. Nie chciała iść do domu i czekała w recepcji prawie od dwóch godzin.

Krócej, bo od godziny, Barnaby i Troy próbowali wydobyć coś z Fainlighta w pokoju na parterze z tyłu budynku dochodzeniówki. W Londynie obejrzał go lekarz: zbadał, opatrzył rany i siniaki i uznał, że jego stan pozwala na przesłuchanie. Fainlight tam też się nie odzywał.

Fizycznie zatrzymany czuł się dobrze. Co do reszty Barnaby nie był tak pewny. Poważne uszkodzenie ciała było terminem dobrze znanym policji. Ale gdzie znaleźć definicję poważnego uszkodzenia psychicznego? Bo właśnie do tego doprowadziło zakończenie mocno destrukcyjnego związku Fainlighta z Jacksonem.

Siedział zgarbiony, z głową podpartą na rękach. Proponowano mu jedzenie, herbatę, wodę, ale odmówił wszystkiego, potrząsając głową bez słowa. Barnaby przestał włączać i wyłączać magnetofon. Teraz spróbował jeszcze raz.

— Panie Fainlight... — Barnaby widział, że to nie jest kwestia zatwardziałości. Podejrzewał, że mimo upływu czasu Fainlight ledwo odnotował ich obecność. Po prostu zżerał go cichy, wszechogarniający żal.

Barnaby wstał, gestem nakazał Troyowi pozostać, a sam wyszedł z pokoju. Ich więzień nie należał do ludzi, którzy z zasady odmawiają rozmów z policją. Gdy otrząśnie się z szoku, powie im, co się stało. Ale kiedy to nastąpi?

O ile nadinspektor zdołał się zorientować, do chwili kiedy Jackson spadł, nie było świadków walki, co oznaczało, że tylko Fainlight mógł powiedzieć im, co się faktycznie stało. I zarówno w jego własnym interesie, jak i w interesie Barnaby'ego było, by zaczął mówić jak najszybciej. Nie chciałby zapewne pozostać w celi aż do procesu, który może zacząć się nawet za kilka miesięcy.

Wszystko to Barnaby wyjaśnił Louise przy recepcji. Kiedy go rozpoznała, podniosła się gwałtownie. Była bardzo zmieniona. Barnaby nigdy nie widział jej bez makijażu i jej naga twarz, znaczona teraz niepokojem, była szara i pokryta zmarszczkami. Zapytany teraz o jej wiek, zgadywałby, że ma około pięćdziesiątki.

—Kiedy mogę zobaczyć brata?

—Miałem nadzieję...

— Czy ktoś z nim jest? A co z adwokatem? Ma do tego prawo, czyż nie?

— Tak. Macie państwo prawnika?

—W Londynie. Kiedy mogę zobaczyć Vala?

—Proszę usiąść, pani Forbes.

Barnaby ujął ją pod rękę i skierowali się do niewyglądającej zachęcająco drewnianej ławki. Louise siadła z ociąganiem na samym brzegu, skubiąc skraj swetra.

—Jestem pewien, że chce pani pomóc bratu...

—Oczywiście, że tak!

— I mamy nadzieję, że może pani przekonać go, by z nami porozmawiał.

—Co? *Teraz?*

—Im wcześniej odpowie...

— Trzymaliście go tam godzinami. Powinien teraz odpoczywać.

—Nie możemy go zwolnić...

—Czy to prawda o Jaksie?

—Tak.

—Och, biedny Val! — Zaczęła bezgłośnie płakać.

Pozostawienie Louise i jej brata sam na sam nie wchodziło w rachubę. Ale Barnaby zorganizował najbardziej dyskretną i delikatną obecność policji, jaka była możliwa. Sierżant Brierley siedziała nie przy stole, tylko na krześle pod ścianą. Barnaby był pewien, że w ciągu kilku minut Fainlight i jego siostra zapomną o jej obecności, i tak też się stało. Louise wcześniej zażądała potwierdzenia, że ich rozmowa nie będzie nagrywana. Chociaż dążyła do spotkania, za nic nie chciała, choćby nieumyślnie, przyczynić się do wzmocnienia argumentów oskarżenia.

Barnaby siedział w sąsiednim pokoju. Przez niewielkie okno z metalową siatką widział i słyszał Louise i jej brata. Siedzieli obok siebie na twardych metalowych krzesłach. Louise obejmowała Valentine'a niezręcznie i pod dziwnym kątem i kołysała go w przód i w tył. Trwało to prawie dwadzieścia minut i Barnaby już miał się poddać, kiedy Fainlight odrzucił głowę do tyłu, wydał z siebie straszny skowyt, a potem kilka twardych, urywanych szlochów.

— Zaczyna się — powiedział sierżant Troy, który właśnie wszedł. — Poprosiłem, żeby przynieśli herbatę. Ma pan ochotę na Marsa w czasie, kiedy oni są tak sobą zajęci?

—Więc kiedy zobaczyłem, że drzwi są otwarte, pomyślałem, że to nasz znak. Możesz sobie wyobrazić Lou, jak się czułem. — Po twarzy Valentine'a spływały łzy bólu. Wytarł je rękawem. Stół i podłoga były zarzucone pogniecionymi chusteczkami. Louise ujęła dłoń brata i przycisnęła ją do ust.

—Pobiegłem, prawie przewróciłem się na schodach, bo biegłem tak szybko, ale nikogo tam nie było. I zdałem sobie sprawę, że drzwi musiały zostać otwarte przez przypadek.

Ścisnął jej palce tak mocno, że nieomal krzyknęła.



— Boże, Lou, gdybym wtedy wyszedł. Dlaczego nie odszedłem? Gdybym to zrobił, on wciąż by żył.

Louise nie chciała pokazać radości, odwróciła oczy, w których zapłonęło światło.

—Wiem, kochanie, wiem.

—Potem usłyszałem kliknięcie w telefonie, jak wtedy, kiedy ktoś używa wewnętrznego telefonu, i pomyślałem, że to może być on. Że może dzwonić do mnie. Przysięgam, że to tak było, Lou. Nie szpiegowałem ani nic takiego. I kiedy usłyszałem jego głos, nie mogłem w to uwierzyć! Taki czuły, kochający i delikatny... Mówił rzeczy, o których usłyszeniu nie śmiałem marzyć. Że ona jest jedyną, która kiedykolwiek się liczyła, pierwszą w jego sercu teraz i zawsze, że ma się o nic nie martwić, że on będzie z nią, kiedy tylko zdoła się wyrwać, wszystko będzie dobrze...

Serce Louise wypełniło współczucie. Wyjęła więcej chusteczek i jeszcze raz cierpliwie wytarła jego twarz. Będzie musiała być bardzo cierpliwa w nadchodzących tygodniach i miesiącach. Cierpliwa i nieszczerza. Czująca, kochająca i delikatna.

— I wtedy poczułem, że muszę wiedzieć. Muszę ją zobaczyć. Nie, żeby kogoś skrzywdzić, chociaż byłem zaślepiiony zazdrością, ale po to, by zobaczyć, kto potrafił dokonać takiego cudu. Więc siedziałem i obserwowałem. A kiedy Jax wyruszył z domu, pojechałem za nim.

Dojechaliśmy do tego miejsca na West Endzie. Po prostu zostawiłem samochód tam, gdzie się zatrzymałem, i pobiegłem za nim. Byli w pokoju na najwyższym piętrze. Drzwi były otwarte i zobaczyłem ich, jak się obejmują, śmieją. Można by pomyśleć, że nie widzieli się od lat. A potem Jax mnie zobaczył, na podeście. I wszystko się zmieniło.

Nigdy nie widziałem u człowieka takiej złości. Krzyczał, wrzeszczał, a im bardziej starałem się wytłumaczyć, że mi przykro, tym bardziej był agresywny. Jak śmiem przynosić... mój brud, moje zepsucie do jej domu. Mówił, że jestem chorym popaprańcem. Kupą rzygowin. Nie zasługuję na to, by żyć. Myślę, że prawie oszalał. A ona przez cały czas mówiła coś cicho do niego, starając się go uspokoić. I wtedy mnie uderzył.



Upadłem, a kiedy wstawałem, usłyszałem ją, jak krzyczy: „Terry, Terry, nie!”. Zobaczyłem jego twarz i nigdy tak się nie bałem, przez całe moje życie. Pomyślałem: „On mnie zabije”. Więc także zacząłem walczyć, nie mogłem nic na to poradzić, i byliśmy na podeście, kiedy on...

Louise delikatnie położyła rękę na jego ramieniu. Łagodny gest, ale on skulił się, jakby go uderzyła.

—Val, to był wypadek.

—To była moja wina!

—Muszą to zrozumieć. Nie możesz spędzić reszty życia w więzieniu.

—Nie obchodzi mnie, gdzie spędzę resztę życia. Mam tylko nadzieję w Bogu, że to nie będzie długo. — Przez chwilę milczał, później powiedział: — Dowcip polega na tym, Lou, cholerny, tragiczny dowcip, że to ja byłem gotów umrzeć za niego.

W pokoju obok Troy wypił resztę letniej herbaty, a Barnaby zajrzał do środka swej trzeciej kanapki (dość tłusta szynka, bladoróżowy pomidor i sos sałatkowy) i położył ją z powrotem na talerzu. Troy właśnie stawiał obie filiżanki i spodki na tacy, kiedy Fainlight zaczął znów mówić. Barnaby chwycił rękę sierżanta i syknął, aby nie hałasował.

—Dziwne, ale widziałem już wcześniej tę dziewczynę.

—Naprawdę? — Louise niedowierzała. — Jak to możliwe?

—W Starym Probstwie. To była Carlotta.

—Ale... to cudownie, Val! Wszyscy myślą, że utonęła. Muszę powiedzieć Ann... — i tu zatrzymała się na wspomnienie o stanie przyjaciółki.

—Miała inne włosy, w śmiesznym pomarańczowym kolorze, ścięte na krótko i nastroszone. Ale to była z pewnością Carlotta.

# Rozdział dwunasty

---

Złapali ją dość szybko. Początkowo Barnaby obawiał się, że dziewczyna przypadnie bez wieści, znowu zmieni swój wygląd i zniknie w miejskim półświatku. Jeśli nie w Londynie, to w Birmingham, Manchesterze albo Edynburgu. A bez zdjęcia, które można by puścić w obieg, szanse jej odnalezienia równałyby się praktycznie zeru.

Tymczasem, by obstawić wszelkie drogi ucieczki, przesłano oba nazwiska, którymi się posługiwała, do wszystkich portów powietrznych i morskich oraz na wszystkie stacje kolejowe, skąd można było wyjechać na kontynent. Znalaziono ją w miejscu odjazdów linii Eurostar w Waterloo pod nazwiskiem, które Barnaby natychmiast rozpoznał. Tak się przedstawiła, gdy ją zobaczył po raz pierwszy: Tanya Walker.

Kiedy wprowadzono ją do pokoju przesłuchań, Barnaby'emu przyszło do głowy, że jego oczom rzadko ukazywał się bardziej żaloszny widok. Za czasów, gdy jako konstabl pracował w pieszych patrolach, odbierał niekiedy zgłoszenia z domów towarowych z informacjami o dzieciach, które zgubiły się matkom. W jej oczach była ta sama dzika panika, to samo żaloszne zagubienie. Co on w sobie miał, ten podły sukinsyn, Jackson, że zarówno ona, jak i Fainlight dali się rozpaczy powalić na kolana?

Włączył taśmę. W przeciwieństwie do przesłuchania sprzed dwóch dni, tym razem nie miał żadnych trudności z uzyskaniem informacji. Beznamiętnym głosem i bez wahania odpowiadała na wszystkie pytania, nie robiąc nawet przerw, by się zastanowić. Było jej wszystko jedno. Nie miała już nic do stracenia.

Dzięki Bogu, pomyślał nadinspektor, bo teraz, kiedy Jackson nie żył, jak inaczej miałby rozwikłać całą tę plątaninę myśli, kłębiących się w jego głowie przez ostatnie dwa tygodnie?

Choć miał kilka godzin, by się przygotować do przesłuchania, to jednak nie postanowił jeszcze, od którego wątku ma rozpocząć. W myślach odwrócił hierarchię ich ważności. Najpierw ten najmniej interesujący — związek dziewczyny z Jacksonem. Najwyraźniej była w nim zakochana, on miał nad nią władzę, ona

zrobiłaby wszystko, by go zadowolić — historia stara jak świat. Potem jej wersja wypadków przy Lomax Road. Później jej powiązania z Carlottą Ryan, która mieszkała w sąsiednim pokoju. Wreszcie jej rola w przemyślanej intrydze rozgrywającej się w Starym Probostwie, której kulminacją było morderstwo Charliego Leathersa. Jakkolwiek to ostatnie interesowało go stanowczo najbardziej, to jednak przewrotnie postanowił zacząć od trzeciego wątku.

— Opowiedz mi o Carlocie, Tanyu.

— Już o niej mówiłam. Kiedy przyszlście do mojego mieszkania.

— Co się z nią dzieje? Spojrzała na niego bezmyślnie. -Żyje?

— Jasne, że żyje. O co panu chodzi?

— Gdzie jest, w takim razie? — zapytał sierżant Troy.

— Pewnie spędza najlepsze chwile swojego cholernego życia. W połowie podróży dookoła świata, na statku wycieczkowym.

— Jak do tego doszło?

— Przez ogłoszenie w tej gazecie o teatrze. Poszła na przesłuchanie dziesięć dni przed terminem wyjazdu do Starego Probostwa. Zaproponowali jej robotę, taniec topless. Kontrakt na rok. Rzuciła się na to. — Tanya spojrzała z ukosa na sierżanta Troya i po raz pierwszy na jej twarzy pojawiło się coś w rodzaju ożywienia. — A pan by się nie rzucił?

Troy nie odpowiedział. Nie byłoby to wskazane, a poza tym nie chciał. Pamiętał swoje pierwsze spotkanie z dziewczyną, to, jak bardzo poruszył go jej wygląd, paplanina oraz przykra konstatacja, że nigdy nie poznała swojego ojca. Najpewniej kolejne kłamstwo. Walcząc z uśmiechem, zacisnął usta, nie zdając sobie sprawy z faktu, że wygląda jak świętoszek.

— Czyj to był pomysł, żebyś pojechała zamiast niej do Lawrence'ow? — zapytał Barnaby, zadowolony, że przynajmniej dowiedział się, dlaczego mieszkanie było puste. — Jej czy twój?

— Terry'ego. Podobało mu się, że będzie mnie miał na oku. Naprawdę. Kiedy tylko mógł, urywał się do Smoke. Był tu, kiedy przyszlście. Schował się w sypialni.

Barnaby zaklął w myślach. Jednak kiedy znów się odezwał, jego głos był opanowany.

—Więc znałaś go wcześniej?

—Od zawsze. Widywaliśmy się co jakiś czas.

—Chyba raczej rzadko — stwierdził Troy — zważywszy, że najczęściej siedział za kratkami.

—Na ogół tak. — Tanya spojrzała na Troya z najgłębszą pogardą. Urażony sierżant spłonął rumieńcem i stwierdził, że jest bezczelna. Ale i tak odwrócił wzrok jako pierwszy.

—Jednak udawaliście, że nic was nie łączy? — zapytał Barnaby.

—Tak. Nie chciałem, żeby ktoś o tym wiedział.

—Ze względu na wasz wielki plan?

—Częściowo. Ukrywanie wszystkiego leżało w jego charakterze. Tylko wtedy czuł się bezpieczny.

—Co wymyśliliście?

—Wszystko było idealnie zorganizowane. Mieliśmy dwa plany, jeden na dzień, drugi na wieczór, po zapadnięciu zmroku, w zależności od tego, kiedy pani Leathers zaskoczy. Ukradłam jej biżuterię, jakieś starocie, które lubiła.

—Należały do jej matki.

—Może, to co. Barnaby wyciągnął rękę.

—Może byś je... Tanya zawahała się.

— No dalej, Tanyu. Przyznałaś się, że je zabrałaś. Twoje papiery będą lepiej wyglądać, gdy napiszemy, że je oddałaś.

Tanya otworzyła torbę i położyła kolczyki na dłoni Barnaby'ego. Były ma-lutkie. Malutkie, ale piękne.

— Teraz je pan komuś opchnie, co nie?

— Jasne — odpowiedział sierżant Troy. Barnaby zapytał, co wydarzyło się później.

— Kiedy przyszła do mojego pokoju i zapytała, co się z nimi stało, zaczęłam szaleć, drzeć wszystko i krzyczeć, że moje życie jest skończone. Potem uciekłam. Wiedzieliśmy, że za mną wybiegnie, bo ona taka właśnie jest.

— Niespokojna — zasugerował Barnaby.

— Wyszło świetnie. Ale nawet gdyby się nie udało, to Terry miał w zapasie masę innych pomysłów.

— Myślała, że cię wepchnęła — powiedział Barnaby. — Odchodziła od zmysłów.

— Właśnie o to chodziło — cierpliwie wyjaśniała Tanya. — Przecież nie zapłaciłaby, jakbym sama wskoczyła, no nie?

— A z jakiej racji w ogóle miała płacić? — warknął sierżant Troy.

— Bo było ją na to stać. Bo ma cholernie wielki dom i kogoś, kto w nim sprząta, i kogoś, kto pracuje w jej pieprzonym ogrodzie. Bo w życiu nie musiała nawet kiwnąć palcem w bucie.

— Rozumiem, że jej nie lubiłaś.

— Ooch... — Tanya westchnęła. — Nie była taka zła. Święty Joe, ten mnie dopiero wkurzał. Ciągłe mnie dotykał. Niby przypadkowo, ale w konkretnym celu, wicie, o co mi chodzi. I te jego łapska jak wilgotne ścierki.

— W którym miejscu wydostałaś się z rzeki?

— Tam gdzie wskoczyłam. Kilka dni wcześniej Terry przywiązał do haka pod mostem starą oponę. Złapałam się jej i trzymałam, dopóki pani Leathers nie odbiegła. Potem się wyczołgałam.

Wiedziałem o tej oponie. Barnaby wrócił pamięcią do raportów z przeszukiwań brzegu rzeki. Trochę śmieci — paczki po chipsach, rama wózka, stara opona. Służyła za huśtawkę, twierdził raport, bo przywiązano do niej sznur. I pominąłem to. Być może Joyce ma rację. Może już czas zrezygnować.

—Gdzie się potem podziałas? — sierżant Troy, wbrew sobie, widział ją oczami wyobraźni, przemoczoną i drżącą, w wieczornych ciemnościach. ;

—Uciekłam w kierunku domu. Schowałam się w ogrodzie, aż wrócił Terry. Noc spędziłam w jego mieszkaniu. Na drugi dzień złapałam stopa do Causton, a stamtąd pojechałam pociągiem do Smoke.

Barnaby usiłował kontrolować oddech i panować nad wzbierającą w nim złością. Starał się nie myśleć o zmarnowanych godzinach, dniach (nie tylko swoich), przebijaniu się przez tony papierów zawierających bezużyteczne szczegóły rozmów z mieszkańcami dotyczących feralnej nocy i obszerne wyjaśnienia specjalistów na temat prawdopodobnego utonięcia. Mówiąc krótko, o ogromnym marnotrawstwie pracujących pełną parą sił policji.

—Więc co poszło nie tak? — zapytał sierżant Troy. Zauważył grymas wściekłości na twarzy szefa, jego purpurowe policzki, i uznał, że lepiej będzie, gdy to on zada następne pytanie.

—Ten zezowaty dupek, Charlie Leathers. To przez niego poszło nie tak. Terry napisał ten anonim, zaadresował go, zaznaczył „do rąk własnych”, a ja go posłałam priorytetem z Causton. Z tak bliska listy prawie zawsze dochodzą w dwadzieścia cztery godziny. Terry czekał na samochód listonosza, a potem wymyślił jakąś wymówkę, żeby wejść do domu i zobaczyć, czy to do niej trafiło.

—Jak miał to rozpoznać? — zapytał sierżant Troy.

—Niech pan nie żartuje — powiedziała Tanya — przecież chyba nie skakałyby po pokoju i nie śpiewałyby: „Cóż za wspaniały dzień, chcę go spędzić razem z tobą” z takim listem w kieszeni.

—Chyba nie — zgodził się Barnaby. Myślał o Ann Lawrence. Miłej, nieporadnej, niewinnej. Bez słowa wypełniającej codzienne obowiązki. Otwierającej list.

—W każdym razie, zrozumiała. Znalazł ją na wpół żywą ze strachu, list leżał na podłodze. Problem w tym, że to nie był jego list. Miał tak samo ponaklejane litery, ale słów było mniej. I były inaczej ułożone. Możecie sobie wyobrazić, co czuł.

—To musiał być niezły szok — powiedział Barnaby.

—A co! Ale Terry dawał sobie zawsze radę z kłopotami. Zauważył, że w tym anonimie chodziło o płacenie. Pomyślał, że pewnie będzie musiała zanieść pieniądze w nocy, i tak było. Więc ją śledził i planował, że sam je weźmie. W końcu to my je zarobiliśmy. *Ale nie miał zamiaru nikogo zabić.*

Barnaby powstrzymał nagłą chęć, by powiedzieć: „Och, w takim razie wszystko w porządku”. Nie przerywał tego, jak dotąd, cudownie łatwego zeznania.

— Ale Charlie był tam pierwszy. Właściwie już brał pieniądze, gdy Terry go zauważył.

— To dopiero — mruknął sierżant Troy.

—Całe szczęście, że Terry miał przypadkowo w kieszeni kawał drutu — powiedział Barnaby.

—W takich pieprzonych czasach trzeba mieć przy sobie coś, żeby się obronić — wyjaśniła Tanya, tym razem już z mniejszą cierpliwością. Zdawała się myśleć, że kto jak kto, ale Barnaby powinien wiedzieć, jak podły może być ten świat. — I faktycznie, całe szczęście, że miał.

— Dlaczego?

— Bo Charlie zaatakował go nożem. Zaczęli się bić. Policjanci wymienili spojrzenia. Obaj pamiętali porządek, jaki zastali na miejscu zbrodni.

—Więc to była po prostu obrona własna — podchwytnąjąc i odpowiednio odczytnąjąc wzrok mężczyzn, Tanya stała się twardsza.

—A pies? — zapytał sierżant Troy. — Czy to też była „obrona własna”?

— O co panu chodzi? Jaki pies?

Barnaby szybko położył dłoń na ramieniu sierżanta, powstrzymując go przed pełnym emocji potępieniem okrucieństwa Jacksona wobec zwierzęcia. Zmiana postawy przez emocje to ostatnia rzecz, której teraz potrzebował.

— Co się stało z listem Terry'ego, Tanyu?



— Przyszedł następnego dnia. Terry złapał listonosza, zaproponował, że zanieś pocztę do domu, i wyjął list. Potem wysłał kolejny i zażądał pięciu tysięcy. Tym razem wrzucił go sam przez drzwi, tak jak Charlie.

— Bez wątpienia za trzecim razem żądałby jeszcze więcej?

— A czemu by nie? Terry był pewien, że to miejsce musi być warte ćwierć miliona. Ale powiedział, że musimy jej dać odetchnąć, żeby nabrała poczucia bezpieczeństwa. Przez jakiś miesiąc. Mieliśmy skoczyć do Paryża na kilka dni. Miałby pięć kawałków...

— Teraz ty je masz, Tanyu, prawda?

— Nie. Nigdy ich nie przyniosł.

— Myślisz, że w to uwierzemy? — zapytał Troy.

— To prawda. Schował je, bo przypuszczał, że możecie się zjawić w jego mieszkaniu z nakazem rewizji. A potem nie mógł ich zabrać z powrotem, bo szpiegował go ten obrzydliwy dupek. Z lornetką.

Barnaby stwierdził, że jej zeznania pokrywają się z tym, co Bennet powiedział mu o Fainlightcie. Pieniądze były najpewniej schowane razem z ubraniem w plecaku. Znaleźć go, to jak wygrać los na loterii.

— Czy wiesz, w jaki sposób zdobył drugą ratę? — sierżant Troy silił się na pełną ironii cierpliwość, lecz, jak zwykle, z mizernym skutkiem. Nawet sam sobie wydał się jedynie poirytowany.

— Tak samo jak za pierwszym razem. Na ile sposobów można zabrać podrzucone pieniądze?

— Można śledzić swoją ofiarę, potem walnąć jej głową o maskę samochodu i dopiero wtedy je wziąć.

Tanya wpatrywała się w mówiącego te słowa Barnaby'ego, potem na sierżanta Troya, potem znów w Barnaby'ego.

— Szczwane z was łajdaki. Nie kłamalibyście tak, gdyby tu był i mógł się bronić. Zostawiła je w Lesie Cartera, tak jak za pierwszym razem.

—Pani Lawrence nie zostawiła nigdzie żadnych pieniędzy. Postanowiła je wpłacić z powrotem do banku.

—Może ona tak twierdzi...

—Ona niczego nie twierdzi — powiedział Troy. — Od trzech dni leży na intensywnej opiece medycznej. Nie wiadomo nawet, czy z tego wyjdzie.

Barnaby spojrział ponad stołem na dziewczynę. Kielkowała w niej żałosna niepewność, a w jego oczach pojawił się cień współczucia.

—Miał na koncie parę przestępstw, Tanyu.

—Nieprawda. Poza tym miał swoje powody — przeczyła sobie.

—Zaatakował nożem...

—Nigdy tego nie zrobił. Terry był z nich najmłodszy, wziął na siebie winę, żeby się wkupić. Ten, co to zrobił, dostałby dożywocie. Albo cię wezmą za swojego, albo już po tobie. Takie jest prawo ulicy.

Troy chciał zapytać o starszego mężczyznę pozostawionego w rynsztoku, ale coś go przed tym dziwnie powstrzymywało.

Mówiąc prawdę, narastało w nim współczucie. Nie dla Jacksona, przenigdy, ale dla niej. Widać było, że jest przygnębiona i że walczy ze łzami. Barnaby nie miał takich skrupułów.

—Była też inna sprawa. Starszy człowiek...

—Billy Wiseman. Miał szczęście.

—*Shczęście?*

—Znam takich. Już nigdy tego nie spróbuje.

— O czym ty mówisz, Tanyu?

—Miałam dziesięć lat, gdy wzięli mnie na wychowanie, on i jego żona. Żadne słowa nie opiszą tego, co mi robił. Bez końca. Czasem budziłam się w środku nocy, a on... Potem, kiedy miałam czternaście lat, spacerowaliśmy z Terryem po Limehouse. Zaczęłam opowiadać i wszystko wyszło na jaw. Nic nie powiedział, ale miał straszną minę. — Tanya pisnęła cicho, niczym dziki, przestraszony ptak.

—Przykro mi — powiedział Barnaby.

A Troy pomyślał: Chryste, dość mam już tego wszystkiego.

— Nie widziałam go całe lata. Był u jednej czy dwóch rodzin, potem zajęła się nim Barnardo's\*<sup>12</sup>. Mnie też przeniesiono, raz zupełnie straciliśmy kontakt. Nie wiedzieliśmy, gdzie jesteśmy. To było najgorsze. Tak jakby nagle kończył się świat. — Łzy płynęły po jej policzkach jak krople deszczu. — To był jedyny człowiek, który mnie naprawdę kochał.

Troy niezręcznie usiłował ją pocieszyć.

—Poznasz jeszcze kogoś innego, Tanyu.

—Co? — Spojrzała na niego pustym wzrokiem.

—Jesteś młoda, ładna...

—Ty głupi dupku. — Odsunęła się od nich, a potem patrzyła to na jednego, to na drugiego z pełną obrzydzenia pogardą.

—Terry nie był moim chłopakiem. To był mój brat.

Nadchodzące wydarzenia pokazały, że i tak, prędzej czy później, rozwiązałyby tę sprawę. Kiedy okazało się, że odciski palców w pokoju Tani w Stepney są identyczne jak te, które znaleziono na poddaszu Starego Probostwa. Albo kiedy Barnaby przypomniał sobie, że według słów Vivienne Calthrop Carlotta jest zbyt niska na to, by zostać modelką — dlaczego więc schylała głowę, żeby się nie uderzyć we framugę w Starym Probostwie? Albo kiedy rower, na którym Jackson wracał z Causton, został znaleziony pośród pół tuzina innych, opartych o ścianę garażu Fainlightów. Z pieniędzmi ukrytymi w sakwie. Plecaka z ubraniami nigdy nie odnaleziono. W centrum operacyjnym panowała opinia, że na dzień przed wywozem śmieci Jackson zakopał go w kubie z odpadkami Fainlightów.

Podczas dalszych przesłuchań Valentine Fainlight przyznał, że pewnego dnia, gdy siostra wyjechała, oprowadzał Jacksona po domu i ogrodzie. I że Jackson

---

<sup>12</sup> \* Barnardo's - brytyjska organizacja charytatywna działająca na rzecz dzieci (przyp. red.).

mógł niezauważenie zabrać klucz do ogrodu, ale jakie, do cholery, ma to teraz znaczenie, i, Chryste Panie, kiedy, psiakrew, zostawią go wreszcie w spokoju?

—Jaki był, pana zdaniem, przebieg wydarzeń? — zapytał Troy, gdy po raz ostatni wyszli z zachwycającej szklanej konstrukcji.

—Prawdopodobnie przejechał na rowerze przez pole z tyłu domu, potem przez furtkę do ogrodu, przemknął pod boczną ścianą domu do garażu. Wtedy mógł dać nurka za alvisa, przebrać się i schować rzeczy, zamierzając później coś z nimi zrobić.

—Jak pan myśli, ile dostanie Fainlight?

—To zależy. Oskarżenie o morderstwo to poważna sprawa.

—To był wypadek. Słyszał pan, co mówił swojej siostrze.

—Słyszałem też, jak mówił, że był ślepy z zazdrości. On go znał, Troy. Łączył ich związek. A to oznacza, że morderstwo wchodzi w grę. W Londynie mieli rację, stawiając mu zarzuty.

—Ale wypuszczono go za kaucją — podniecał się coraz bardziej Troy. — To musi coś znaczyć.

—To znaczy, że według nich nie stanowi zagrożenia dla społeczeństwa, a nie, że nie popełnił zbrodni.

—Więc mogą go uznać winnym?

—To zależy.

—Od czego?

—Od tego, czy wśród przysięgłych nie znajdzie się ktoś z uprzedzeniami wobec homoseksualistów. Jakie wrażenie robi na nich pozycja Fainlighta jako znanego autora. Jak bardzo zbulwersuje ich kartoteka Jacksona. Jak zareagują na wrocie, ogłędnie mówiąc, zeznania Tani Walker.

Przesłuchanie Tani zakończyło się opisem bójki, która doprowadziła do śmierci jej brata. Według niej Valentine wtargnął do mieszkania, zaatakował Terry'ego, wyciągnął go na podest i przyparł do balustrady. Ona sama, z obawy o swoje życie, uciekła schodami przeciwpożarowymi.

— Będzie jeszcze jeden świadek, szefie. Sierżant Bennet.

— On widział tylko upadek Jacksona. Ona może powiedzieć, jak do niego doszło.

— I skłamać.

— Najprawdopodobniej. Tej dziewczynie pękło serce, chce zemsty. A kto jej udowodni krzywoprzysięstwo?

— To pewnie zrujnuje jego pisarstwo?

— Chyba tak, zważywszy, że pisze dla dzieci.

Na widok Fainlighta Barnaby doznał szoku. Wyglądał jak zombie. Oczy pozbawione wszelkiej nadziei i życia. Nie było w nich już nawet rozpacz. Jego masywna do tej pory sylwetka teraz była zapadnięta, przygnieciona całkowitym znużeniem. Wydawał się niższy i szczuplejszy.

Barnaby nie zazdrościł Louise. Był pewien, że da sobie z tym radę, będzie się opiekować Fainlightem w najczarniejszych godzinach jego życia. Była w niej miłość, cierpliwość i — przynajmniej teraz — energia. Aż promieniała. Jej oczy, skóra, włosy. Rumieńce na jej policzkach nie były efektem starannego nałożenia kosmetyków, lecz zdrowia i zadowolenia.

Poza tym czas pracował na jej konto. Człowiek, który przysporzył jej bratu tylu cierpień, już nie istniał. Przynajmniej w sensie fizycznym. W sercu Fainlighta — to co innego. I w jego głowie, gdzie rodzą się i umierają wszystkie problemy. I co z tego? Zżerany poczuciem winy i samotnością, pozbawiony jedynego towarzystwa, jakiego pragnęła jego umęczona dusza, jakże miał dalej żyć? Obojętnie, czy w więzieniu, czy na wolności?

— Gdyby tylko — zamruczał do siebie Barnaby. — Niekiedy myślę, że to najsmutniejsze słowa w naszym języku.

— Powiedziałbym, że raczej pozbawione sensu.

—Naprawdę? — zapytał nadinspektor. Przywykł już do flegmatycznego sposobu bycia sierżanta, który, jak czasem przyznawał, przywoływał do porządku jego wybujałą wyobraźnię.

—Co się stało, to się nie odstanie — kontynuował Troy. Potem, żeby uniknąć niedomówień, dodał: — Nie szkoda róż, gdy płonie las.

Szli przez skwer, mijając właśnie herb wioski ze zdecydowanie jurnie wyglądającym borsukiem, snopami zboża, kijami do krykieta i jaskrawozieloną chryzantemą.

Barnaby spostrzegł kilka rozkosznie harczących psów o jasnej sierści, szczęśliwych, że są na tyle daleko, by nie wymieniać nawet przelotnych spojrzeń ze swoimi panami. Usiłował się do nich przyłączyć mały terier, co zresztą nieźle mu się udało. Właściciele spacerowali ramię w ramię i rozmawiali, pochylając ku sobie głowy.

—Niech pan patrzy, kto tam jest — powiedział sierżant Troy.

—Widziałem już, kto tam jest — odpowiedział nadinspektor, przyspieszając kroku. — Wielkie dzięki.

Kilka chwil później znaleźli się nad rzeką. Barnaby przystanął przy niskim mostku i spojrzał w bystry nurt. Zastanawiał się, jak to wszystko wyglądało w świetle księżycy, tej nocy, gdy Tanya uciekła. Noc musiała być wtedy jasna, bo Charlie Leathers dojrzał twarze dwóch kobiet na moście, walczących ze sobą w chybotliwym uścisku, który zakończył się potężnym pluskiem. I pomyślał, tak jak my wszyscy, że działo się to naprawdę. Któż by podawał w wątpliwość to, co widzi na własne oczy?

—Tak sobie myślę, proszę pana, że Tanya...

—Biedna dziewczyna — powiedział Barnaby, nieco zdziwiony własnymi słowami.

—No właśnie — podchwycił ochoczo Troy. — Gdyby ktoś potrzebował przyjaciela...

—Nawet o tym nie myśl.

—Nie byłoby w tym nic...

—Byłoby. W ostatecznym rozrachunku.

—Ale co się z nią stanie?

—Da sobie radę — powiedział Barnaby z przekonaniem, którego tak naprawdę mu brakowało. — W końcu udało się jej nas oszukać.

—No nie wiem.

—Nie tonęła, Troy, ale machała\*<sup>13</sup>.

—Słucham?

—Nieważne.

Troy powstrzymał się od okazania irytacji. Tak było zawsze. Szef mówił coś zbyt trudnego, zbyt skomplikowanego. Rzucał jakimś cytatem z czegoś, o czym nikt przy zdrowych zmysłach nawet nie słyszał. A prośby o wyjaśnienie ignorował.

W porządku, mógłby ktoś powiedzieć. Ale niech się nie czepia nikogo za to, że się nie zna na operze, teatrze, muzyce poważnej, książkach i tym wszystkim. Troy sprawdził w słowniku Talisy Leanne słowo „filister”, kiedy wrócił tamtego wieczoru do domu. Nie był zachwycony. Czy to dziwne, że był „człowiekiem niemającym wyższych aspiracji”, skoro za każdym razem, gdy zadawał pytanie, ta chodząca encyklopedia zamykała mu usta?

—Może jakiś lunch w Red Lion?

—Niezła propozycja, szefie.

—Na co masz ochotę? Ja stawiam.

—Pasztecik i frytki. I trochę tych Malin Pawiowej.

— Świetnie — powiedział Barnaby, gdy przechodzili przez podjazd. — To cię powinno zdyscyplinować.

---

<sup>13</sup> \* Aluzja do wiersza Steviego Smitha (1902-1971) zatytułowanego *Not Wamng But Browning* (przyp. red.).



Jak się okazało, Louise nie czuwała osobiście nad powrotem brata do zdrowia. Valentine przyjechał do domu dosłownie na kilka dni, których potrzebował na spakowanie ubrania, komputera, osobistych drobiazgów i kilku książek. Planował wynająć coś w Londynie do chwili rozpoczęcia procesu, co, jak mu powiedziano, może potrwać kilka miesięcy.

Kiedy szukał miejsca do zamieszkania, zaproponowano mu mansardę w budynku wydawnictwa, które publikowało jego książki, w Hampstead. Syn wydawcy, który tam mieszkał, studiował już trzeci rok w Oksfordzie i rzadko przyjeżdżał do domu. Miejsce było dość ciasne, ale Valentine postanowił w nim zamieszkać i zaniechać dalszych poszukiwań do czasu, gdy jego przyszłość nieco się wyjaśni. Właściwie nie były to jego słowa. Rzadko wybiegał myślą poza obecny dzień, a nawet obecną chwilę. Kolejne godziny przynosiły mu otepiającą samotność.

Louise bezustannie do niego telefonowała. Skończyło się na tym, że wyciągał kable z gniazdka, czasem nawet na kilka dni. Raz czy dwa w wyniku jej usilnych próśb spotkali się na obiedzie, ale z marnym skutkiem. Val nie był głodny, a jej pełne troski nalegania, by coś jednak zjadł, doprowadzały go do wściekłości. Gdy rozstawali się za drugim razem, Louise powstrzymywała łzy, a Val z poczuciem winy zapewniał ją, że to wszystko jego wina, po czym sztywno i oficjalnie ją przytulił, mówiąc:

— Będziemy w kontakcie.

Siedząc w pociągu do Great Missenden, Louise odzyskała swą dawną odporność. Pomyślała, że Valowi potrzebny jest czas na dojście do siebie. Nie zdawała sobie tylko sprawy, jak dużo czasu. Wsiadając na stacji do swego małego żółtego samochodu, była raczej zadowolona, że nie musi wracać do pustego domu.

Kiedy Ann wyzdrowiała na tyle, by opuścić szpital i rozpocząć, jak ją uprzedzono, dość długą rekonwalescencję, nie była pewna, dokąd ma się udać. Na myśl o powrocie do Starego Probstwa cierpła jej skóra. Dom, w którym spędziła dzieciństwo, wydawał się jej teraz tak wstrętny, że nie chciała go już oglądać. Jej jedyną krewną była starsza ciotka w Northumberland, nie widziana od z górą dwudziestu lat, z którą wymieniała raczej symboliczną korespondencję. Poza tym, jako pacjentka, która przeszła operację, musiała zamieszkać gdzieś w pobli-

zu szpitala. Kiedy dzień wypisu był już tuż tuż, Louise zaproponowała jej, by wprowadziła się do Fainlights.

Louise była w Stoke Mandeville niemal codziennie i choć jej wizytom towarzyszyło niewiele słów, to jednak cisza nie wydawała się im niezręczna. Obie czuły się pewnie w swoim towarzystwie i przeczuwały, że wspólne zamieszkanie będzie dobrym rozwiązaniem.

Niemniej jednak, kiedy Ann przyjechała, nie udało się uniknąć pewnych niejasnych sytuacji. Obie musiały przywyknąć do mieszkania razem. Ann z wdzięczności chciała robić więcej, niż mogła. Louise odmawiała przyjęcia od niej jakiegokolwiek pomocy, przekonana, że sobie poradzi, choć od lat się tym nie zajmowała (na wieść o przestępstwie popełnionym przez Valentine'a oraz jego aresztowaniu agencja zajmująca się sprzątaniami pospiesznie wykreśliła nazwisko Fainlight z listy zleceńodawców).

Ostatecznie to Hetty, która wpadała często z wizytą do Ann, zaczęła im pomagać. Wszystkim bardzo to odpowiadało. Louise, bo nie musiała się zajmować sprzątaniami, którego nie znosiła. Ann, bo radował ją widok Hetty, jedynej stałej w jej życiu. Hetty, bo potrzebowała pieniędzy na wydatki związane z przeprowadzką. Udało się jej zamienić dom na mieszkanie komunalne bliżej Pauline i jej rodziny. Co prawda Alan skrzyknął kilku kolegów i wziął na siebie całą przeprowadzkę, tak że zostały jej do pokrycia jedynie koszty wynajęcia ciężarówki oraz skrzynki piwa i ryb z frytkami dla całego towarzystwa, ale Hetty lubiła być finansowo niezależna.

Kiedy tylko wioskę obiegła wiadomość, że pani Lawrence czuje się na tyle dobrze, że można ją odwiedzać, wszyscy mieszkańcy zaczęli przychodzić i obdarowywać ją drobiazgami: książkami, kwiatami, ciastami i słodyczami własnej roboty. Ktoś przyniósł chusteczkę z pięknie wyszytym jej imieniem. Taka życzliwość często wzruszała Ann do łez. Louise, która z początku kręciła nosem na te niekończące się pielgrzymki, w końcu polubiła ich obecność. Nastawiała wodę na herbatę, kroiła ciasto i zapraszała wszystkich. Po domu biegały rozmaite psy. Louise nigdy wcześniej nie interesowała się zwierzętami, teraz jednak tak bardzo polubiła Candy, że sama zaczęła poważnie rozważać możliwość kupienia jakiegoś dla siebie.

Wszystko to działo się jednak w ciągu dnia. Po zapadnięciu zmroku sytuacja zaczynała się komplikować. Dla obu kobiet był to bardzo bolesny czas. Czas kształtowania się ich przyjaźni, która miała przetrwać do końca życia.

Przed przyjęciem Ann pod swój dach Louise zamieniła parę słów z opiekunką chorych w szpitalu. Usłyszała, że powinna oczekiwać bezsennych nocy, dostała instrukcje, jak postępować, gdy pojawią się senne koszmary, dowiedziała się, co to jest stres pourazowy. Jednak ku jej wielkiej uldze, Ann nie pamiętała nic z momentu napadu ani nawet z drogi do Causton. Ostatnia rzecz, która została jej w pamięci, to stukanie do drzwi Lionela i informowanie go, że lunch jest gotowy. Jedyne, na co Louise nie była przygotowana i z czym było jej sobie trudno poradzić, to głębokie poczucie winy i wyrzuty sumienia Ann.

Ann po prostu nie umiała wyzbyć się przekonania, że całej tej tragedii można by uniknąć, gdyby tylko miała w sobie dość odwagi, aby przeciwstawić się mężowi w kwestii Terry'ego Jacksona. Od samego początku wiedziała, że jest w nim coś niebezpiecznego. Obawa nie pozwoliła jej wpuszczać go za próg domu, nie znalazła jednak wystarczająco dużo siły, by go zupełnie usunąć. Gdyby tylko była silniejsza...

Tak więc Ann szlochała i obwiniła się, a Louise pocieszała ją i zapewniała, że w niczym nie zawiniła.

Taki żaloszny scenariusz powtarzał się dzień w dzień. Louise słuchała początkowo pełna współczucia, choć uważała takie przejawy poczucia winy za zupełnie nieuzasadnione. Później zaczęły się jej wydawać objawem neurozy. W końcu, gdy wypowiedane przez nią nieustannie słowa otuchy bez przerwy trafiały w pustkę, zaczęła się denerwować. Najpierw ukrywała swój gniew, później nie mogła już go opanować. Wybuchła, co wprawiło Ann w jeszcze większy smutek. W końcu zdenerwowała się i ona.

Pomagając sobie ogromną ilością wina stopniowo obmyły własnymi łzami, a potem osuszyły swoje najgłębsze i najbardziej sekretne obawy i tęsknoty. Ann płakała nad latami samotności, swoim na wpół sterylnym życiem; Louise — nad porażką swojego małżeństwa, które kiedyś uważała za dar niebios, nad swoim bratem, który zamienił się w swoją smutną i powłóczącą nogami podróbkę. Taki emocjonalny ekshibicjonizm był dla obu kobiet — Louise, tak poważnej, po-

wściągliwej i sceptycznej, oraz Ann, tak uciśnionej, nieśmiałej i niespokojnej — zupełnie nowym i zatrważającym doświadczeniem.

Przez kilkanaście dni zachowywały się wobec siebie z pewną rezerwą, w ich kontakty wkradł się chłód. Ciągle jednak żywa była w nich pamięć ich dawnej bliskości i wewnętrznego ciepła, która pomogła im stopniowo pozbyć się napięcia i powrócić do miłej zażyłości.

Rozmawiały o pieniądzach. Żadna z nich nie miała poważniejszych finansowych problemów, choć Louise była znacznie lepiej sytuowana. Goshawk Freres zgodził się wreszcie na odprawę, jakiej żądała. Była to przyzwoita suma, mimo że nadszarpnięta przez opłaty sądowe. Sprzedała swoje udziały w domu Holland Park, warte dwieście tysięcy funtów. Ponadto, raczej wcześniej niż później, chciała podjąć jakąś pracę.

Ann nie była pewna, czy kiedykolwiek zacznie pracować. Przejmującą tęsknotę za innym życiem, podniecające i, jak się wydawało, realne marzenia, które w niej zagościły, gdy jechała zalaną słońcem drogą do Causton z *Penny Lane* na ustach, wymazano z jej serca jednym ciosem na parkingu. W przeciwieństwie do zgryźliwych uwag jej męża, które ciągle tkwiły w jej pamięci. Czyż nie zdawała sobie sprawy, że w dzisiejszych czasach zmusza się czterdziestolatków do odejścia na emeryturę? Jak sobie poradzi w prawdziwej pracy, skoro nigdy nie musiała się zmagać z trudami codzienności?

Słyszając to wszystko, Louise wpadała w furję. Ann była zaledwie w średnim wieku, bardzo inteligentna, o miłej powierzchowności i mogłaby robić wszystko, czego zapragnie. Ot co. Ann uśmiechała się i mówiła, że zobaczy, jak się wszystko potoczy.

Pośrednik handlu nieruchomościami przyrzekł, że za Stare Probostwo uzyska niezłą kwotę, zwłaszcza że na jego terenie znajdowało się, jak to nazwał, „mieszkanie dla starszego członka rodziny”. Dochody z funduszu powierniczego, teraz przeznaczone na utrzymanie jednej osoby, a nie, jak dotąd, dwóch dorosłych plus całej rzeszy pieczeniarzy i starego samochodu, na którym nie można było polegać, aż nadto wystarczały na jej skromne potrzeby. Zważywszy na straszne konsekwencje postępowania Lionela, które odcisnęły piętno na życiu jej i Louise, Ann bez większych oporów dała się przekonać, by nie kupować mu, jak

planowała, mieszkania ani nie wspierać go finansowo. Początkowo protestowała, mówiąc, że nie może go zostawić z niczym. Jednak, jak zauważyła Louise, nawet gdyby zostawiła go z niczym, to i tak byłoby to dziesięć razy więcej, niż od niego dostała. Kiedy zaś Louise usłyszała, że Ann zamierza wypłacać Hetty emeryturę, rewaloryzowaną odpowiednio do stopnia inflacji, wyjaśniła jej, że nie da rady wypełniać obu zobowiązań i kupić jednocześnie domu dla siebie.

Ann przyszła do Starego Probostwa tylko raz, w towarzystwie notariusza. Wybrała kilka mebli i rzeczy osobistych, które chciała zatrzymać, a on zorganizował miejsce do ich przechowania, całą resztę przygotowując do sprzedaży. Wszystko trwało niecałą godzinę, a ona i tak nie mogła się doczekać, by stamtąd wyjść. Omówili też krótko jej testament złożony w jego biurze. Chciała sporządzić go od nowa, więc umówili się na początek następnego tygodnia.

Ann nigdy nie zobaczyła już Lionela. W dniu gdy przyjechał do szpitala, by ją odwiedzić, była już na tyle zdrowa, aby powiedzieć lekarzowi, że nie zniesie ani chwili w jego towarzystwie. Odmówiono mu wejścia. Po raz drugi się nie pojawił.

Na list Lucy i Breakbean, jedynych w Causton adwokatów z urzędu, w którym udowadniali, że Lionel ma prawo do połowy udziałów w Starym Probostwie, odpowiedział Taylor Reading, adwokat Ann, nie pozostawiając im cienia wątpliwości. Groźba ze strony Lionela, że posunięcie to pociągnie za sobą dalsze działania, spełzła na niczym. W grudniu Ann dostała raczej żalostną kartkę świąteczną z adresem nadawcy w Slough, na którą nie odpowiedziała. Tak naprawdę to było wszystko.

Kilka lat później jakaś osoba powiedziała Ann, że wychodząc z teatru po wieczornym spektaklu, zauważyła Lionela. Znowu miał na sobie koloratkę, pomagał wydawać zupę i kanapki bezdomnym na stacji metra Embankment. Ale było to tylko przelotne spojrzenie, w związku z czym osoba ta przyznała później, że kto wie, może się myliła.

# Rozdział trzynasty

---

Srebrne wesele Toma i Joyce Barnabych przypadało w niedzielę, trzynastego września. Ponieważ jednak, tak jak większość par, pobrali się w sobotę, postanowili, że świętować będą dzień, a nie datę. Poza tym, jak stwierdziła Cully, prawdziwa zabawa na pewno przeciągnie się na następny dzień.

Dzień wstał raczej chłodny, z niewielkimi przebłyskami bla-dawego słońca. Przedpołudnie upłynęło im dość dziwnie, popołudnie z kolei niezdarnie. Czas się ciągnął. Po śniadaniu Barnaby włożył naczynia do zmywarki, a Joyce wyszła do fryzjera. Kiedy wróciła, wypili kawę, przejrzeni sobotnie gazety, a pora lunchu ciągle jeszcze nie nadchodziła.

—Podoba ci się moja fryzura?

—Ładna.

— Pomyślałam, że z takiej okazji powinnam się jakoś inaczej uczesać.

—Wyglądasz ślicznie.

—Mnie się nie podoba.

—Naprawdę ładnie.

— Wolałam poprzednią fryzurę — jęknęła Joyce. Zrzuciła stopą gazety z kanapy i położyła się z nogami do góry. Potem znowu je opuściła.

—Chciałbym, żeby już była ósma — powiedział Barnaby.

—Ale jest dopiero za dwadzieścia dwunasta.

—Przypomnij mi, kiedy dajemy sobie prezenty.

—O siódmej, kiedy przyjadą dzieci i otworzymy szampana.

—Czy mógłbym swój dostać teraz?

—Nie.



Barnaby westchnął, złożył część „Independent” poświęconą sztuce, poszedł do przedpokoju, okręcił szyję szalikiem, nałożył kurtkę i wyszedł. Wyjął widły z altanki i zaczął spulchniać ziemię wokół bylin. Potem podlał je wydzielającym paskudną woń nawozem z żywokostu.

Cały problem polega na tym, stwierdził, że ten dzień niesie z sobą zbyt wiele romantycznych i sentymentalnych skojarzeń. Na pewno jest wyjątkowy, ale można go przecież przeżyć wygodnie, normalnie.

Śniadanie w łóżku, coś, czego nigdy w życiu nie robił, okazało się totalną klęską. Joyce przyniosła mu tacę z piękną różą w kryształowym wazoniku, a on usiadł nienaturalnie prosto, opierając się o poduszki wciśnięte między jego plecy a wezłowie łóżka i usiłował posmarować rogalik Florą, nie rozlewając przy tym kawy.

Joyce usiadła obok niego ze swoją tacą, jedząc grejpfruta i zasłaniając go dłonią, żeby nie zapryskać wszystkiego sokiem, powtarzając co chwilę: „Ale miło, co?”. Sięgając przez łóżko, by włączyć radio, przewróciła wazonik z różą.

I tak to wyglądało. Barnaby nagle zdał sobie sprawę z tego, co czuła jego córka w dniu premiery. Raz mu to opisała. Starła się jak najdłużej spać, guzdrała się ze śniadaniem, w południe szła do teatru, choć nie miała tam nic do roboty i tylko przeszkadzała innym. Łapała kogoś, z kim mogła zjeść lunch, może obejrzeć jakiś film, po czym nadal miała jeszcze do zabicia trzy godziny. Próbowwała odpoczywać, powtarzała swoje kwestie. Najgorsza była ostatnia godzina.

Razem z Joyce znaleźli się w tym samym stanie zawieszenia. To było śmieszne. Dlaczego nie mogło być tak jak w każdą sobotę? Barnaby zobaczył żonę patrzącą przez okno w kuchni. Pomachał jej. Odpowiedziała mu uśmiechem pełnym napięcia, dotykając swoich włosów. Kierując się w stronę żywokostu, by odnieść wiadro, zaczął śpiewać: „Ileż może zmienić jeden dzień...”.

Skrzynia z garażu zniknęła. A już zaczął się nią ekscytować. Na jego uwagę, że jej nie ma, Joyce powiedziała, że to był fotel jednego z członków jej grupy teatralnej, który się przeprowadzał i nie miał go gdzie przechować. Wczoraj przyjechał i go zabrał. To wszystko.



Barnaby naładował do wiadra żywokost, zalał go wodą i zaczął przycinać olbrzymią, przerośniętą irgę. Reszta czasu upłynęła tak miło, że ani się obejrzał, a Joyce zawołała go na lunch.

Później powiedziała mu, że musi wyjść, więc Barnaby uciął sobie drzemkę, obejrzał jakiś sportowy program w telewizji, znowu przysnął, potem zaparzył herbatę. Kiedy Joyce wróciła, była prawie szósta. Powiedziała, że była w kinie na filmie *Fakty i akty*, który był tak świetny, że muszą go obejrzeć na wideo.

Barnaby nie zapytał, dlaczego nie został zaproszony do kina. Oboje przeżywali ten dziwaczny, niespotykany dzień na własny sposób: on, robiąc to, co zazwyczaj w wolny dzień, lecz częściej wzdychając, ona, wypełniając sobie czas tym, co zawsze.

Przed szóstą byli w sypialni i się ubierali. Barnaby zakładał sztywno ukrochmaloną białą koszulę, ciemnoniebieski garnitur i kamizelkę. Wkładając lśniące, czarne półbuty spoglądał na Joyce, która malowała się przed lustrem powiększającym, w jasnym świetle lampy. Miała na sobie halkę w kolorze kawy, przyozdobioną wiedeńską koronką, którą Cully dawno temu nazwała freudowską pomyłką mamy.

Nagle uderzyła go myśl, że jego rocznicowy prezent, tak starannie przemyślany, pięknie zaprojektowany i ozdobnie zapakowany, jest absolutnym zbytkiem. Luksusowym, ale bez żadnego zastosowania. Gdzież, do licha, nie licząc ilustracji w bajkach czy filmów z lat trzydziestych, kobiety trzymają w jednej ręce lustro i, przeglądając się w nim, drugą ręką czeszą włosy? Potrzebują do tego dwóch rąk i dobrego światła. Westchnął.

— Na miłość boską — nie wytrzymała Joyce.

Kupiła sobie na tę okazję nowy kostium. Cyklamenowy z czarnym obszyciem. W stylu Chanel. Kolor wydawał się ostrzejszy niż w sklepie, gryzł się z jej pomadką. Od kolczyków zaczynały ją już szczypać uszy, ale tylko te były odpowiednie. Pamiętając, że makijaż musi przetrwać do późnego wieczoru, umalowała się mocniej niż zwykle, a teraz zastanawiała się, czy nie powinna go zmyć i zacząć jeszcze raz. Mówi się przecież, że im się jest starszą, tym się mniej potrzebuje. Sama ledwie powstrzymała się od westchnięcia. Tego tylko brakowało, żeby oboje wzdychali przez cały wieczór.

Barnaby, który od dwudziestu minut co rusz wyglądał przez okno, powiedział:

— Już są.

Pierwsza butelka Mumm Cordon Rouge, rocznik 1990, została otwarta, wszyscy trzymali lampki. Cully i Nicolas zawołali: „Gratulacje!” i wręczyli rodzicom prezenty od siebie. Joyce dostała srebrny medalion z wygrawerowaną datą ślubu na tylnej ściance i malutkim zdjęciem jej i Toma w środku. Nie wydawało się jej znajome, musiało być wycięte z jakiejś fotografii zrobionej przez Cully wieki temu podczas wakacji. Barnaby otworzył niebieskie, skórzane pudełko, w którym znalazł proste, srebrne spinki do mankietów w kształcie kwadratów.

Joyce sprezentowała Tomowi kalendarz filofax oprawiony w skórę, z cienką srebrną tabliczką przymocowaną do specjalnie wzmocnionej okładki, na której wyryto imię i nazwisko jej męża oraz daty 1973-1998. Barnaby powiedział, że bardzo mu się podoba i że wreszcie będzie bardziej zorganizowany. Cully stwierdziła, że najwyższy czas. Opróżnili lampki, znowu je napełnili, po czym Joyce rozpakowała swój prezent. Wydała stłumiony okrzyk zaskoczenia, przyjemności i radości.

— Tom, to jest najbardziej... najpiękniejsza rzecz... jaką kiedykolwiek... kiedykolwiek...

Pocałowała go. Barnaby uśmiechnął się i przytulił żonę. Patrzył, jak trzyma lusterko w wyciągniętej dłoni, zupełnie tak, jak sobie wyobrażał. Ale ostre, jarzeniowe światło w kuchni nie było zbyt łaskawe. Na twarzy Joyce pojawił się cień. Zbyt mocny makijaż. Nie wyglądała w tym lustrze tak, jak oczekiwała. Sprawiała wrażenie starszej i raczej surowej. Wymizerowanej nawet. Odwróciła się do córki.

—Ta szminka chyba do mnie nie pasuje.

—Mamo, w tym paskudnym świetle nic do nikogo nie pasuje. A ja wyglądam na co najmniej sto lat.

—A ja — dodał Nicolas z galanterią — wyglądam jak potwór z Czarnej Laguny.

—A jeśli już mowa o świetle, to czy nie powinniśmy zapalić lamp w ogrodzie, tato? Bezpieczeństwo i te rzeczy.

—Rzeczywiście. — Barnaby poukrywał w krzewach siedem lamp. Podłączył je do przełącznika ściemniającego, który teraz powoli włączał. Efekt był magicznie teatralny. Mogłoby się zdawać, że patrzy na las za granicami Aten, a w kulisach czekają Oberon i Tytania. Kiedy wracał do kuchni, rozległ się dzwonek do drzwi. Cully wykorzystała tę chwilę na szybki telefon.

Zamierzali podrzucić się taksówką do stacji metra Uxbridge, stamtąd pojechać kolejką do centrum, a z powrotem całą drogę odbyć taksówką. Do Monmouth Street najbliższej było ze stacji Tottenham Court Road, a o ósmej wieczorem w sobotę zarówno restauracje, jak i chodniki przed nimi zapełnione były tłumem hałaśliwych osób, które chciały się rozerwać. Od Mon Plaisir dzieliło ich zaledwie dziesięć minut drogi, ale wydawało się im, że szli dłużej.

Powitano ich bardzo ciepło, wskazano stolik, podano menu. Barnaby rozejrzał się. Nie oczekiwał, że będzie tu tak samo jak przed dwudziestoma pięcioma laty, to byłoby niemądre z jego strony. Zaskoczyło go jednak to, że było tu tak mało miejsca. Nie mógł sobie przypomnieć, gdzie wtedy siedzieli, choć pamiętał, że od czasu do czasu wyglądał przez okno i współczuł przechodniom, którzy nigdy, przenigdy, choćby nawet dożyli do setki, nie będą tak szczęśliwi jak on.

Spojrzał ponad stołem na Joyce, ale czytała kartę dań. Przystudiował swoją, ale nie znalazł ani *boeuf bourguignon*, ani tarty malinowej. Poczł zawód. Przecież to klasyczne francuskie dania. Można by się spodziewać, że znajdą się w ofercie francuskiego bistro.

— Nie mają *steak au poivre* — Joyce uśmiechała się do niego. Zdjęła buty na wysokim obcasie i rozgrzewała stopy, pocierając nimi o łydki.

— Słucham?

— Właśnie to wtedy jedliśmy — wyjaśniła wszystkim przy stole. — I tarte morelową.

— To akurat mają — powiedziała Cully.

Barnaby milczał. Zdał sobie sprawę, że cały ten pomysł Nicolasa, tak entuzjastycznie przez wszystkich przyjęty, był jedną wielką pomyłką. Joyce miała rację,

że się wahała, a on niesłusznie wyperswadował jej wątpliwości. Przeszłość to naprawdę inny kraj, w którym robili wszystko inaczej.

Zamówił tarte cebulowo-śmietanową z zieloną sałatą, cefala z koprem włoskim, młodymi ziemniakami i groszkiem *mangetout* oraz pieczone jabłka z cavadosem. Joyce wzięła to samo. Cully i Nicolas wybrali grzyby po grecku, nóżki wieprzowe w sosie musztardowym, fasolkę szparagową z frytkami i gruszki z *creme Chantilly*. Pili Muscadet i czerwone wino Sandeman.

Dopiero w połowie głównego dania Barnaby zorientował się, dlaczego rozmowa się nie klei. Cully i Nicolas nie mówili o sobie. Z wyjątkiem miłych uwag na temat dań, zapewnień, że miło spędzają czas, i grzecznych pytań Cully na temat ogrodu, kierowanych do Barnaby'ego, siedzieli cicho jak trusie. Barnaby postanowił ich trochę popędzić.

—Co tam u ciebie, Nico? Chodzą jakieś słuchy w sprawie obsady?

—Tak! — wykrzyknął Nicolas. — Gram Dolabellę w *Antoniuszu i Kleopatrze*. Kaszlę i pluję. Nie ma mnie do czasu, gdy...

—Nico — Cully rzuciła mu gniewne spojrzenie.

—Hm? Ach, tak. Przepraszam.

—Co? — zapytał Barnaby, patrząc to na nią, to na niego. — Co się dzieje?

—Nie gadamy o sobie — powiedziała Cully.

—Ale dlaczego, na litość boską? — Joyce patrzyła na nią ze zdumieniem.

—Bo to jest wasz wyjątkowy wieczór. Twój i taty.

—No właśnie — powiedział Nicolas, trochę mniej pewnie.

—Nie wygłupiajcie się — odpowiedziała Joyce. — Gdybym chciała dziś przez cały wieczór rozmawiać z ojcem, to równie dobrze mogliśmy zostać w domu.

—Zrozumiałeś, Nico? — zapytał Barnaby. — A teraz oklaski dla Dolabelli.

— Jest też dublerem do roli Lepidusa — głos Cully rozbrzmiewał entuzjazmem. — Jest większa i ma kilka wspaniałych kwestii.

—Jedną z moich ulubionych, Tom, i chyba bardzo *a propos*, jest: „Nie pora dziś na prywatne sprzeczki”<sup>\*14</sup>.

Ten raczej naciągany dowcip sprawdził się doskonale. Śmiała się Cully, śmiała się Nicolas. Joyce, która kończyła już trzecią lampkę Muscadet, śmiała się tak bardzo, że dostała czkawki. Barnaby dyskretnie rzucił okiem na ukryty pod starannie wyprasowaną serwetą zegarek.

Wracając taksówką do domu, na dość mocnym gazie, jak by to określił Jax, Barnaby myślał o tym, jak nieoczekiwanie nudny okazał się ten dzień. To nie była wina dnia. Biedny, stary dzień. Przecież był to w końcu wypełniony zwykłymi czynnościami i odrobiną ogródka kawał czasu, wobec którego miał zupełnie nie-realne oczekiwania. Nic dziwnego, że jest zawiedziony.

Barnaby westchnął. Przebiegł palcami po kołnierzyku, po-luźnił go i zauważył, że Joyce zdjęła buty. Sam chętnie zdjąłby swoje. I resztę ubrania też. Wciągnąłby stare spodnie ogrodowe i wygodny sweter. Jeśli jednak spojrzeć na wszystko z jaśniejszej strony, już wkrótce będzie niedzielny poranek. W niedzielę mógł jeść jajka na bekonie.

Pozostała trójka ciągle gawędziła. Barnaby był zadowolony, choć nieco zaskoczony, gdy Joyce mu powiedziała, że Cully i Nicolas będą u nich nocować. Od kilku lat już tego nie robili, ostatni raz wtedy, gdy zmieniali mieszkanie, oddali meble do magazynu i przez sześć tygodni czekali u nich na opuszczenie nowego miejsca przez poprzednich właścicieli.

Było już po północy, gdy taksówka zatrzymała się pod siedemnastką na Arbury Crescent. Piętnaście po dwunastej, trzynastego września. Druga szansa, by zamienić zwykłe w niezwykle. Może to było wino albo może nagły przebłysk pamięci, który obudził w Barnabym przejmujące pragnienie, by odwrócić tę chwilę, nadać jej inny bieg. Wyciągnął rękę i dotknął ramienia żony.

— Chciałem tylko powiedzieć...

---

<sup>14</sup> \* W. Shakespeare, *Antoniusz i Kleopatra*, akt II, scena II, przekł. M. Słomczyński (przyp. red.).

Ale rozmawiała z Nicolasem. Płacił za taksówkę, potrzebował trochę drobnych na napiwek. Barnaby pogmerał w kieszeni, mówiąc:

—Chyba coś mam.

—Wszystko załatwione, kochanie.

Joyce podała pięć funtów i wysiadła z samochodu. Wokół panowała cisza. Sąsiedzi Barnaby'ego byli już na emeryturze, w pozostałych pięciu domach tworzących zaułek było ciemno.

Wkładając klucz do zamka w drzwiach wejściowych Barnaby podjął decyzję. Odpuści sobie ten dzień. Odpuści sobie świętowanie. Ma pięćdziesiąt osiem lat, nie jest już dzieckiem czekającym na czary i fajerwerki tylko dlatego, że mijają jakieś szczególnie ważne dwadzieścia cztery godziny. W końcu czyż całe jego życie nie było w ten czy inny sposób ważne? To, że jest takie zwyczajne, samo w sobie może być powodem do świętowania. Ma wszystko, czego dusza zapragnie. Zajmij się ogrodem, napomniął się surowo. Dorośnij. Dziękuj Bogu.

W kuchni na stole stały jeszcze puste butelki po szampanie i brudne lampki. Wszyscy zdjęli płaszcze. Joyce zapytała, czy ktoś ma ochotę na herbatę. Cully ziewnęła i stwierdziła, że jeśli się natychmiast nie położy, to zaraz padnie jak długa, a Nicolas podziękował Tomowi i Joyce za przemiły wieczór. Barnaby podszedł do kuchennego okna i spojrzał na swój ogród. Rozkoszował się widokiem podświetlonych roślin, długie cienie miały w sobie jakiś magnetyzm.

Zamrugał, spojrzał jeszcze raz. Na środku trawnika coś stało. Coś wielkiego, oślepiająco błyszczącego. Przymrużył oczy i zbliżył twarz do szyby. Z roztarżeniem uświadomił sobie, że ktoś otworzył kuchenne drzwi i wyszedł na zewnątrz.

To była kosiarka do trawy. Srebrna kosiarka do trawy. Każda jej część była pomalowana na srebrno. Uchwyt, koła, kosz na trawę, wszystko. Do poprzecznego uchwytu błyszczącą jedwabną wstążką przywiązano mnóstwo srebrnych balonów.

Barnaby odchylił głowę i przypatrywał się, jak podskakują i ruszają się na tle rozgwieźdzonego nieba. Właśnie teraz nie mógł z jakiegoś powodu przeczytać tego, co było napisane na serduszkach.



Z otwartych okien salonu, w których pojawiły się uśmiechnięte twarze jego córki i zięcia, popłynęła muzyka. The Hollies, *The Air That I Breathe*.

— Chyba łapie mnie przeziębienie — powiedział Barnaby do żony, która szła wolno po trawniku w jego kierunku. Wyciągnął wielką, białą chustkę i głośno wytarł nią nos.

Joyce ujęła jego dłoń i cicho zaśpiewała:

—Miałabym kłopot, gdybym miała wypowiedzieć jakieś życzenie... niczego mi nie brak... papierosów, snu... Och, Tom! Zapomniałam!

—Światła...

—O, właśnie. Światła, dźwięków, jedzenia, książek do czytania...

—Kochania się z tobą...

Objął ją, a ona oparła się o niego i położyła głowę na jego ramieniu. Stali tak w ciszy, a nad nimi świeciło coraz więcej gwiazd, stawiając dzielnie czoło upływającemu bezlitośnie czasowi, który wszystko zmienia. Potem zaczęli tańczyć.